D 136

JERZY BRANDES

POLSKA

PRZEŁOŻYŁ

ZYGMUNT POZNANSKI

LWÓW
NAKŁADEM KSIĘGARNI H. ALTENBERGA
1902

Kraków. — Druk W. L. Anczyca i Spółki.

Malgré tout.

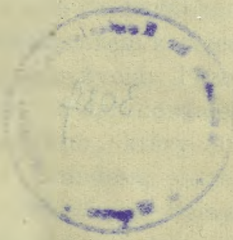

3037

Dzieło Jerzego Brandesa, które w tłómaczeniu polskiem oddajemy czytelnikom, napisane w *oryginale* duńskim przed kilkunastu laty, a dzięki przekładowi niemieckiemu od kilku miesięcy *głośne* już w całej Europie, jest owocem trzykrotnej bytności znakomitego krytyka duńskiego w Królestwie polskiem. W obrazkach swych i szkicach, zebranych w tece podróżnej, *nie silił się* Brandes wcale na drobiazgowe i wyczerpujące, ale i suche zarazem zarejestrowanie różnych objawów naszego życia. Pozornie bezpretensyonalne, a przecież opracowane z całym owym kunsztem literackim, który już znamy z dawniejszych dzieł Brandesa, — te »Wrażenia z Polski« *(Indtryk fra Polen)* to prawdziwe impresye podróżne, a celem ich — wywołanie i w czytelniku także pewnego jednolitego i przez autora pożądanego wrażenia o narodzie polskim, o »tym narodzie zapomnianym przez bogów a wyszydzanym przez ludzi«. Pisząc o rzeczach najrozmaitszych, odnoszących się do naszego społeczeństwa, zawsze jednak

dąży autor do jednego tylko celu: oto, pragnie on w umyśle czytelnika utrwalić jak najgłębiej jeden i ten sam obraz, obraz »narodu... żywcem pogrzebanego, który, pomimo wszystko, ustawicznie podnosi wieko swej trumny, aby zaświadczyć, że jego siła żywotna bynajmniej jeszcze nie zagasła, narodu, który cały rozpłynął się w swej sprawie narodowej, a ta polska sprawa — pisze Brandes — toć przecie nic innego, jak sprawa ogólno ludzka, sprawa ludzkości... symbol wszystkiego, co najszlachetniejsi w ludzkości umiłowali i za co walczyli«.

Idea tej Polski — realnej i symbolicznej — ten obraz ojczyzny naszej w niewoli nie opuszcza też autora ani na chwilę przy spisywaniu wrażeń, i dominując nad całą książką, zabarwia Brandesowi szkła, przez które on patrzy na całe życie nasze, stanowi pryzmat, w którym załamują się wszystkie promienie, jakiemi pragnie oświetlić różne strony naszego narodowego charakteru i naszej literatury.

Studyum Brandesa o literaturze naszej, zajmujące blizko połowę książki, ma dla swych ogólnych zwłaszcza rzutów wartość niepoślednią i dla czytelnika polskiego, a jeden z poważnych krytyków *) uważa, iż jego charakterystyka poe-

*) Prof. Majchrowicz w »Szkole« Nr. 35 z r. 1898.

zyi Mickiewicza, napisana ręką mistrzowską, ma wielkie znaczenie dla naszej literatury nawet po gruntownych dziełach Chmielowskiego i Kallenbacha. My zaś dodamy ze swej strony, iż jest ona zarazem wzniosłym hołdem złożonym w roku Mickiewiczowskim przez cudzoziemca największemu naszemu geniuszowi poetyckiemu. Ale i w tej części pracy, poświęconej literaturze, nie schodzi Brandes z raz obranego stanowiska i tu nie opuszcza go obraz rozdartej i ciemiężonej ojczyzny naszej. I dlatego on, krytyk literacki i estetyk *par excellence*, ocenia utwory wielkich wieszczów naszych, przedewszystkiem nie z punktu widzenia teoryi estetycznych i doktryn literackich, lecz ze stanowiska służby narodowej i oddaje wielkim romantykom naszym sprawiedliwość, że służbę tę spełnili należycie.

Obejmując jednym rzutem oka całą pracę Brandesa, przyznać musimy, iż autor wiernie pochwycił zasadniczy ton naszego życia na wszystkich polach i we wszelkich dziedzinach oraz główną dążność naszych prac i aspiracyi, podnosząc w nich przedewszystkiem przewagę pierwiastku narodowego. Uzna to każdy, komu nie obcym jest wszechstronny wzrost naszego poczucia narodowego w ostatnich latach kilkunastu. Dostrzegli też zaraz ten nerw książki

Niemcy, rzuciwszy się ze zwykłą krzyżacką zaciekłością na dzieło Brandesa.*)

Damy więc zapewne wyraz uczuciom większości naszego społeczeństwa, składając na tem miejscu hołd i podziękowanie autorowi »Polski« za jego pełną uczuć szlachetnych i gorącego entuzyazmu dla sprawy polskiej pracę, tembardziej, iż on sam ze skromnością prawdziwie wyższego umysłu tak o swem dziele w liście do tłómacza pisze: »Nie okazałem żadnej szczególnej odwagi, pisząc tę książkę. Wypowiedziałem w niej tylko to, com czuł i com myślał«.

A tak czuje i tak myśli tylko człowiek szlachetny.

*) »Deutsche Litteraturzeitung« Nr. 32 z 13. sierpnia 1898 roku.

Z. P.

TREŚĆ.

SPOSTRZEŻENIA I ROZMYŚLANIA.

Wrażenie pierwsze (1885).

Str.

Z Wiednia do Warszawy 3

I. Granica i rewizya 5

II. Warszawa. Fizyognomia miasta, stosunki językowe i teatralne, rusyfikacya, Sybir 14

III. Z przeszłości Polski. Charakterystyka narodu polskiego . 29

IV. Polacy a Francuzi. Niestałość, dyletantyzm. Życie gorączkowe. Siła i wrażliwość uczucia narodowego 37

V. Jedność narodowa. Wyznania i stronnictwa. Polska jako symbol 50

Wrażenie drugie (1886).

Rugi pruskie 59

I. Polska niewiasta 62

II. Mężczyźni. Polskie ideały, cnoty i wady 68

III. Wychowanie i nauczanie. Demokraci, socyaliści, postępowcy. Smutna alternatywa dla inteligencyi polskiej . . 78

IV. Życie polskie i rosyjski system. Zabawy publiczne i maskarady, życie towarzyskie w rozmaitych kołach. Wszędzie ciężka atmosfera 93

V. Komitet cenzury. Trudności w uzyskaniu pozwolenia na odczyty 102

VI. Jak się pod cenzurą pisze i mówi 112

VII. Jak te stosunki oddziaływają na ducha młodego pokolenia 116

VIII. Czy sprawa polska warta jest tych ofiar, które się dla niej ponosi? 126

Wrażenie trzecie (1894). **Dwór wiejski w Polsce.**

Str.

I. Okolica, krajobraz. Wzrost ucisku rosyjskiego 131
II. Cholera, cenzura, aresztowania 139
III. Jednostajność i spokój. Z nastrojów w noc letnią. Różnice polityczne między starszem a młodszem pokoleniem. Obywatele ziemscy i ich panie 147
IV. Polska i Francya. Polska i Niemcy 158
V. Odpust i księża biesiada. Wiara 167
VI. Żałobna procesya w r. 1894 — boleśnie śmieszna demonstracya. Malarze i literaci 176
VII. Zdarzenie powszednie, jako ilustracya tutejszych stosunków 186
VIII. Cechy narodowe i patryotyzm Polaków. Zakończenie . . 193

Romantyczna literatura Polski w dziewiętnastem stuleciu (1886).

Punkty styczne między Polską a Danią 207
I. Ogólno-europejskie ramy literatury i jej odrębne cechy zasadnicze. Rzut oka wstecz. Kochanowski. Skarga. Jezuici. Filozofia francuska. Racyonalizm 213
II. Trzy czynniki oddziaływające na romantyzm w Polsce: charakter narodowy, romantyzm europejski i stosunki polityczne. Osobliwy charakter kontrastu między romantyzmem a klasycyzmem w Polsce. Cześć dla Napoleona i Byrona. Stosunek do Szekspira i Dantego. Wpływ tułaczki emigracyjnej na życie uczuciowe poetów 222
III. Brodziński — zwiastun romantyzmu. Pieśni ludowe. Ukraińska szkoła: Malczewski, Zaleski, Goszczyński 242
IV. Mickiewicz i Goethe. Farys i Oda do młodości. Młodość Mickiewicza. Mickiewicz i Puszkin 253
V. Wpływ stosunków politycznych na twórczość poetów, na ich wyobrażenia o miłości i nienawiści, o uczuciach rodzinnych, o stosunku jednostki do narodu, geniuszu do otoczenia, uczucia do rozumu, wreszcie na ich pogląd na religię i filozofię 270
VI. Dwa główne motywy w utworach wielkiej trójcy poetyckiej: Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego. Obrazy okrucieństw i pieśń nadziei. Poezya zemsty u dwóch pierwszych poetów i poezya miłości u Krasińskiego . . 288

Str.

VII. Hamlet w Polsce. Typ Hamleta radykalnego u Słowackiego, typ konserwatywny u Krasińskiego 311
VIII. Pan Tadeusz, jedyne epos naszego stulecia. Mickiewicz i Rzewuski. Znaczenie Mickiewicza 329
IX. Rozłam między poetami. Rozkład romantyzmu. Współczesna literatura polska. Sąd ogólny 346
X. Zakończenie 363

SPOSTRZEŻENIA i ROZMYŚLANIA

BRANDES, POLSKA.

Wrażenie pierwsze.

(1885).

O 11-tej przed południem pociągiem kolejowym opuściłem miasto Hansa Makarta i Johanna Straussa, a długo jeszcze byłem pod wrażeniem wiedeńskich nastrojów i wspomnień: lekkich nastrojów i promiennych wspomnień o zniewalającej uprzejmości, przelotnej serdeczności, chwilowym zapale, o mowach wykwintnych dziennikarzy i ex-ministrów, improwizacyach młodych poetów, uśmiechach pięknych kobiet, żartach i wesołości ładnych subretek oraz natarczywości dam ocierających się o literaturę i zbierających autografy; wspomnień z przepysznych marmurowych hall Teofila Hansen'a, z wspaniale przyozdobionej wystawy bazgrot Makarta i owego miłego pokoiku, w którym król walców wygrywał na fortepianie swe tańce, owe utwory drobne, ale należące przecież z prawa do rzetelnej sztuki. Jeszcze raz odetchnąłem atmosferą owej spokojnej lekkomyślności, rozbujałej, ale niefrasobliwej chęci życia, owego miłego szczęścia pośledniejszego gatunku, które napełnia pierś w tym wielkim kotle czarnoksięskim, zwanym Wiedniem.

Pod względem życia łatwego, niczem nie skrępowanego, niemasz, jak Wiedeń. Jak łatwo płyną tu słowa, farby, muzyka!

Jeżeli z Schillerowskiej *Anmut und Würde* powagę przyswoili sobie mieszkańcy Berlina, to napewno wdzięk Wiedeńczykom przypadł w udziale. Wiedeń bowiem jest miastem dla siebie, które się wszystkiem zdobi i przystraja, gdyż posiada tyle zdrowego rozsądku, aby czynić jedynie to, co je upiększyć może. Ileż w niem pamiątek, ile malowniczości, ile silnej tradycyi zwłaszcza w porównaniu z regularnym nowożytnym Berlinem! A jak pięknie wszędy dokoła ile charakterystycznego uroku w strojach okolicznych włościan, jak umieją oni nosić swój szeroki płaszcz biały z czerwonym obrębkiem i jaka w tem różnica z północno-niemieckim chłopem i jego sztywnym, brzydkim ubiorem!

Austrya to kraj bogaty, znajdujący się w stanie stosunkowo spokojnego rozkładu. Wiele tu różnego rodzaju ludzi, niemasz tylko austryaków, rozumie się z wyjątkiem rodziny cesarskiej i kilku zabytków z dawnej partyi wiernokonstytucyjnej. Zresztą mamy w Wiedniu prawie tylko Niemców, jak znowu poza nim tylko Węgrów, Czechów i t. p.

Pociąg z łoskotem pędzi dalej. Mały polski chłopak, który jako służący towarzyszy swemu panu, zwraca moją uwagę na pewnego Rosyanina, wciąż mówiącego po francusku. »Wie on dobrze — powiada — że ja rozumiem po rosyjsku, ale jednak mówi do mnie po francusku; tacy są oni wszyscy, w gruncie rzeczy wstydzą się tego, że są Rosyanami«. Naiwny to, ale wielce znamienny objaw polskiej nienawiści narodowej.

Aby korzystać, jak długo się da, ze światła dziennego, czytam w *Nouvelle Revue* nowelę Sienkiewicza »Bartek Vainquer«...

I.

Pociąg zatrzymuje się w Granicy. Tu mamy pokazać nasze paszporty i poddać rzeczy rewizyi. Zjawia się w wagonie żandarm, typowy rosyjski blondyn w swym paradnym uniformie, długim szarym szynelu, okrągłej czapeczce bez daszka, z szablą u boku, prosi podróżnych o paszporty i oddala się z nimi.

Wtedy pozwalają nam i każą wysiadać. Gdy jeden z podróżnych zamierzył zostawić w wagonie, do którego za godzinę mieliśmy wrócić, koszyk, płaszcz i inne podręczne drobiazgi, ów młody Polak, o którym mówiłem wyżej, zaraz go przestrzegł: »Należy wszystko zabrać: zapomniany parasol zaraz wzbudzi podejrzenie, gdy pan zostawisz okrycie, z pewnością będą je przeszukiwać nawet pod podszewką«.

Pierwszą rzeczą, którą znaleziono w mym worku podróżnym, były dwa numera *Nouvelle Revue*, wzięte na drogę.

»Co to jest?« zapytał mnie najstarszy z urzędników celnych po niemiecku.

»Co to jest!« odrzekłem, to jest *Nouvelle Revue*«.

»Tak, ale co to takiego?« — »Francuskie czasopismo«. — »Cóż się w niem znajduje?« — »Czy pan rozumiesz po francusku?« zapytałem. — »Nie«. — »Czy jest tu kto, coby znał ten język?« — »Nie«. —

»Są tam rozmaite rzeczy; to dwa numery, każdy ma dziesięć artykułów. Niepodobna zatem w kilku słowach streścić, co się w tem piśmie zawiera«. — »A więc zabierzemy je i odeślemy do cenzury do Warszawy«. — »Czy to pismo jest zakazane?« — »Wszystko, czego ja nie znam, jest zakazane, a ja tej właśnie książki nie znam«. — Zaczął przeglądać zeszyty, obejrzał je z przodu i z tyłu i zdawał się szukać czegoś pomiędzy nierozciętemi kartkami. Przypomniał mi ten widok jakąś starą litografię, wyobrażającą wielką małpę, która przetrząsa mantelzak podróżnego i przegląda jego książki.

»Czy masz pan więcej druków?« — »Tak, mój kufer jest do połowy napełniony książkami«. — Już miano go otworzyć, gdy równocześnie z ust jednego z urzędników celnych usłyszałem wykrzyk: r e w o l w e r! Zrozumiałem ten termin międzynarodowy. Znaleziona w moim worku podróżnym broń przechodziła z rąk do rąk i została przez wszystkich urzędników starannie obejrzaną. — »Czy jest nabity?« — »Tak, sześcioma nabojami«. — »Czy nie byłbym tak dobry wyjąć nabojów?« — Oświadczyłem stanowczo, że nie będę tak dobrym. — »W takim razie sami to zrobimy«. — Wyjęto je tedy, a później znaleziono na dnie mego kufra małe pudełeczko z nabojami, które dołączono do rewolweru.

Następnie zaczęła się właściwa rewizya. Wyjmowano każdą broszurę, każdą książkę i odkładano na bok; wyciągano każdą gazetę, nawet te, w które zawinąłem buty, wygładzano starannie i układano w osobną paczkę. Zapytywano mnie o język, w jakim książki są drukowane, i o ich treść. Ponieważ moje odpowiedzi okazały się niewystarczającemi, zabrano mi wszystkie druki, wydając wzamian pokwitowanie

na 15 funtów literatury. Równocześnie zażądano, abym złożył trzy ruble na koszta przesyłki tej literatury do Warszawy. Chętnie spróbowałbym przekupić urzędnika, gdyby mnie Polacy już naprzód nie byli uprzedzili, że przedewszystkiem trzeba w nieodpowiedniem miejscu unikać przekupstwa. Mógłbym się bowiem narazić na to, iż moje usiłowanie przekupstwa uznanoby za dowód zbrodniczych zamiarów. Napróżno tłómaczyłem, że zabranych książek będę w Warszawie potrzebował do mych prac literackich. Napróżno perswadowałem, że mogliby mi zostawić przynajmniej książki i gazety duńskie, które przecież w Polsce, gdzie nikt po duńsku nie rozumie, żadnej szkody wyrządzić nie mogą. »W cenzurze znają wszystkie języki«, brzmiała odpowiedź. — Dajmy na to, że tak jest, chociaż mam co do tego pewne wątpliwości, ale przecież rządowego cenzora, Rosyanina, nie zaprowadzę na manowce, a reszta ludności nie zna tego języka, a zatem? — Ze *swego* stanowiska ma pan racyę, odpowiedziano mi i ze swego stanowiska zatrzymano moje książki. Wśród nich znajdował się duńsko-francuski słownik Sundby'ego i Baruel'a; wyjaśniłem, że jest to słownik, że w kolumnach słowa są bez logicznego związku. Łamano sobie nad tem głowę i zdawało się, że urzędnicy rzecz tę rozważają. W końcu, po dojrzałej rozwadze zwrócono mi tom pierwszy, od litery A do L, odkładając część M—Ö do owej literatury, która miała uledz cenzurze.

»W jakiż sposób i kiedy odbiorę to wszystko?« »Po książki udasz się pan do cenzury, wszak szusz pan na nie kwit. Na rewolwer nie damy panu pednego pokwitowania. Ale możesz pan podać — na prżym arkuszu papieru — prośbę do jenerał-guber-

natora o prawo trzymania broni, a w razie przychylnej odpowiedzi odbierzesz pan rewolwer z urzędu celnego w Warszawie« [1]).

Zaraz tedy na granicy czuje człowiek, że odtąd znajduje się poza słupami cywilizacyi europejskiej.

Już w sprawie stosunkowo tak drobnej, jak nadzór celny, można zauważyć to, co znamionuje większość rosyjskich przepisów policyjnych: ich uciążliwość i brak konsekwencyi. Gdybym był znał przepis zabraniający przewożenia broni, dość byłoby mi włożyć mój rewolwer do kieszeni, aby uniknąć przykrości, gdyż kieszeni z reguły nie rewidują. Gdybym był wiedział, że nie wolno przewozić książek w obcych językach, dość byłoby, gdybym je był posłał z Wiednia do którego z warszawskich księgarzy i byłbym je miał w Warszawie bez wszelkiego kłopotu.

Rozporządzenia rządowe nie są dość przezornie obmyślone, a jednak o tyle ostre, że urzędnicy, z obawy odpowiedzialności i dymisyi, muszą je wykonywać zarówno brutalnie, jak nierozsądnie. Nieprzyjemności, które mnie spotkały na granicy, nie uniknie prawie żaden cudzoziemiec, a nieraz i rosyj-

[1]) Pomimo mej prośby podczas mego pobytu w Warszawie, jenerał-gubernator nie wydał mi podobnego pozwolenia. Gdy, po mym powrocie do Kopenhagi, jeden z mych przyjaciół w mojem imieniu zwrócił się do kancelaryi jenerał-gubernatora, prosząc o wydanie albo wysłanie pod mym adresem tego oręża, na którym nie ciążyła ani kropla krwi ludzkiej, kazano mu: 1) przedłożyć odemnie pełnomocnictwo legalizowane u rosyjskiego konsula w Kopen[illegible]ore 2) wnieść do jenerał-gubernatora prośbę o pozwolenie wysł[illegible]mo czonego rewolweru poza granice kraju przywiślańskiego; 3 skaniu takiego pozwolenia należy prosić urząd celny w [illegible]im aby rewolwer wysłał na komorę warszawską i, nakoniec, 4 [illegible]ma[illegible]je rewolwer do Kopenhagi pocztą i kwit pocztowy złożyć v [illegible]ło laryi jenerał-gubernatora. [illegible]ce

ski poddany. Przed kilkoma laty na prusko-rosyjskiej granicy odebrano jednemu z mych przyjaciół, który przygotowywał się do złożenia w Warszawie lekarskiego egzaminu w języku rosyjskim, gramatykę tego języka po rosyjsku napisaną tylko dlatego, ponieważ urzędnik celny tego dzieła nie znał.

Władza rosyjska nie jest, wzorem pruskiej, roztropna i jednostajna. Jest ona kapryśną, niedorzeczną i często spoczywa w wysoce niezręcznych rękach. Ucisk, któremu podlegać ma część Polski, stanowiąca zabór rosyjski, jest tak silny, że niepodobna byłoby go wytrzymać nawet przez miesiąc tylko, gdyby liczne rozporządzenia nie były bezmyślne i bezplanowe, inne znowu zbyt drobiazgowe, aby mogły być wykonywane, jeszcze inne nie dały się ominąć drogą przekupstwa. Pamiętać przytem należy, że wykonywanie niektórych rozporządzeń powierzone jest ludziom tak małego rozumu, iż łatwo sobie z nimi dać radę, a niekiedy znowu ma się do czynienia z wykonawcami tak rozumnymi i wykształconymi, że przepisy pozostają martwą literą.

Zaproszono mnie do Warszawy dla wygłoszenia w wielkiej sali ratuszowej trzech odczytów w języku francuskim. Z prelekcyami temi miałem już przed przybyciem wiele trudności. Musiałem je w rękopisie na miesiąc przed przyjazdem nadesłać do Warszawy. Tu miały one uledz podwójnej cenzurze: zwykłej i specyalnej, przeznaczonej dla odczytów publicznych. Ponieważ było rzeczą pewną, że przesyłka z rękopisem zostałaby na czas nieoznaczony zatrzymana na granicy, gdybym ją był wysłał pocztą, musiałem szukać jakiejś drogi pewniejszej. Dzięki grzeczności pewnej ambasady, udało mi się przesłać manuskrypt przez Petersburg i tą drogą, z małem tylko opóźnieniem,

dostał się on do Warszawy. Tu zrobiono dwie kopie i przedstawiono tej dwojakiej cenzurze. Gdy już przeczytano moje prelekcye francuskie w tych obu instancyach, na kilka dni przed mojem przybyciem do Warszawy powstała nowa trudność. Kurator okręgu naukowego, ów znany Apuchtin, przed rokiem spoliczkowany przez pewnego studenta warszawskiego uniwersytetu, co w swoim czasie narobiło w Warszawie tyle rumoru, zażądał w ostatniej chwili, aby mu przedłożono wszystkie trzy odczyty raz jeszcze i to w rosyjskim przekładzie. Zarówno tłómaczenie, jak i nowa cenzura, wymagały, rozumie się, pewnego czasu. Ze zdumieniem jednak dowiedzieliśmy się, że z rękopisu nie wykreślono ani jednego wiersza, chociaż odczyty, jak się później pokazało, zawierały niejedną rzecz taką, która mogła poruszyć uczucia narodowe słuchaczy. Zwrócono mi przy tej okazyi uwagę, iż surowość cenzury łagodzi niekiedy niedbalstwo lub rycerskość jej urzędników; obecny w sali odczytowej cenzor nie zawsze dokładnie baczy na to, czy prelegent rzeczywiście wygłasza to samo, co było uprzednio przedłożone w rękopisie.

Okazuje się w tym wypadku, zarówno jak i w bardzo wielu innych, że w Rosyi zakaz lub nakaz, aby był skutecznym, wymaga jeszcze całego systemu innych rozporządzeń. Oto przykład, o ile zakaz drukowania czegokolwiek prowadzi do celu. W styczniu zmarł w Warszawie znany sędziwy poeta Odyniec, przyjaciel i towarzysz podróży Mickiewicza, osobistość politycznie neutralna, raczej do konserwatywnego obozu należąca. Ponieważ jednak nazwisko jego wiązało się tak ściśle ze wspomnieniami z po wstania r. 1830 i z epoką rozkwitu polskiej literatury, ponieważ, dalej, był on tak blizkim Mickiewi-

cza, zapamiętałego wroga rządu rosyjskiego, usiłowano za pomocą cenzury przeszkodzić wszelkiej demonstracyi przy pogrzebie. Zakazano zatem ogłaszać dzień pogrzebu, zarówno w gazetach, jak i kartkami pośmiertnemi na kościołach. Zakaz był, naturalnie, ściśle wykonany, ale pomimo to tłum pięćdziesięciotysięczny towarzyszył konduktowi pogrzebowemu.

Przy takiem postępowaniu wszelkie zakazy i cenzura mają charakter tylko bezcelowej szykany. I z prasą polską dzieje się tak samo. Zdarza się często, że cenzor pewnego dnia skreślił artykuł, a w kilka dni później pozwala go wydrukować. W taki sposób osiąga się tem tylko skutek, że pisma, źle widziane w komitecie cenzury, donoszą nieraz o bieżących wypadkach znacznie później, niż inne, rywalizujące z niemi dzienniki. Nierzadkie są również wypadki, że artykuł, skreślony przez cenzurę w jednem piśmie, *zostaje przepuszczony* w innem.

Ten sam charakter, co cenzura — bezcelowo uciążliwy, ma i system paszportowy. Bez paszportu, wizowanego u rosyjskiego konsula, nie może wogóle podróżny przekroczyć rosyjskiej granicy. Jak już pomniałem, paszportu żądają jeszcze w wagonie, stępnie przeglądają go w ciągu tego czasu, dopóki ma rewizya rzeczy i zwracają dopiero po ponownem ięciu miejsc w wagonach, bezpośrednio przed odejem pociągu. Przynosi je tutaj w osobnej teczce, żone w alfabetycznym porządku, jeden z żandarów pogranicznych. Zaraz po przybyciu na miejsce iego pobytu, żądają paszportu na nowo. Zostaje on żony w biurze policyjnem i tu się przechowuje ez cały czas pobytu podróżnego w danem mieście. zasem policya uzupełnia wiadomości o podróż- zawarte w paszporcie, wypytując jego służbę

o imiona jego rodziców, o to, czy jest on żonaty czy też stanu wolnego — osoby stanu wolnego s bardziej podejrzane — i o wiele innych równie ciekawych rzeczy. Tenże sam paszport, który się do piero w dzień wyjazdu odbiera napowrót, znowu na granicy ulega całogodzinnemu badaniu.

A jednak cała ta czujność ma jedną słabą stron która niweczy przezorność rządu rosyjskiego. Ni czyni bowiem policya nic prawie w celu skonstanto wania, czy osoba podróżująca jest tą samą, na którą wydany jest paszport. Oczywista rzecz, że niema sposobu stwierdzić, czy nazwisko, które turysta po daje, jest prawdziwe: paszporty przegląda się *en bloc*, i to w pokoju, w którym podróżnych niema, niepodobna zatem sprawdzić, czy rysopis podany w dokumencie zgadza się z wyglądem podróżnego. Ponieważ zaś w Niemczech, Austryi, Anglii lub Francyi łatwo jest w każdej chwili otrzymać paszport, a, pozostając samemu w domu, oddać go do użytku innej osobie, — więc i w tym wypadku zysk, jaki osiąga rząd rosyjski, jest żaden prawie w porównaniu z tymi wszystkimi kłopotami i szykanami rosyjskiego systemu paszportowego, że tu już nie wspomnę o tem, iż codziennie przemytnicy, których każdy na pograniczu zna, setki osób pieszo przeprowadzają przez granicę.

Miałem dość czasu do zastanawiania się nad temi sprawami, gdym, oczekując na pociąg, spacerował po brudnej poczekalni na stacyi Granica, pomiędzy zabawiającymi się trunkiem podróżnymi. Rozmyślania moje przerywały od czasu do czasu natarczywe nagabywania różnych indywiduów, proponujących mi koniecznie, bym zmienił austryackie pieniądze na ruble, albo informacye innych osobników, którzy chcieli mi wytłómaczyć, że urzędnicy mieli wobec mnie za-

pełną racyę: gdyż, choć książki moje były w języku duńskim, nie dawało to władzom żadnej gwarancyi co do ich treści. Któż może bowiem zaręczyć, że nie zawierały one np. »Sprawozdań o kongresie socyalistycznym w Kopenhadze?«

Nakoniec otrzymałem mój kufer z resztą rzeczy i, gdy nie było już nic, coby się nadawało do konfiskaty, z wyjątkiem chyba tego, co się mieściło w mej głowie, puściłem się w dalszą drogę i następnego ranka przybyłem do Warszawy.

II.

Warszawa jest miastem, liczącem ponad 400.000 mieszkańców. Leży ona, jak wiadomo, nad Wisłą, która ma tu szerokość Alssundu pod Sönderborgiem. W ostatnich latach rzucono przez nią potężny most, łączący Plac zamkowy z Pragą, przedmieściem, które się tak tragicznie zapisało w dziejach polskich. W swej zimowej sukience, pokryta siwą krą, zrobiła na mnie ta rzeka bardzo smutne wrażenie. Może przypisać to należy pięknej pieśni *Haucha* o Wiśle, która mi na ten widok przyszła na myśl.

Obszar miasta jest wielki, ale ta upadła wspaniałość i okropne wspomnienia, które jej mury ukrywają i o które przechodzień co krok się potyka czynią bolesne wrażenie. W zeszłem stuleciu było ono po Paryżu najświetniejszem miastem w Europie; — obecnie jest prowincyonalnem miastem rosyjskiem. Zbytkowne niegdyś i wspaniałe miasto stało się teraz zaniedbanem i upośledzonem. Z każdym dniem upada ono coraz bardziej, a dla jego zewnętrznego rozwoju i rozkwitu władze nic nie czynią. Serce się kraje na widok tych nędznie brukowanych ulic albo owych okropnych figur z piaskowca, zdobiących ogród Saski, zwłaszcza, gdy się przybywa z tak zbytkownego miasta, jak Wiedeń, albo np. z Berlina, rozkwitającego z tak szaloną szybkością.

Gdzieindziej stołeczne miasta są przedmiotem osobliwej, prawie ojcowskiej troskliwości ze strony panujących; gdzieindziej same miasta z miłości własnej troszczą się o piękno i komfort, aby mieć w oczach zarówno rodaków jak i cudzoziemców, jak najwięcej powabu. Tymczasem Warszawa to stolica kraju, którego istnienia rząd nie uznaje, to miasto, którego dumę chce na wszelki sposób złamać. Pamiętać należy, że Warszawa nie posiada samorządu, żadnej rady gminnej, ani nic podobnego. Królestwo Polskie to w ogólności kraj, w którym niemasz żadnych wyborów. Niema tu parlamentu, ani sejmu, ani żadnych autonomicznych instytucyi gminnych.

Tylko pewna część miejskich dochodów idzie na potrzeby miasta, reszta wędruje do Petersburga. Rosyjskie poczucie władzy dyktuje wszystkie rozporządzenia, a rosyjska chciwość je wykonywa. Stan dróg dokoła miasta zrozumiałym jest tylko dla tego, kto zna rosyjskich działaczy w Polsce i ich pogląd, że gdy na drogę przeznaczono, dajmy na to, 80.000 rubli, to połowa tej sumy powinna utonąć w kieszeniach urzędników. Mieszkańcom Warszawy nie pozostawiono zresztą żadnych złudzeń. Już 16. października 1835 r., gdy cesarz Mikołaj, po wielkiem powstaniu roku 1830—31, po raz pierwszy odwiedził Warszawę, oświadczył on deputacyi, która stawiła się, by go powitać, że cytadela, wybudowana pod miastem, nie ma służyć dla obrony grodu, ale przeciw niemu. Powiedział on Polakom wprost, co ich »oczekuje w razie, gdy nie porzucą swych »marzeń o własnej narodowości, o niepodległej Polsce i tym podobnych urojeniach« i zakończył następującemi słowami: »Kazałem zbudować tę cytadelę i oświadczam wam, że przy najlżejszem usiłowaniu buntu,

każę miasto całkowicie zbombardować, zburzę je, a bądźcie pewni, że przy mnie nie powstanie ono z gruzów«.

Od czasu nieszczęsnego powstania 1863 roku wogóle nic nie zrobiono dla czystości i dobra miasta, chociaż Warszawa z powodu braku kanalizacyi i lichych wodociągów jest jednem z najniezdrowszych miast w Europie. Grunt ulic jest tak sypki, iż bruk przedstawia urozmaicony widok dolin i pagórków. Ale od r. 1863 nie widać żadnego postępu pod tym względem: w ciągu całego tego popowstaniowego okresu nie postawiono, z wyjątkiem jednego tylko ratusza, na miejsce spalonego w czasie powstania, ani jednego publicznego budynku. Cała administracya, zarówno cywilna jak i wojskowa, mieści się w skonfiskowanych domach prywatnych lub też dawnych budynkach publicznych [1]).

Ząb czasu narusza wszystko, a nikt nie stara się szkody naprawić. Tyle popularny w Warszawie pomnik Kopernika dłuta Thorwaldsena pokryty jest błotem, ale nikt nie myśli o jego naprawie. Jest to jeden z najstarszych pomników w Warszawie, a wystawienie jego i odsłonięcie mogło przyjść do skutku 11. maja 1830 r. dzięki temu tylko, że znakomity pisarz polityczny polski Stanisław Staszyc (1755—1826), pierwszy wielki orędownik polskiej demokracyi, który cały swój majątek zapisał na cele publiczne, dołączył do składek na pomnik swój hojny dar w kwocie 70 tysięcy złp. Pomnik ks. Józefa Poniatowskiego, który Thorwaldsen w czasie swego pobytu w Warszawie, od września do października 1820 r., podjął się wykończyć i który przybył na miejsce

[1]) Po roku 1885 otrzymała Warszawa kanalizacyę.

dla odlewu w spiżu w r. 1829, został wprawdzie odsłonięty tego samego dnia, co Kopernik, ale po krwawem zgnieceniu powstania w roku 1831 zaraz go usunięto, a obecnie znajduje się on w Homlu, gub. Mohylewskiej, w pałacu księcia warszawskiego Paszkiewicza.

Dwa są tylko w Warszawie dobrze utrzymywane pomniki: pierwszy — to kolosalny pomnik Paszkiewicza na Krakowskiem Przedmieściu, głównej ulicy Warszawy, wystawiony przez wdzięcznego cara temu, co był »wierny, czynny i sprawny, jak knut w ręku kata« (Mickiewicz) i we wrześniu 1831 r., gdy ostatni bohaterscy obrońcy powstania sami wysadzili się w powietrze, zdobył szańce Warszawy i wziął miasto. Drugi — to wielki obelisk z żelaza z wypisanemi na wieczną pamiątkę nazwiskami Polaków, którzy w r. 1831 zdradzili ojczyznę i za to przez swych rodaków zostali powieszeni lub rozstrzelani. Na wspaniałej granitowej podstawie spoczywają cztery lwy metalowe. Dokoła u stóp obelisku błyszczą obrzydliwe heraldyczne orły dwugłowe nadnaturalnej wielkości. Napis nad nazwiskami po rosyjsku i polsku brzmi: P o l a k o m p o l e g ł y m z a w i e r n o ś ć s w e m u m o n a r s z e. Postawienie tego obelisku w Warszawie chybiło celu.

Ruch na ulicach jest niemały; na targach wre to samo życie, co wszędzie, gdzie się kupno i sprzedaż pod gołem niebem odbywa. Ale każdego cudzoziemca uderzyć musi okoliczność, że ilekroć spotyka on większą masę ludności, np. na spacerach niedzielnych po głównych ulicach, nigdzie nie widać u mieszkańców owego zadowolonego i wesołego świątecznego wyglądu, który cechuje ludność innych wielkich miast. Tu, przeciwnie, gdzie spojrzysz, oblicza są posępne

i frasunku jakiegoś pełne. Nigdy nie będziesz świadkiem żadnej wesołej sceny ulicznej ani żartobliwego wybryku.

Posiada za to Warszawa swą odrębną charakterystyczną fizyognomię. Pułki czerkiesów (złożone w rzeczywistości z kozaków i ormian w czerkieskim stroju), w wysokich baranich czapkach, z zakrzywionemi szablami u boku i kindżałami za pasem, mają swój osobliwy, południowo-malowniczy wygląd. Co chwila, wśród mało oryginalnych zaprzęgów polskich, napotyka się wiozący jakiegoś oficera ekwipaż, zaprzężony po rosyjsku, ze stangretem w długiej narodowej kapocie i niebieskim pasie.

Ale najbardziej uderza na ulicach warszawskich dwujęzyczność: wszystkie napisy (nawet nazwy ulic), wszystkie szyldy, wszystkie ogłoszenia są w dwóch językach; po lewej stronie jest napis polski, po prawej — rosyjski, albo u góry rosyjski, u dołu — polski. Jest to małe ogniwko w walce, którą prowadzi rząd w celu narzucenia narodowi polskiemu rosyjskiego języka. W ostatnich czasach zaczęły się nawet zabiegi, zdążające do wprowadzenia tego języka i do kościoła rzymsko-katolickiego. Arcybiskup wileński Hryniewiecki nie zgodził się wykonać rozporządzenia rządowego w tym duchu, więc go przed dwoma miesiącami wywieziono do Jarosławia; w kilka tygodni później zastępca jego Harasimowicz powędrował do Wołogdy.

Jedyne miejsce publiczne, w którem słowo polskie otwarcie rozlegać się może, to scena. Jeszcze nie zakazano polskich widowisk scenicznych, a ta okoliczność dała teatrowi w życiu duchowem Polski łatwo zrozumiałą, choć szkodliwą przewagę, tem w skutkach gorszą i mniej naturalną, że polska lite-

ratura dramatyczna jest dość ubogą. Przygnębiająco działać musi na każdego widok tego poważnie usposobionego i wysoce utalentowanego społeczeństwa, nadającego teatrowi taką wagę, na którą on u narodu bez wybitnego dramatycznego uzdolnienia bynajmniej nie zasługuje. Fakt jednak, że wiele najlepszych sił literackich rzuciło się do krytyki teatralnej, objaśnia się nieraz i tem, iż w tej formie, sądach i uwagach o ideach zawartych w utworach dramatycznych, można podać wiele takiego, coby przy innej sposobności i w innej formie wypowiedzieć się nie dało.

W chwili obecnej teatr warszawski znajduje się w upadku. Kieruje nim powszechnie nielubiany dworak, który rządzi po wojskowemu, bez najmniejszego zrozumienia potrzeb i zadań sztuki. W liczbie artystów znajdujemy tu wprawdzie jednego wybitnego komika, ale poza nim niema żadnych stałych sił pierwszorzędnych, ani też żadnej współczesnej szkoły dramaturgów, którzyby młodym adeptom sztuki scenicznej stawiali samorodne zadania. Repertoar składa się przeważnie z utworów francuskich, a i rodzaj gry w głównych zarysach jest francuski. W H e l e n i e M a r c z e l l o ma przecież obecny teatr warszawski powabną, acz nie bez maniery, przedstawicielkę głównych ról kobiecych, piękną i pełną ognia namiętności; ale jeszcze przed kilkoma laty posiadał on dwie wyborne artystki, które byłyby ozdobą i każdej innej wielkiej sceny.

Jedna z nich, p. P o p i e l - Ś w i ę c k a, którą widziałem grającą na cel dobroczynny w »I s k i e r c e« Pailleron'a, to sprytna, pełna subtelności i finezyi naiwna: drobna, okrągła figurka, ruchy młodociane i żywe, wyraz twarzy uśmiechnięty z dwoma

figlarnymi dołeczkami, łagodny i pełen dobroci. P. Święcka porzuciła scenę przed kilkoma laty na żądanie swego męża, obywatela ziemskiego (podobnego w tem do egoisty z Mussetowskiej *Bettiny*, ale publiczność warszawska korzysta z każdej sposobności, aby przeciw tej niewieściej uległości woli małżonka zaprotestować. Gdy w jednej z replik w Iskierce artystka powiedziała: »A więc znowu będę grała komedyę«, widzowie nie bez uprzedniego porozumienia między sobą, tak ją zarzucili kwiatami, że musiano przedstawienie na kilkanaście minut przerwać.

Druga — to jedna z największych artystek, jakie wydała Polska, p. Modrzejewska, znana pod tem nazwiskiem swego pierwszego męża. Używa ona sławy światowej i w ostatnich latach grywa przeważnie po angielsku, prawie tylko w Ameryce północnej, przyjeżdżając corocznie tylko na sześć tygodni do teatru warszawskiego. Polacy słusznie są z tej artystki dumni; jest to jedna z ich wielkości narodowych. Gdy w r. 1879 zamierzono złożyć hołd ogólno-narodowy Kraszewskiemu z powodu 50-cio letniego jubileuszu jego działalności pisarskiej, zaproszono też i Helenę Modrzejewską, aby przybyła do Krakowa i wzięła udział w uroczystem przedstawieniu na cześć płodnego pisarza. Powierzchowność tej artystki jest, zarówno jak i jej gra, w wysokim stylu, wspaniała. Jest ona olśniewająco piękna, liczy obecnie przeszło 40 lat, ale postawa jej jest zawsze jednakowo wysmukła i zgrabna, a oblicze, o rysach regularnych, wielkich ciemnych oczach, czystych, silnie zarysowanych liniach ust i uśmiechu wschodniej słodyczy, nigdy nie traci swego uroku. Byłem na kilku występach Modrze-

jewskiej: w Feuillet'a Dalili, Odecie Sardou i w Iskierce i nigdy nie widziałem większego artyzmu, zwłaszcza w owej scenie Odetty, gdy ostatnia podczas odwiedzin córki musi tłumić ogarniającą ją miłość macierzyńską. Jedną z najlepszych kreacyi Modrzejewskiej jest Nora; życzyłem sobie bardzo ujrzeć ją w tej roli a artystka nie mniejszą miała ochotę odegrania jej przed rodakiem Ibsena, aleśmy w projektach naszych zapomnieli o samowoli dyrekcyi teatrów, a ta dla czystej szykany cofnęła pozwolenie w ostatniej chwili.

Najchętniej jednak grywa p. Modrzejewska Szekspira a repertoar jej angielski składa się prawie wyłącznie z kreacyi szekspirowskich. Upodobanie w poezyi angielskiej i w ogólności szerokie swe wykształcenie estetyczne zawdzięcza ta artystka w znacznej mierze swemu mężowi, p. Karolowi Chłapowskiemu, wielkiemu znawcy sztuki. Rzecz naturalna, że talentowi tej miary za ciasno było na scenie polskiej, że szukać on musiał areny szerszej. Jest pewna obawa, że ruchliwe i koczujące życie artystyczne, które p. Modrzejewska prowadzi w latach ostatnich, wywołać może w jej grze przewagę efektów grubszych, mniej artystycznych.

Podczas gdy na scenie, jak wzmiankowaliśmy, rozlega się jeszcze słowo polskie, w uniwersytecie język polski jest bezwarunkowo zakazany. Wszystkie wykłady zarówno profesorów Polaków, jak i Rosyan, muszą się odbywać w języku rosyjskim. Nawet historyi literatury polskiej nie wolno wykładać w języku krajowym. Nakoniec i studentom zabroniono w gmachu uniwersyteckim między sobą mówić po polsku.

Daleko niebezpieczniejszym dla narodowości pol-

skiej jest przepis, na mocy którego wszelka nauka szkolna, nawet kilka godzin języka polskiego, odbywać się musi w języku rosyjskim. A zakaz rozmawiania po polsku w budynku szkolnym jest tak surowo przestrzegany, że niedawno ukarano dwudziestu czterema godzinami aresztu małego 12-letniego chłopca za to tylko, że na wychodnem ze szkoły, powiedział do kolegi po polsku: p ó j d z i e m y r a z e m. Rygor, któremu poddano szkoły z zamiarem wynarodowienia Polaków, nie ogranicza się tylko do sfery językowej. W jednej z rodzin, z którą zawarłem znajomość, zaszedł następujący wypadek. Jedyny syn pani domu, wdowy, szesnastoletni młodzieniec, w imieniu swych kolegów rzucił pewnego wieczora w teatrze wieniec Helenie Modrzejewskiej. W kilka dni później, na rozkaz ministra oświaty, wezwał go dyrektor szkoły do siebie i oświadczył, że nietylko ma tę szkołę opuścić, ale że do żadnej innej przyjęty nie będzie: była to kara za p o l s k ą d e m o n s t r a c y ę. Chłopiec udał się do domu i wystrzałem z rewolweru pozbawił się życia.

Zdziwi to może czytelnika, że jednak utrzymują się podobne przepisy, które przy pewnych okolicznościach zdolne są popchnąć niedorostków do samobójstwa, albo że zakazane są tak niewinne rzeczy, jak ofiarowanie komuś wieńca. Ale trzeba pamiętać, że w Warszawie jest z reguły zabronione wszystko, co zdradza miłość języka ojczystego. Nie wolno naprzykład, jakkolwiek się to dziwnem wydać może, oświecać i nauczać prostego ludu, gdyż nauka może być tylko w języku rosyjskim, którego nie zna lud prosty. Ciemnota jest wielka; zaledwie piąta część ludności umie czytać i pisać. Cudzoziemca, który choćby tylko kilka tygodni spędził w Warszawie,

musi to uderzyć. Nigdzie nie ujrzysz tu, naprzykład, dorożkarza, czytającego gazetę, jak to bywa po innych miastach; ba! po większej części stangreci nie znają nawet liczb. Podaje się im nazwę ulicy, każe jechać »na prawo« lub »na lewo« i daje znak, gdy powóz ma się zatrzymać. Na wsi musi panować ciemnota wprost nadzwyczajna. Pomimo to, przed niedawnym czasem, pewnej pani, która w majątku swym prywatnie uczyła kilkoro dzieci włościańskich, gubernator miejscowy kazał natychmiast naukę przerwać. Dygnitarz ten oświadczył przytem, że bardzo byłoby mu przykro, jako dawnemu znajomemu jej rodziców, gdyby z tego powodu wysłano ją bardzo daleko, co niechybnie nastąpi, gdy nie zaprzestanie ona tej nauki.

Ilekroć zamożni i patryotyczni obywatele prosili o pozwolenie urządzenia własnym kosztem polskich szkół wiejskich, zawsze spotykali się z odmową. Gdy niektórzy bogaci Polacy, rozpaczając nad nizkim stanem cywilizacyi u ludu, pogodzili się z myślą nauki w języku rosyjskim i uważając, iż jest ona bądź co bądź lepszą od żadnej, pootwierali szkoły rosyjskie, stały one pustkami, bo włościanie przekładają brak oświaty nad naukę w języku obcym.

Od czasu do czasu jednak, rząd przeciąga strunę w rusyfikacyjnych swych zapędach. Zdarzyło się to naprzykład, przed dziesięcioma mniej więcej laty, gdy wydano ukaz, aby wszystkie listy wewnątrz kraju, miały adresa w języku rosyjskim. Ilość listów znacznie się zmniejszyła, a gdy w tym samym stosunku spadły dochody poczty, musiano rzeczony ukaz puścić w niepamięć.

Obok usiłowań rządu w kierunku rusyfikowania za pomocą języka idą rozporządzenia, zmierzające ku

temu, aby własność ziemską skupić w ręku rosyjskiem. Gdy stłumiono ostatnie wielkie powstanie, pojawił się (10 grudnia 1865 r.) ukaz, zabraniający Polakom nabywania ziemi na Litwie, Podolu, Ukrainie i Wołyniu i przekazywania ją drogą testamentu komukolwiek, prócz legalnych spadkobierców. Ale od ostatniego powstania ustawy nie uznają Polaków, wszyscy poddani carscy są Rosyanami, a nawet Królestwo Polskie nosi oficyalny tytuł kraju przywiślańskiego. Sądzono zatem, że rząd w powyższych rozporządzeniach, dotyczących własności ziemskiej, pod Polakami rozumiał wyznawców kościoła rzymsko-katolickiego i że zakazy owe nie rozciągają się na inne osoby. Ale na zapytanie, kogo należy uważać za Polaka, nadeszła z Petersburga odpowiedź, że kwestyę tę rozstrzyga w każdym pojedynczym wypadku jenerał-gubernator — odpowiedź, która nie pozostawia żadnej nadziei.

Żaden cios nie był dla polskiej sprawy narodowej równie dotkliwym, jak ukaz powyższy, gdyż od czasów Jagiełły i Jadwigi (od r. 1386) serdeczne węzły łączyły Litwę z Polską i, pomimo różnicy językowej, kraj ten zawsze, aż do ostatnich czasów, czuł się czysto-polskim, a Mickiewicz, wołając z głębi serca:

> »Litwo, Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie:
> Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
> Kto cię stracił...«

wyrażał uczucia wielu najwybitniejszych mężów polskich, pochodzenia litewskiego.

Naturalnie, gdzie się dało, obchodzono ustawy, ziemię, której nie wolno było nabywać na własność,

trzymano dzierżawą, co wielce ułatwiała ta okoliczność, że dygnitarze rosyjscy, którzy od rządu otrzymali na Litwie rozległe obszary w nagrodę za usługi, temuż oddane, czuli się tu tak samotni i obcy, iż z radością pozbywali się tych swoich posiadłości zupełnie, a w każdym razie nie mieszkali w nich ani nie gospodarzyli. Obawa zatem, że Rosyanie stopniowo wykupią na Litwie wszystkie majątki ziemskie, wydawała się płonną. Ale oto przed kilkoma miesiącami, 27 grudnia 1884 roku, pojawił się nowy ukaz, który w najwyższym stopniu wzburzył całą Warszawę. Zakazuje on Polakom — kwestyę narodowości rozstrzyga gubernator — w tych właśnie częściach dawnej Polski, o których była nowa wyżej, dzierżawić majątki ziemskie oraz zarządzać nimi. Ukaz ten posiada przytem — wbrew wszelkim pojęciom prawnym ucywilizowanej Europy — moc wsteczną, a więc uznaje wszystkie przedtem zawarte umowy o dzierżawę lub administracyę dóbr, za nieważne.

W podobnym guście są i rozmaite inne rozporządzenia rządowe z ostatnich czasów, skierowane ku temu, aby oddziałać na duchowe życie Polski.

Prócz owej bezskutecznej cenzury, o której mowa była wyżej, jest i cenzura skuteczna. Tygodnik *Prawda*, najpostępowsze pismo polskie, organ pozytywistów warszawskich, zawiera w jednym numerze 3400 wierszy. Zdarzało się już wszakże, że zanim numer tego pisma ujrzał światło dzienne, cenzor skreślił w korekcie 700 wierszy. Cenzura zdaje się być tak kapryśną, iż żadne przewidywania i kombinacye redaktorów pism, nie mogą podobnym wypadkom zapobiedz. Redaktor *Prawdy*, znany literat Aleksander Świętochowski, pisze tak, jak gdyby nie

było żadnej cenzury i, jako redaktor, nie może swych artykułów umieszczać w żadnem innem piśmie.

Zdawaćby się mogło, że ów nadzór nad drukowanem słowem ma przynajmniej tę dobrą stronę, iż pisarze unikają w ten sposób kary. Skoro bowiem nie wolno wydrukować niczego, coby przedtem nie przeszło przez cenzurę, autor nie może popełnić żadnego przestępstwa prasowego. A jednak spotyka się młodych literatów, którzy kilkakrotnie już siadywali po więzieniach rosyjskich. Karano ich za przekonania, za to, co cenzura wykreśliła w ich rękopisach, albo, właściwie mówiąc, nie wiadomo, za co, bo więziono ich nie na mocy wyroku sądowego, ale w drodze rozporządzenia administracyjnego.

Rząd dla dopięcia swych celów, nie potrzebuje wcale ustaw, ma on bowiem w ręku środek o wiele skuteczniejszy: rozporządzenia w drodze administracyjnej, a droga ta prowadzi zwykle na S y b i r.

Wyrzekłem słowo, które unosi się w warszawskiem powietrzu, które, jak zmora straszna ciąży nad miastem, jak groźba, czatuje u drzwi każdego mieszkańca, którego ponure wspomnienie da się tu wyczytać w obliczu każdego mężczyzny i kobiety.

Pierwszą osobą, którą zaraz na początku mego pobytu w Warszawie prowadziłem do stołu, była pewna piękna i elegancka dama, z uśmiechem Mona Lisy na twarzy[1]), o dumnej i smukłej postawie; przepędziła ona trzy lata w kopalniach syberyjskich. A całą jej winę stanowiło to, że podczas powstania przewiozła jakiś list konspiracyjny.

Następnego wieczora w pewnym niezbyt obszernym salonie, widziałem razem przeszło 200 lat Sy-

[1]) Z portretu Leonarda da Vinci.

biru. Byli tu mężczyźni, którzy przepędzili na wygnaniu lata od r. 1863 do 1883, wliczając w to czas, potrzebny na pieszą podróż na miejsce przeznaczenia, co trwa krócej lub dłużej, stosownie do odległości tego ostatniego, ale zawsze wymaga tyle czasu, że czyni ową wędrówkę jedną z najcięższych dolegliwości wygnania. Od Kijowa do Tobolska idzie się rok cały: do kopalni nerczyńskich w gubernii zabajkalskiej — dwa lata. W jednym z salonów, prosił mnie pewnego wieczora jakiś młodzieniec, abym przemówił słów kilka do jego ojca, siedzącego w kącie pokoju. »To, powiedział, ów starzec o jednej nodze, którego pan tam widzisz. W powstaniu stracił nogę, został wysłany na Sybir i musiał całą drogę, która trwała dwie zimy i lato, odbyć pieszo o kuli.«

Rozumie się, że Warszawa, o ile się daje, stara się przyjść z pomocą powracającym z Syberyi; zazwyczaj ludzie to biedni, gdyż kara wygnania szła zawsze w parze z konfiskatą ich majątku ruchomego i nieruchomego. Z grona licznych jeszcze żyjących członków rządu narodowego z r. 1863 jeden jest księgarzem, inny urzędnikiem prywatnym i t. p.

Po powstaniu wysłano z całej Polski około 50.000 osób. Skazańców przeznaczano albo do ciężkich robót w warzelniach soli i kopalniach, albo też (po największej części) internowano w jakiejkolwiek wiosce tak odległej, aby uniemożliwić ucieczkę. Ale sfera ich zarobkowania miała tu zakres bardzo szczupły. Niektórym wolno było swobodnie się poruszać na pewnym znaczniejszym obszarze Syberyi, ale i tym zabroniono trudnić się np. nauczycielstwem. Prowadzono ich oddziałami po 300 osób, w otoczeniu kozaków i psów pasterskich. Na nocleg zatrzymywano się w t. zw. etapach, w wielkich szopach, gdzie ko-

biety i dzieci mieściły się na ławach wzdłuż ścian, a mężczyźni przepędzali noce gdzie i jak się dało. Liczą, że jeszcze około 1000 Polaków przebywa na Syberyi, a tak zwanych wodworenców, rekrutujących się z włościan i drobnej szlachty litewskiej, będzie tysięcy kilkanaście.

Niewiele krajów byłoby w stanie przeżyć taki duchowy upust krwi, jak zniosła Polska w ciągu ostatnich lat dwudziestu. Wystawmy sobie tylko, coby n. p. znaczyła dla takiego kraiku jak Dania dziesiękroć mniejsza utrata 5000, albo nawet sto razy mniejsza utrata 500 najwybitniejszych córi synów w drodze długoletniej deportacyi...

III.

Jakież tedy, zapytać należy, były u schyłku zeszłego stulecia właściwości tego narodu, nad którym zawisło jarzmo obcego panowania i który rozdarty na trzy części, z orłem cesarskim rozpostartym na każdej, jednak żyje i wedle możności stara się przekonać obojętną Europę o swej sile i zdolności życiowej?

Był to przedewszystkiem naród, który właśnie w epoce swego najświetniejszego odrodzenia padł ofiarą podstępu i chciwości obcych mocarstw.

Od końca XIV w. do schyłku XVI w. była Polska naczelnem mocarstwem Europy wschodniej. Granice jej ciągnęły się od Bałtyku do morza Czarnego, od Elby i Odry aż do Dniepru, a powierzchnia obejmowała 20.000 mil kw. Polska była wielką rzecząpospolitą z obieralnym królem, a raczej szlachecką demokracyą, gdyż szlachta była tak rozrodzoną, dostęp do niej tak łatwym, tak zazdrośnie broniła ona swej równości szlacheckiej wobec magnateryi, że ustrój Polski, pomimo, iż prawa obywatelskie służyły tylko szlachcie, miał jednak piętno czysto demokratyczne. W stosunkach parlamentarnych naczelną zasadą była nieograniczona wolność jednostki.

Słabą stroną tego organizmu państwowego była ta okoliczność, że szlachta, stan liczący do miliona głów wśród ogółu ludności od 8 do 13 milionów dusz, dzierżył rządy w swem ręku, a zdobywszy dla siebie równość i wolność, zastygł w martwym konserwatyzmie. Do połowy XVIII. w. społeczeństwo nie zrobiło pod tym względem ani kroku naprzód, gdyż szlachta uważała każdą reformę jako zamach na swe wolności i namiętnie broniła nietylko obieralności tronu, która wyrodziła się w prawdziwą licytacyę korony, na rzecz więcej ofiarującego, ale i słynnego *liberum veto*, t. j. prawa każdego posła do zrywania obrad sejmowych.

Dopiero w drugiej połowie XVIII. stulecia, gdy już było zapóźno, poczęły do Polski przenikać z Francyi idee reformacyjne, ale opanowały umysły zaledwie po pierwszym rozbiorze (1772 r.). Od tej chwili z namiętną bezwzględnością poddawano istniejący porządek rzeczy surowej krytyce, której rezultaty ujawniły się w pracach sejmu czteroletniego, oraz w uchwalonej na tym wielkim sejmie konstytucyi 3-go maja 1791 roku, będącej na owe czasy znakomitym aktem ustawodawczym. Znane są późniejsze wypadki i losy Polski: Konfederacya targowicka (1792), drugi podział Polski (1793) i Kościuszkowskie powstanie (1794 r.) z jego epilogiem — rzezią Pragi i zajęciem Warszawy. W r. 1795 nastąpił trzeci rozbiór i państwo polskie istnieć przestało.

Ale nie przestał istnieć polski naród, który miał wiele cnót bohaterskich, świetnych i rycerskich, choć bezużytecznych, ale znacznie mniej zalet mieszczańskich i w życiu przydatnych. Naród zapalny i niepraktyczny, szlachetny, żywy i lekkomyślny, naród, który czuje wstręt do wytężonej i długotrwałej pracy

i zawsze miał pociąg do wszelkich silnych i subtelnych rozkoszy, tak zmysłowych jak i duchowych, ale który przedewszystkiem kochał niepodległość do szaleństwa, wolność do *liberum veto* i który do dziś, po utracie niepodległości i wolności, pozostał wiernym tym swoim ideałom. Łatwowierni to i prostoduszni wojacy, zawsze gotowi, choćby kosztem życia dotrzymać słowa, na które nikt nawet nie rachował. Dowodem tego stosunek Polski do Napoleona, na którym po ostatnim rozbiorze, Polacy, rzecz oczywista, musieli budować swe nadzieje.

Polacy są żywego temperamentu, jak południowcy, ale napróżno szukałbyś u nich tego politycznego machiawelizmu, jakim celują mądrzy Włosi, którzy pozwolili w swoim czasie Francyi wyciągać dla siebie kasztany z ognia. Jest to naród, który w legionach Napoleona setki razy krew przelewał za cudze interesa, bo trzymano przed nim sztandar z białym orłem.

Tego rodzaju młodociany a nawet dziecinny entuzyazm nie jest z pewnością cechą dodatnią w wielkiej walce o byt, która się toczy pomiędzy ludami w obecnych czasach wielkiego przemysłu i militaryzmu. Zazwyczaj cechy te nie idą w parze z oszczędnością, przedsiębiorczością, karnością, umiarkowaniem i mieszczańską roztropnością, słowem z przymiotami, na których gruntuje się byt zarówno jednostek, jak państw.

W dawniejszych charakterystykach narodu polskiego często spotykamy się z sądem, że na rycerskość i osobistą odwagę Polaków można zawsze liczyć, ale że z wielkodusznością idzie u nich w parze pewna próżność, że z szlachetnością łączy się pewna lekkomyślność, że są oni uparci, skłonni do swa-

rów i kłótni, że własna ich wola, której jednakże zbywa na wytrwałości, jest dla nich najwyższem prawem. Powszechnem jest też mniemanie, że Polacy nie umieją gospodarzyć, że łatwo wpadają w kłopoty pieniężne, choćby nie wiem jakie mieli dochody, że przerzucają karty tysiąca książek, ale żadnej gruntownie nie przestudyują, że lubią się rozpraszać i marnują czas oraz swe talenta. Oskarżano ich także, iż zapalając się dla wielkich idei wolności, umieli równocześnie być tyranami dla swych chłopów, że będąc czułymi małżonkami, potrafią równocześnie obok ubóstwianej żony mieć jeszcze i miłostki postronne. Słowem upatrywano w charakterze polskim mieszaninę cech świata zachodniego i Wschodu.

W dawniejszym tym poglądzie było zapewne wiele słuszności i prawdy. Ciekawą jest teraz rzeczą zbadać, które z tych właściwości charakteru obce panowanie rozwinęło, które zaś zatarło.

Zamiłowanie w zewnętrznym blasku musiało, rozumie się, zejść na drugi plan, chociaż nie wymarło całkowicie. Przywiązanie do wszystkiego, czego symbolem głębokim w romansie Cherbuliez'a Ladislas Bolski jest czerwono-biała kita, leży w samej głębi natury polskiej. Czerwono-biała kita ojca, którą Władysław w futerale zawsze nosi przy sobie, symbolizuje właśnie zamiłowanie przepychu i świetności. A znamienną jest rzeczą, że u jednego z najpierwszych poetów polskich, u Juliusza Słowackiego, spotykamy następującą definicyę Boga:

»...nie jest On tylko robaków
»Bogiem, i tego stworzenia, co pełza.
»On lubi huczny lot olbrzymich ptaków,
»A rozhukanych koni on nie kiełza —
»On piórem z ognia jest dumnych szyszaków —«
(Beniowski, pieśń V.)

Porównajmy z tem wspaniały obraz Boga u proroka Hababuka! A jednak iście polska natura wyziera z tych wierszy. Żaden inny naród nie porównałby bóstwa z pióropuszem.

Zaznaczyć jednak trzeba, że przywiązanie do świecidełek, do zaszczytów i błyskotek z konieczności ustąpiło w czasach teraźniejszych miejsca głębszemu poczuciu honoru.

Byłem po raz pierwszy na balu w Warszawie w wielkiej sali ratuszowej. Przeszło 500 par tańczących, pomiędzy niemi kwiat warszawskiego towarzystwa, a z wyjątkiem trzech rosyjskich oficerów, ani jeden mężczyzna w orderze. Z dekoracyi i uniformów rezygnuje teraz każdy Polak już od urodzenia.

Opowiadano mi w Warszawie, że pewien biedny nauczyciel został zaszczycony orderem św. Stanisława, który chował zawsze w szufladzie, a używał go tylko dla postrachu, ilekroć dzieci były niegrzeczne. Gdy najmłodszy jego chłopak krzyczał, wówczas ojciec groził: »Będziesz krzyczał znowu, to ci przy. obiedzie zawieszę order św. Stanisława«. To skutkowało!

Arystokratyczne usposobienie jest zawsze cechą znamienną Polaków, choć uległo znacznej modyfikacyi. Polak nie ma wrodzonego popędu do cnót mieszczańskich; jego ideałem jest i pozostanie *grand seigneur*. Wstręt do liczenia i oszczędzania, do prowadzenia i zdawania rachunków jest powszechny. Wszędzie, gdzie na polu handlu i przemysłu stykają się Polacy z Niemcami i występują do walki, pierwsi ulegają. Wielcy fabrykanci w zaborze rosyjskim, którzy, dzięki nadzwyczajnym cłom protekcyjnym, bogacą się kosztem spożywców, to prawie bez wy-

jątku przybysze niemieccy z Austryi i Prus. Ba, w bieżącem stuleciu powstało i z iście amerykańską szybkością rozwinęło się całe miasto fabryczne (mówię tu o Łodzi), które w samem sercu Polski założyli i zamieszkali Niemcy. Polacy pozostali dotąd narodem arystokratycznym; mieszczaństwo, które stopniowo wcisnęło się między szlachtę i włościan, jest stosunkowo nieliczne i długo jeszcze w oczach tych wytwornie utalentowanych i wychowanych Polaków życie na modłę mieszczańską będzie życiem pędzonem pomiędzy jadłem a napitkiem, albo, jak powiada w Nieboskiej Komedyi Krasińskiego Hrabia: »snem fabrykanta Niemca przy żonie Niemce«.

Mimo to nie trzeba zapominać, że w gruncie rzeczy szlachta polska była czemś odmiennem od stanu szlacheckiego u innych narodów europejskich. Nie była ona nigdy zamkniętą kastą. Stefan Batory po zwycięskich wojnach z Moskwą nobilitował całe oddziały swego wojska; i w czasach późniejszych nobilitacye były bardzo częste, tak, że w rozmaitych częściach Polski znajdzie się obecnie nie mniej, niż 120.000 rodzin szlacheckich. Szlachta w Polsce odpowiada mniej więcej wyższym warstwom mieszczaństwa w zachodniej Europie. Należy również wiedzieć, że tytuły: książę, markiz i inne, nie są polskiego pochodzenia, że pojawiły się one dopiero za obcego panowania i dlatego nie mają w kraju powszechnego uznania. Hrabinę tytułują w Warszawie po francusku »*Madame*«, nie »*Comtesse*«. Nawet przy prezentowaniu w sferach arystokratycznych nigdy nie słyszałem, ażeby wymieniano tytuły — co przyjemnie działa na każdego, kto z Niemiec przybywa.

Stosunek między państwem a służbą ma jeszcze

piętno czysto azyatyckie. W ogólności służby bywa niemało. W każdym zamożniejszym domu jest n. p. szwajcar, który przez cały dzień siedzi przy drzwiach wchodowych na to tylko, aby otwierać gościom i tak już otwarte drzwi prowadzące na schody. Duńczyka niepodobna byłoby nakłonić do takiego wysiadywania całemi godzinami na krześle. Uderzyło mnie również przyzwyczajenie służby do późnego czuwania w nocy i oczekiwania na powrót państwa nawet w tych wypadkach, kiedy im pozwolono iść na spoczynek. W oczach mieszkańców północy taka pokora byłaby czemś wielce osobliwem. W Polsce służący całuje pana swego nie w rękę, a w ramię, a tak się przyzwyczajono do wyrażania w ten sposób wdzięczności i uszanowania, że nieraz miałem sposobność zauważyć, jak n. p. studenci całowali w ramię człowieka, któremu chcieli cześć okazać.

Bardziej rządnym nie stał się Polak pod obcem panowaniem, chyba w Poznańskiem, gdzie miał wciąż niemiecki przykład przed oczyma. Marnotrawstwo czasu jest zawsze wielkie. Ponieważ niema wolności stowarzyszania się i nawet 50 osób nie może się zgromadzić bez zezwolenia i nadzoru policyi, więc życie towarzyskie, które wszystkie luki na tem polu zapełnić musi, pochłania bardzo wiele czasu.

Gościnność jest bardzo wielka i pełna smaku. Jeden z rzadkich w ogólności przymiotów — takt, jest każdemu Polakowi wrodzony. Niechże mi na tem miejscu wolno będzie wyrazić wdzięczność za tę serdeczną gościnność, którą mi okazano zaraz po mem przybyciu do Warszawy. Powóz zawiózł mnie do obszernego pięknie umeblowanego mieszkania z rzadkimi obrazami i książkami; na drzwiach mieszkania przybitą była tabliczka z mem nazwiskiem, na biurku

leżały bilety wizytowe z moim warszawskim adresem, a dwaj służący, których w mieszkaniu zastałem, znali obce języki.

Gościnność jest jedną ze znamiennych cech polskiego narodu; wzrosła ona napewno, odkąd cudzoziemcy rzadziej Polskę nawiedzają, ale główna przyczyna współczesnego jej rozkwitu w tem tkwi oczywiście, że towarzyskie życie w zupełności zastąpiło tutaj życie publiczne.

IV.

Pod wielu względami Warszawa czyni wrażenie miasta prawie francuskiego. Język francuski jest jakby wtórym, pomocniczym językiem Polaków; w klasach wyższych wszyscy władają nim doskonale, chociaż spotkałem osoby, które w ciągu dwudziestoletniego pobytu na Syberyi nawpół zapomniały po francusku. W każdym razie uczą się tu języka tego również pilnie, jak ojczystego, a mówią nim lepiej nawet od Rosyan. W kołach arystokratycznych rozmowa często prowadzi się po francusku, co się tłumaczy nie tylko stałem obcowaniem z Francuzami od początku bieżącego stulecia oraz ciągłą emigracyą do Francyi, ale i potrzebą odnalezienia pod względem językowym jakiegoś neutralnego gruntu w stosunkach z Rosyanami. Ponieważ przytem Polaków często nazywają Francuzami północy lub wschodu, ponieważ im samym zdaje się, iż pod względem wad, t. j. lekkomyślności oraz niestateczności, są istotnie pokrewni Francuzom, przeto zadają oni zawsze każdemu cudzoziemcowi jedno i to samo pytanie, mianowicie: Czy nie znajduje on wielkiego i smutnego podobieństwa między Polakami a Francuzami?

Wielkie owo podobieństwo to czyste urojenie.

Nieliczne rysy podobne, które znajdujemy tak

u Polaków, jak i u Francuzów polegają na łatwości, z jaką jedni i drudzy prędko się zapalają do czegoś i również prędko doznają rozczarowania w pogoni za silnemi wrażeniami i miłości blasku i sławy.

Ale te punkty styczne nie wykluczają zasadniczych różnic. Racyonalizmu, skłonności do rezonowania, będących jednym z zasadniczych rysów charakteru francuskiego, Polakom brak całkowicie. Niema tu również zupełnie owego arytmetyczno-algebraicznego sposobu myślenia, którym celują Francuzi. Francuz jest — w szlachetnem tego słowa znaczeniu — wielkim prozaikiem, Polak — poetą, to też bogactwo francuskiej literatury polega głównie na prozie, podczas gdy polska jest przeważnie poetycką, wierszowaną. A owo ciągłe i doskonałe używanie obcych języków, oraz godna uwagi znajomość obcej kultury, z czem spotykamy się w Polsce na każdym kroku, wszak to już rys wcale nie francuski! W Polsce, ale z pewnością nie we Francyi, łatwo napotkać dwudziestoletnie dziewczęta, mówiące doskonale i bez żadnego obcego akcentu sześcioma językami. Prawie każdy młody mężczyzna i każda kobieta z wyższych stanów zna ważniejsze miasta Europy i w dość obszernym zakresie literaturę najwybitniejszych narodów. Zarówno namiętność podróżowania, jak i płynąca stąd wielostronność wykształcenia, to rysy w wysokim stopniu nie francuskie. Polak rozszerza swój widnokrąg umysłowy, ale zmniejsza zarazem swoją siłę mózgową, ucząc się czterech lub pięciu obcych języków, Francuz jest z reguły albo nieukiem, albo specyalistą.

Ale z największą pewnością istnieje bardzo zasadnicza różnica w stosunku obu płci. Jedną z istotnych cech polskiego charakteru narodowego stanowi pewne

połączenie słodyczy z energią. W bieżącem zaś stuleciu polskiemu charakterowi narodowemu, a osobliwie ich miłości ojczyzny, nadaje szczególne piętno przewaga pierwiastku niewieściego nad męskim.

Że stosunek między mężczyzną a kobietą jest w Polsce i Francyi zgoła odmienny, to zauważyć łatwo już w codziennem obcowaniu. Gdy mowa o kobietach, Francuzi zaraz wpadają w ton bardzo swobodny, nawet rozpustny, a dla cudzoziemca niekiedy wstrętny. Polacy w rozmowach o niewiastach okazują zazwyczaj wiele ciepła, tkliwości i wyrozumiałości, a rzadko tylko, o ile mogłem zauważyć, uderzy cię tu nuta swawolna.

U jednego z włoskich pisarzy spotkałem się ze spostrzeżeniem, które, być może, sięga w głąb tej właśnie wyżej zaznaczonej różnicy. Sądzi on, że podczas gdy u ludów germańskich mężczyzna z reguły jest bardziej uzdolniony od kobiety, a u ludów romańskich obie płci pod względem duchowym stoją przeciętnie na jednym i tym samym poziomie, u Polaków, tego najbardziej słowiańskiego narodu, kobieta stanowczo stoi wyżej od mężczyzny. Uwaga to godna zastanowienia, naturalnie, o ile niema mowy o duchu wynalazczym i twórczym. Mężczyźnie-Polakowi nie zbywa zapewne na zapale, męstwie i energii, ale zdaje się, że kobiety posiadają te zalety w stopniu wyższym. W czasach wielkich powstań polskich brały one udział w spiskach, uczestniczyły w wyprawach wojennych, niejednokrotnie z własnej woli szły za swym wybranym na Sybir. Mickiewiczowska Grażyna, konno prowadząca swój hufiec, znalazła w tem stuleciu naśladowczynie, a szczególnej zażywa sławy Emilia Plater. Z arystokratycznej pochodząc rodziny, oddała się ona całą duszą sprawie narodowej

i rozniosła w r. 1830 po całej jednej prowincyi dawnej Polskie zarzewie powstania, uczestniczyła w wielu bitwach i przyłączywszy się w końcu do tych oddziałów, które pod jenerałem Dembińskim, nie chcąc szukać ucieczki na ziemi niemieckiej, usiłowały przedrzeć się przez szeregi nieprzyjacielskie, w grudniu 1831 r., licząc 26 lat, zmarła w samotnym domku jakiegoś leśnika z wycieńczenia i trudów wojennych. Mickiewicz uczcił jej pamięć w pięknym wierszu p. t. »Śmierć pułkownika«. Podczas powstania 1830—31 r. nie było ani jednego batalionu ani szwadronu w polskiem wojsku, któryby nie liczył w swych szeregach niewiast-żołnierzy. Na biwakach po bitwie lub marszu, żołnierze starali się zawsze o wygody tych swoich towarzyszek i bacznie się pilnowali, aby w ich obecności nie padło ani jedno słowo, któreby mogło skromność niewieścią obrazić [1]).

Czasy takich czynów już minęły, ale kobiety wciąż jeszcze nie przestają być najzagorzalszemi patryotkami, najgoręcej bowiem odczuwają i najmniej krytykują. Przyznać jednak trzeba, że w ciągu ostatnich lat dwudziestu wpływ niewieści nieco osłabł. Niegdyś miały kobiety wielkie znaczenie, jako główne podpory katolickiego kościoła, ale i w Polsce wiara słabnie, o ile nie znika w zupełności. Wpływ kobiet podobnym był dawniej do wpływu księży, ale związek między kobie-

[1]) W dziele swem o Polsce pisze jenerał Roman Sołtyk, co następuje: Gdy zaatakowano Warszawę, dostrzegłem jak pewien żołnierz z piątego lekkiego pułku, stojąc w ogniu i oparty o parapet wału, nietylko nie zwracał uwagi na pękające dokoła niego granaty i kule armatnie, ale jeszcze ruchem rąk i okrzykami dodawał odwagi swym towarzyszom. Ponieważ stał on w pierwszym szeregu, nie mogłem zrazu widzieć jego twarzy, dopiero gdy się odwrócił, spostrzegłem, że to było piękne ośmnastoletnie dziewczę.

tami a duchowieństwem rozluźnia się w miarę tego, jak rozchodzą się drogi oświaty i kościoła. A przytem życie publiczne jest stłumione i niemasz tu ani zgromadzeń ani stowarzyszeń, nic więc dziwnego, że w towarzyskiem życiu mężczyźni szukają męskiego towarzystwa. Ponieważ salon zastąpił zebrania polityczne i literackie, mężczyźni coraz mniej myślą o tem, aby kobiety tutaj dla swych interesów i dążeń pozyskać. Kobiety zostały upośledzone i opuszczone, prawie jak w południowych Niemczech, gdzie mąż wieczory przepędza w piwiarni, choć tutaj to opuszczenie ma inne powody. Ucisk, rozumie się, także wiele się przyczynił do wywołania tego rozłamu między płciami i do obniżenia społecznego wpływu kobiety, który obecnie jest w Polsce mniejszy, niż we Francyi. Wychowanie dziewcząt prowadzone jest zresztą w obu krajach na jednakową modłę. Nie pozostawia się ich ani na chwilę bez opieki, małżeństwa układa się na sposób francuski, t. j. młodzi rzadko przed ślubem znają się bliżej i po większej części kilkotygodniowa znajomość uważa się w tym wypadku za wystarczającą.

Polska niestateczność również w niczem nie jest podobną do francuskiej. Francuz objawia ją przedewszystkiem w życiu publicznem, tam, gdzie występuje masowo, na zgromadzeniach ludowych i jako naród, a polega ona na raptownych zmianach nastroju tłumu, za które, rozumie się, nikt indywidualnie nie jest odpowiedzialnym. U Polaków niestateczność jest natury osobistej i ma swe źródło po części w skłonności do odmiany, po części zaś w instynktownem usposobieniu do wszechstronności.

We Francyi naczelną zasadą życiową jest dobrze zrozumiany, mądry i niekiedy subtelny egoizm, dzie-

dzicznie przekazywany z pokolenia na pokolenie. Ta nauka, wpajana od wczesnej młodości, staje się dla większości Francuzów w życiu drogowskazem. Wychowawcy francuscy nie dążą do tego, aby, wzorem Anglików lub Amerykanów, zrobić z młodzieńca nadewszystko dzielnego człowieka, któryby umiał w życiu sam sobie dać radę. Tu przedewszystkiem starają się o to, aby dziecku wyrównać drogę, po której ono kroczyć będzie, zyskać dlań protekcyę, konneksye, opiekę i zapewnić mu w ten sposób przyszłość i promocyę. A wstąpiwszy raz na tę gładką drogę, młodzieniec niechętnie porzuca karyerę, zanim nie osiągnie najwyższych zaszczytów.

Zupełnie inaczej przedstawiają się stosunki w Polsce. Tu w życiu prywatnem młodzieńcem kieruje raczej przelotny instynkt, aniżeli roztropny egoizm a sprawa publiczna (utracona ojczyzna, niepodległość, język ojczysty, narodowa literatura i sztuka) zawsze i bezwzględnie góruje ponad wszystkiem.

Rzecz to niewątpliwa, że obce panowanie w tej wzniosłej sferze interesów publicznych zupełnie w Polakach niestateczność wykorzeniło, ale, natomiast, przyczyniło się ono w najwyższym stopniu do rozwoju tego samego rysu charakteru w życiu prywatnem.

Bo i cóż ma robić w zaborze rosyjskim człowiek młody i utalentowany? Dajmy na to, że studyuje prawo. Nie zostanie on nigdy sędzią, ani w ogólności żadnym urzędnikiem, jeżeli nie chce w zupełności zerwać stosunków ze swymi rodakami. Przypuśćmy, że studyuje medycynę. Nie uzyska on nigdy katedry uniwersyteckiej, nie zostanie nigdy starszym lekarzem w szpitalu albo klinice publicznej, a zatem nigdy nie zajmie w nauce lekarskiej naczelnego stanowiska.

Jeżeli zatem nasz młody Polak posiada majątek — a w Polsce jest jeszcze wiele zamożności, bo zdobywanie majątku to chyba jedyna rzecz dozwolona Polakom — to zmienia on stopniowo przedmiot swoich studyów, zaznajamiając się z najrozmaitszemi gałęziami wiedzy, imponuje obcym różnostronnością swej nauki i swych wiadomości, ale w rzeczy samej nie posiada żadnego fachu.

W kole najbliższych moich znajomych napotkałem następujące przykłady: Pewien młody człowiek, bardzo zdolny, zaczął swe studya od prawa, następnie przerzucił się na medycynę, został lekarzem, ale zawód ten porzucił, nabył majątek ziemski, przez cztery lata studyował rolnictwo, mechanikę i t. p., wprowadził w swym majątku różne melioracye, wkrótce potem go sprzedał i jest w chwili obecnej najlepszym krytykiem teatralnym w Warszawie. Inny zaczął swą karyerę jako gospodarz na wsi, porzucił rolnictwo dla muzyki, został wirtuozem. nie wytrwawszy na tej drodze długo, założył fabrykę instrumentów muzycznych, przez długie lata wyrabiał specyalnie wiolonczele, ale straciwszy gust do tego zawodu, wyjechał do monachijskiej Akademii sztuk pięknych, gdzie kształci się w rodzajowem malarstwie.

Polacy mają zbyt wiele różnostronnych zdolności i zbyt mało zachęty do wytrwałości.

Kobiety gorzko się na to uskarżają. Jako dobre żony, starają się one dzielić upodobania swych mężów, usiłują obeznać się z tem, co ich interesuje i wpadają w rozpacz, gdy co drugi, trzeci rok muszą zajmować się czemś zupełnie odrębnem. Z trwogą myślą o tem, co przyniesie rok przyszły.

Byłem pewnego wieczora w teatrze warszawskim na przedstawieniu Dalili Feuilleťa, a gdy jeden

z aktorów niezbyt szczęśliwie grał rolę Carnioli'ego, nie mogłem powstrzymać okrzyku zdziwienia, że nie znalazł on w Warszawie, gdzie jest tylu ludzi z gatunku Carnioli'ch. żadnego wzoru tego genialnego dyletanta, który wychowuje młodego kompozytora. Najdoskonalszy wzór miałem za kulisami. Gdy mnie tego samego wieczora w pewnem liczniejszem towarzystwie zapytano, jakbym, jako krytyk, scharakteryzował społeczeństwo polskie, odrzekłem: Jesteście społeczeństwem d y l e t a n t ó w.

Zdaje mi się, że to określenie jest trafnem, naturalnie, jeżeli się terminu tego użyje w szlachetnem jego znaczeniu i zważy, jaką drogą do stanu takiego Polacy doszli.

Wystawmy sobie naród z natury bardzo energiczny, którego energii stawią nieprzebyte zapory; naród wojowniczy, który ze wstrętem wstępuje do wojska i którego synom nie wolno sięgać po godność oficerską; naród wysoce ambitny, dla którego zamknięty jest dostęp do wszelkich zaszczytów i dostojeństw, o ile się ich nie zdobywa kosztem swych przekonań i zerwania solidarności ze swymi rodakami. Wyobraźmy sobie naród, który nigdy filisterskich skłonności nie posiadał, ale musiał zdobywać cnoty mieszczańskie, a w którego charakterze stosunki obecne szczególnie kształcą brak stateczności; naród, który posiadał żywy, choć niestały, popęd do polityki, a któremu odebrano wszelką możność politycznego wykształcenia, gdyż nie wybiera on swych reprezentantów, ani też nie wolno mu spraw publicznych rozstrząsać, a jego prasa w kwestyach politycznych ma zatkane usta i właściwie mówić o prasie politycznej w Polsce byłoby również śmiesznie, jak np. o specyalnie marynarskiej gazecie w Szwaj-

caryi. Otóż wystawmy sobie żywo ów naród, rwący się wszystkiemi siłami swej duszy do szerokiego i swobodnego życia publicznego, do otwartej i jawnej działalności, a skazany na półtony życia prywatnego; wystawmy sobie ten naród, który od czasów Arilda miał jak najprzesadniejsze pojęcie o prawach jednostki wobec państwa, a teraz zmuszony jest wieść żywot bynajmniej nie zabezpieczony od samowoli pierwszego lepszego wyższego urzędnika, z ciągłem widmem Syberyi, niby choroby, która może zaskoczyć człowieka właśnie w chwili, gdy jej najmniej oczekuje!

Teraz zrozumiemy łatwo, że ucisk wszechstronny, któremu podlega Polska, musiał skoncentrować życie jej synów na pewnem ograniczonem polu i że tu wre ono z niezwykłem natężeniem.

O ile lud prosty nie miał żadnego dostępu do nauki i oświaty, o tyle stany wyższe, nieodświeżane dostatecznie napływem z warstw niższych, wyodrębniły się od reszty społeczeństwa swą wysoką i wysubtelnioną kulturą, prowadząc życie, którego tętno jest wprawdzie rdzennie polskie, a formy zewnętrzne mają pokost kosmopolityczny, życie cieplarniane, w którem pełno woni najwykwintniejszych kwiatów europejskiej cywilizacyi, życie wrące, w którego odmęcie wirują idee, dążenia, rozrywki i zabawy. Lepsze towarzystwo w lutym rzadko kiedy przed czwartą z rana udaje się na spoczynek. W karnawale dzień ma w Warszawie dwadzieścia godzin i póki trwa sezon, marnotrawi się czas i siły.

Życie w Warszawie to n e w r o z a, powiedział mi jeden z najrozumniejszych jej mieszkańców, nikt w niem długo nie wytrzyma.

Ten sam naród, który odkrył taniec planet dokoła słońca, wymyślił, jak wiadomo, dumnego i uro-

czystego poloneza oraz mazura z jego kontrastem męskiej siły i niewieściej słodyczy, a tańce te dają mu niemniejszy od Kopernika tytuł do sławy. Mazur polski, niepodobny do tańca, który u nas nazwę tę nosi, to długi, trudny i pełen namiętności taniec narodowy, w którym mężczyźni i kobiety wprawdzie tańczą parami, ale w takt jednej i tej samej muzyki wykonywają rozmaite pas. Prawdziwe to dla Polaków zmartwienie, że rząd rosyjski zabronił tańczyć mazura w strojach narodowych, a jedno z pierwszych pytań, stawianych cudzoziemcowi w Warszawie, brzmi: »Czyś pan widział nasz taniec narodowy?« W każdym innym kraju byłoby to zapytanie z pewnością trzydzieste lub czterdzieste z rzędu.

Tańczy się tu przez cały karnawał tak ogniście, jak bodaj nigdzie indziej. Nigdzie też niemasz zapewne tylu balów na cele dobroczynne. Tańczy się więc na wszystko: »na biedne szwaczki«, »na niezamożnych studentów«, itp. Trudno mi zaprzeczyć, że niekiedy, gdym patrzył na tańczących — a zdarzało się, że jednej i tej samej nocy bywałem na dwu balach z rzędu — przychodziło mi na myśl przykre wspomnienie: *Sluns saltans!* »Ale cóżby to pomogło, gdyby w Warszawie przestano tańczyć?« — musiałem sobie powtórzyć za ową panienką, która te znamienne słowa wyrzekła po przeczytaniu jakiegoś moralizującego artykułu w warszawskiej »Prawdzie«.

Wesołość, która tu porywa wszystkich, to nie objaw zwykłej radości życia. Nastrojem swym przypomina ona raczej owych więźniów z czasów rewolucyi francuskiej, oddających się wyuzdanej zabawie w niepewności tego, co przyniesie dzień jutrzejszy. To nie zwykła lekkomyślność ani pustota, to jakaś niefraso-

bliwa swoboda tych, którym codziennie cierpienie i śmierć w oczy zaglądają.

Są tu zato w pewnych okolicznościach chwile takiej powagi, jakiej nie spotkasz w innych krajach. Gdy na bankiecie, cichaczem urządzonym dla mnie przez reprezentantów literatury i sztuki, wśród szeregu mów wygłoszonych po francusku i łacinie, w dawniejszym odświętnym języku Polaków, jeden z mowców wyrzekł słów kilka, szczególnie wzruszających, naraz we wszystkich oczach stanęły łzy, a posiwiali starcy, którzy wiele lat spędzili na Syberyi i setki razy śmierci patrzyli w oczy, skoczyli ze swych miejsc i ze zroszoną łzami twarzą rzucili się na szyję mowcy. Zdaje się więc, że obecne panowanie w jednakowym stopniu spotęgowało wrażliwość na towarzyskie rozrywki i na poważne zadania życia. Zdolność odczuwania rozkoszy i bolu, skłonność do śmiechu i łez zdaje się być spotęgowaną u Polaka, jak u chorego,

Nie dość na tem. W tej samej mierze, w jakiej Polacy z upojeniem oddają się wrażeniom chwili obecnej, są oni również narodem pełnym wspomnień. Nigdzie nie znajdziesz takiej, jak tu, religii pamiątek, takiej bogatej skarbnicy wspomnień. Naród ten chwyta się wszystkiego, co mu jego przeszłość przypominać może. Wprawdzie wszystkie dzieła sztuki i skarby narodowe wywieziono z Warszawy do Petersburga, zrabowano nawet wielką bibliotekę Załuskich o 300.000 tomach, ale tem uporczywiej trzyma się ludność pozostałych narodowych pamiątek. A dzielnie podtrzymuje ją w tem dążeniu kierunek polskiego dziejopisarstwa i poezyi, które, zarówno jak malarstwo, poszły w bieżącem stuleciu całkowicie w służbę idei narodowej. Malarze, jak Matejko i Brandt,

obaj doskonali koloryści, — choć trudno u nich o kompozycyę prostą i przejrzystą — wybierają prawie zawsze temata z historyi narodowej. Poeci zajmują się Polską i jej losami nawet wówczas, gdy akcyę przenoszą do starożytnego Rzymu, jak Krasiński w Irydyonie, lub do fantastycznej Syberyi, jak w Anhellim Słowacki. Poezya ma w domu polskim to samo znaczenie, co religia. Czytanie jej arcydzieł było i jest jeszcze zakazanem. Zarówno kupowanie, jak i posiadanie tych utworów było połączone z niebezpieczeństwem. Zazwyczaj po przeczytaniu dzieła tak uważnem, że myśli w niem zawarte pozostawały w pamięci, nawet wówczas, gdy słowa z niej ulatywały, palono książkę, z tą samą boleścią, z jaką zamężna kobieta pali list swego kochanka. Wszak pamięta się w Polsce, że młodego Lévitoux za znaleziony u niego egzemplarz Dziadów zamknięto w warszawskiej cytadeli, że więzień, doprowadzony torturą do rozpaczy i w obawie, aby nie wydać w gorączce swych towarzyszy, skrępowanemi rękoma podstawił pod łóżko lampę i spalił się żywcem; wszak pamięta się tu dobrze o tem, jak wysłano na Sybir studentów za to, że wydali w odbitce Krasińskiego »Pokusę«..., choć utwór ten, niezrozumiany przez cenzora, drukowany był w felietonie pewnego pisemka.

Dziś znajdziemy w każdym domu polskim dzieła narodowych pisarzy, a wprawdzie muzeum narodowe dla bezpieczeństwa urządzono w Rapperswylu w Szwajcaryi, to jednak u każdego prawie mieszkańca Warszawy znajdziesz album z Grottgera męczeńską historyą Polski, zakazaną litograficzną kopią »Pochodu na Sybir« tegoż artysty i obrazy, przedstawiające sceny z obrony Warszawy w r. 1831, oraz

ostatni pułk polski, który wraz z »Redutą Ordona« wyleciał w powietrze. Ze wzruszeniem i tkliwością spoglądają Polacy nietylko na twarze żołnierzy, ale i na ich staromodne i czyniące obecnie komiczne już wrażenie uniformy. Wszak to ostatnie już polskie ubiory wojskowe!

Z tem, przez ucisk aż do chorobliwości czujnem poczuciem narodowem idzie w parze głęboka nienawiść do każdego obcego pisarza, który przygodnie czy też systematycznie Polaków obrażał. Nie biorą Polacy za złe Heinemu jego żartobliwego wiersza *(Zwei Ritter)* o dwóch tęgich szlachcicach: Krapulińskim i Waschlapskim; owszem śmieją się z jego dowcipu i umieją wiersz ten na pamięć. Bo też dobrze wiedzą Polacy, z jakiem ciepłem uczuciem często mówi Heine o Polsce. Ale pamiętają tu gruntownie Freytag'a *Soll und haben;* nie zapominają jakiejś przelotnej uwagi Dumas'a syna o wszędobylskich Polakach, uczestnikach Komuny, a w lutym prawdziwy panował rozruch z powodu hasła *Ausrotten*, rzuconego przez Edwarda Hartmann'a w jakimś artykule niemieckiego tygodnika i dotyczącego Polaków w zaborze pruskim, artykule, który z pewnością brano tu nazbyt seryo. Polacy są w ogólności zanadto czujni i uważni na to, co się w Europie o nich pisze. Ale wszak niemocy zawsze towarzyszy podobna wrażliwość na obce sądy.

V.

Obce panowanie miało dla Polski ten skutek stanowczo dobroczynny, że stopiło i zlało w jedną całość wszystkie pierwiastki polskie.

Wszelkie prowincyonalne różnice między częściami porozbiorowej Polski zatarły się. Nastąpiła zupełna jedność duchowa i narodowa w całej Polsce bez względu na kordony graniczne państw rozbiorowych.

Wszystkie części dawnej Polski czują się jako jedna całość narodowa. Polacy wszystkich zaborów są jednym jednolitym narodem.

W naszych czasach Polska pod zaborem austryackim stała się środowiskiem rozwoju narodowego, około którego inne części Polski duchowo się grupują. Tutaj jest jedyny polski Sejm, tutaj dwa uniwersytety polskie, tu miasta nawskróś polskie, tu drukują się książki, które rząd rosyjski cenzurą zabrania.

W jedności narodowej spłynęły nietylko odrębności prowincyonalne, ale i różnice wyznaniowe.

Polska była niegdyś krajem wyłącznie rzymsko-katolickim. Obecnie mieszane małżeństwa nie są w Warszawie rzadkością. Z dwu domów, które najbliżej poznałem, w jednym mąż był protestantem, a żona katoliczką, w drugim rzecz się miała odwro-

tnie, ale dodać tu muszę, że ani w jednem małżeństwie, ani w drugiem, kwestya wyznaniowa nie odgrywała wielkiej roli.

Żydów jest w Polsce wiele, bo państwo polskie dało im gościnę, gdy cała Europa prześladowała ten naród. Nie przyjęła się tu jednak owa specyalna forma niemieckiej nienawiści, którą ochrzczono przesadną nazwą antysemityzmu. Rozumie się, że i tu istnieje ów od tysiąca już lat datujący się wzajemny wstręt do siebie żydów i Rosyan. Włościanin nie utrzymuje z żydem stosunków towarzyskich. Stosunkowo późno równouprawniono tu żydów z resztą obywateli. A jednak już w r. 1794, gdy zrozpaczona Warszawa chwyciła za broń przeciw Rosyanom, wzięli i oni udział w narodowej obronie. Pod sztandarem Kościuszki walczył oddział żydowskich ochotników, pod wodzą pułkownika Berka, który poległ w r. 1809 w kampanii przeciw Austryi. Pełen przesądów i niezdecydowany Rząd narodowy z r. 1830, który bał się ruchawki chłopskiej i stosunków z powstańcami na Litwie, Podolu, Ukrainie i Wołyniu, odmówił również prośbie żydów, pragnących, zamiast podatku płaconego dotychczas, służyć w wojsku polskiem. Gdy powstanie stłumiono, Mikołaj ukarał żydów za tę prośbę, wcielając ich do armii rosyjskiej. Nie poprzestał on jednak i na tem. Ponieważ żydzi prosili także Rząd narodowy, aby im pozwolił kształcić się w polskich zakładach naukowych, car oświadczył, iż na przyszłość sam o ich wykształcenie troszczyć się będzie. Rozkazał on za jednym zamachem 36.000 rodzinom żydowskim opuścić granice Polski »aby, jak mówił, uniemożliwić im przemytnictwo« i przesiedlił je do południowo-rosyjskich stepów, gdzie utworzył kolonie rolnicze. Wykonanie tego ukazu powierzono

kozakom. Wszystkie sprzęty przesiedleńców wyrzucono na ulice. Starcy, kobiety, drobne dzieci — wszyscy musieli, pomimo trudów i głodu, puścić się w tę daleką drogę. Choć w podróży żona umarła ze zmęczenia, mąż musiał mimo to iść dalej. A na nowem miejscu pobytu czekała wygnańców najsroższa kara: odebrano im dzieci. W r. 1842 porwano im w iście barbarzyński sposób wszystkich chłopców od szóstego roku życia i wysłano pod eskortą kozaków do Archangielska, aby ich tam kształcić na marynarzy. Biedactwo to oczywiście ginęło w drodze, jak muchy.

Wspólne nieszczęście zadzierzgnęło węzły sympatyi między żydami i ich chrześcijańskimi współobywatelami. I Polacy bowiem wycierpieć musieli podobny rabunek dzieci. W rozkazie ks. Paszkiewicza z d. 24. marca 1832 r. czytamy, co następuje: »Jego cesarska Mość rozkazać raczył, aby wszystkich chłopców: włóczęgów, sieroty oraz ubogich wcielono do batalionów kantonistów, a następnie wysłano razem do Mińska, gdzie sztab jeneralny o losie ich postanowi«. Ukaz ten ściśle wykonano, ale nie jest to bynajmniej fakt sporadyczny. W sześć lat później, 13. kwietnia 1838 można było wyczytać w dziennikach warszawskich następujący komunikat rządowy: »Z okazyi wysyłki kilku tysięcy synów szlacheckich do Petersburga i na Ural, odbędzie się 18-go b. m. w sali ratuszowej publiczna licytacya«. Odtąd Polacy, zarówno chrześcijańskiej jak i żydowskiej wiary, czuli, iż choć nie tworzą jednej społeczności, są wszakże jednym narodem. Bratanie się ludu z żydami rozwiązało w Warszawie w r. 1860 kwestyę równouprawnienia tych ostatnich, a gdy w lutym 1861 r. na Placu zamkowym strzelano do klęczącego

tłumu, który wobec rosyjskich armat zaintonował śpiewy narodowe i błagał Boga, by Polakom wrócił »ojczyznę i wolność«, żydów ogarnął nieodparty pociąg do wyraźnego i jawnego zamanifestowania swych uczuć narodowych. Masy ich udały się pod przewodem rabinów do kościołów katolickich, podczas gdy chrześcijanie tłumnie zbierali się w synagogach, a tu i tam śpiewano jedne i te same hymny.

Ale już u największego polskiego poety, u Mickiewicza, wielkiem jest to poczucie jedności. Jego »Pan Tadeusz«, owa polska narodowa epopeja, kończy się wszak tem, że słynną pieśń narodową Polaków przed jenerałem Dąbrowskim i jego żołnierzami grał żyd.

Aczkolwiek niema tedy w chwili obecnej w zaborze rosyjskim rozdwojenia wyznaniowego, nastąpił tu w ostatnich latach rozłam innego rodzaju, a mianowicie, między hołdującą pozytywizmowi młodzieżą, uważającą za najwyższy swój ideał wolność myśli, z jednej strony, i katolickimi albo przynajmniej idącymi ręka w rękę z katolikami patryotami, z drugiej.

Religia katolicka musiała być w Polsce przez długie czasy nierozerwalnie połączoną ze sprawą narodową. Bez wpływu katolickiego duchowieństwa niepodobna byłoby zachować w nieskazitelności narodowej całej masy ludowej, pozbawionej wszelkiej wyższej kultury. Obecnie powstała ta trudność, że klasy wykształcone zerwały z katolicyzmem, a przywódzcy młodzieży widzą główną dźwignię duchowego postępu w walce współczesnych poglądów życiowych z przeszłością. Z niepokojem stawili oni sobie pytanie, czy, jeżeli utrzyma się nadal owa łączność z katolicyzmem, której hołdowali wielcy poeci z doby romantyzmu, jak Krasiński i Mickiewicz, czy w takim wy-

padku kultura polska w ogólno-europejskim pochodzie nie pozostanie w tyle, jako przestarzała, a pojedynczy wybitni Polacy, między nimi przedewszystkiem Świętochowski, uważali za właściwe zająć w kwestyach religijnych stanowisko takie, które niejednego dotknęło, a wielu przestraszyło. W ostatnich czasach pisarz tak znakomity, jak Sienkiewicz, który w początkach swej literackiej działalności i następnie przez czas dłuższy wyznawał poglądy radykalne, ze względów optymistycznych wstąpił w szeregi stronnictwa konserwatywnego.

Stoimy tu wobec dylematu, który bardziej niż cokolwiekbądź innego trawi polską inteligencyę. Wielu najlepszych jej przedstawicieli nie śmie wyjawić istotnych swych poglądów, aby nie zaszkodzić sprawie, którą uważają za najświętszą ze wszystkiego albo, właściwie mówiąc, za jedynie świętą: sprawie polskiej. Inni znowuż, przeciwnie, przyszli do przekonania, które w zwykłych warunkach byłoby zupełnie słusznem, ale w danym wypadku nie jest wystarczającem, mianowicie: że są idee, mające więcej wagi i więcej po swej stronie słuszności, aniżeli idea ojczyzny. Praktycznie rzecz biorąc, jest to kwestya celowości, względów chwilowych i taktu.

Mój czysto osobisty do tej sprawy stosunek był tego rodzaju, że obóz postępowy w Warszawie uważał mnie za swego stronnika, a z drugiej znowu strony pojedynczy przedstawiciele partyi przeciwnej, ludzie wielce wprawdzie wolnomyślni, ale życzący sobie z politycznych względów załagodzenia tego sporu między patryotami a stronnictwem młodych, pragnęli mego pobytu w Warszawie, uważając, iż cudzoziemiec, mający przyjaciół w obu obozach, może w danym wypadku działać pojednawczo. W tym kie-

runku starano się skorzystać z mojej obecności w Warszawie i powiedziano mi nawet przy pewnej okazyi, że tego wieczora od lat piętnastu poraz pierwszy oto w jednej sali zebrali się przedstawiciele obu stronnictw. Moje osobiste spostrzeżenia w Warszawie mogły mi dać tylko bardzo wysokie pojęcie o narodowej solidarności Polaków; szczególnie uderzony byłem zachowaniem się partyi konserwatywnej. Ze strony wielu katolickich duchownych doznałem serdecznego przyjęcia, a podczas całego mego pobytu w Warszawie najsolenniej podejmował mnie przywódca stronnictwa konserwatywnego, właściciel »Słowa«, hr. Przeździecki, syn wydawcy dzieł Długosza i blizki krewny »drugiej nieznajomej« Merimée'go.

Wprawdzie rozwój polskiej kultury jest w chwili obecnej bardzo ograniczony i płynie wązkiem tylko korytem, widać jednak wyraźnie, iż rok 1863 stanowi epokę w duchowem życiu Polski. Błędy i okropności tego roku, rozpaczliwe powstanie, przedsięwzięte bez planu i rozwagi wraz z jego smutnym końcem, otrzeźwiły naród. Nawet zbyt otrzeźwiły, jak twierdzą niektórzy, bo jeżeli przed r. 1863 Polacy zazwyczaj widzieli we własnym narodzie zbiór wszelakich zalet, to od owej epoki weszło w modę nie mówić o sobie inaczej, jak z uczuciem bolesnego poniżenia. Ale jest to w każdym razie wielka wygrana, że raz na zawsze pogrzebane zostało owo chorobliwe »samoubóstwienie«, które w czwartym lat dziesiątku opanowało umysły polskie, w tym właśnie czasie, gdy dwaj wielcy przeciwnicy, Mickiewicz i Słowacki, nawrócili się do Towianizmu, widząc w Polsce Mesyasza narodów, który cierpi za grzechy ludzkości, a cierpieniem swem zbawi cały rodzaj

ludzki. Nauczono się patrzeć w oczy twardej rzeczywistości, a żywione nadzieje — bo nie są Polacy bez nadziei na przyszłość, choć z pewnością bez dawniejszej gorączki — nadzieje te nie opierają się już na marzeniach i fantazyach.

W rezultacie obce panowanie wywołało w Polsce po r. 1863 taki nastrój umysłów, który acz nieszczęśliwy i smutny, pod pewnym względem może być uważany za najpiękniejszy i najlepszy dla narodu. Przypomina on stan ducha pierwszych chrześcijan w czasach prześladowań rzymskich, pogląd na świat pod wielu względami pesymistyczny, ale tem niemniej prawdziwy.

Może żaden stan nie oddziaływa równie wychowawczo na naród, jak ten stan ucisku, w którym nikt w narodzie znaczny nie przyjmuje żadnych odznaczeń, tytułów, ani dekoracyi, w którym urzędowy blichtr i zaszczyty uważane bywają jako hańba, a strój politycznego skazańca jako najwyższy zaszczyt.

Każde dziecko, przechodząc w Warszawie codzień obok pomnika Paszkiewicza, każde dziecko, spoglądając codzień na obelisk spiżowy, na którym z polecenia rządu imiona zdrajców są na pamiątkę wyryte, przyzwyczaja się od najwcześniejszej młodości do tej myśli, że ci, których mocarze tej ziemi czczą, nie są najlepszymi, a ci, których mocarze prześladują, są najszlachetniejszymi ludźmi.

To, co jest istotą chrześcijańskiej religii, prawdziwa ocena czci, bezeceństwa i sprawiedliwości tego świata, rozróżnienie tego, co jest prawdziwie wielkie od tego, co jest nizkie, — to prawdziwe poznanie posiada tu doskonale każdy człowiek, nawet umysł najmierniejszy. Jakaż to szkoła życia! Polska jest jedynym krajem, w którym pierwotny chrześcijanizm

do dziś dnia jest potęgą społeczną i to zarówno dla chrześcijan, jak i nie-chrześcijan.

Imienia Polski nie znajdziesz na karcie Europy. W oficyalnym spisie narodów świata niema narodu polskiego. Wolność i szczęście synów i cór Polski jest w mocy obcych władzców. Ich język jest prześladowany i uciskany.

Naród ten nie ma pomiędzy mocarzami świata ani jednego przyjaciela, ma zaś natomiast skutecznych, niezmiernie skutecznych i bez wytchnienia pracujących nieprzyjaciół, a na nieszczęście narodu polskiego ci jego nieprzyjaciele należą stanowczo do najpotężniejszych mocarzy świata.

Wzamian ma Polska, jak sądzę, u wszystkich narodów ziemi najlepszych i najbardziej ludzkich za przyjaciół.

Polska przedstawia widok narodu, nie tylko na śmierć skazanego, lecz, jak się wyraził Cherbuliez, żywcem pogrzebanego; narodu, który, pomimo wszystko, ustawicznie podnosi wieko swojej trumny, aby zaświadczyć, że jego siła żywotna bynajmniej jeszcze nie wygasła.

Naród to, w którym każdy nerw jest napięty, gdyż zawsze, każdego dnia walczyć on musi o swój byt, miasto, żeby go miał używać, jak inne narody używają. Naród polski cały rozpłynął się w swej sprawie narodowej, a ta polska sprawa toć przecie nic innego, jak sprawa ogólno-ludzka, sprawa ludzkości.

Dlatego Polskę miłuje się nie tak, jak się kocha Niemcy, lub Francyę, lub Anglię — lecz się ją kocha tak, jak się wolność kocha. Bo kochać Polskę wszak to znaczy kochać wolność, mieć sympatyę głę-

boką dla nieszczęścia, podziwiać odwagę i zapał wojenny!

Polska jest symbolem, symbolem wszystkiego, co najszlachetniejsi w ludzkości umiłowali i za co walczyli. W Polsce jest wszystko skupione: wszystko i najbardziej godne nienawiści i najwstrętniejsze, i wszystko najpromienistsze i największej godne miłości; tu są przeciwieństwa życia ziemskiego odznaczone jak na płaskorzeźbie; tu jest istota świata jakby w ekstrakcie zawarta.

Wszędzie w Europie, gdzie walczono o wolność — walczyli w tem stuleciu razem z innymi Polacy, na wszystkich pobojowiskach, na wszystkich barykadach. Nieraz mylili się w ocenie przedsięwzięć, którym poświęcali swe życie, lecz zdawało im się, że walczą o dobro ludzkości; uważali oni siebie za przysięgłych obrońców wolności i uważają do dziś dnia każdego, kto za wolność się bije, jako swego brata.

Lecz z równą racyą rzec można, że wszędzie, gdziekolwiek kto w Europie o wolność walczy, ten i za Polskę walczy. Przyszłość Polski jest całkowicie od losów Europy zależna. Jeżeli idea o prawach narodów do niepodległości i o prawie każdego narodu do zupełnej politycznej wolności na coraz liczniejszych punktach szerokiego świata zwycięży, to zbliży się czas, w którym zmartwychwstanie Polski stanie się czemś więcej, niż nadzieją.

Wrażenie drugie.

(1886).

Dwa największe w świecie militarne państwa, Niemcy i Rosya, wzajemnie na napiętej stopie będące, z których żadne nie reprezentuje ani politycznej wolności ani samodzielności narodowej, ani nawet wolności osobistej jednostek, te dwa kolosy militarne mają obecnie jeden cel wspólny: prowadzą walkę wewnętrzną, eksterminacyjną, na życie i śmierć z 16-milionowym narodem, który chcą wytępić, zgładzić z powierzchni ziemi. Naród polski zakuty w kajdany, spętany, skneblowany, uciskany, jak żaden inny naród w Europie, traktowany jest przez swych ciemiężycieli, przez tych wielkich mocarzy, jakby ekspanzywny element, rozszerzający się i wciskający wszędzie, chcący swych ciemiężców opanować. Na ten naród w Niemczech i w Rosyi nieustannie palcem wskazują, jako na największe niebezpieczeństwo i groźbę ustawiczną dla państw zaborczych.

Wiek minął od ostatniego podziału. Po stu latach jednak czują mocarstwa zaborcze, że im grozi, że im nie daje spokoju widmo Polski. I dziś jeszcze trzeba wiele wysiłku, aby ten akt rozbiorczy utrzymać jako akt prawa i porządku.

Nie dość, że kazano uczonym swoim tak pisać historyę świata, aby całą winę tego bezprawia zwalić na Polskę przedrozbiorową; nie dość, że co u innych narodów uważane bywa za cnotę lub za obowiązek: miłość ojczyzny, miłość swej przeszłości i swego języka, nienawiść ku wrogom i ciemiężcom, — wszystko to w Polsce piętnowane i karane jest przez państwa zaborcze jako zbrodnia stanu; nie dość, że każdy poseł polski w reichstagu niemieckim i w sejmie galicyjskim musi składać przysięgę uniżonej wierności dla obcej potęgi rozbiorowej: nie dość, że młodzież polska rozdzielona po pułkach rosyjskich, niemieckich i austryackich, wojskową swą służbę pełnić musi za cudze interesa i wśród cudzych ludzi, — na domiar jeszcze w ostatnich czasach spiknęły się dwa mocarstwa: Rosya i Niemcy na takie prześladowanie narodowości polskiej, które graniczy z pastwieniem się nad nią.

Na początku bieżącego (1886-go) roku książę Bismark wygnał z Prus 50 tysięcy Polaków: mężczyzn, kobiet i dzieci, bezradnych, skazanych na żywot tułaczy. Dwa, jak się zdaje, względy kierowały tym postępkiem ks. Bismarka. Z jednej strony obawiał się on polonizacyi zniemczonych już prowincyi, gdyż okazało się, że język polski, pomimo wszystkiego, co zrobiono dla jego wytępienia, rozprzestrzenia się na coraz to większym obszarze. Z drugiej strony chciałby Bismark przyszłą wojnę prowadzić w możliwie najlepszych warunkach, t. j. mieć w Prusiech jak najmniej wrogich żywiołów. Nie tylko zatem wypędza z Prus wszystkich zamieszkałych tam, choćby najdawniej, Polaków obcych poddanych, przeprowadzając tę banicyę z taką surowością, że 1. lutego przybyła do Warszawy 91-letnia staruszka,

uważana snać za niebezpieczną dla państwa, ale zamierza nawet posiadaczom ziemskim w Księstwie poznańskiem, i to pruskim poddanym, zachowanie własności ziemskiej niezmiernie utrudnić. Bismark chce wykupić z rąk Polaków ich pozostałe siedziby ojczyste i żąda na kolonizacyę tego kraju 100 milionów marek, jak gdyby chodziło o niezamieszkałe obszary albo grunta zaludnione przez dzikich. A przytem nie każdemu Niemcowi wolno będzie nabyć polską posiadłość: kto się z Polką ożenił, nie ma prawa korzystać z dobrodziejstw tego 100-milionowego funduszu. Doświadczenie bowiem uczy, powiada Bismark, że taka żona jednem kiwnięciem palca robi z męża polskiego patryotę. Na przyszłość pragnie Bismark pozwalać tylko takim Polakom pruskim poddanym osiedlać się w obrębie Księstwa poznańskiego, którzy mają za żony Niemki, bo jedynie takie stadła i ich potomstwo dadzą się zgermanizować.

I.

Okazuje się zatem, że w kobietach polskich upatruje Bismark daleko większą groźbę dla jedności i bezpieczeństwa cesarstwa niemieckiego, niż w mężczyznach. Mimowoli wystawił on im świadectwo pochwalne, które wskazuje na ich godność i wartość czysto ludzką. I zasługują też one na tę pochwałę. Gdzie bowiem chodzi o zachowanie ducha narodowego, są one solą ziemi polskiej.

Kobiety, o których tu mówię, to arystokratki. W klasie niższej świadomość narodowa ma silne zabarwienie religijne, a mieszczaństwa, jak w krajach germańskich lub romańskich, niema.

O tych kobietach z wyższych i niższych warstw arystokratycznych da się powiedzieć w ogólności, że ich cechy, wady i cnoty nie są mieszczańskiej natury. Nie są one gospodarne i nie są też małostkowe. Najlepsze posiadają dumę, tę wysoką i rzadką, która płynie z ducha hartownego i czystego. Są to kobiety stworzone do rozkazywania i zachowujące wielkie poczucie godności własnej, które leży w ich krwi, nawet wówczas, gdy obracać się muszą w stosunkach małostkowych i ciasnych. Jest to typ, w którym życie duchowe całkowicie rozpłynęło się w kwestyi narodowej. Bywa wśród nich jeszcze wiele żarliwych

katoliczek, ale dla większości, a zwłaszcza dla inteligentniejszych, katolicyzm ma wartość i doniosłość tylko jako palladium narodowości. Określenie Polki przez Cherbuliez'a, jako »ponczu na święconej wodzie«. należy uważać dziś za przestarzałe.

Kobiety polskie słyną z piękności i tej swojej sławy nie zawiodły. Jest to jeden z dogmatów polskich, że prawdziwa Polka jest blondyną i ten kolor włosów uważany bywa za najwytworniejszy. Ale wprawdzie spotyka się kobiety, które złotożółtym kolorem włosów podobne są do niewiast szwedzkich i norweskich, a białością płci przewyższają wszystko, co się na północy widzi, dogmat o blondynach nie da się utrzymać. Wszędzie widzi się wiele brunetek, a przeważają szatynki.

Polki słyną również z pięknie wymodelowanych rączek i drobnych nóżek. I same one też przywiązują wielką wagę do pięknych rączek. »Widzę me ręce, nie zaś twarz«, powiedziała pewna Polka, a inna, nie nazbyt troskliwa o swą powierzchowność i zbyt wykształcona, aby być próżną, odmroziwszy sobie w Paryżu ręce, kazała jednak przywołać jednego z najsławniejszych paryskich lekarzy. Polskie panie opowiadają, że gdy im się zdarza być w Wiedniu w magazynach obuwia, to szewcy, na widok ich drobnych nóżek o wysokiem podbiciu, zaraz powiadają: »To znamy, to są polskie nóżki«. Opowiadano mi też w Warszawie, że w wiedeńskich magazynach obuwia są dla tych nóżek osobne szafy z bucikami, wielce różniącymi się od obuwia, znajdującego się w szafach, przeznaczonych dla Angielek.

Rodowita Polka, mówią Polacy — a zresztą tego są zdania o swych kobietach i inne znane mi narodowości — żyje dla domu i dzieci. Może więcej na-

wet dla dzieci, niż dla męża a miłość rzadko kiedy wypełnia jej życie. Małżeństwo tutaj nie wystawia się tak na pokaz, jak w Niemczech i nie daje tak często powodu do katastrof, jak we Francyi. Głowa Polki jest zapalna, ale zmysły swe trzyma ona na wodzy.

Czasem zdarzają się wyjątki: żona opuszcza męża, żyjąc z kochankiem; panna wychodzi za kamerdynera swego ojca. Ale to wypadki rzadkie. Gdy się w towarzystkie spotyka wyrafinowaną kokietkę, jest ona zawsze obcego pochodzenia. Przykłady macierzyńskiej miłości i poświęcenia nie są wcale rzadkie. Hrabina Róża K., która dla jej stosunków rodzinnych i majątkowych nazywają pierwszą damą Polski, żyła przez szereg lat samotnie w pewnem miasteczku górskiem w Karpatach ze względu na stan zdrowia swego maleńkiego syna.

Znajdujemy w Polsce jeszcze znaczne szczątki abstrakcyjnej czci dla niewiast, która, dopóki istniało państwo polskie, wyraz swój miała w czci dla Matki Boskiej, jako Królowej korony polskiej. Wprawdzie ekonomiczne wyzwolenie kobiety jeszcze się nawet nie rozpoczęło i może właśnie dlatego jest galanterya wobec płci pięknej prawidłem ogólnem. W tramwajach np. mężczyzna zawsze ustąpi miejsca damie, a w każdem miejscu publicznem, na najświetniejszych redutach i balach, można odebrać krzesło każdemu mężczyźnie, dość powiedzieć: dla damy!

W wyższych kołach towarzyskich, kobiety, na pierwszy rzut oka, prowadzą życie próżniacze. Ale w lecie na wsi, gdzie jeszcze w znacznej mierze przechowały się patryarchalne stosunki, ma żona obywatela wiele zajęcia a i w Warszawie pędzi ona żywot pozornie tylko samym rozrywkom poświęcony.

Wielka pani wstaje między godziną 1-szą a 2-gą a o 4-tej zrana udaje się na spoczynek; jeździ z wizyty na wizytę, z jednego zebrania na drugie. Ale w istocie rzeczy pracuje ona codzień dla spraw narodowych i publicznych. Każde, najbardziej nawet niewinne przedsięwzięcie: urządzenie czytelni, szpitala, szkoły szycia i t. p., to kółko w tym całokształcie działalności, która ma wzmożenie polskości na celu. Gdy się cztery damy połączą w komitet dobroczynny, można być pewnym, że pod tą humanitarną pokrywką mają one cele narodowe na oku.

W szkołach nie wolno uczyć dzieci po polsku. Ale wolno przecież uczyć je szycia. Rysuje się więc na tablicy stanik na wypadek, gdy wpadną żandarmi, trzyma się na ławkach przybory do szycia, a pod spodem — książki.

Niektóre wybitne kobiety, wielkich zdolności i talentu, usiłowały robić więcej. Naprzykład, znana powieściopisarka Eliza Orzeszkowa założyła, dla celów oświaty narodowej, drukarnię. Ale rząd wprędce ją zamknął, a p. Orzeszkową na długie lata internował w Grodnie. Jej powieści, które zwróciły na siebie powszechną uwagę, a z nich zwłaszcza Meir Ezofowicz, znamionują talent, nieco pokrewny George Sand'owi. Tchną one pełną melancholii miłością ojczyzny i płyną z ducha żądnego wolności. Drobne nowele tejże autorki mają więcej realizmu i artystycznej formy, ale również patryotyczną tendencyę. Młodsza od Orzeszkowej poetka, Marya Konopnicka, której pełne natchnienia liryki zajmują w poezyi polskiej miejsce poczesne, w walce z twardymi warunkami i przeciwnościami życia, wykształciła się na poetycką przedstawicielkę wolności myśli i czucia, co w Polsce jest jeszcze rzad-

kością. Ale i w jej poezyach, jak np. w Odzie do Matejki, p. t. Grünwald, tętni nuta miłości ojczyzny.

Antagonizm rosyjsko-polski nie znika z serca Polki ani na chwilę. Świadczą o tem liczne przykłady z życia codziennego. Gdy pewną panienkę opuścił jej narzeczony, szczególniej za złe mu brano to, że porzucił narzeczoną dla rosyjskiej baletnicy. Pewna młoda dziewczyna zgromiła w ogrodzie saskim uczniów gimnazyalnych za to, że rozmawiali pomiędzy sobą po rosyjsku. Drobne te rysy pouczą każdego, kto pewien czas w zaborze rosyjskim przepędził, że to właśnie kobiety utrzymują zapał narodowy w stanie ciągłego wrzenia.

Zresztą są tu, rozumie się, jak wszędzie, bardzo rozmaite typy kobiece: pełne niewieściej słodyczy oraz spokoju i bystre oraz podejrzliwe: dziewiczo odporne i romansowe; są też i próżne aktorskie natury. Spotkać można kobiety czysto słowiańskie, przejęte intelektualnym entuzyazmem, a trafiają się także wyjątkowe niewiasty, posiadające determinacyę i niezłomność charakteru, właściwe tylko mężczyznom niezwykłym, kobiety stworzone do rozkazywania. Była oto i taka, która, licząc lat dwadzieścia, mogła z zupełnym spokojem stać przy armacie w chwili wystrzału, bo ją ojciec, jenerał artyleryi, od dziesiątego roku do tego zmuszał, chcąc w dziecku wykorzenić bojaźliwość.

Często łączy kobietę z mężczyzną wspólność spraw patryotycznych; niekiedy wybór jej pada nieświadomie na danego mężczyznę dlatego, że jest on jaknajbardziej zbliżony do wymarzonego przez nią ideału patryoty. W ogólności jednak należy stwierdzić, iż cenią one mężczyzn dość nizko i gruntownie znają

ich wady. Męska odwaga im nie wystarcza. »Gdyby się już nawet bić nie umieli, możnaby ich pogrzebać«, odpowiedziała z wielkim charakterem pewna młoda panienka, gdy w jej obecności ze szczególnym naciskiem podnoszono tę cnotę mężczyzn. Można więc o Polkach powiedzieć w ogólności, iż wymagają one wiele, ale też i warte są wiele.

II.

Mężczyźni są dobrego wzrostu, często szczupłej postawy; zazwyczaj o wyrazistem obliczu, z długim i sumiastym, obwisłym wąsem. Typ ten łatwo odnaleźć zarówno u chłopów, jak i u arystokracyi. Nierzadko spotykaną odmianę stanowi ociężały, jak dziecko otwarty obywatel ziemski, który przy powitaniu i pożegnaniu całuje się z dubeltówki, a serce ma na dłoni, chociaż pomimo to w obejściu jego znajdziesz wiele czysto męskiej i naturalnej godności. Jest to typ, który Mickiewicz w wielu egzemplarzach uwiecznił w P a n u T a d e u s z u.

Zalet niezbędnych dla państwowego współżycia brak Polakom całkowicie. Podczas gdy Niemcowi zdaje się, iż osiągnął on swe przeznaczenie, jeżeli zaprzągł się do rydwanu państwowego, nawet gdyby przytem utracił coś z najlepszej cząstki swej istoty, Polak wogóle nie jest stworzony na obywatela państwa. Zarówno ekonomiczny, jak i polityczny zmysł jest w Polsce słabo rozwinięty.

Dlatego też możliwym był w Polsce (zupełnie jak w Helladzie), wysoki rozwój cywilizacyi bez materyalnych podstaw, któreby jej trwałość zabezpieczyły, dlatego również tak wysoce się tu (jak w Judei)

wykształciła wolność osobista, lecz kosztem potęgi państwowej wobec mocarstw sąsiednich.

Istnieją dwa polskie hymny narodowe, które razem dają doskonały obraz polskiego charakteru narodowego. Pierwszy — to znana w całym świecie pieśń Wybickiego »Jeszcze Polska nie zginęła« (z r. 1797), drugim zaś jest chorał Ujejskiego »Z dymem pożarów« (z r. 1846), napisany po rzezi galicyjskiej. Rząd Meternichowski, któremu arcyksiążę Ferdynand poddał myśl użycia chłopów przeciwko panom, przez swe podwładne organa rozsiewał wówczas wśród włościan pogłoskę, jakoby cesarz uwolnił ich od służby wojskowej i podarował im grunta, ale że szlachta przeszkadza wprowadzeniu tych rozkazów cesarskich w życie. I w chwili, gdy młódź szlachecka usiłowała pozyskać włościan dla narodowego powstania, ci ostatni z wściekłą zapamiętałością rzucili się na szlachtę. W ciągu trzech dni zginęło 2000 mężczyzn, kobiet i dzieci. Jednych palono żywcem, innych zasieczono lub porąbano w sztuki.

Ujejski dał w swym chorale wyraz rozpaczy młodego pokolenia na widok nadziei Polski, zniweczonych przez własne jej dzieci; natomiast pieśń Wybickiego wyraża promienną nadzieję pokolenia starszego, nadzieję, nawet po ciosach trzeciego rozbioru. Ujejski wyśpiewał hymn, o zakroju psalmu; Wybicki stworzył marsz, podobny do mazura.

W utworach tych odbijają się obie strony charakteru narodowego polskiego, cały duch polski. W chorale Ujejskiego tętni wysoka, gorąca powaga, miłość ojczyzny jako religia: »Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej, do ciebie, Panie, wznosim swój głos!« Wybickiego »Jeszcze nie zginęła...«,

uważana zwykle za uroczysty marsz, bo w życiu narodowem Polaków odgrywa tę samą rolę, co Marsylianka we Francyi, to niefrasobliwa, wesoła pieśń, pełna bohaterskiej lekkomyślności, a myślą jej zasadniczą jest, że: pomimo wszystko, Polska będzie! Marsz, marsz, Dąbrowski! Dobra to rzecz życie, śpiew i wojaczka!

Jedną z głównych cnót mieszczańskich w naszych czasach stała się praca i miłość pracy dla niej samej. Zrozumienie, na czem ta cnota polega, w Polsce spotyka się rzadko. Wieki całe uprawiano tam swą ziemię i kształcono ducha, ale równocześnie zawsze uważano właściwą pracę, pracę dla pieniędzy wprost jako rzecz poniżającą. Dla kupca i fabrykanta, że już nie powiem dla kramarza i rzemieślnika, żywiono tu dziedzicznie przekazywane arystokratyczne lekceważenie. Gromadzono wielkie majątki, ale też umiano je trwonić. Pieniądze były środkiem i jedynie bardzo rzadko celem; do pracy uciekano się czasami z konieczności i ze wstydem, ale nie była ona nigdy celem sama przez się.

Chciano używać życia, nie pracując na chleb, a właściwie mówiąc, nawet nietyle używać życia, ile pędzić je bez troski.

Pożyteczne stało w tym kraju zawsze na drugim planie, często nawet na trzecim.

I to nie dlatego, żeby w dawnej Polsce najwyższym celem było idealne wyobrażenie życia, jak to było np. we Włoszech czasu Odrodzenia, gdy utonęły one całkowicie w swej nieśmiertelnej sztuce. Nie, celem było tu przekształcenie życia na wieczne święto, które wielki pan, prawdziwy *grand seigneur*, urządzał dla innych panów i pań, wielkich i mniejszych.

Gościnność polska ma jeden rys istotny, którego nie znajdziesz w innych krajach. Gdzieindziej ludzie bywają gościnni, o ile się nudzą: tu okazują gościnność, wcale się nie nudząc. Brak gościnności uważa się tu za cechę filistrów; również filistrem jest ten, kto wzdraga się korzystać z gościnności, choćby nad miarę wystawnej, gdyż okazuje tem, że ocenia ją na pieniądze.

W dawnej Polsce i wojna była świętem. Polska husarya przyczepiała do swych siodeł wielkie skrzydła, z prawdziwych piór ptasich, a i pióropusza, rozumie się, nigdy nie brakło.

A jak pięknym i bogatym był strój polski w czasach pokoju! Wolno wątpić, czy ubiór ten był praktyczny w codziennem użyciu, ale co za jaskrawy zbytek! Co za przecudne bogactwo owych złotolitych pasów, co za subtelny i wykwintny zmysł piękna w tych jedwabnych tkaninach. Kto w takim pasie chadzał, miał stałe uczucie szczęścia, pełni życia i dobrobytu. Nie był to owoczesny szych francuski, ale gruntowny i trwały przepych.

A jak każdy pojedynczy człowiek w narodzie tym nie żył sam dla siebie, nie zamykał się w sobie, tak samo i naród cały. Bo przypomnijmy tylko sobie te dwa fakta: że Polska przyjęła w średnich wiekach Żydów i że Jan Sobieski oswobodził Wiedeń od Turków, — dwa rzadkie w historyi Europy wypadki religijnej wolnomyślności i rycerskości politycznej.

Ale ideały, ideały bezinteresowne, to zbytek, który się mści na narodzie tak, jak mszczą się na nim jego nieprawości. Narody, które tworzą nowe ideały religijne, albo w dziedzinie wiedzy wspinają się na coraz to nowe wyżyny, albo hołdują ideałom arysto-

kratycznym, nie budują państw silnych. Często musiały one za swe wyższe cechy odpokutować utratą bytu państwowego, ale trudniejszem od innych jest pod tym względem położenie narodu polskiego, ze względu na nasze czasy tak wybitnie mieszczańskie i wojenne.

Szczególnie zgubne skutki pociąga za sobą w Polsce wzmiankowane już i odwieczne arystokratyczne lekceważenie pracy. Nikt, kto nie jest do tego przymuszony, nie pracuje, a jest wielu takich, którzy powinniby pracować, a nic nie robią. Towarzystwo warszawskie jest może ekskluzywniejsze, niż gdziekolwiekindziej. Starsze pokolenie wpaja swe przesądy młodszemu. Charakterystyczne są pod tym względem następujące słowa pewnej sędziwej matrony: »Do jakiegoż zaproszono mnie towarzystwa! Pełno w niem było robotników, adwokatów, których się opłaca, fabrykantów, kupców, lekarzy, którym za wizytę wciska się w rękę trzy ruble«. Małżonka don Ranuda nie odezwałaby się inaczej.

Ale, zapyta kto może, w jakiż to sposób w naszych czasach cały pewien stan otrzymuje pieniądze bez pracy? Otóż w tem to właśnie sęk, że fundusze arystokracyi polskiej już się wyczerpują: a ci jej przedstawiciele, którzy jeszcze posiadają dobra ziemskie, zmuszeni są żyć stale na wsi.

Nie należy jednak sądzić, że ten stan rzeczy bierze sobie ktobądź zbytnio do serca. Jakoś to będzie — mawiają Polacy, jakoś się to ułoży; charakterystyczne to słowa dla tego kraju bezładu! Niesumienny dłużnik albo człowiek żyjący z kredytu spotyka się tu z sądem o wiele łagodniejszym, niż gdzieindziej. O rodzinach, zadłużonych po uszy, mawia się z pewnem pobłażaniem, że »musieli się tro-

chę zadłużyć«. Nikt dla nich nie żywi pogardy, nawet wówczas, gdy ta lekkomyślność staje się głupotą, gdy głowa rodziny przegrywa majątek. Ale właśnie w takich wypadkach występują wyraziście obok ujemnych i dodatnie strony charakteru polskiego.

Jeden z dwu braci przegrał 200 tysięcy rubli i zmuszony był kraj opuścić. Drugi brat przyjął na się jego długi, zamieszkał w rodzinnych dobrach, pracował jak wyrobnik i klął jak furman, spłacając przez całe swe życie długi brata. Jak widzimy, egzaltowane niemal bohaterskie poświęcenie stoi w Polsce tuż obok szalonej, zbrodniczej lekkomyślności.

Pełne próżności zamiłowanie przepychu oraz popęd do marnotrawstwa sprowadza u natur poziomych i złych nieporządek we wszystkich interesach majątkowych i chciwość pieniędzy, która przybiera specyalnie polskie prostackie formy, rodzi oszustów w życiu prywatnem, przekupstwo i zdradę w stosunkach politycznych. Prawdopodobnie zresztą u każdej narodowości prostactwo w stosunkach pieniężnych ma swoje osobliwe, charakterystyczne cechy. Podaję niżej kilka jaskrawych przykładów z Polski.

Pewien młody człowiek z dobrej rodziny narobił długów na 80 tysięcy, zapożyczał się u wszystkich krewnych, których doprowadził do nędzy i doszedł do tego, że wyłudzał pieniądze od każdego, kogo spotkał, od nieznajomych pań, od rodaków, przypadkiem spotkanych za granicą w hotelu, biorąc ile się udawało, dziesięć a nawet pięć rubli. A gdy już nie miał ani grosza przy duszy, wstąpił do nowicyatu w jednym z klasztorów paryskich. W rodzinie ogólne z tego powodu zbudowanie. Po upływie pewnego czasu nowy mnich w liście do starej pobożnej ciotki przedstawia, że przyjętym zwyczajem, każdy braci-

szek ofiarowuje na klasztor pewną sumę pieniędzy i prosi ciotkę usilnie o niewielką kwotę, tylko 6000 rubli, w przeciwnym bowiem razie byłby narażony na szyderstwa swych towarzyszy. Otrzymawszy pieniądze, nasz braciszek opuszcza klasztor, jedzie wskok do Ameryki i dopiero wydawszy wszystko do ostatniego grosza, powraca do klasztoru, a obecnie jest w Paryżu jednym z najbardziej lubianych ojców duchownych.

Następny przykład z życia wzięty przedstawia inną odmianę tego samego typu, ilustrując zarazem zasadnicze właściwości charakteru polskiego całkiem odmiennego rodzaju.

Pewna bogata arystokratka, zawsze poważna i uczciwa w swem postępowaniu, w małżeńskiem pożyciu szczęśliwa i zadowolona, mająca dzielnego męża i najmilsze gniazdo rodzinne, raptownie zostaje jakby oczarowaną przez pewnego młodego, eleganckiego szlachcica. Opuszcza męża i dzieci, porzuca swe obowiązki rodzinne i wraz z ukochanym ucieka za fałszywym paszportem do Paryża. Ale szczęśliwa miłość nie przetrwała dłużej nad tydzień, poczem kochanek zaczął sprzedawać klejnoty i kosztowności swej bogdanki, a idąc za zdobyte w ten sposób pieniądze na hulankę, zamykał ją na klucz. Porzucona wkrótce, nieszczęśliwa kobieta udała się do swej matki, która nie odmówiła jej pomocy, a mąż zgodził się przyjąć żonę pod tym wszelako warunkiem, że, uklęknąwszy na progu domu, przeprosi ona wszystkich, nie wyłączając nawet służby, za to zgorszenie, którego stała się powodem. Po tem upokorzeniu żona nie usłyszała nigdy przykrego słowa z ust swego męża, ani żadnej aluzyi do przeszłości.

Ale w Polsce obok tej niesumienności w spra-

wach pieniężnych u ludzi zepsutych, u lepszych ludzi spotykamy znowu przesadny nawet wstręt do pieniężnych i w ogólności materyalnych objawów wdzięczności ze strony osób wyżej stojących lub równych. Jeden z uczestników powstania z r. 1863, który na emigracyi będąc, miał w Chrystyanii atelier fotograficzne, zwrócił Karolowi XV. kosztowną szpilkę, którą mu ostatni ofiarował na pamiątkę jakiejś rozmowy i okazanej przez emigranta usługi. Inny wypadek, który miał miejsce w zeszłym roku w Warszawie, jest jeszcze bardziej charakterystyczny i pouczający. Młody obywatel ziemski, nazwiskiem Mańkowski, otrzymał na konkursie prywatnym nagrodę za utwór dramatyczny i w prezencie posłał pierścień brylantowy jednemu z ulubionych warszawskich aktorów, który nie żałując czasu, wiele mu dopomagał w opracowaniu sztuki pod względem scenicznym. Aktor wahał się, czy przyjąć ów prezent. Gdy mi ten wypadek opowiedziano, zapytałem, czy pan ów może tak szafować czasem bez wynagrodzenia. A na to mi odpowiedziano: »Jemu niewiele potrzeba. Oto widzi pan, on nie przyjmuje podobnej zapłaty, ale też sam nie płaci. Wszyscy wiedzą, że mu się nie najlepiej powodzi i dlatego każdy niechętnie upomina się o swoją należytość. Miał on np. przed dziesięciu laty piękne pomieszkanie, nie płacąc, rozumie się, nigdy komornego. W terminie zapłaty czynszu, udawał się nasz lokator w rannej porze z wizytą do gospodarza domu. Ten przyjmował gościa filiżanką czekolady, młody aktor tłumaczy swą opieszałość co do zapłaty czynszu, skarży się na kłopotliwe położenie i na tem kończy się rozmowa«.

No, a jego krawiec i szewc, czekają cierpliwie na swą należytość?« — »Tak, liczą oni na jego bogaty ożenek. Tymczasem pan ten, gdy przyjmuje zapro-

szenie na ucztę, zawsze się musi odwzajemnić, a gdy daje w hotelu europejskim obiad dla Kronenberga (jednego z najbogatszych bankierów w Polsce), to występuje również wystawnie jak tenże Kronenberg — i wtedy płaci rachunek!«

Wedle tego rodzaju zapatrywań, właściwie trzeba płacić tylko za rzeczy niepotrzebne, zbytkowne. Nigdzie też z pewnością nie mają tyle respektu dla tego, co jest zbytkowne, jak tutaj. Najlepsi młodzieńcy w Polsce to prawdziwe wyroby zbytkowe; w najwyższym stopniu zachwycający, układni, jak kobiety i delikatni, jak najmłodsze latorośle wybujałe na starodawnem drzewie genealogicznem. Po największej części nie robią oni nic, a jeżeli wyjątkowo i bez namacalnej potrzeby oddają się jakimś studyom, sposobiąc się do profesury lub innego w tym rodzaju zajęcia, budzi to powszechny podziw i admirancyę. Chwali się w tym wypadku właściwie nie pracę tego człowieka, ale, że tak powiem, jego poświęcenie, że pracuje, nie potrzebując tego.

I po wsze czasy bohaterstwo Polaków to właśnie stanowi jego charakterystyczną stronę — przejawiało się właśnie w takich czynach niepotrzebnych. Polacy czasów porozbiorowych brali udział w najrozmaitszych europejskich wojnach, wszędzie, gdzie cel walki zjednywał sobie ich sympatyę. Tak walczyli oni w r. 1848, a później na Krymie, we Włoszech, w Turcyi. Jako przykład niech posłuży unieśmiertelniony przez Mickiewicza Ordon, bohater z r. 1831, który w chwili szturmu Moskali wysadził w powietrze swą redutę, a sam cudem tylko ocalał. Ten był wszędzie, gdzie walczono za wolność albo przeciw Rosyi. Do roku 1886 prawdziwy ten bohater, w którym połączyło się wszystko, co jest naj-

szczytniejszego i najrzadszego w charakterze polskim, prowadził spokojny żywot we Florencyi. Dumny i ubogi, a niezdatny w starości do pracy, w obawie, aby nie stać się komukolwiek ciężarem, wystrzałem z rewolweru zakończył żywot. Było w Ordonie coś z męstwa wędrownego rycerza. A podobnego rodzaju animusz wojenny znajdujemy i w postaci podrzędniejszego nieco gatunku, jak np. u zmarłego przed kilkoma laty Trippina, który w swych opisach podróży dał między innymi sympatyczny, choć nieco wyidealizowany, obraz Danii. I on również brał udział w najrozmaitszych walkach za wolność i był wszędzie, gdzie się bój z Rosyą toczył.

Jeszcze jeden przykład z historyi ostatniego powstania. Ilustruje on dobrze polską skłonność do szafowania odwagą i bohaterstwem bez względu na użyteczność celu. Gdy w r. 1863 znikła już wszelka nadzieja zwycięstwa, naczelnik Rządu narodowego oświadczył, że pozostaje w Warszawie; uważał on za rzecz honoru wytrwać na straconym posterunku do końca, ale jego towarzysze mogli jeszcze się uratować i dlatego wręczył im przygotowane dla nich paszporta. Wówczas i oni zdecydowali się pozostać i raczej narazić się na całą odpowiedzialność, która groziła im, jako członkom Rządu narodowego, aniżeli szukać ocalenia w ucieczce przed znienawidzonym wrogiem.

Z podobnemi cnotami i wyżej wzmiankowanemi przywarami trudno ostać się na świecie w dziewiętnastem stuleciu. Nie bywa się zgoła szanowanym ani poważanym, a tem mniej potężnym i wielkim. Piękna wielkoduszność i wdzięczna lekkomyślność nie popłaca w naszych czasach, w czasach niemieckiej roztropności i rosyjskiej siły.

III.

W zaborze rosyjskim ucisk, który od czasu rozbioru zawisł nad Polską, doszedł w chwili obecnej do zenitu. Prasa ma usta zakneblowane do tego stopnia, że nawet wykazywanie bezzasadności argumentów w mowach Bismarka i w ogólności ich krytyka są zakazane. Bezwarunkowo nie wolno dowodzić, że polska agitacya, którą wedle oświadczenia żelaznego księcia należy zwalczać, polega tylko na niezłomnej chęci utrzymania swego języka i narodowości wobec zdobywców, którzy dla osiągnięcia swych celów rozporządzają całym aparatem państwowym i całą jego potęgą.

Usiłowania rządu w zaborze rosyjskim są, jak już wzmiankowaliśmy, skierowane szczególnie na dwa punkta: rusyfikacyę własności ziemskiej i wytępienie języka polskiego.

Ukaz z r. 1865, o którym poprzednio już była mowa, zabronił Polakom na Litwie, Ukrainie, Wołyniu i Podolu, zapisywać testamentem majątki ziemskie komukolwiek innemu, prócz legalnych spadkobierców.

W Królestwie polskiem wolno jeszcze mówić na ulicach po polsku oraz drukować ogłoszenia w tym języku, pod warunkiem, że nad polskim tekstem

umieszczony będzie i rosyjski. Ale w pozostałych częściach zaboru rosyjskiego, wszędzie, gdzie w klasie wykształconej panuje polski język i kultura, znaleźć można na wszystkich publicznych budynkach, zzewnątrz i wewnątrz, ogłoszenia z napisem: По польски говорить воспрещается (po polsku rozmawiać nie wolno). Przekroczenie tego zakazu bywa surowo karane, a każdy urzędnik, nawet najniższy, któryby przemówił słów kilka po polsku, choćby w odpowiedzi na polskie zapytanie, choćby do osób, nieznających żadnego innego języka, ulega wysokiej grzywnie albo otrzymuje dymisyę. Pewien konduktor tramwajowy został niedawno skazany na 25 rubli kary (jest to więcej, niż wynosi jego miesięczna pensya) za to tylko, że na polskie zapytanie dał odpowiedź w tymże języku.

Wyobraźmy sobie teraz następującą scenę w instytucyach sądowych zaboru rosyjskiego: Sędzia śledczy, bardzo często rodowity Polak, z trudem tylko i to kiepskim akcentem mówiący po rosyjsku, indaguje w tym języku oskarżonego, polskiego włościanina, który nie rozumie ani słówka z tego, co mówi sędzia. Występuje tedy na scenę tłumacz. Na jego zapytanie podsądny odpowiada po polsku. Znowu tłumacz słowa podsądnego przekłada na język rosyjski, aczkolwiek, rozumie się, jest to zupełnie zbyteczne. I tak dzieje się z każdem pytaniem i odpowiedzią, ponieważ ani sędziemu śledczemu, ani podsądnemu nie wolno mówić po polsku. A dalej, prokurator oskarża, adwokat zaś broni podsądnego w języku, którego ten ostatni wcale nie rozumie.

Królestwo polskie, gdzie mieszkańcom wolno jeszcze pomiędzy sobą rozmawiać po polsku i gdzie od początku już bieżącego stulecia stosunki cywilne regu-

luje kodeks Napoleona, wydaje się ludności pozostałych części zaboru rosyjskiego, w porównaniu z jej własnym krajem, niby rajem wolności. Z Wilna jedzie się raz na rok do Warszawy, aby odetchnąć swobodniej przez kilka tygodni.

Kto pozna stosunki w tym »raju wolności«, może wnosić, jak się dzieje w tamtych prowincyach.

Zacznijmy od wychowania dzieci. Rodzice trzymają zarówno dziewczęta, jak i chłopców, o ile można, najdłużej w domu, zdala od szkoły, uczą ich sami lub przez nauczycieli, ażeby pierwsze wiadomości wpoić dziecku w języku i duchu polskim. Już z piersi matczynej ssie dziecko lekceważenie i namiętną nienawiść do wszystkiego co rosyjskie. Wszystko, co dziecię słyszy w pierwszych latach swego życia, potęguje jeszcze te uczucia. Mówią mu tyle szczytnego i dobrego o wysokiej kulturze i wielkiem męstwie rodaków, że mimowoli wszystko, co jest wielkie i szczytne, przypisuje ono Polakom. »Czyż to być może, żeby Kolumb nie był Polakiem?« zapytał w mojej obecności pewien chłopczyk swej matki. Natomiast z reguły wszystko, czego dziecko dowiaduje się o Rosyanach albo czego od nich doświadcza, jest złe albo zostaje mu przedstawione w niekorzystnem dla nich świetle. Rosyjscy oficerowie zachowują się w miejscach publicznych przyzwoicie; zazwyczaj spotyka się ich w pojedynkę, rzadziej po kilku. W wojsku rosyjskiem niema, jak w innych, zwyczaju, aby oficerowie przy spotkaniu salutowali się wzajemnie. Zachowanie się ich niema w sobie nic zuchowatego, raczej są oni do pewnego stopnia zażenowani, czując, iż nikt na nich, jako na przedstawicieli panującego plemienia, łaskawem okiem nie spogląda. Ale uniform jest tak niepopularny, że Po-

lacy tego skromnego postępowania nie tłumaczą szlachetnemi pobudkami; uważa się je raczej za objaw poczucia własnej duchowej niższości. A gdy się jeszcze zdarzy wypadkiem, że przy odjeździe z publicznego balu, powóz rosyjskiego jenerała naruszy kolej i zajedzie przed innymi, już w całej pełni budzi się w publiczności poczucie tego, że się żyje w kraju zdobytym przez wroga.

Jest, rozumie się, w Warszawie rosyjska kolonia, ale niema rosyjskiego »towarzystwa«, gdyż między przebywającymi tam Rosyanami, zachodzą zbyt wielkie różnice stanowe, które uniemożliwiają wszelką równość towarzyską. A rosyjscy urzędnicy cieszą się tutaj, jak zresztą i wszędzie, nieszczególną reputacyą. Należy przytem pamiętać, że porządniejsi Rosyanie nie przyjmują stanowisk urzędowych w Polsce, nie chcąc pełnić funkcyi tak znienawidzonych przez Polaków.

Przed kilkoma laty pewien rosyjski uczony został mianowany profesorem zoologii na uniwersytecie warszawskim. Oglądając po przybyciu uniwersytecki gabinet zoologiczny, zwrócił uwagę, że nazwy zwierząt na okazach były tylko w języku łacińskim i rosyjskim. »A po polsku?« zapytał. Wówczas rektor uniwersytetu objaśnił nowego profesora, że został on powołany do Warszawy nie w tym głównie celu, aby uczyć studentów zoologii, bo czy tam więcej lub mniej się nauczą, to rzecz stosunkowo podrzędna, ale przedewszystkiem po to, aby szerzyć rosyjską propagandę. Profesor zapytał jeszcze, kiedy odchodzi najbliższy pociąg do Petersburga i natychmiast opuścił Warszawę. Znany jest również fakt, że najlepsza rosyjska artystka dramatyczna oświadczyła, iż nie pojedzie z cesarską trupą na występy do Warszawy, dopóki się nie nauczy po polsku.

Ale to są wypadki rzadkie, wyjątkowo rzadkie. Natomiast częste są wypadki wprost przeciwnego gatunku, które dziecko każde codziennie widzi lub o których w domu słyszy. I dlatego nienawiść ku Moskalom staje się częścią jego natury.

Ale oto pewnego dnia dziecko to przychodzi do szkoły, t. j. zostaje oddane do rąk rosyjskiego państwa, rosyjskich nauczycieli. W domu ubierała je matka w strój narodowy, w którym nie wolno się pokazać na ulicy; w domu oglądało ono ryciny i obrazki, przedstawiające sceny z dawnej polskiej historyi, z epoki powstań w bieżącem stuleciu, z pobytu Polaków na Syberyi, — słowem poznało dokładnie cały żywot Polski. W szkole przyodziewają malca w rosyjski uniform, przemawiają doń tylko po rosyjsku, nie wolno mu wymówić ani słowa po polsku, nie słyszy on nic o Polsce, ani o polskiej literaturze, chyba jako o czemś zakazanem, złem. Wpajają tu w chłopca, że jest Rosyaninem i tylko Rosyaninem. Co za zamęt w duszy dziecięcej! Chłopiec zmuszony jest uciekać się do obłudy i skrytości. W duszy jego posiano już ziarna przekory i panowania nad sobą, fałszu i chytrości. I naturalnym biegiem rzeczy przychodzi teraz kolej na rozpaczliwe pytania, czy opór zda się na co, czy istnieje na świecie sprawiedliwość?

Szkoły są złe. Nauka wszystkich przedmiotów odbywa się w języku obcym, na poznanie którego traci się stosunkowo wiele sił. Ten przymus językowy budzi w uczniach pewną niechęć do nauki a w połączeniu z przekonaniem, że nauczyciel to człek obcy i wróg, w wysokim stopniu utrudnia ich postępy. Mała tylko ilość studentów rozumie i potrafi porządnie mówić po francusku; są wpraw-

dzie tacy, którzy uczą się gorliwie języka niemieckiego, ale większość z trudnością czyta książki w obcych językach, a wielu nie rozumie najprostszego zdania po francusku lub niemiecku. Zamożniejsi wyjeżdżają na studya zagranicę; jeżeli nie uda im się otrzymać pozwolenia władzy, wówczas udają się raczej do Petersburga. Tu są mniej krępowani i mają lepszych profesorów, aniżeli w Warszawie, gdzie uniwersytet znajduje się w stanie opłakanym.

Ponieważ uniwersytet ten za jednym zamachem przerobiono z polskiego na rosyjski, profesorowie, nie znający języka rosyjskiego, zażądali dymisyi. Niektórzy pozostali jednak, po większej części z pobudek patryotycznych. Zwolna przecież oczyszczano uniwersytet, zastępując polskich profesorów Rosyanami albo po rosyjsku myślącymi Polakami. Ogłoszono przepis, że każdy profesor po 25-ciu latach służby, idzie na emeryturę, jeżeli fakultet nie życzy sobie zatrzymać go nadal. Wybitnego Polaka nie zatrzymuje się nigdy. Tak, przed rokiem poszedł na emeryturę najlepszy profesor fakultetu lekarskiego Baranowski, z powodu podeszłego wieku, aczkolwiek nie liczył on więcej nad 50 lat i był w pełni swych sił umysłowych. Gdy obsadzano katedrę historyi literatury polskiej, pominięto Piotra Chmielowskiego, zasłużonego i gruntownego znawcę tego przedmiotu, a powołano niejakiego Wierzbowskiego, jako jedynego kandydata, który zgodził się wykładać w języku rosyjskim. To też musi on poprzestawać na trzech słuchaczach.

Sale wykładowe są tak szczupłe, że żadna nie mieści więcej nad sto osób i żadna nie jest nigdy pełna.

Studenci uniwersytetu muszą tak samo jak ucznio-

wie gimnazyalni, nosić uniformy i są pod ścisłym nadzorem. Nie wolno im, rozumie się, tworzyć żadnych korporacyi. Nie wolno im nawet na ulicy zbierać się gromadnie, a jeżeli schodzą się częściej w jakim lokalu prywatnym, po sześciu, siedmiu, to z pewnością ktoś o tem doniesie władzy i kara ich nie minie. Nikt niepostrzeżony nie może wejść do domu, ani zeń wyjść. Nikt nie ma klucza od bramy wchodowej, a żadna z instytucyi krajów północnych nie budzi takiego podziwu u mieszkańców zaboru rosyjskiego, jak ten właśnie klucz od bramy. »I rząd na to pozwala?« zapytują ze zdumieniem. Każdy, nawet właściciel domu, musi, wracając w porze spóźnionej do domu, dzwonić u bramy na stróża, który nie tylko czuwa nad bezpieczeństwem lokatorów, ale pełni ponadto funkcye policyjne.

Studenci są po największej części skazani na studya o własnych siłach, bez pomocy profesorów, ale i to jest utrudnione. Masa słynnych dzieł w językach obcych, zarówno jak i najważniejsze utwory literatury ojczystej są zakazane. Trzeba je przemycać z zagranicy, a wskutek tego są one o wiele droższe i, przedewszystkiem, niebezpieczne. Nic zatem dziwnego, że wśród inteligentniejszej młodzieży jest wielu z bardzo opozycyjnemi przekonaniami.

Nie znajdziesz między nimi n i h i l i s t ó w; ani nazwa ta, ani rzecz sama nie są w Polsce znane. Najpostępowsza młodzież dzieli się na dwie grupy. Jedna nosi nazwę demokratów, druga — socyalistów. Demokraci hołdują mniej więcej tym poglądom, których broni P r a w d a. Ale główne ich dążenia są nietyle społecznej i politycznej, ile czysto intelektualnej natury. Są to pierwsi wolnomyśliciele w bieżącem stuleciu w Polsce. Ponieważ zaś katolicyzm i władza

duchowna zdawna mają w Polsce oporę w arystokracyi, tej przedstawicielce narodowej tradycyi, ponieważ, dalej, prasa tej arystykracyi, zwłaszcza zaś dziennik Słowo, jest organem katolicyzmu, przeto idee wolnomyślne łączą się w jedno z demokratycznemi dążnościami i celami.

Młodzież, należąca do obozu demokratycznego, z zapałem krzewi w Polsce wszelkie współczesne poglądy i idee, teorye i dzieła. Nawet trywialne protesty Nordau'a znalazłyby chętnych tłómaczów, gdyby je cenzura przepuściła. Naczelny wódz tego stronnictwa, Świętochowski, to mężczyzna liczący około czterdziestki, przystojny, jasnooki, z wyrazem pewnej zaciętości w twarzy i głową prowincyonalnego Chrystusa, poeta i stylista, przedewszystkiem zaś charakter. Posiada on wielkie zdolności, jako polemista i pisarz tendencyjny, a wrodzony upór skłania go do częstych drobnych utarczek z przeciwnikami; brak mu przecież wdzięku i taktu. Za główne swe zadanie uważa on walkę z katolickiem duchowieństwem. Ale walka podobna jest w Polsce rzeczą jeszcze mniej popularną, niż gdzieindziej, ponieważ sprawa narodowa zdawna ściśle była tu złączoną z religią katolicką a odrębność religijna, wobec wielkiej jeszcze ciemnoty ludu, do dziś dnia stanowi bodaj że najobronniejszą twierdzę narodowości polskiej.

To też faktem jest, — aczkolwiek niektórzy temu zaprzeczają, a zwolennicy Prawdy niechętnie to słyszą, — że cenzura jest dla pisma tego względniejszą, aniżeli dla innych. Wolno mu takie rzeczy głosić, których się innym pismom zabrania, gdyż wszystko, co trąci kosmopolityzmem i podkopuje kościół katolicki, wydaje się Rosyi znacznie mniej niebezpiecznem, aniżeli narodowo-religijne dążenia. Dla Rosyi

zawsze jeszcze kościół katolicki jest wrogiem głównym i najniebezpieczniejszym.

Jest tylko jedna potęga, której Rosya boi się w Polsce w tym samym, a może i wyższym stopniu i z którą walczy; potęgą tą jest — rzecz dziwna — socyalizm.

Powiedziałem wyżej, że pewna grupa uczącej się młodzieży nosi miano socyalistów. Znaczna też część ludności robotniczej jest, dzięki wpływom niemieckim, socyalistycznych przekonań. Mojem zdaniem do tych t. zw. socyalistów należy cząstka młodzieży najlepsza, najwykształceńsza, młodzież najbardziej inteligentna i ofiarna. Są to po większej części młodzi medycy, posiadający gruntowne wykształcenie przyrodnicze i zwolennicy Karola Marxa, którego naukę znają z pierwszej lub drugiej ręki. Odczuwają oni żywo niesprawiedliwość obecnych stosunków społecznych. Zdaje im się, że gdyby nawet Polska *per impossibile* stała się wolną, zysk z tego byłby minimalny albo nawet żaden, jeżeli arystokracya i kler zachowają w swym ręku wpływ na sprawy społeczne a wyzysk proletaryatu przez kapitał nie ustanie. Socyaliści owi nie mają nic przeciw Rosyanom, jako takim, i snują nieokreślone jakieś marzenia o aliansie z rewolucyjnymi żywiołami Rosyi, których zresztą bliżej nie znają. W każdym razie pokutują oni srogo za te młodzieńcze i całkiem platoniczne sympatye dla socyalizmu. Każdy bowiem student, oskarżony albo podejrzywany o propagandę socyalizmu, zostaje zamknięty do cytadeli, choćby nawet nie popełnił żadnego karygodnego czynu.

Niebezpieczeństwo, grożące rządowi ze strony socyalizmu rosyjskiego, czyni dlań strasznym socyalizm polski.

Żaden wszakże Polak nie powinien narażać swej wolności i życia dla socyalistycznych ideałów. Trzeba bowiem w zasadzie uznać, iż słuszność mają ci, którzy twierdzą, że dla narodowych aspiracyi polskich socyalizm nie przedstawia żadnej realnej wartości, chociaż zapatrywanie podobne, o ile się je głośno wypowiada, zawsze — rzecz dziwna — jest dla socyalistycznie myślącej młodzieży jakby niespodzianką. Cóż jednak, mówiąc najtreściwiej, oznacza wyraz socyalizm? Oto bezpośrednie lub pośrednie wywłaszczenie prywatnych kapitalistów, bogaczy i właścicieli ziemskich na rzecz państwa! A w przekładzie na język polski i przy uwzględnieniu stosunków, które w Polsce panują i zapewne długo jeszcze panować będą, nie może to oznaczać nic innego, jeno wywłaszczenie polskich kapitalistów na rzecz państwa rosyjskiego. Ale z tem, co państwo rosyjskie raz do rąk dostanie, trzeba pożegnać się na zawsze. Trzeba dużo, co najmniej naiwnej wiary, aby, mieszkając w takiem mieście, jak Warszawa, gdzie niema samorządu miejskiego, a z podatków miejskich lwia część idzie do Petersburga, a drobna tylko cząstka obraca się na potrzeby miasta, aby wierzyć, iż cośkolwiek z wywłaszczonych bogactw dostanie się narodowi polskiemu.

Jedyna rzecz, którą polscy socyaliści z powodzeniem uprawiać mogą, to podjudzać robotników przeciw fabrykantom, budzić w nich niezadowolenie, organizować bezrobocia, które prawie zawsze jednak kończą się klęską robotników. Ponieważ wyborów nie ma tu żadnych i niepodobna wobec tego stworzyć rzeczywistej partyi socyalistycznej, więc każda akcya socyalistyczna na większą skalę jest niemożliwą, że

tu już pominę rozkładowe jej oddziaływanie na indywidualność narodową Polaków.

Te same względy, które powinny myślącego i przezornego Polaka powstrzymywać od wstąpienia do obozu socyalistycznego, chociażby teoryom socyalizmu hołdował, nie pozwolą mu również bez zastrzeżeń dzielić zapatrywań stronnictwa wolnomyślnego i postępowego.

Można być europejczykiem w każdym calu, brzydzić się owymi patryotnikami, których szowinizm narodowy jeno ogłupia, a jednak gwałtowną zagładę bogatej i cennej indywidualności narodowej uważać za klęskę dla całej Europy.

Mnie się zdaje, że w Polsce wszystkie inne sprawy winny być podporządkowane tej pierwszej i najważniejszej, którą jest zachowanie bytu narodowego. A w chwili obecnej, gdy bezwarunkowo nie wolno zakładać szkół polskich, ani szerzyć wśród włościan i małomieszczan oświaty narodowej, głęboka agitacya w duchu wolnomyślnym, zdążająca do podkopania powagi katolickiego kościoła, byłaby zarazem zgubną i dla polskich uczuć narodowych.

Jest wprawdzie w Królestwie wielu Polaków protestantów, jest dokoła w zaborze rosyjskim wiele gmin unickich, a ludność ich czuje się polską, ale dzieje się to tylko siłą starodawnej tradycyi. Gdyby się jednak już dziś udało doprowadzić szerokie masy do zerwania z tradycyą religijną, w obecnym stanie rzeczy równałoby się to zwycięstwu rusyfikacyjnych tendencyi.

Również mało racyonalnem jest nosić miano demokraty, skoro demokracya oznacza rządy ludu. Demokracya taka bowiem nie może mieć praktycznego znaczenia w kraju dopóty, dopóki arystokracya i lud w jednakim stopniu jęczą pod obcem jarzmem. De-

mokratom pozostaje więc tylko i wyłącznie walka z wpływem większych właścicieli ziemskich przy wyborach gminnych i wyborach zarządów w rozmaitych prywatnych towarzystwach. Działalność to z jednej strony zbawienna i pożyteczna, o ile budzi w szerokich kołach ludności samodzielność, ale, z drugiej strony, skutki takiej roboty są mocno wątpliwe, gdy ułatwiają Rosyanom pracę w kierunku złamania siły opornej klas wyższych.

Straszny to więc dla inteligencyi polskiej dylemat. Ma ona do wyboru: albo służyć ideom postępowym, dąc równocześnie na rękę swemu własnemu i najgorszemu wrogowi; albo też wybrać zastój i, utrzymując byt narodowy, pogodzić się z myślą, że naród, z którego było się i jest tak dumnym, pozostanie pod względem kulturalnym upośledzony i usunięty przez narody inne na plan ostatni.

Jest w tej sytuacyi coś prawdziwie tragicznego. Zmusiła ona wielu Polaków z kół najinteligentniejszych do obrony Okopów św. Trójcy, — jak to czyni hrabia Henryk w »Nieboskiej« Krasińskiego. Ludzie ci stoją na wyżynie spółczesnych pojęć i zapatrywań, ale milczą o tem. Są to ludzie niezaprzeczenie postępowi, a jednak jeżeli są członkami niemieckiego Reichstagu albo pruskiej Izby panów, to głosują bez wahania z Centrum. Znajdziesz między nimi i takich, którzyby z przyjemnością zasiedli do jednego stołu z posłami socyalistycznymi, a jednak oficyalnie gromadzą się pod sztandarem Windhorst'a. Umieją oni na pamięć całego Heine'go, a należą do stronnictwa katolickiego. Są to postępowcy i libertyni a, jako Polacy, uważają za swój obowiązek popierać Rzym. Takiej męki duchowej nie zna inteligencya żadnego innego narodu.

Z łatwością dostrzedz można, jak na wszelkic polach duchowego życia te swojskie albo niby-swo skie ideały tamują rozwój współczesnych pojęć i dą żeń. W malarstwie i rzeźbie nader długo królował patryotyczne alegorye i symbole, zamiast prawdy ży cia; w literaturze zbiera się pokłosie na niwie ro mansów historycznych à la Walter Scott. Sienkiewicz ów najwybitniejszy talent powieściopisarski wśród żyjących pisarzy polskich, rozpocząwszy działalność literacką od wybornych, zupełnie modernistycznych nowel, potem zbliżył się do partyi katolickiej i odda się pisaniu wielkich romansów patryotyczno-history nych w guście »Trzech muszkieterów«, z dalszym ciągami bez końca. Zamierzył on beznadziejnej te raźniejszości przeciwstawić obrazy z tej przeszłości gdy naród miał jeszcze byt niepodległy. Z upodoba niem kreśli tedy sceny z najnieszczęśliwszych czasów przedrozbiorowej historyi polskiej, aby tem przed stawieniem minionych ciężkich przejść wzmocnić w na rodzie wiarę, że Polska wyjdzie zwycięsko i z tej twardej walki, którą ma przed sobą. Ale to zatopie nie się w epoce, której pisarz z doświadczenia włas nego nie zna, to podporządkowanie sztuki celom postronnym tak ujemnie wpłynęły na artystyczną stronę utworów Sienkiewicza, iż stracił on najlepszych swych czytelników a historyczne jego powieści mają tylko przelotne powodzenie, jako narkotyki patryo tyczne.

Jak przekonaliśmy się wyżej, w Polsce znaczenie dążeń socyalistycznych, demokratycznych i wolnomyśl nych odmiennem jest, niż gdzieindziej. Tak samo i katolickie oraz konserwatywne tendencye mają tu szczególne piętno.

W niemieckiej, naprzykład, literaturze XIX-go

stulecia, katolickie tendencye romantyzmu zażarty toczyły bój z protestanckim kierunkiem dawniejszej literatury i z czysto pogańskimi prądami, współczesnymi romantyce. Ale w Polsce katolicyzm był w bieżącem stuleciu zawsze opozycyą, w ciągłej, niezmordowanej walce z władzą państwową, często owiany tą miłością prawdy, która wiedzie do wolności, i tym zapałem, który prowadzi do męczeństwa.

Są tu księża, którym władze duchowne pozwalają trudnić się dziennikarstwem, uczęszczać do teatrów brać udział w życiu towarzyskiem, gdyż wiadomo, że poświęcili się oni całkowicie dobrym uczynkom i pielęgnowaniu oraz szerzeniu języka polskiego w najodleglejszych zakątkach Polski. Patrzy się przez palce na chwilowe zaniedbanie przez nich obrządków kościelnych, ba! nawet wybacza im się pewną, że tak powiem, możliwą niezgodność ich postępowania z dogmatami kościoła, gdyż wiadomo, że są oni żarliwymi orędownikami katolicyzmu jako narodowo-polskiej potęgi duchowej. Stosunkowo niewinna obłuda, która niewątpliwie tych działaczy duchownych charakteryzuje, szkodzi im w oczach drobnej tylko mniejszości. Opinia publiczna jest po ich stronie.

Jak widzi czytelnik, według mego pojęcia rzeczy, cudzoziemiec przy ocenie wartości i uprawnienia różnych stronnictw i sił duchowych jedno tylko mieć może kryteryum. A mianowicie winien on je oceniać wedle ich mniejszej lub większej siły oporu przeciw zasadzie, zmierzającej do zniweczenia w jakikolwiek sposób indywidualności narodu, przeciw brutalnej i strasznej zasadzie azyatyckiego absolutyzmu. Dopiero, gdy grożące stąd niebezpieczeństwo będzie usunięte, może sobie Polska pozwolić na ten zbytek, żeby do różnych prądów tegoczesnych przykładać

nową i prawdziwą miarę. Ale póki tamta zasada tryumfuje, póty wobec niej ta rozdarta i zabita Polska będzie niewątpliwym reprezentantem ludzkości przednią strażą cywilizacyi nawet na tych polach, na których jej istota nie jest »moderne« — i póty też poszarpany od kul sztandar dawnej Polski, jej biały orzeł, będzie odwiecznym, jedynie uwielbienia godnym sztandarem wolności.

IV.

Na straży tego ruchliwego, to słabiej, to silniej tętniącego życia społeczeństwa polskiego stoi rosyjski system ucisku, system ciężki, działający z całym biurokratycznym aparatem, a mający karczunek i wytępienie narodowości polskiej na celu.

Dąży on nie tylko do tego, aby zdusić każdy wolniejszy objaw życia narodowego i nawet literackiego, ale usiłuje wyrwać całą polskość z korzeniem, zgnieść ją w zarodku i wyjałowić jej nasiona.

I nie dość na tem. System rosyjski boi się nawet wszystkich tych pyłków polskości, których pełne jest powietrze, które wiatr rozsiewa, a rzeka roznosi. Obawia się on wszystkiego, co jako śpiew, płacz lub wesele drga w przestrzeni, jako słowo z ust się zrywa lub barwa miła wzrok czaruje.

Na wszystko, choćby najbardziej powietrzne lub uduchowione, system ów ma swój zakaz. Na strój narodowy wymyślił on uniform, na śpiew nałożył milczenie, na wesele milczenie, na skargę milczenie, na słowo milczenie, a na wszystko, co tworzy się zagranicą i wewnątrz kraju, jest cenzura. Opasał on Polskę murem, który stara się zrobić tak wysokim, ażeby żaden ptak nie mógł ponad nim przelecieć,

i tak grubym, ażeby żaden prąd wolniejszy przezeń nie przeniknął.

Strój narodowy jest nawet jako kostyum maskaradowy zakazany, a użycie go na scenie w utworach historycznych jest również wzbronione.

Barwy i herby polskie są bezwarunkowo zabronione; nie wolno ich pozostawiać na fasadach starych budynków, ani na ramach starych obrazów. Śpiewy narodowe są tak surowo zakazane, że nawet po prywatnych domach rzadko je słychać, zwłaszcza, gdy zbierze się liczniejsze towarzystwo.

Śmiech wprawdzie nie jest zabroniony, ale Polacy sami się od niego powstrzymują. Słychać go tak rzadko, że gdy np. cudzoziemiec nocą roześmieje się głośno w towarzystwie z jakiego konceptu, stojący w pobliżu policyanci gromadzą się z wyraźnemi oznakami zdziwienia. Na ulicach Warszawy nie słyszałem nigdy śmiechu, chyba swój własny.

Milczenie i powaga — to dwa rysy, które przedewszystkiem zewnętrzne zachowanie się Polaków charakteryzują. Publicznie nikt tu nie okazuje swej wesołości.

Wejdźmy do wielkiej cukierni studenckiej naprzeciw uniwersytetu. Nie słychać tu głośnej rozmowy. Przejdźmy się po ulicach. Nigdzie żadnego krzyku. Nikt nie chce tu ściągnąć na siebie uwagi. Albo idźmy, naprzykład, na wielki bal publiczny, gdzie zbiera się wykwintne towarzystwo. Orkiestra grzmi, mazur ciągnie się już bez przerwy ze trzy kwadranse. Ale w jednym rogu sali w kole młodych oficerów stoi stary generał Krüdener, w kampanii tureckiej pobity pod Plewną, bo w najniestosowniejszej chwili i bez wszelkiej nadziei zwycięstwa kazano mu atakować nieprzyjaciela; w drugim rogu widzimy

pułkownika Broka, który, licząc zaledwie około trzydziestu lat, już został szefem tutejszej żandarmeryi, t. j. policyi politycznej, u innych oddziałów wojska nieszczególnej zażywającej opinii. Szef żandarmeryi jest jednak najznaczniejszą osobą w mieście, bodaj że posiada władzę większą, niż jenerał-gubernator, a od jego rozkazów niema odwołania. Mimowoli człek zadaje sobie pytanie, jakie to zalety wyniosły tego człowieka, w tak młodym wieku, na to wysokie stanowisko. Wzrok Broka wciąż błądzi po sali i nakłada jakiś tłumik na zabawę. Gdzie spojrzy, tam nastaje milczenie. A jednak ma to być w Warszawie jeden z bardziej ludzkich oficerów.

Przypominam sobie w tej chwili wielki raut w jednej z sal publicznych. Piękny był to widok, ale licha zabawa. Uzyskano nań pozwolenie ze względu na dobroczynny cel: dochód przeznaczony jest na jakieś schronisko czy też dom podrzutków.

Pod filarami sali siedzą wytworne i bogate damy, patronki rautu i rozdają wygrane na loteryi. Sala pełna jest młodych panien w najpiękniejszych toaletach; przychodzą one, aby się pokazać i przyjrzeć swym rówieśnicom. Tu mogą też one swobodnie porozmawiać z mężczyznami, których pragną ujrzeć, podczas gdy matki i ciotki zasiadły dokoła sali. Ale i tu bawią się nader powściągliwie. Musiano bowiem zaprosić jenerał-gubernatora, bardzo surowego i groźnego jenerała Gurkę i jego żonę, damę, która ani powierzchownością, ani dystynkcyą nie odpowiada wysokiemu stanowisku swego męża. Jenerałowa Gurko jest z pewnością jedną z najniepopularniejszych osobistości w Polsce. Opowiadają, że z iście kobiecym fanatyzmem służy ona sprawie rusyfikacyi Królestwa, a opinia publiczna jej to inicya-

tywie przypisuje wszystkie owe zarządzenia, które w ostatnich czasach tyle szkody wyrządziły polskim aspiracyom i interesom.

Stary arystokrata Ludwik Górski, zwany polskim papieżem, energiczny i wytrwały przywódzca stronnictwa katolickiego, musi, jako gospodarz rautu, podać ramię jenerałowej i oprowadzać ją po sali. Nikt jej nie pozdrawia, wszyscy mówią półgłosem albo odwracają się, gdy się jenerałowa zbliża. W następnej parze idzie jenerał-gubernator z panią Górską. Obie pary zamieniają tylko konwencyonalne frazesy po francusku. Jenerał Gurko jest mężczyzną krępym, średniego wzrostu, z rzadkimi włosami, długą, kędzierzawą i szpakowatą brodą i nieco zaczerwienionym nosem. Wyraz jego twarzy wcale nie zdradza tej odwagi i zręczności, któremi jenerał ma się odznaczać. W każdym jednak razie prędzej wygląda on na żołnierza, aniżeli na zarządcę obszernego kraju.

Jeszcze wspomnienie z wieczoru w domu jednego z przywódców arystokracyi. W kilku salonach zgromadzili się tutaj przedstawiciele prawie wszystkich najwybitniejszych rodzin polskich. Tam siedzi hrabina Platerowa, krewna słynnej Emilii; tu hr. Krasińska, żona krewnego Zygmunta, osoba wolnomyślnych przekonań a równocześnie nader gorąca patryotka; tam oto hr. Ostrowska, uważana za najpiękniejszą kobietę w całej Polsce. Zdawałoby się, że Polacy czują się tu, zamknięci w czterech ścianach, zupełnie swobodni. Ale niechno tylko cudzoziemcowi wyrwie się jakieś śmielsze słowo, zaraz ktoś z rodziny gospodarza, kładąc mu rękę na ramieniu, szepnie do ucha: »Nie tak głośno! Na krześle ot tam, tyłem odwrócony do pana, siedzi oberpolicmajster hr. Tołstoj, którego stryj mój musiał zaprosić«.

Albo idźmy na maskaradę, którą w czasie karnawału urządzają w gmachu teatralnym. Dochód z niej przeznaczony jest na kasę emerytalną artystów teatru. Zabawa zaczyna się tu o północy; wszystkie damy muszą mieć maski i domino, panowie są w stroju balowym.

Takie maskarady są w Warszawie już od dawna znane. E. T. A. Hoffmann jeszcze przed 80-ciu laty opisał szalone i świetne maskarady w owoczesnej żądnej zabaw Warszawie.

Cały dowcip maskarady polega na tem, iż damy mogą tu w oczy mówić mężczyznom, co chcą, zaczepiać ich, wyjawiać im ich sekreta, bez obawy, że będą łatwo poznane. Niemałą mają również wygodę z maskarady i pary zakochane, wyznaczając tu sobie schadzki. Znanego w towarzystwie mężczyznę zaczepi nieraz tuzin dam po kolei, a każda bierze go na spowiedź, z której niełatwo się wywinąć.

Na podobnej maskaradzie bywa niekiedy po kilka tysięcy osób i, rozumie się, tłok jest wielki, ale prawdziwego wesela ani śladu. Nie słychać muzyki ani śpiewu, ani śmiechu lub głośnej rozmowy. Zabawa przypomina raczej pogrzeb, albo, mówiąc dokładniej, cały szereg pogrzebów: rozmaite kondukty pogrzebowe posuwają się w obszernych salach cicho jeden obok drugiego.

Gdziekolwiek więc się obrócimy, wszędzie czuć się daje ucisk.

Przypominam sobie wielkie śniadanie u znanego przywódcy demokratycznej młodzieży. Byli tu tylko postępowcy i demokraci, w ogólności ludzie, którzy tradycye roku 1863-go pozostawili daleko, daleko poza sobą, a żaden z ich ideałów — rzecz to dla nich charakterystyczna — nie da się urzeczywistnić

wcześniej, niż za lat kilkaset. Zresztą panuje wśród nich dość znaczna rozmaitość. Są tu: polemiści, mizantropi, ludzie oryginalnie myślący i naśladowcy albo nawet zwyczajne paple, ale wszyscy prawie są dobrej myśli i przekonani, że świat da się przerobić, trzeba tylko umieć wziąć się do niego. Trafi się i arystokrata, który zapomocą bogatego ożenku wybrnął z długów i w cichości ducha jest równie radykalny, jak i reszta towarzystwa; zdarzy się także czasem jakaś figura à la Giboyer z rozczochraną brodą i długimi, rzucającymi się w oczy włosami, — to jegomość, który w zeszłym tygodniu po raz piąty wrócił z wygnania na Uralu, gdzie za każdym razem po kilkanaście miesięcy pokutował za swe socyalistyczne sympatye. Ogólna rozmowa jest tu, jak zresztą wszędzie w tym cichym kraju, rzeczą nieznaną. Prowadzą ją tylko półgłosem w małych grupach. A jakikolwiek byłby jej temat, zawsze w toku rozmowy uderza się, jak o mur, o te niezliczone przeszkody i zapory, które w tym kraju spotyka każde dążenie do jakiegoś ludzkiego celu. »Ma pan, naturalnie, słuszność«, powiada gospodarz do cudzoziemca, »w gruncie rzeczy nie mamy u nas w kraju ani demokratycznej, ani żadnej innej polityki, my mamy tylko blade kopie tego, co w Europie takie miano nosi«. Uwaga trafna, ale nie pocieszająca.

Taki sam nastrój zasadniczy, choć może z innym odcieniem, spotykamy u tej prawdziwej inteligentnej cyganerji, która się polityką nie zajmuje, a oddana jest całkowicie nauce i sztukom pięknym. Wstępujemy tu (rozumie się pod względem intelektualnym) w krainę skrajnej lewicy. Bodaj że nie spotkałem w Polsce bardziej interesującego kółka od tego, które zbiera się u krytyka artystycznego Antoniego

Sygietyńskiego. Razem z wysoce utalentowanym. ale, niestety, chorym malarzem Witkiewiczem jest Sygietyński przedstawicielem artystycznego radykalizmu w Polsce.

Wysmukły to i piękny mężczyzna, z długą, ryżą brodą i parą błyszczących, pełnych inteligencyi oczu. Wspólne sympatye artystyczne łączą go z wyznawcami tych samych zasad w sztuce, tak Polakami, jak i cudzoziemcami. W kółku Świętochowskiego toczyła się kiedyś rozmowa o sztuce, a pewien cudzoziemiec bronił tu sam jeden swego ujemnego sądu o współczesnem malarstwie polskiem. »Wasza sztuka«, mówił, »jest na zupełnie fałszywej drodze. Nie uwzględnia ona wcale życia. Wy malujecie tylko alegorye albo sceny rycerskie. Na waszych wystawach co drugi obraz przedstawia końcową scenę z piątego aktu przed zapadnięciem kurtyny. Wasz wielki nieżyjący idealista Grottger był poetą, a nie malarzem. Wasz wielki żyjący mistrz Matejko to krótkowidzący psycholog i także żaden malarz. Obraz, który na tegorocznej wystawie waszej otrzymał pierwszą nagrodę, przedstawiający katolicką alegoryę z aniołami u łoża chorego, jest wprost okropny«. — Ktoś z obecnych zapytał: »Czyż zdaniem pańskiem rzeczywiście niema u nas nic, coby posiadało jakąś wartość?« Cudzoziemiec odpowiedział: »Portrety Horowitza i obrazy Witkiewicza: ale najlepsza rzecz, jaką widziałem, to bezwątpienia album z rysunkami braci Gierymskich. Z wybitniejszych ich utworów wprost tryska talent; widać tu studyowanie natury i malarskie oko. Artysta widział i odczuwał to, co malował, a na taką pochwałę zasługuje rzadko który z spółczesnych polskich artystów«. Słowom tym towarzyszyły oklaski pewnego wyso-

kiego mężczyzny. Był to Sygietyński, który wydał album i opatrzył je tekstem.

Ale sztuka braci Gierymskich znalazła w ich ojczyźnie tak słabe uznanie, że wydawca albumu, zapalony wielbiciel nowych artystycznych kierunków, stracił na tem przedsiębiorstwie ośm tysięcy rubli. Wkońcu ogłosił, że dołącza je jako premium dla prenumeratorów Wędrowca, ale większość nie chciała albumu brać nawet za darmo.

W gronie ludzi, gromadzących się dokoła tego pisma, któremu niepodobna przepowiadać długiego żywota, jest pełen energii Witkiewicz pierwszorzędną siłą. Rzadko kto tak, jak on, umie chwytać cechy charakterystyczne obranego tematu. W gromadce tej widzimy dalej: młodych lekarzy, mechaników, historyków literatury, nowelistów jak Prus, bardzo zdolnych rzemieślników (jest tu pewien ślusarz, może najwytworniejszy znawca literatury w Polsce), malarzy, muzyków, amatorów sztuki, — zwolenników subtelnego radykalizmu.

Grupa Świętochowskiego jest, pomimo wysokiego wykształcenia pod innym względem, w swoich artystycznych zapatrywaniach przestarzałą. Ludzie, którzy do niej należą, mają wyborne księgozbiory, ale obrazów, zdobiących ich ściany, powstydziłby się pierwszy lepszy concierge francuski. Sam Świętochowski tworzy staromodne tendencyjne dramaty, jak np. Helvia lub Antea. Młodzież, która pisuje i rysuje dla Wędrowca, żyje w pokojach bez mebli, ale ma wspaniałe rysunki i malowidła na ścianach. To prawdziwi »moderniści« nietylko w swych poglądach, ale i w sposobie patrzenia na naturę i odczuwania jej. Są to prawdziwe dzikie wolne ptaki, że zaś les beaux esprits se rencontrent, więc też

jeden z tego grona, nawiasem mówiąc, najżywsze posiadający pióro, ożenił się z nadzwyczaj piękną dziką Indyanką z południowej Ameryki. Bardzo się ona do tutejszych stosunków nadaje, gdyż niepodobna było jej zaszczepić żadnego pojęcia o pieniądzach i ich wartości.

W kole tem panuje swoboda bohème'y, w sferze ducha czuć tu prawdziwy prąd wolnościowy, który napełnia płuca, — ale napełnia je w zupełnej ciszy, czyniąc jak najmniej hałasu. I tu zauważyć się daje niewidzialny ucisk z góry. I tu nastrój jest jakiś przytłumiony; tłumi go powaga, żal i cicha rozpacz nad tem, czy też uda się kiedyś dożyć lepszych czasów. Aby się ogłuszyć i zapomnieć, uciekają się tutaj do sztuki i nauki. A wszyscy ci młodzi ludzie, czy to pisarze, czy rysownicy, dziennikarze, lekarze, mechanicy i t. p. muszą, nie mówiąc już o walce o chleb powszedni, codziennie jeszcze wytężać siły w dwu kierunkach: przyswajać sobie najnowsze idee Europy i krzewić swe własne idee wśród swojskiego otoczenia.

V.

Gdy się w Warszawie schodzi ulicą Miodową od Senatorskiej, ma się po lewej pod Nr. 7 budynek, nad którego bramą widnieje rosyjski napis: »Komitet cenzury«... Wstępujemy na dziedziniec. Gdy wejdziemy na prawo w wązkie drzwi boczne, widzimy w sali ogromne kupy gazet i książek pod opaskami. To jest poczta dzienna.

Każdą gazetę wyjmują tu z opaski i przeglądają; co się nie podoba, to zamazują czernidłem. Każdą książkę otwierają i wertują. Przy posyłkach tego rodzaju nigdy nie można oznaczyć naprzód, kiedy dojdą do rąk adresata. Nieraz adresat otrzymuje 3, 4 numery gazety, a potem przez 4, 5 dni nie otrzymuje żadnego.

W innej sali przeglądane bywają czasopisma krajowe. Wskutek stosunków cenzuralnych prawie wszystkie pisma wychodzą wieczorem, mimo to jednak nie mogą korzystać z dziennej poczty zagranicznej, która po południu przychodzi na Berlin. Czasopisma wogóle są biedne; z wyjątkiem kilku stoją subwencyami ludzi prywatnych. Fachowi dziennikarze są zmuszeni pisać o tym samym przedmiocie do 4—5 rozmaitych dzienników, by módz wyżyć ze swego zarobku.

O godzinie 11-ej idą z biur redakcyjnych wszystkie korekty do cenzury. Cenzor kreśli, jak i co mu się podoba, odpowiednio do humoru lub do tego, o ile ma mniej lub więcej animozyi względem autora, o ile się spodziewa wydusić od niego mniej lub więcej, lub też o ile już jest mniej lub więcej przekupiony.

Prawie wszystkie artykuły, w których rzeczywiście coś powiedziano, obliczone są na to, by przy pierwszem czytaniu nie były rozumiane. Piszą je językiem abstrakcyjnym, niejasnym, dwuznacznikami. Czytająca publiczność jest już wyćwiczona w czytaniu między wierszami. Prawie wszystkie felietony są alegoryami: mówią jedno, a wyrażają co innego. Ponieważ słowa takie jak »wolność« i »ojczyzna« są na zawsze zakazane, rozumie się samo przez się, że ludzie uciekają się do rozmaitych opisów.

O godzinie 4-ej wracają korekty do redakcyi; co wykreślono, to musi być zastąpione artykułami rezerwowymi, które zawczasu zostały ocenzurowane i jako »michałki«, służące do zapełnienia luk, zawsze leżą w pogotowiu. Znowu w innej sali odczytują wszystkie obce książki, o ile one mogą być dopuszczone do sprzedaży w księgarniach. Dozwalają rozmaite rzeczy przyrodnicze Darwina, Häckla, nawet w tłumaczeniach, natomiast historycznych rzeczy mało.

Rozumie się, że książki, które się drukują w samym kraju, cenzurowane bywają nadzwyczaj surowo. Nawet klasycy starożytni podlegają kreśleniom. Był taki wypadek, że wiersz łaciński: *nec timeo censores futuros* — skreślono, ponieważ cenzor przetłumaczył go sobie: »nie boję się przyszłych cenzorów«, podczas gdy znaczenie tego wiersza jest: »nie boję się sądu przyszłości«. W dramacie, osnutym na dziejach polskich, przed imieniem Jagiełło skreślono tytuł

»król polski«, a napisano »książę«. Ba, nawet książki kucharskie cenzurowane bywają uważnie i tak skrupulatnie, że niedawno w jednej z takich książek skreślono zwrot: »gotować na wolnym ogniu« dla tego właśnie słowa »wolny«.

Dalej przeglądają rękopisy odczytów publicznych, teksty deklamacyi i pieśni koncertowych. Nawet jeżeli pieśń wyjęta jest ze zbioru wierszy, który już w rozmaitych nakładach dziesięć razy przechodził przez cenzurę, nie można jej śpiewać na wieczorze bez ponownego rozpatrzenia w cenzurze. Przeszłej zimy, gdy pewna artystka przy takiej sposobności oddeklamowała dodatkowo maleńki, niewinny wierszyk o matce i dziecku, czego nie było w programie, skazano ją na 100 rubli grzywny.

Tej zimy miałem sposobność poznajomić się z cenzurą bardzo z blizka. Chcąc się odwdzięczyć za grzeczności, jakiemi mię przed rokiem obsypywano w Warszawie, dałem przyrzeczenie, że przyjadę jeszcze raz i wygłoszę odczyt o polskiej literaturze XIX. w.

Zadanie to z rozmaitych powodów było nader trudne. Przedewszystkiem zachodziła trudność wewnętrzna — powiedzieć publiczności coś nowego o literaturze, którą ona zna lepiej, niż ja. A dalej trudności zewnętrzne. Na uniwersytecie warszawskim zakazano bezwarunkowo mówić o historyi i literaturze polskiej po r. 1500. Nawet w języku rosyjskim ani w duchu rosyjskim nie można tych przedmiotów poruszać. A wreszcie cała najlepsza część literatury polskiej XIX. wieku jest do skrajności patryotyczną, nawskróś wrogą rządom rosyjskim, a więc zakazaną.

Jak tu postępować przy omawianiu Mickiewicza »Dziadów«, gdzie przedstawiono życie uwięzionych

Polaków w Wilnie, lub Słowackiego »Kordyana«, którego osnową jest spisek na życie cara Mikołaja, lub całej produkcyi Krasińskiego, nie mówiąc już o lirykach wojennych i powstańczych, a jak znowu wogóle nie mówić o nich wcale?

Przedewszystkiem trzeba było wogóle otrzymać zezwolenie na przemawianie i to na przemawianie w tej materyi. Można było spekulować tylko na jedno — na to mianowicie, że osobistości decydujące w Rosyi bardzo nie lubią pokazać się wobec Europy barbarzyńcami. W połowie stycznia wniosłem do hr. Tołstoja, oberpolicmajstra warszawskiego, prośbę o zezwolenie na wygłoszenie kilku wykładów na cele dobroczynne. W połowie lutego przyszła odpowiedź; pozwolono mi wygłosić trzy wykłady w ciągu rosyjskiego lutego. Udałem się natychmiast do prezydenta komitetu cenzury p. Ryżowa i przedłożyłem mu prośbę co do cenzury owych wykładów, motywując ją zaproszeniem, które otrzymałem przed rokiem: »Przybądź pan jeszcze raz i wygłoś odczyt o naszej własnej literaturze!«

— A, więc pan chcesz przemawiać o literaturze rosyjskiej?

— Tym razem nie, ekscelencyo. Wszak ekscelencya wie, że tu przeważnie mówią po polsku i interesują się najbardziej tem, co napisano w języku polskim.

— A w jakim języku chcesz pan przemawiać?

— Po francusku.

— To dobrze, w takim razie możesz pan dużo powiedzieć. Będziesz pan przemawiał przed dobranem audytoryum. Inaczejby rzecz wyglądała, gdybyś pan chciał mówić po niemiecku; mamy tyle niewykształconych, niespokojnych głów, które rozumieją po niemiecku...

Ekscelencya przyrzekł mi szybkie załatwienie sprawy i dotrzymał słowa.

Dopiero teraz mogłem się wziąć do opracowania odczytów, a to szło bardzo pomału. Bywały dnie, kiedym pomimo wszelkiej pilności nie mógł nic a nic pisać, dnie, kiedym się napróżno wysilał na wyszukanie słów o podwójnem znaczeniu, obrazów, które, same przez się mniej wyraźne, mogły jednak przez audytoryum być zrozumiane, opisów przeźroczystych a zarazem takich, do którychby się nie można przyczepić. Na szczęście ten polski, na pół wschodni naród lubi styl bardziej obrazowy, niż rzeczowy i jest w tym względzie, tak samo jak i w wielu innych, przeciwny francuskiemu.

Zwolna wyćwiczyłem się w stylu rebusowym, pisałem tak, że zapomocą intonacyi lub pauzy można było zdaniu nadawać odmienny lub żywszy charakter, poruszałem się we mgle napomknień i domyślników. Wreszcie miałem gotowy pierwszy odczyt: po francusku w dwóch egzemplarzach i jeden egzemplarz po rosyjsku dla kuratora uniwersytetu. Opatrzyłem je potrzebnymi stemplami, pojechałem z pierwszym egzemplarzem do prezydenta cenzury i prosiłem go, by rozpoczął cenzurowanie. Wziąłem ze sobą księdza (zawsze dobrze jest mieć ze sobą księdza, bo ten ma wszędzie przyjaciół, a zwłaszcza w Polsce pośród wyższych polskich urzędników po biurach). Zdawało się, że wszystko pójdzie dobrze. Niestety jednak, Apuchtin nie chciał rozpoczynać cenzurowania tekstu rosyjskiego, dopóki nie będzie miał wszystkich odczytów naraz. Było mi to nie na rękę, bo z wykreśleń pierwszego odczytu chciałem zmiarkować, na co się mogę odważyć w następnych.

Teraz widać już było jasno, że rosyjski luty mi-

nie, zanim moje odczyty wrócą z cenzury. Przytem przekonałem się, że trzech odczytów będzie za mało dla wyczerpującego przedstawienia tematu, nawet jeżelibym każdy odczyt rozciągnął na dwie godziny. Poprosiłem tedy oberpolicmajstra, by mi pozwolił zamiast trzech wykładów mieć cztery i przedłużył termin poza rosyjski luty.

Na cztery wykłady nie chciano mi zezwolić. »Dlaczego?« pytam. »Bo trzy wykłady, to jeszcze rozrywka, a cztery, to już nauczanie«. Okazało się, że władze obawiały się, by pod formą odczytów na cele dobroczynne nie urządzono w ratuszu czegoś w rodzaju uniwersytetu polskiego, gdzieby jeden cykl wykładów w ten lub ów sposób był dalszym ciągiem innego.

Prócz tego trzeba było starać się o przedłużenie terminu. »Dlaczegóż pan nie wykłada w lutym? To pańska rzecz, jeżeli pan tego nie czyni«. Powoływałem się na trudności, jakie mi czyni cenzura. Tak, tak, tu trzeba uczynić co następuje: podać na piśmie prośbę do oberpolicmajstra, ten odeśle ją potem Apuchtinowi, Apuchtin wyekspedyuje ją do jenerała Gurki, ten, być może, zapyta się w Petersburgu, czy można zezwolić na przedłużenie terminu, i ostatecznie rzecz wróci znowu przez te same instancye. — A kiedyż należy spodziewać się odpowiedzi? — No, mniej więcej za pięć tygodni. — Ależ w takim razie już i marzec się skończy, a na pierwszego kwietnia (wedle rosyjskiej rachuby) muszę być w Kopenhadze. — Ha, to już pańska rzecz, władzy to wcale nie obchodzi.

Oczywiście władza ta nie bardzo pragnęła tego, by w Warszawie odbyły się wykłady o polskiej literaturze narodowej.

W tym czasie otrzymałem swój pierwszy odczyt

z cenzury. Obkrojono go znacznie: całe zakończenie, wynoszące kilka stronic, było przekreślone, wszędzie w tekście były też liczne kreślenia. Nawet znaną cytatę z Szyllera »żywy ma prawo« skreślono, słowa takie jak »résignation« i »tristesse« użyte dla charakterystyki literatury polskiej, zostały usunięte. Wyrzucono ustęp, gdzie była mowa o katolickiej religijności poetów. W innym ustępie, gdzie mówiłem o życiu, jakie opisuje Mickiewicz w swem najsławniejszem dziele, czerwonym atramentem zamazano słowa: »litewskie lasy, naturalne ramy tego życia«. W ustępie, gdzie napisałem: »Po raz pierwszy od podziału państwa«, wykreślono trzy ostatnie słowa.

Wpłynęło to na mnie o tyle zniechęcająco, iżem zobaczył, że z drugiego odczytu, najśmielszego, nie dużo pozostanie. Napisałem więc trzeci prawie bezbarwnie pod względem politycznym, religijnym i społecznym i starałem się, ilem mógł, zamaskować słabość treści jaskrawszym kolorytem przedstawienia i stylu.

Wtem cenzor mój, najbardziej znienawidzony z pomiędzy wszystkich cenzorów warszawskich, niejaki Funkenstein, nagle umarł. Dwa ostatnie moje odczyty znaleziono u niego pod poduszką — niepoprawione. W Warszawie wszyscy byli mi tak wdzięczni, jak gdyby istniał jakiś związek przyczynowy między moimi odczytami a nagłem ustąpieniem cenzora z jego dotczesnego stanowiska.

Od razu wszystko ułożyło się jakoś lepiej, była nadzieja, że dalsze odczyty traktować będą łagodniej. By skrócić całą procedurę, postanowiłem zwrócić się wprost do jenerał-gubernatora. Bohater z Tirnowa i wąwozu Szypki nie mógł przecież być tak małostkowym, jak pierwszy lepszy urzędnik policyjny

i podrzędni cenzorowie. W dzień audyencyonalny pojechałem do zamku jenerał-gubernatorskiego. Jest to stary zamek królewski nad Wisłą; niezmieniony na zewnątrz, tylko obrabowany ze wszystkich skarbów sztuki.

W przedpokoju — podłużnej sali — siedziało szeregami kilkuset petentów z prośbami pisemnemi. W dalszej sali, obszernej i pustej, z wielkiemi zwierciadłami i czerwonymi meblami, chodziły znakomitości miejskie, starzy senatorowie, starzy jenerałowie, prezes cenzury, prezes teatrów, wszyscy w uniformach i w trwożliwem oczekiwaniu. Pośrodku sali stał młody rosyjski oficer kawaleryi, adjutant Gurki, piękny i smukły; rozmawiał on z innymi Rosyanami płynną francuszczyzną z silnym rosyjskim akcentem, pobrzękiwał ostrogami i ćwiczył się w tanecznych zwrotach, marząc zapewne o balach dworskich w Petersburgu. Przedstawiłem mu swą prośbę o uzyskanie audyencyi. Odmówił mi bezwarunkowo. Audyencye zaczynały się o godzinie 1-szej, a teraz były cztery minuty po pierwszej. Na moją uwagę, że wcale nie żądam, by mię wpuszczono pierwszego, odpowiedział, że lista proszących o audyencye zamyka się zaraz po pierwszej i podaje się jenerał-gubernatorowi. Oświadczyłem mimo to, że nie pójdę i chcąc postawić na swojem i dotrzeć do jenerała Gurki, usiadłem spokojnie na sofie. Wtedy przystąpił do mnie jakiś Polak z wielkim orderem na piersi i zapytał, czy nie jestem na liście petentów, t. j. tych biedaków, którzy czekają w pierwszej sali. Gdym odpowiedział, że nie, przyrzekł, że mię wpisze na listę na pierwszem miejscu. W takim razie jenerał, skoro się załatwi z audyencyami prywatnemi i wyjdzie ze swych pokojów, zwróci się do mnie pierwszego.

Musiałem czekać przeszło trzy godziny. Wtenczas wyszedł jenerał ze swą świtą. »Pan chciałeś ze mną mówić? Czego pan żądasz?« Przedłożyłem mu swą prośbę, bym mógł w marcu mieć wykłady publiczne, gdyż luty prawie minął. »Mais c' est tout simple«. Oświadczyłem, żem napotkał przeszkody, które dla mnie są nie do przezwyciężenia. »Któż panu zabrania?« »Ekscelencyo! nie potrzeba zakazu. Potrzebuję tylko pozwolenia, a tego mi nie dają«. »No, dobrze, to ja panu pozwalam«. »Nie uwierzą mi, jeżeli nie przyniosę przynajmniej jednego pisanego słowa od Waszej Ekscelencyi. Mam tu prośbę na piśmie, adresowaną do Waszej Ekscelencyi — oto jest«. — Gurko wziął prośbę i mój ołówek i napisał ukośnie w poprzek całego papieru: »Rozkazuję. Gurko«. Główna trudność była więc szczęśliwie usuniętą. Lecz oto okazało się, iż nie można zapowiedzieć wykładów, gdyż rosyjski tekst jeszcze nie był wrócił od Apuchtina. Dwa razy prosiłem go o audyencyę prywatną i oba razy otrzymałem od jego głównego urzędnika odpowiedź, że p. Apuchtin przyjąć mię nie może, ale wykłady moje czyta sam z największem zaciekawieniem. To zaciekawienie byłbym mu chętnie darował, wydawało mi się ono złą wróżbą.

Wreszcie otrzymałem rękopis. Niczego nie skreślono. Tylko znaki porobione atramentem na marginesach zwracały moją uwagę na ustępy drażliwe dla rosyjskiego poczucia narodowego, naprzykład, gdzie było napisano, że Mickiewicz wywierał wpływ na pisarzy zagranicznych takich, jak Lamennais i Puszkin. Te znaki zdradzały wykształconego i bystrego czytelnika i musiałem uznać, że zadowolono się delikatnemi mrugnięciami tam, gdzie miano kreślić i zakazywać.

Teraz brakowało jedynie pozwolenia oberpolicmajstra hr. Tołstoja na rozlepianie plakatów. W Warszawie odczyty zapowiada się plakatami tak, jak przedstawienia teatralne, a nie zapowiedziami w pismach. Rozlepianie plakatów okazało się jednak zbędnem. Całe miasto wiedziało już o mych staraniach o uzyskanie pozwolenia na te odczyty, wszyscy tak byli zaciekawieni moimi wykładami o literaturze polskiej, że skoro tylko rozeszła się wieść, że pozwolenie od Apuchtina nadeszło, wszystkie bilety w liczbie 3600 (na trzy odczyty) w ciągu kilku godzin zostały rozkupione. A gdy rano przed pierwszym odczytem nadeszło pozwolenie na rozlepienie plakatów, już było ono najzupełniej zbyteczne.

VI.

Aby dać wyobrażenie, jak się pisze i mówi pod cenzurą, umieszczam poniżej kilka przykładów z mych prelekcyi.

Trzeba było dać poznać słuchaczom, żem zrozumiał treść niektórych książek, aczkolwiek nie mogłem nawet wspomnieć o nich wyraźnie. Nie można było np. przytoczyć sceny z »Dziadów«, gdzie męczeństwo Polski porównano z męczeństwem Ukrzyżowanego, ale można było o tem napomknąć. Powiedziałem więc na wstępie tak:

»Usłyszycie odemnie, jak wasza literatura z pierwszej połowy tego wieku odzwierciedla się w umyśle czytelnika europejskiego, jakie wrażenie odnosi z waszego życia umysłowego obcy, lecz przychylnie dla was usposobiony człowiek. A takim właśnie człowiekiem, i obcym, i przychylnym dla was, jestem ja. Nie interes ściśle artystyczny ani intellektualny ciągnie mię do tego tematu, ale głębsza ludzka sympatya. Jest w nim coś takiego, co nietylko zajmuje, ale chwyta za serce; nowoczesna literatura polska porusza uczucie w wyższym stopniu, niż większa część innych. Ma ona w sobie coś zamkniętego, niełatwego do przeniknięcia. Lub lepiej: jest ona równocześnie zamkniętą i otwartą, stosownie do punktu widzenia,

z jakiego na nią patrzymy. Podobna jest w tym względzie do znanego obrazu Gabryela Maxa: Chusta Weroniki — obrazu, którego pod względem artystycznym nie stawiam wysoko, bo to jest dzieło sztuczne, lecz nie dzieło sztuki, ale który wyraża dokładnie to, co mam na myśli. Na pierwsze wejrzenie zdaje się, że jest tam twarz trupia; oczy zamknięte, wyraz bez życia. Jeżeli jednak spojrzymy na obraz z odpowiedniego punktu widzenia, to twarz się nagle ożywia, oczy się otwierają i ze smętnym poważnym wyrazem zwracają się na widza«.

Wspominać wprost o rozmaitych powstaniach polskich było niepodobieństwem. Mogłem tylko wyrazić swe zdanie, mówiąc jak najogólniej o nastroju umysłowym po wielkich klęskach publicznych, po głodach, powodziach lub nieudałych rewolucyach. Tak samo niepodobieństwem było, omawiając »Króla Ducha« Słowackiego, powiedzieć wprost, że okrucieństwa, o których tam mowa, spełniane były rzeczywiście przez Iwana Groźnego. Opisałem to w sposób następujący. »Gdy w »Królu Duchu« bohater opowiada, że mieczem przygwoździł nogę starego pieśniarza do podłogi, a ten mimo to spokojnie wypowiadał dalej swe poselstwo, przypomina to anegdotę o Iwanie Groźnym«. W tej formie zdanie to przeszło przez cenzurę dla ustnego wykładu i nawet dla druku w odcinku »Gazety Polskiej«, dopiero w wydaniu książkowem inny cenzor to skreślił.

W »Dziadach« Mickiewicza w Improwizacyi Konrada jest miejsce, gdzie bohater, oskarżając Boga o nieczułość na jego cierpienia, w rozpaczy woła: »Krzyknę, żeś Ty nie ojcem świata, ale... carem!« Potrzebowałem tego wiersza w mym wykładzie i chciałem spróbować bodaj napomknąć o nim. Wprost

przytoczyć go z »Dziadów« było niepodobieństwem, nawet podać tytuł tego poematu było ryzykownie. Natomiast można było spróbować mówić o Konradzie, nie podając bliżej w jakim utworze występuje ta osobistość i przytoczyć miejsce trochę inaczej, niż ono brzmi w oryginale. Mogłem napewno liczyć na bardzo niewielką znajomość literatury polskiej u cenzora.

Postanowiłem tedy, mówiąc o zapatrywaniach rozmaitych poetów polskich na najwyższe zagadki bytu, użyć następującego zwrotu: »Na wzór dzikich ludzi, którzy w starożytności strzały z łuków swoich wymierzali przeciw sklepieniu niebios, kiedy się na bogów swoich gniewali, Konrad rzuca niebu te wyzywające słowa, które, zdaniem jego, iść mają z pokolenia w pokolenie: »Ty, Boże, nie jesteś ojcem świata, lecz jego...«

Tutaj zrobiłem pauzę. Literalnie cała szczelnie zapełniona sala drgnęła. Potem padło słowo: ...»tyranem« i wszyscy odetchnęli i spojrzeli po sobie. Ani jedna ręka nie podniosła się do oklasków. Po takim ustępie panuje zawsze cisza grobowa, by nie kompromitować mówcy. Natomiast sypią się rzęsiste oklaski w kilka minut potem przy jakiemś innem niewinnem porównaniu, a najsilniejsze oklaski zachowuje się na koniec, kiedy już nikt nie może skontrolować, co właściwie wywołało ten zapał.

Wspomniany wyżej ustęp należy również do tych, które cenzura puściła w odczycie i w felietonie, a skreśliła dopiero w odbitce książkowej. Ta ostatnia cenzura trwała nie mniej jak siedem miesięcy, i moja maleńka praca wyszła z niej okropnie pokaleczoną.

Jeszcze jeden przykład tego, na co pozwala cenzura, która, jak widać, mało zna Szekspira a na

symbolice wcale się nie rozumie. Miałem mówić o poetach wśród polskiej emigracyi. Porównałem ich z Hamletem i rzekłem między innymi, co następuje:

»Wszyscy ci poeci mają rysy, przypominające Hamleta. Od najmłodszych lat znajdują się oni w sytuacyi zbliżonej do jego położenia. Świat zachwiał się w swych podstawach, a ich słabe ramię ma mu przywrócić równowagę. Czują oni wszyscy, jak Hamlet, wewnętrzny żar młodości i całą swą niemoc. Wspaniałomyślni, szlachetnego rodu, widząc i pojmując całą okropność wszystkiego, co ich otacza, skłonni są zarazem do marzycielstwa i do czynu.

»Hamlet widział swoją matkę upokorzoną przez ukoronowanego zbója i mordercę, tę drogą matkę, którą on czci i kocha tak, jak żaden syn dotąd matki nie kochał. Dwór, stojący dlań otworem, wzbudza w nim takie same przerażenie, jak inny dwór (symboliczne przedstawienie dworu petersburskiego) w młodzieńcu z »Pokusy« Krasińskiego. Ci następcy Hamleta, jak on, bywają wysyłani do odległych krajów, jak on, ukrywają swe myśli pod szatą alegoryi i porównań i można zastosować do nich te wyrazy, które Hamlet sam o sobie wypowiada przed Laërtesem: Strzeż się, jest we mnie coś niebezpiecznego«.

Dziwnym trafem żadna z licznych cenzur, której przedkładałem moje prelekcye zarówno przed ich wygłoszeniem, jak i później przy druku w odcinkach gazety i w książce — nic nie miały przeciw tym słowom do nadmienienia.

VII.

Jednem z doniosłych następstw stosunków cenzuralnych w Polsce jest bezustanny niepokój w prasie, a stąd i w publiczności. Ponieważ nie można mieć zawsze pewnych wiadomości o tem, co się w kraju dzieje, a z drugiej strony niepodobna publikować tego, o czem się wie napewno albo wiedzieć zdaje, więc i miasto i kraj cały wydane są na pastwę plotek i pogłosek, w których odzwierciedlają się polityczne nadzieje i niepokoje Polaków. To mówią, iż ten lub ów dygnitarz jest odwołany, bo sam rząd uważa, iż ucisk jest zbyt ciężki; to znowu zdaje się, jakoby dał się czuć jakiś powiew liberalny i w przypadkowej opieszałości jakiegoś urzędnika upatruje się symptomata ulg i buduje na tem nadzieje, iż na przyszłość władze patrzeć będą przez palce na wiele takich rzeczy, które dawniej były zakazane. Innym razem krąży pogłoska, że rząd ma na warsztacie nowe, ciężkie dla Polski ustawy, że grożą jej nowe nieznane dotychczas niebezpieczeństwa. Społeczeństwo doznaje wciąż gorączkowych dreszczów, jak gdyby w febrze.

Łatwo zrozumieć, w jak wysokim stopniu taki ciągły niepokój powstrzymuje prawidłowy bieg i rozwój życia umysłowego. Tylko nauki ścisłe mogą tu

kwitnąć. Zwłaszcza wysoko stoi medycyna. Przez czas dłuższy pierwszym lekarzem polskim był sędziwy Dr. Tytus Chałubiński, którego już rysy twarzy zdradzały umysł genialny; po nim najwybitniejsze stanowisko zajmuje Dr. Baranowski. Literatura polityczna i historyczna pozostają, rozumie się, w tyle. W obecnej chwili niemasz w zaborze rosyjskim ani jednego pierwszorzędnego historyka. Śród historyków współczesnych zajmował niedawno zmarły Szujski jedno z pierwszych miejsc, a jako essay'ista europejską posiadający sławę Julian Klaczko: obaj żyli i pracowali w zaborze austryackim. W pracach historyczno-literackich przeważa kierunek trzeźwy i badawczy. Znać tu wpływ niemieckiej metody i niemieckiego stylu. Pierwszorzędny i znakomity badacz na niwie historyi literatury polskiej Spasowicz, będący zarazem jednym z najsławniejszych rosyjskich adwokatów, musiał, żyjąc i pisząc w Rosyi, z natury rzeczy, okazywać pewną powściągliwość, ilekroć potrącał o kwestye, mające pewien odcień polityczny. To też główne jego dzieło o historyi literatury polskiej jest mniej ponętne, niżby to być mogło w innych warunkach. Najgłośniejszy krytyk, profesor Tarnowski z Krakowa, to romantyk-akademik starej szkoły; przechyla on się w swych tendencyach coraz bardziej na stronę ultra-katolicyzmu. Ultramontanizm bowiem jest w Krakowie takim samym hamulcem postępu, jak ucisk rządowy w Warszawie. W odczytach swych w Warszawie wywiera Tarnowski wrażenie tylko czysto zewnętrzną stroną swego krasomówstwa.

Jest to w ogóle przesąd, któregoby się pozbyć należało, że surowy gwałt i ucisk czysto zewnętrzny nie są w stanie złamać i zniszczyć ducha narodu.

Cenzura to jeszcze w każdym razie najbardziej intelektualny z owych brutalnych środków, którymi mocarze w tym celu rozporządzają.

Bardziej dotykalnym i o wiele skuteczniejszym środkiem są konfiskaty. Po powstaniu 1863 r. skonfiskowano majątki ziemskie osób, które brały w niem udział albo podejrzane były o sympatyę i pomoc dla powstania. Znam potomka pewnego starego książęcego rodu litewskiego, który posiadał iście magnacki majątek, a obecnie po dwudziestoletnim pobycie na Syberyi zarabia na życie jako pomniejszy urzędnik bankowy. Znam również damę, dziedziczkę milionowego majątku, której go odebrano pod pretekstem, że włościanie w dobrach jej wuja dostarczali żywności oddziałom powstańczym.

Wpływ tych konfiskat nie sięga, rozumie się, zbyt głęboko, dopóki włościanin zostaje na roli i nie traci cech narodowych polskich. Ale Rosya wszelkimi sposobami stara się pozyskać chłopa. Rząd uwłaszczył włościan, choć stale przeciwdziałał wszelkim w tym kierunku reformom, gdy one, poczynając od Konstytucyi 3-go maja, wychodziły z łona samego społeczeństwa polskiego. Umiał wszelako rząd rosyjski na szeroką skalę korzystać z zadawnionej nienawiści chłopów przeciw panom. A gdy wylewy Wisły pustoszą kraj, pani jenerałowa Gurko rozjeżdża po nawiedzionych powodzią okolicach i szczodrze rozdając chłopom ruble ze szkatuły cesarskiej, żąda od nich w zamian za te dobrodziejstwa adresów dziękczynnych na imię cara, ich ojca, — i nieraz żądaniu takiemu staje się zadość.

Wygnanie na Sybir to również środek bardzo skuteczny. Wszak to rzecz niewątpliwa, że kwiat całego jednego pokolenia z najbliższej przeszłości

Polski, prawie wszyscy, co się wyróżniali męstwem, rozumem i szlachetnym zapałem, zmarli tam na wygnaniu, ci zaś, co stamtąd powrócili, wiele stracili pod względem intelektualnym, zatrzymując się nieraz na tym punkcie rozwoju, na którym stali, opuszczając Polskę. Dla przykładu wymienię tu dwu współpracowników Gazety polskiej: Henkla, który przykuty wraz z czterema innymi do drąga żelaznego, przez dwie zimy i jedno lato piechotą wędrował do Irkucka, gdzie pozostawał dziesięć lat, i Bogusławskiego, który tyleż czasu tam przepędził. Dzielne to siły literackie, ale niepoprawni romantycy. Nie zrozumieją oni nigdy »modernizmu« w życiu współczesnem.

Już sam brak wszelkich gwarancyi prawnych w życiu publicznem działa przygnębiająco. Przed kilkoma dniami powrócił z dwuletniego wygnania pewien młody człowiek. Wykroczenie, za które wycierpiał taką karę, polegało na tem, że kiedy Apuchtin został spoliczkowany przez pewnego rozgoryczonego studenta, ów młody człowiek złożył w redakcyi jednego z dzienników warszawskich 25 rubli na cel dobroczynny z powodu radosnego wypadku. Nie pomogło mu tłumaczenie, że właśnie przed dwoma dniami bratu jego urodził się syn; nie uwierzono, że to właśnie miał być ów radosny wypadek i skazano go na wygnanie. Pod względem fizycznym nic on nie ucierpiał. Wrócił, jak wielu Sybiraków, rzeźki i z rumieńcami na twarzy. Ale stał się nader ostrożnym i wstrzemięźliwym w całem swem zachowaniu i za nic nie chciał zapuszczać się w krytykę swego wyroku.

Gdy znany Szymanowski, poeta i redaktor Kuryera warszawskiego, leżał niedawno ciężko chory,

odwiedziłem go. Opowiadał mi o przestrachu, jakiego doznał, gdy przed kilkoma dniami ktoś w nocy zadzwonił do bramy. Przypomniała mu się bowiem noc pewna przed dziesięcioma laty, gdy w mieszkaniu jego zjawili się żandarmi, kazali mu wstać i wywieźli go na saniach. O co go oskarżono, nie wiedział. Rodzina jego dopiero po niejakim czasie dowiedziała się o miejscu jego pobytu. Wypuszczony na wolność po upływie kilku miesięcy, nie dowiedział się wówczas o przyczynie swego uwięzienia i nie wie tego do dziś dnia. A dodać tu muszę, że Szymanowski był przez całe swe życie przedstawicielem najspokojniejszego konserwatyzmu.

Pomyślmy sobie tylko, jak pod względem psychicznym taki stan rzeczy musi oddziaływać na młode pokolenie. Doszło już w zaborze rosyjskim do tego, że niejeden młody prawnik lub lekarz, z czysto polskiej rodziny, mówi lepiej po rosyjsku, niż po polsku, a nawet swym ojczystym językiem mówi z akcentem cudzoziemskim. Oto zdarzają się np. takie wypadki: Młodzieniec po ukończeniu gimnazyum pojechał na wyższe studya do Petersburga. Nie wyrzekając się bynajmniej swej narodowości, obracał się z konieczności w koleżeńskich kołach rosyjskich. Teraz wraca on do Warszawy, gdzie Polak nigdy nie przestaje z Rosyaninem, a przeciwnie, obie te narodowości ściśle są od siebie odgraniczone. Wydaje mu się nienaturalnem, gdy matka i siostra sprzeciwiają się jego zamiarowi złożenia wizyty jenerał-gubernatorowi. Te kobiety żywią inne, niż on, uczucia, przemawiają innym, niż on językiem. Życie i studya petersburskie przytępiły w nim nerw narodowego protestu. A przytem ma on i względy praktyczne na oku: jeżeli nie zrobi żadnych ustępstw, to napewno nie otrzyma

w Polsce żadnego, nawet najniższego urzędu i nigdy nie uda mu się mieszkać w jednem mieście z matką i resztą rodziny. Może on zostać sędzią w Kazaniu albo Rydze, ale nigdy w Warszawie.

Ucisk językowy jest również skuteczny. Gdy przed niedawnym czasem na prywatnym konkursie dramatycznym otrzymał pierwszą nagrodę Stanisław Kozłowski, powszechnie podnoszono z dumą i radością tę okoliczność, że laureat, młody 25-cioletni człowiek, wychowany w teraźniejszych rządowych szkołach Królestwa, pisze tak piękną polszczyzną, prawdziwą polszczyzną Słowackiego. Nie obcą jest tedy społeczeństwu obawa, że młodemu pokoleniu może coraz to trudniej będzie pisać nieskażonym językiem swych przodków.

Jak już wzmiankowaliśmy wyżej, pokusa do czynienia ustępstw Rosyanom jest wielką. Nierzadko również trudno przeprowadzić ścisłą granicę między tem, co rosyjskie, a tem, co polskie. Wprawdzie w towarzystwach nie przyjmuje się Rosyan, ale prawie niepodobna z nich wyłączyć tych jednostek polskich, które albo istotnie odznaczają się służalstwem wobec Rosyi albo tylko posądzane są o serwilizm. Polacy, będący na urzędach, są niekiedy tylko urzędnikami, lojalnymi urzędnikami. O niejednym, który chciałby uchodzić za polskiego patryotę, opowiadają, iż czynił nieudałe starania, aby uzyskać tytuł cesarskiego kamerjunkra. Niekiedy w jednej i tej samej rodzinie ojciec jest gorącym Polakiem, a syn politycznym indeferentystą, zatem raczej skłania się na stronę rosyjską. Niejeden, jak obecny prezes dyrekcyi teatrów, Gudowski, jest prawdziwą podporą tronu, chociaż syn jego zginął w ostatniem powstaniu.

Są też i granice, których bierny opór przekroczyć

nie może. Ponieważ teatr jest jedynem miejscem publicznem, gdzie rozlega się słowo polskie, zrozumiałą jest ta wielka obawa, którą społeczeństwo żywi wobec rosyjskich widowisk na scenie narodowej. Zdawałoby się, że gdy trupa rosyjska przybywa, to naturalnie, nie tylko Polacy przestają uczęszczać do teatru, ale i prasa polska milczy o tych rosyjskich występach. W rzeczywistości atoli rzeczy mają się inaczej. Wszyscy uczniowie gimnazyalni i urzędnicy otrzymują bilety darmo i muszą iść do teatru. Cenzura żąda, aby czasopisma omawiały występy trupy rosyjskiej, a gdy które pismo tego nie czyni, tłumacząc się np. tem, iż nikt z współpracowników nie umie po rosyjsku, cenzura zaczyna je specyalnie prześladować, kreśląc artykuły tak bezlitośnie, że redakcya musi ustąpić. W ten bezwzględny sposób łamie się natychmiast wszelki opór ze strony prasy.

I stale tedy grozi zaborowi rosyjskiemu to niebezpieczeństwo, że rząd pewnego pięknego poranku zamknie teatra warszawskie a gazetom nakaże wychodzić o podwójnym tekście: rosyjskim i polskim. Wówczas dnie ich będą policzone a język polski umilknie.

Nieszczęśliwa Polska tak się już stała słabą, iż cieszy się każdym bodaj najdrobniejszym objawem, świadczącym, iż pamięć o niej całkowicie nie wygasła. Radosny to np. wypadek, gdy polski śpiewak, tenor M i e r z w i ń s k i zwraca na siebie oczy Europy, bo przy tej okazyi i o Polsce przecież się mówi. Cieszono się również wyprawą do Afryki marynarza o polskiem nazwisku, R o g o z i ń s k i e g o (aczkolwiek — rzecz to komiczna — właściwie nazywał się on S z o l c!). A przecież nie mógł on najmniejszego nawet skrawka ziemi objąć w polskie posiadanie,

gdyż Polska nie egzystuje, a przytem jeszcze na rozkaz Bismarcka został pochwycony i wywieziony z Afryki na niemieckim wojennym okręcie.

Takie są zgubne skutki obcego jarzma.

A jednak taki konsekwentny ucisk przynosi przecież i pewien pożytek narodowości, którą chce zniweczyć.

Lud się budzi. Bez nauczycieli uczy się on na modlitewnikach czytać. Ze składek opłacają włościanie nauczycieli, którzy ich prywatnie dalej kształcą w zakazanym ojczystym języku. Zwłaszcza prześladowania religijne budzą u włościan uczucia narodowe i czynią z nich świadomych Polaków. Przed kulturkampfem nie czuł się lud w zaborze pruskim w tym stopniu polskim, co dzisiaj; tak samo oddziałały na unitów rosyjskie prześladowania. Gdy policya, jak to miało miejsce w bieżącym roku w Lublinie, występuje przeciw księżom unickim, w całej okolicy wzrasta i umacnia się poczucie narodowe.

Nie jest to również bez dobrych dla Polski następstw, że żaden prawie Polak nie może zostać urzędnikiem a żaden znowu nie chce być oficerem. Skierowało to Polaków na tak obcą im drogę handlu i przemysłu i wiele się przyczyniło do wytworzenia produkcyjnego i pracowitego stanu mieszczańskiego, oddziaływując jednocześnie niemało na podniesienie poziomu rolnictwa.

A jednak, jak zwykle, na te dobroczynne skutki obcego panowania zwraca się mało lub stosunkowo za mało uwagi w porównaniu z jego skutkami niszczącymi. Zdawało się, że przez 100 lat Polska podobnego ucisku nie wytrzyma. Ale gdy widzę, że naród polski, nie bacząc na takie trudności, jednak żyje i trzyma się zarówno na polu materyalnem, jak

i duchowem, gdy z interesem śledzę jego żywot w takich warunkach i duchowy rozwój, — mimowoli zadaję sobie pytanie, czy mój naród duński, którego los tak zazdrości godnym Polakom się wydaje, czy naród ten wedle sił i możności wykorzystał te zaiste niebiańskie warunki, w których mu żyć przychodzi? I zdumienie ogarnia człowieka, gdy pomyśli o tem, dokąd zaszli Polacy i porówna ich z Duńczykami. Ci ostatni posiadali wszystko, czego brak Polakom: niepodległość, konstytucyę, wolność prasy, słowa i stowarzyszeń, prawo szafowania pieniądzem publicznym, władzę państwową w ręku ludu, wojsko na swe usługi, wolny dostęp do morza i do wszelkich dobrodziejstw wolności, — a jednak prowadzili żywot stosunkowo tak ubogi zarówno pod względem treści, jak i formy, i pozwolili odebrać sobie tyle swych dawniejszych zdobyczy, bez żadnej w tem winy ze strony obcych!

Jakkolwiek sangwinicznym jest temperament Polaków, to jednak beznadziejne — na miarę człowieczą biorąc — położenie Polski przytłacza ich jak zmora. Niemasz bowiem dla Polski innego wyjścia, innych widoków na przyszłość, jeno te wysoce nieokreślone, które im otwiera możliwość wielkiej wojny między Rosyą z jednej, a Niemcami i Austryą z drugiej strony. Nie życzą sobie naturalnie Polacy zamiany jarzma rosyjskiego na niemieckie, bo choć to ostatnie jest bardziej ludzkie, ale natomiast, wydaje się ono o wiele niebezpieczniejszem i trudniejszem do zrzucenia. Nadzieje Polaków, o ile da się o nich powiedzieć coś określonego, obracają się raczej dokoła przyszłego wielkiego słowiańskiego mocarstwa pod kierownictwem Austryi, w którem Polacy posiadaliby jak najrozleglejszy samorząd. U inteligentniejszej i bardziej wyrobionej części społeczeństwa marzenia o przy-

szłości nie przybierają żadnych innych bardziej określonych kształtów.

Nie pomylimy się atoli twierdząc, że w wielkiej masie przeciętnej inteligencyi nadzieja odbudowania w niezbyt odległej przyszłości dawnego państwa polskiego żyje wciąż jeszcze, jak religijne wierzenie.

VIII.

W czasach tułaczki emigracyjnej wyrwały się pewnego razu Kraszewskiemu następujące słowa: »O ty kraino, która tyle wspomnień zachowasz o nas, gdy nas już nie będzie. O piękno ojczyzno i matko nasza! Kiedy żegnamy naszych przyjaciół, mamy nadzieję spotkania się z nimi w niebie, ale nigdy już, nigdy więcej nie zobaczymy twoich ukochanych krajobrazów, twoich lipowych alei, twoich małych wiosek, ruczajów i rzek, nigdy już twojej wiosny wieczyście młodej. Czyż niebo w istocie jest dość pięknem, abyśmy w niem o tobie zapomnieć mogli, a może u bram raju płynie źródło zapomnienia?«

W tych słowach naiwnie i po dziecięcemu wierzącego człowieka, który mówi »do zobaczenia« swym przyjaciołom, ale nie spodziewa się już nigdy oglądać swej ojczyzny, tkwi uczucie, które przy pewnem pogłębieniu obejmuje o wiele więcej, niż powyższe wyrazy.

Jak niezwykłe są w samej rzeczy narodowe zapasy Polaków, ich uporczywa, do ostatniego tchnienia i ostatniej kropli krwi walka o utrzymanie i rozwój swego języka i swych właściwości narodowych! Ileż męczarni ponoszą dla tego celu Polacy! Każdy z nich wie, iż umrze, ale chce mieć świadomość, że język

i naród polski żyć będą i wówczas, gdy on już nic o tem wiedzieć nie będzie. Pragną tego ci, którzy, wierząc w życie przyszłe, nie myślą jednak, iżby poza grobem używać mieli języka polskiego, jak zarówno i ludzie niewierzący, którzy dla swej własnej osoby nie boją się zupełnego unicestwienia, a lękają się nawet myśli o tem, gdy chodzi o cały naród, złożony wszak z osobników śmiertelnych.

Uczucie takie przypomina przerażenie, które ogarnia większość ludzi, gdy słyszą po raz pierwszy, że kula ziemska powoli stygnie i że kiedyś, w odległej przyszłości, lodowa temperatura uniemożliwi na niej wszelkie życie. Wszak wiedzieli oni zawsze, że każdy osobnik ludzki umrzeć musi, ale pragną, aby cały rodzaj ludzki nigdy nie wymarł. To wyobrażenie o zastygłej kuli ziemskiej niweczy wszystkie ich umiłowane alluzye o stałym postępie kulturalnym, ową religię postępu, którą żyje większość tych, co zerwali z wiarą objawioną. Niewielu bowiem tylko zrozumiało, że celem ludzkości nie może być jej koniec lub śmierć, o ile mieć ona jakiś koniec będzie, jeno największy rozwój indywidualności. Gdyby nawet rodzaj ludzki miał kiedyś wymrzeć, nie zmniejsza to jednak wartości prawdziwej kultury; niemniej jednak warto o nią walczyć. Wartość jej nie zależy od tego, czy przetrwa ona wieczność. Czy symfonia trwa krócej lub dłużej, to rzecz mniejszej wagi, chodzi o to, aby była piękną. Wartość jej nie ma nic wspólnego z czasem, który ona wypełnia.

Polacy znają fakta historyczne również dobrze, jak i my, wiedzą, że dla niejednego narodu i państwa po epoce rozkwitu przyszła chwila upadku, ale pomimo całego swego rozpaczliwego położenia nie chcą oni wierzyć, że los taki padł teraz na naród

i język polski. Chcą oni walczyć o swe życie narodowe, a jakikolwiek będzie rezultat tych usiłowań, przynoszą im one zaszczyt.

Niejeden, rzecz naturalna, nie może opędzić się wątpliwości, czy też uda się im wyzwolić z pod jarzma, opartego o taką potęgę wojenną, czy też uda się kiedyś znowu powołać do życia mocarstwo polskie i zbudować państwo z narodu, który już prawie stulecie nie rządził sam sobą. Natarczywie nasuwa się tu pytanie, które niegdyś (w przedmowie do powieści Cherbulieza p. t. *Ladislas Bolski*) sformułowałem w sposób następujący: Czy Polska jest ideałem czy też rzeczywistością? Nie mogła się ona utrzymać, kiedy miała jeszcze byt niezależny, czy można tedy odbudować ją teraz, po jej upadku? Czy ta Polska, dla której Polacy żyją i idą na śmierć, jest czemś więcej, aniżeli abstrakcyą i tworem wyobraźni? Czy cel ich wart jest ofiar? Albo też może właśnie tylko te ofiary nadają celowi jego wartość?

Cel, jak wszelkie cele ziemskie, jest ideałem, t. j. czemś nie-realnem. jest tylko wyobrażeniem pewnego dobra, chociaż ideał Polski ma naturę bardziej wyrazistą i uchwytną — niż inne. Władzy jego nad duszami polskiemi dowodzi siła, z jaką on pokolenie po pokoleniu zmusza do poświęcania dóbr materyalnych dla dóbr duchowych. Ofiary, które się na ołtarzu tego ideału składa, nie dowodzą wprawdzie jeszcze jego wartości. Ale ma on wartość wysoką, o ile kształci charaktery i rozwija talenta, a niewątpliwie rozbudził już wzniosłe myśli, wywołał bohaterskie czyny i zarówno bogatą, jak pełną znaczenia, literaturę. Jest on potężną siłą cywilizacyjną, bo wytwarza dumnych, wolnomyślnych ludzi.

Niezwykłym, zaprawdę, jest widok narodu całego,

przejętego takim ideałem, przeciw któremu wszystko się sprzysięgło, narodu, zdającego się walczyć z historyczną koniecznością swego upadku. Dążenia Polaków płyną nie tylko z instynktu samozachowawczego, ale wywołane są mniej lub więcej świadomem poczuciem tego, że wraz z każdą niknącą społecznością narodową, posiadającą swój wybitnie indywidualny charakter, życie na ziemi staje się uboższem w treść i mniej wielostronnem. Może te usiłowania są daremne, ale upadku Polski nie można utożsamiać z upadkiem Assyryi lub Egiptu w zamierzchłej starożytności, gdyż, biorąc rzecz politycznie, wobec Rosyi i Prus Polska oznacza wolność, sprawiedliwość, rozum, t. j. z jej losem związana jest kwestya, czy ideały te mają zwyciężyć czy też uledz, czy militaryzm czy też wola ludu mieć mają w chwili obecnej ostatnie słowo w dziejach ludzkości. Stanowcza śmierć Polski oznacza w zasadzie upadek wolnościowej i wolnomyślnej kultury w Europie. Po Polsce upadałby jeden wolny i niezależny kraj po drugim.

W miarę jednak tego, jak szerzy się kultura wolnościowa, musi również ustawać ucisk, który ciąży nad Polską, musi nastać chwila, gdy narodowość polska rozwijać się będzie i żyć życiem własnem. Już sto lat mija, jak Polskę ujarzmiły trzy wielkie mocarstwa, jak służy ona za kowadło dla potężnych młotów, których uderzenia nie są jednak w stanie jej zmiażdżyć. Ale chwila, gdy młoty skruszeją albo zniszczeje kultura, która była niegdyś chlubą zachodniej Europy, jest od nas o wiele bliższą, niż rok rozbioru Polski.

Nie możemy dotrzeć do istoty żadnej rzeczy. Nasze życie jest zjawiskiem, dokoła siebie mamy zjawiska i tylko zjawiska: jesteśmy wzajemnie dla

siebie tylko obrazami. Gdy umieramy, obraz nasz pozostaje w świadomości naszych bliźnich, bo też z całej naszej istoty on tylko tam się uprzednio znajdował.

Wiemy również dobrze, że ideały, które za dawnych czasów uznawano za własności pewnych istot nadprzyrodzonych, jako to: najwyższa wolność, najwyższa sprawiedliwość i t. d. są tylko pojęciami, które nigdy i nigdzie nie istniały oraz nigdy w zupełności nie będą urzeczywistnione. Wiemy, że byt ich zależy w zupełności od naszego sposobu myślenia i działania. Istnieją one o tyle, o ile je kochamy. Kochamy je zaś o tyle, o ile dla nich pracujemy.

Najwyższa miłość to cierpienie, które tylko nasza praca i życie dla tego, co miłujemy, uśmierza.

Że zatem całe duchowe życie Polski skupia się dokoła sprawy narodowej, nie jest to rzecz tak marna, jakby się komu zdawać mogło. Historyczny bowiem rozwój stosunków europejskich utożsamił kwestyę polską ze sprawą wolności w dziedzinie praw obywatelskich i w sferze duchowej, z prawem narodów do niepodległego bytu. Polska stopiła się w naszem pojęciu w jedno z nadzieją czy też iluzyą o postępie kulturalnym naszej epoki. Przyszłość Polski łączy się nierozerwalnie z postępem cywilizacyi, a zupełny jej upadek oznaczałby zwycięstwo nowożytnego militarnego barbarzyństwa w Europie.

Wrażenie trzecie.

(1894).

I.

Wyjechaliśmy z Warszawy po południu. Miasto omdlewało pod palącymi promieniami słońca; w cieniu domów zwolna przesuwały się postacie ludzkie; całe wojsko: piechota. kozacy, żandarmi przyodziani w białe płócienne uniformy.

W pociągu spotkaliśmy znajomych Polaków. Jedni powracali z wędrówki po Tatrach albo ze zdrojowisk czeskich, inni dopiero wyjeżdżali za granicę. Było też trochę letników z okolicy. W korytarzach wagonów tworzyły się grupy; wszędzie rozlegał się śmiech i żarty i czas upływał szybko.

W K. oczekiwały dwa powozy: jeden przeznaczony dla nas a drugi na rzeczy, i w piękny letni wieczór puściliśmy się tęgim kłusem po wybornych gościńcach wojskowych jeszcze z napoleońskich czasów, później po uciążliwych piasczystych drogach a wreszcie wjechaliśmy w niemającą, zda się, końca topolową aleję.

Franciszek opowiadał o jenerał-gubernatorze Królestwa polskiego. Gurko jest, oczywiście, przedewszyst-

kiem dobrym jenerałem: jako inteligencya stoi on znacznie niżej. Po swym apoplektycznym ataku musiał wyjechać za granicę. W każdej miejscowości, z której odjeżdżał, pozostawiał parę butów, będąc przekonany, że tylko pod tym warunkiem powróci żywy do tego samego miejsca. Franciszek zwrócił jego uwagę na to, że jeżeli nawet za pomocą pozostawiania butów można osiągnąć cel podobny, to w każdym razie należy wątpić w skuteczność takiego postępowania od chwili, gdy się buty pozostawia umyślnie. Ale Gurko odpowiedział, że jego doświadczenie każe mu tak czynić. Ilekroć życie jego było w niebezpieczeństwie, zawsze pozostawiał parę butów i w ten sposób rozmieścił w różnych okolicach Rosyi, Turcyi i Azyi nie mniej niż 112 par obuwia. — Gdzie więc zwykły śmiertelnik widzi bohaterstwo, tam w rzeczy samej działa może nieraz taka niezłomna wiara w cudotwórczą moc pary butów.

Jedziemy i jedziemy; na ciemnem tle nocy zaczynają błyszczeć gwiazdy. Mijamy nędzne miasteczka i jeszcze nędzniejsze wioszczyny, a w nich skromne białe dworki albo zwykłe drewniane chałupy, kryte słomą i wszędzie całe gromady bosych dzieciaków. Konie biegną szparko, a aleje topolowe wydają się bez końca. Jak daleko wzrok sięga, w promieniu kilku mil, ani śladu pańskiej siedziby. Zacząłem głośno powątpiewać, czy w ogólności istnieją jakieś Królewice. Zapewne objeżdżamy tylko okolicę i zdaje mi się, że nad ranem przejedziemy sobie lekkim kłusem przez B. i powrócimy na stacyę kolejową w K. Wielkie oczy pani Józefy wesoło błysnęły w ciemności, dwie młode panny, również zaproszone do Królewic, podzieliły moje powątpiewania, a rozmowa, zaczęta na ten temat, wprawiła nas w doskonały humor.

Posypały się ucieszne anegdoty i żarty, a rozbawiony powóz pędził poprzez wonne łąki i pola wśród aromatu cichej i jasnej nocy letniej, wioząc, jakby się zdawać mogło, tylko wesołych i szczęśliwych ludzi.

Nareszcie poza wielkiemi grupami drzew można było dostrzedz coś białego, a wkrótce widziałem już wyraźnie zarysy dużego, obszernego dworu i kontury rozległego ogrodu. Konie pędzą w cwał, powóz jednym skokiem przejeżdża bramę ogrodową i zatrzymuje się nagle. W rzęsiście oświetlonym przedsionku zgromadziła się na przyjęcie państwa cała służba w paradnej liberyi. Udajemy się do gościnnych pokoi a doprowadziwszy do porządku nasze toalety, o późnej wieczornej godzinie zbieramy się w sali jadalnej i zasiadamy do obiadu. Pięknie tu dokoła: na stole pełno kwiatów, wszystko odświętnie przybrane, wyśmienite potrawy i szampan krajowy, t. j. właściwie francuski półfabrykat, tu ostatecznie preparowany, bo od butelki gotowego szampana płaci się 2 i pół rubla cła.

Odkąd się wżyłem w tutejsze stosunki, znam okolicę wcale dobrze, a przyszło mi to tem łatwiej, iż żaden odgłos z Europy nie zakłócił naszej tutejszej ciszy. Od chwili mego przybycia na wieś nie udało mi się odebrać ani jednego listu, ani jednej gazety. Wszystkie moje gazety idą do cenzury, a listy zatrzymują w Warszawie. O tem, co się na świecie, t. j. w Danii, dzieje, wiem tylko z telegramów »Gazety polskiej«, a to chyba niewiele. Telegrafowałem, pisałem, posyłałem na pocztę do Warszawy, — wszystko to na nic, wszystko odbija się bez skutku od nieczułej biurokracyi rosyjskiej. Takiego idealnego bezprawia, jak z Rosyi, niema chyba nigdzie na świecie, ani nawet w Turcyi!

Gdy się wyjdzie z pięknego ogrodu, ma się przed sobą płaski i rozległy krajobraz. Bogato tu dokoła — wszędy pola zbożowe — i przyjemnie, bo czarne topole i brzozy, wierzby i lipy ocieniają drogę. Ale najpiękniejszą ozdobę krajobrazu stanowią obecnie potężne brogi żyta, ustawiane w nieznany u nas sposób, jak starodawne wieże, okrągłe z nizkim spiczastym dachem. Dach ten jest złotożółty, wieża koloru brunatnego, gdyż kłosy tak są ułożone, że widać je w przecięciu. W słońcu przedstawiają te brogi widok niezmiernie ożywiony. Zresztą urozmaicają płaski krajobraz tylko wiatraki, drzewa i tu i ówdzie, ale już w znaczniejszej od siebie odległości, kościółki lub lasy. Dokoła uwijają się dziewczęta w krasnych chustach na głowie i zgarniają zboże do kupy.

Wytworność i komfort wewnętrznego urządzenia domu nie da się wcale opisać. Jest to wpośród tego włościańskiego kraju prawdziwa oaza cywilizacyi. Wszystko nosi tu znamię najwybredniejszego, prawdziwie wyrafinowanego gustu, ale szczególnie raduje się serce na widok biblioteki, tak olbrzymiej, zajmującej i pięknie oprawnej, że niełatwo byłoby znaleźć podobny prywatny księgozbiór nawet w wielkich miastach. Każdy pokój ma swój styl właściwy, a dolna część domu łączy się z ogromną oranżeryą.

Choć rezydencya pańska przedstawia tu tak olbrzymi kontrast z otaczającemi ją chatami, gdy włościanin potrzebuje pomocy i rady, nie idzie po nią tutaj do księdza, zresztą bardzo dzielnego młodego duchownego (który był w Rzymie i mówi nieco po włosku). Udaje się on do dworu do »naszej pani«, a muszę zaznaczyć, że chłopi tu są tak nawskróś ludźmi i na tak nizkim poziomie moralnym, iż, czego

im nie dać darmo, to kradną. Kradną wszystko, co tylko ukraść można, poczynając od kur aż do narzędzi ogrodniczych i drzewa w lasach i to tem namiętniej, że pani Józefa wcale ich za to nie karze. »Wszak oni tacy biedni — powiada — to ich tłumaczy«.

Mamy tu upały, ale nie nazbyt wielkie; zresztą można dowoli używać kąpieli. Tylko muchy i komary dokuczają. Ażeby się od nich zabezpieczyć, wzięto się na dowcipny sposób, a mianowicie: w okno stawia się ramę z gęstą drucianą siatką i dzięki temu można siedzieć cały dzień przy otwartych oknach i korzystać ze świeżego powietrza, nie wpuszczając do pokoju dokuczliwych owadów.

Nigdzie, nawet w Holandyi, nie widziałem takiej, jak tutaj czystości. Pod tym chyba względem różnią się klasy wyższe najbardziej od ludu. Codziennie sprząta się w całym domu, a nawet po kilka razy na dzień kilku służących obchodzi jeden pokój po drugim i w krótkim przeciągu czasu doprowadzają wszystko do porządku.

Gości miewają często. Wczoraj było tu kilku malarzy Polaków, stale przebywających w Monachium. Przywieźli ze sobą świeżą woń sztuki i piwa z tej wielkiej wsi artystycznej. Dziś przybywa redaktor jednego z większych warszawskich dzienników.

Od czasu mego ostatniego pobytu w Królestwie ucisk rosyjski wzmógł się znacznie. Przedtem udawało się niekiedy otrzymać gazetę pod opaską bez cenzury, jeżeli była w języku, którego cenzura nie znała. Teraz, gdy jej nie rozumieją tutaj, to odsyłają gazetę do Petersburga. Figaro przychodzi do nas w ośm dni po wyjściu i to w znacznej części zamazany czernidłem, a często klerykalny ten i kon-

serwatywny dziennik bywa nawet zupełnie konfiskowany. W *La vie parisienne* znowuż zamazują gorliwie wszystko niezupełnie przyzwoite. Niewiele zatem pozostaje.

W chwili obecnej jest we Lwowie wystawa przemysłu i sztuki. Rząd rosyjski zabronił mieszkańcom swego zaboru brać w niej udział w charakterze wystawców. Rozumie się, że zakaz ten w wielu wypadkach ominięto. Naturalną rzeczy koleją powstało tu pytanie, czy pozwolą dziennikom i innym czasopismom pisać o wystawie. W ciągu pierwszego miesiąca nie wolno było o niej nawet zrobić wzmianki. Później pozwolono każdemu pismu umieścić cztery korespondencye ze Lwowa, każda co najwyżej o stu wierszach i tylko o dziale wystawy przemysłowym, nic zaś o sztuce. Korespondencye te mogły się pojawiać w odstępach dwutygodniowych.

Jeden z redaktorów opowiadał, że zimą wezwano go do oberpolicmajstra, który drżącym z gniewu głosem zapytał, co to ma znaczyć, iż w jednym z rękopisów przedłożonych cenzurze znajdują się trzy polskie litery: J. C. M., odpowiadające pierwszym literom tytułu cesarza. Co oznaczają te litery J. C. M.? — Naturalnie Jego Cesarska Mość, wszak jest to zwykle używane skrócenie. — Aha! Pan się poważasz tytuł Jego Cesarskiej Mości s k r a c a ć? Pan nie masz w swej gazecie m i e j s c a dla jego całego tytułu? Bądź pan zatem pewnym, że on dla pana m i e j s c e znajdzie — ale takie, które panu do gustu chyba nie przypadnie. Tymczasem zapłacisz pan 600 rubli kary za szkodliwą tendencyę pańskiego pisma.

Widziałem w Warszawie oburzające przykłady brutalności policyjnej. Przy każdej okazyi np. policyanci szturchają i biją pochwą szabli nieszczęsnych

dorożkarzy, czyniących i tak swym wyglądem i numerami, które im wiszą na plecach, wrażenie prawdziwych niewolników.

Na wsi lud jest przez ucisk zupełnie zgnębiony. W szkółce wiejskiej nauka odbywa się w języku rosyjskim, którego chłopi nie rozumieją. Ponieważ jednak nauka nie jest obowiązkową, do szkoły uczęszcza bardzo nieznaczna ilość dzieci. W sądownictwie wszystko prowadzi się również tylko po rosyjsku, za pośrednictwem tłumacza i w sprawach karnych oskarżony nie może skontrolować, czy jego zeznanie wiernie zostało sądowi przetłumaczone. Władze, gdzie się tylko daje, podjudzają włościan przeciw właścicielom ziemskim, a w sporach cywilnych sąd często wyrokuje stronniczo, na korzyść pierwszych. Pewien obywatel z okolicy wraz ze swym strzelcem złapał na gorącym uczynku czterech kłusowników w chwili, gdy ładowali upolowaną zwierzynę na wóz. Złodzieje wymknęli się z jego rąk, ale udało mu się zabrać płaszcz, który przedstawiony został władzy, jako dowód rzeczowy. Złodziejów uniewinniono, gdyż wobec ich gołosłownych zaprzeczeń, obywatel niczem nie udowodnił, iż zwierzyna, znajdująca się na wozie, była jego własnością. Natomiast skazano obywatela na dwa miesiące więzienia za »rabunek płaszcza«.

Tak to wymierza się tutaj sprawiedliwość, i ta pozostaje jedynie pociecha, że przecież mogłoby być gorzej. Więc cieszymy się, że to »gorzej« jeszcze nie nastąpiło i zawsze mamy jeden więcej powód do wdzięczności. Pewien człowiek patrzał w górę, gdy w tem jaskółka w locie spuściła mu coś na nos. — »Co za szczęście — rzekł sobie — że krowa nie ma skrzydeł!«

Umieją jednak Polacy wśród tych męczarni wieść

żywot jakiś niefrasobliwy, ot tak, jak amputowany, który jest żywym dowodem, że można być pozbawionym ręki, nogi albo utracić oko, a przecież być człowiekiem. Przypominają oni Ozyasza Rantzau, który posiadał już tylko niektóre części swego ciała, ale pomimo to nie stracił animuszu, ani humoru. Polacy muszą egzystować, pozbawieni wszelkiego życia politycznego, wszelkiej akcyi społecznej oraz jawnej pracy dla celów narodowych, ale zato z tem większem natężeniem żyją i poruszają się w tych ciasnych granicach, które im zakreślono.

Jest tu taka sama pełnia życia i odczuwania, co i gdzieindziej, tylko że to, czego nie można napisać ani wydrukować, wypowiada się ustnie.

Niebo jest w chwili obecnej tak czyste, jak na południu w dzień słoneczny, a widok, który się poza oknami rozpościera, ma pełno spokojnego uroku. Przedemną na ogromnym trawniku masa klombów z wysokopiennemi różami i błyszczącymi kwiatami pelargonii. Na tem tle pięknie odbija jeden krzak o iskrzących się białych liściach, a dokoła parku grupy wysokich starych drzew. Przed bramą stoi powóz czwórką zaprzężony; mamy bowiem pojechać z wizytą w sąsiedztwo.

Słowem, życie, póki trwa, jest piękne.

Mérimée zwykł był swój pogląd na życie wyrażać w następujących słowach. Pewien arlekin spadł z piątego piętra. Gdy przelatywał przed trzeciem, zapytał go ktoś, jak się czuje. »Wcale dobrze«, odpowiedział, »byleby tylko i nadal szło tak samo«.

Wiemy wszyscy, jak się taki upadek kończy; ale póki się jest w powietrzu, jakoś to jeszcze ujdzie.

II.

Około siódmej, gdy już upał się zmniejszył, prawie wszyscy wynurzają się ze swych pokojów. Jeden zabiera się do przejażdżki konno, inni idą w pole, starsi poprzestają na spacerze po ogrodzie. Wczoraj wieczorem, gdy nasz gospodarz zsiadł z konia na trawniku przed werandą, a panna Helena powróciła z ogrodu, gdzie toczyła się długa rozmowa o przyszłości rodzaju ludzkiego, o religii, moralności i miłości, pokazałem naszej gospodyni zeszyt *Revue de Paris*, w którym wydrukowano główną część znalezionego w Delfach hymnu do Apollina. Prosiłem panią domu by go zagrała i zaśpiewała, a ta, skończywszy, zawołała zdumiona: W a g n e r! Czysty Wagner! Powiedziałem, że utwór ten akurat takie same wrażenie zrobił na uczonym francuskim, który go opublikował i obojgu nam przyszło na myśl, że nie mały to jednak dla Wagnera zaszczyt, iż w tych z pod ziemi wydobytych melodyach starożytnej cudownej krainy piękna jest taka uderzająca analogia z jego muzyką. Gdyby tak Nietzsche dożył tej chwili, podobne odkrycie wywarłoby na nim z pewnością głębokie wrażenie, a jego krytyka Wagnerowskiej muzyki straciłaby jeden ze swych najsilniejszych argumentów. Boć dekadentyzm artystyczny w Grecyi

piątego wieku przed Chrystusem — to bezwątpienia sąd zbyt ryzykowny.

Ze starogreckiej muzyki rozmowa przeszła na starogreckie malowidła na wazach. Pokazałem paniom kopię jednego takiego malowidła, tem godnego uwagi, iż przedstawiona na niem Eos niosąca zwłoki swego syna o tyle wieków wyprzedza chrześcijańską *Mater dolorosa*. Rozprawialiśmy też o owym satyrze ze szczudłem, który się znajduje na jednej ze starożytnych waz i jest dowodem, że umiano już wówczas amputować nogi i zastępować je sztucznemi, aż, nakoniec, opuściliśmy Grecyę, aby mówić o Polsce, przejść od sztuki helleńskiej do malowideł Wewiórskiego na ścianach i sufitach. A potem zupełnie już od tych greckich nieszczęść i trosk zwróciliśmy się na pole nędzy bliższej, polskiej i wszelkiej innej spółczesnej.

We wszystkich wsiach dokoła sroży się cholera. Jest ona w B., jest w K.; z dziesięciu chorych z reguły umiera co najmniej pięciu. Na nieszczęście mamy w tym miesiącu bardzo wiele świąt. Wkrótce będziemy też mieli w naszej wsi odpust. W wiekach średnich miały jeszcze odpusty jakąś racyonalną podstawę, gdy kościół nakładał na grzeszników ciężkie kary (zabraniał np. jedzenia mięsa w ciągu pięciu lat, kazał nosić przez lata całe włosienice i t. p.). Z odpustem połączone było powszechne odpuszczenie grzechów, które, rzecz naturalna, kończyło się zabawą i wyuzdanem weselem. Dziś zniknęły surowe kary pokutne i tylko zabawy pozostały, a w chwili obecnej niemałe stąd grozi niebezpieczeństwo, bo na jarmark zwożą masy owoców, często niedojrzałych a i trunkiem pobożny tłum nie gardzi. Zwrócono się więc do proboszcza, aby u arcybiskupa wyjednał

odwołanie odpustu. Ale małą mamy nadzieję na pomyślny skutek, gdyż taka sama prośba gminy sąsiedniej spotkała się z odmową.

W zeszłym tygodniu przepędziłem dzień w Warszawie i byłem na audyencyi u Jego Ekscelencyi prezesa komitetu cenzury, p. Jankulio, przystojnego mężczyzny mieszanego pochodzenia, bo w jego żyłach ma płynąć krew grecka, żydowska i rosyjska. Jest to jeden z zaufanych rodziny Gurków, był przez czas niejaki sekretarzem jenerał-gubernatora i zrobił karyerę. P. Jankulio przyjął mnie z wyszukaną grzecznością; zapewniał, że pism i książek, które dla mnie nadchodzą, wcale się nie zatrzymuje między innymi już dlatego, że w cenzurze nikt po duńsku nie rozumie, że niezwłocznie wszystko mi nadeślą i t. d. Pomimo to, dopiero teraz, po upływie tygodnia otrzymuję duńską gazetę z 31. lipca, która ze stemplem petersburskiej cenzury dochodzi mnie 12. sierpnia. Wprawdzie Jego Ekscelencya kazał przywołać kilku ze swych podwładnych i żądał od nich wyjaśnień, ale widocznie źle został poinformowany o tem, co się w jego biurach dzieje. Urzędnicy cenzury warszawskiej, nie rozumiejąc po duńsku, bez ceremonii odsyłali wszystko do Petersburga, gdzie zawsze znajdzie się w cenzurze dość Finlandczyków, znających ten język. Gdy chodzi o kontrolę nad prasą zagraniczną, władze rosyjskie nie liczą się wcale z wygodą publiczności. Z czasopism wycina się całe artykuły; w pewnem piśmie francuskiem zamazano całą rozprawę o historyi anarchizmu i w ogólności wszystko, co się rządowi nie podoba ze względów politycznych, moralnych lub religijnych, doznaje takiego samego losu.

Trzeba przyznać, że Rosyanie nauczyli się spra-

wować władzę. Machina rządowa funkcyonuje doskonale, bez hałasu, nawet w ciszy grobowej, ale skutecznie. Minęły już np. czasy, gdy procesy polityczne odbywały się do pewnego stopnia jawnie. Teraz wszystko prowadzi się zupełnie inaczej i niewątpliwie roztropniej. Pewnego pięknego poranku o godzinie bardzo wczesnej osobę podejrzaną zabierają dorożką dwaj uprzejmi żandarmi. I od tej chwili jest ona *ni va ni su*. Nic, ale to literalnie nic nie można się o niej dowiedzieć, dopóki osoba ta nie powróci, j e ż e l i powróci. W sąsiednim majątku zabrano w ten sposób pewnego ranka młodą dwudziestoletnią pannę. Na rozpaczliwe pytanie: z a c o, rodzice nie otrzymują żadnej odpowiedzi; żandarmi nic nie wiedzą, spełniając tylko otrzymane rozkazy. Każą więc rodzice zaprzęgać, przybywają do Warszawy prawie równocześnie z córką i udają się natychmiast do właściwej władzy. Ale dowiadują się tylko tyle, że córki już niema w Warszawie i dopiero po upływie pół roku powróciła ona z Pietropawłowskiej twierdzy w Petersburgu. Aresztowano jej kuzyna za przechowywanie masy zakazanych książek. Na zapytanie, skąd je otrzymał, aresztowany uporczywie odmawiał odpowiedzi. Ale środki badania zastosowane przez żandarmów, a między innymi ciągłe budzenie więźnia w nocy, nareszcie osiągnęły skutek i rozwiązały mu usta. Powiedział więc, że jedną z książek otrzymał od kuzynki. Ponieważ jednak nie miano przeciw niej nic więcej, puszczono ją tym razem na wolność. Później znowu aresztowano tę samą pannę za uczestnictwo w owej szalonej procesyi żałobnej, którą młodzież urządziła na ulicach Warszawy w stuletnią rocznicę jutrzni warszawskiej z r. 1794. Po nabożeństwie w kościele młodzież wyszła gremialnie z za-

miarem złożenia wieńca przed domem niegdyś Kilińskiego, który wówczas powołał lud do broni, ale policya otoczyła uczestników manifestacyi i zaaresztowała około 300 osób. Wszystkich, a w tej liczbie i wzmiankowaną wyżej panienkę, skazano na wysłanie do odległych gubernii Rosyi lub na Sybir.

Pewien student, aresztowany przed kilku laty, jako jeden z socyalistycznych przywódzców, po uwięzieniu zniknął bez śladu tak, że jego brat, pomimo najrozmaitszych poszukiwań i próśb, nie mógł się nawet dowiedzieć, czy więzień pozostaje przy życiu, czy też został powieszony. Czasy, gdy egzekucye wykonywano publicznie, dawno już minęły. Teraz dzieje się to potajemnie, w murach więzienia a w twierdzy Pietropawłowskiej, jak mówią, nawet nie prowadzi się listy ofiar. Wszak odbywa się tu wszystko tak łatwo — wszak tyle wody płynie dokoła wyspy!

Nie da się zaprzeczyć, że Rosyanie jako kasta panująca nie znają żartów. Uwięziono tu czterech oficerów gwardyi za prowadzenie rewolucyjnej propagandy między podwładnymi. W jednej z zabranych u oficerów książek rewolucyjnej treści, wydanej za granicą, znaleziono bilet świadczący, iż książkę tę otrzymał aresztowany od pewnego swego krewnego, sędziego pokoju. Naturalnie, uwięziono tego ostatniego, a ten przy indagacyi zeznał, że książkę nabył z ciekawości, pragnąc ją przeczytać, nie podziela jednak wcale poglądów w niej zawartych. Czterech oficerów, rozumie się, rozstrzelano, a sędziego pokoju skazano, ni mniej ni więcej, tylko na powieszenie.

System podobny ma tę dobrą stronę, że wyklucza próżność, jako motyw przestępstw politycznych. Żadnemu pismu nie wolno wymienić nazwiska przestępcy, ani też pisać o jego aresztowaniu, a tem

mniej wspomnieć o jakichkolwiek okolicznościach, któreby tenże mógł podnieść na swoją obronę. Znika on cichaczem, a żadna gazeta nie zajmuje się jego osobą. Gdyby system taki stosowano we Włoszech lub Francyi, ilość morderstw anarchistycznych zmniejszyłaby się z pewnością znacznie. Nie da się wszelako zaprzeczyć, że z drugiej strony system ten ma pewne niedogodności.

W ostatnich latach rząd z daleko większą, niż dawniej, surowością ściga rozpowszechnianie niecenzuralnych książek, których też prawie niepodobna tu dostać, gdyż księgarze obawiają się je sprowadzać. Ani jedno np. z dzieł, które od ostatniej mej bytności w Królestwie wydałem za granicą, nie dostało się tutaj. Dawniej można je było zawsze sprowadzać za pośrednictwem księgarni.

Szczególniejszy kontrast z tą surowością stanowi uprzejmość i dobry ton tutejszych rosyjskich oficerów. U rosyjskich oficerów gwardyi — a w Warszawie stoi prawie sama tylko gwardya — nie spotkasz się nigdy z owem nadmiernem poczuciem godności własnej i wyniosłem obejściem, któremi odznacza się stan oficerski w Prusiech. Przeciwnie: uprzejmość, skromność niemal, oraz najlepszy ton towarzyski cechują oficerów rosyjskich. A ta ich ludzkość przejawia się nie tylko w formach zewnętrznych. Dwaj wysocy dygnitarze i zarazem oficerowie, którzy mogliby wielce szkodzić społeczeństwu polskiemu: szef żandarmów jenerał Brok oraz oberpolicmajster jenerał Kleigels, cieszą się właśnie pewną popularnością wśród mieszkańców Warszawy. Ich raporta są zazwyczaj trzymane w tonie bardzo łagodnym. Surowość, z jaką rząd występuje, nie zgadza się z ich poglądami. Ale muszą oni ulegać rozkazom, które otrzymują z góry!

W postępowaniu tutejszych oficerów niepodobna dostrzedz nawet żadnej skłonności do traktowania Polaków jako narodu ujarzmionego. Nie brak też wypadków, gdy korpus oficerów w sprawach politycznie drażliwych objawia pełne szlachetności poczucie honoru. Niedawno mieliśmy uderzający tego przykład. Syn jenerał-gubernatora, oficer gwardyi, zobaczywszy u jednego ze swych kolegów niecenzuralną jakąś książkę, zapytał go, skąd ją wziął. Ten wymienił nazwisko jednego z księgarzy. Nasz oficer udaje się tedy do owej księgarni i żąda tej książki.— Odpowiadają mu, że jest ona w Rosyi zakazaną. — Na natarczywe żądanie oficera księgarnia podejmuje się dostarczyć mu owego dzieła w przekonaniu, że do syna jenerał-gubernatora nie stosuje się chyba zakaz powszechny. I rzeczywiście, w kilka tygodni później młody Gurko otrzymał żądaną książkę i natychmiast doniósł władzy o nazwisku księgarza, którego też zaraz uwięziono. Wówczas wszyscy koledzy Gurki, oficerowie z tego samego pułku, zażądali, aby donosiciel wystąpił z pułku, w przeciwnym zaś razie prosili o dymisyę. Nie dano im zrazu żadnej odpowiedzi, ale oficerowie tak uporczywie i długo obstawali przy swojem, że wkońcu porucznika Gurkę uwolniono z pułku, przenosząc go zresztą równocześnie do jeneralnego sztabu.

Minęła już pora nadzwyczajnych upałów, gdy człowiek jedyne wytchnienie znajdował w wielkim budynku kąpielowym w parku. Ilekroć doń wchodziłem, zawsze przypominał mi się pierwszy akt z »Walkiryi«. Budynek ten stoi wśród potężnych drzew, a cztery z nich przez jego dach strzelają w górę ku niebiosom zupełnie tak, jak wielkie drzewo w domu matki Zygfryda. Temperatura spadła teraz

o tyle, że można rozejrzeć się po okolicy i uwzględnić zaprosiny sąsiadów. Z powodu złych dróg jedziemy zawsze czwórką; inaczej niepodobna. Wszędy dokoła jest niemało oryginalnych mężczyzn i godnych uwagi kobiet.

III.

Panuje tu tak głęboki spokój, jaki tylko daleko, bardzo daleko od stacyi kolejowych i miast znaleźć można. Żaden dźwięk nie narusza ciszy nocnej; tylko co kwadrans grzechotka oznajmia, że stróż nocny czuwa. Ale ja nie słyszę jej nigdy, bo w tej ciszy spi się mocno. To też gdy się położę do łóżka, budzę się dopiero rano, gdy Władysław przynosi mi odzienie i otwiera w mym pokoju okiennice i okna. Władysław jest rodem z Litwy; ma lat trzydzieści i jest przeznaczony do obsługi mojej osoby. Prawdziwa to perła między służącymi; drobny, a silny i sprytny, pełen polskiej zwinności i nad wyraz inteligentny. Mówi on bardzo dobrze po francusku i włosku, gdyż spędził z pewnym polskim hrabią pięć lat we Florencyi, a dwa lata z Franciszkiem w Paryżu. Jego francuszczyzna nie zawsze jest poprawna, ale pełno w niej obrazowych zwrotów. Powiada on np.: »*Il mouche fort aujourd'hui*«, co ma znaczyć, że dziś jest wiele much. Władysław mówi po polsku, jak rodowity Polak, rozumie też po litewsku i rosyjsku. Ja w porównaniu z nim jestem zupełnym nieukiem. Wprawdzie znam język niemiecki, ale za to on umie golić. Rozumiem ci ja trochę po angielsku, ale znowuż on potrafi mój t u b utrzymać na wyprężonej

ręce. W Paryżu mógłby, wedle potrzeby, być tłumaczem, fryzyerem albo garsonem. Trochę mniej dobroduszności, a byłby zeń istny Figaro.

Miło jest po przebudzeniu dać spocząć oku na tych pięknych trawnikach i grupach drzew. Im dłużej człowiek był skazany na życie w mieście, tem dobitniej odczuwa to obcowanie z naturą. Gdy rozjeżdżam po tutejszej okolicy i po silnej, słodkiej woni miarkuję, że zbliżam się do kwitnącej koniczyny, każę koniom iść stępa, aby nic z tego aromatu nie utracić. Kto nie jest przyzwyczajony do błąkania się po polnych dróżkach, interesuje się każdem ptasiem piórkiem, które znajdzie na drodze i każdą roślinę bada z ciekawością herboryzującego gimnazisty. Przed południem zazwyczaj błąkam się sam, bo innym jest za gorąco. Ale wieczorem spacerujemy wszyscy razem i za każdym razem gdzieindziej. Codzień widzimy tę samą scenę: zachód słońca, zmrok, na widnokręgu ukazuje się czerwony księżyc przeistaczający się w błyszczące złoto i codzień ma to dla nas jednaki urok. Nastrój wszakże i rozmowa zmienia się każdego dnia, stosownie do tego, jakiej towarzyszy się damie. Wczoraj cisza była w przestworzu niezmierna i zmrok zapadał szybko. Z pól świeżo skoszonych szła po deszczu woń szczególnej mocy a księżyc w pełni rozsiewał jakiś hypnotyzujący blask. Młoda panienka, moja towarzyszka, półgłosem deklamowała pierwsze zwrotki jednej z poezyi Kistemaekers'a:

J'aime la nuit,
la nuit des rèves
aux heures brèves.
Quand l' astre luit
sur champs et grèves.
j' aime la nuit.

Quand la nuit dort
dans le silence.
la lune lance
sa clarté d'or,
qui se balance,
quand la nuit dort.

Dziwnie harmonizowały te wiersze z nastrojem owej nocy letniej.

Tak płyną dni jeden za drugim, dni monotonne, będące tylko szeregiem obrazów natury i rozmów i nawet się zapomina, czy to wtorek, czy piątek. Z takich dni tworzą się bezimienne tygodnie, w których tylko niedziela da się wyróżnić, bo wtedy w południe głośne tony dzwonów wzywają na mszę.

O, te dzwony kościelne! Co wieczora około godziny 9-tej rozlega się ich głos, ale wnet trwożliwie milknie. Gdy władze rosyjskie zapytały, co znaczą te urwane dźwięki, powtarzane codziennie, dano im jakieś wykrętne objaśnienie. W rzeczywistości zaś dzwony biją na cześć Polaków, poległych w walkach za wolność ojczyzny. Kilka tylko tonów i to stłumionych, jak gdyby tajemny apel i przypomnienie. Ale żadne bicie na trwogę nie osiągnęłoby tego, co one, skutku na całej przestrzeni kraju, zarówno w stolicy, jak i w najmniejszym kościołku wiejskim.

Łatwo daje się człek omotać tej jednostajności życia na wsi, wśród ciszy i dobrego, czystego powietrza. W pobliżu, w S.. sroży się cholera, ale do nas nie dochodzi. Do Warszawy, gdzie epidemia rozgościła się na dobre, nikt nie tęskni. Tylko teatru mi żal. Marcello występuje, a jeszcze jej tym razem nie widziałem.

Gdy największa polska artystka pani Modrzejewska wyjechała na stałe do Ameryki, gdzie grywa przeważnie po angielsku, dwie młode siły artystyczne:

Marcello i Wisnowska wysunęły się na czoło warszawskiej trupy dramatycznej. Obecnie króluje samowładnie piękna czarnooka Marcello (właściwe jej nazwisko Chraszczewska). Niemasz już jej jasnowłosej rywalki. Przypominacie sobie zapewne z gazet o jej tragicznym końcu. Artystkę łączyły węzły ścisłej przyjaźni z pewnym rosyjskim oficerem gwardyi. Barteniew — tak się ów oficer nazywał — miotany zazdrością, zjawia się pewnego wieczora w mieszkaniu Wisnowskiej i żąda, aby ta dla niego zerwała stosunki ze wszystkimi przyjaciółmi i odsunęła od siebie wszystkich swych wielbicieli, grożąc jej w przeciwnym razie śmiercią. Gdy artystka oświadczyła Barteniewowi, iż jest jej obojętny i że nie myśli poświęcać dla niego swej swobody, oficer wyciągnął rewolwer i z iście azyatyckiem okrucieństwem przez całą noc, pijąc i rozmawiając, nie spuszczał wymierzonej lufy z Wisnowskiej. Zrozumiała snać ona, iż tej nocy nie ujdzie śmierci, gdyż na porozrzucanych w pokoju karteczkach znaleziono później jej rozpaczliwe skargi. Nad ranem Barteniew zastrzelił nieszczęsną ofiarę i powróciwszy do koszar zawołał do kolegów: »Zabiłem Wisnowską!« Gdy oficerowie, zrazu nie wierząc, zbadali jednak sprawę i znaleźli trupa, zabójcę uwięziono. Zarówno sąd pierwszej i drugiej instancyi, jak i senat w instancyi ostatecznej, skazały go na 20 lat ciężkich robót. Ale cesarz w drodze łaski złagodził winowajcy ciężką tę karę. Zdegradowano go na prostego żołnierza, po ośmiu dniach był już podporucznikiem, po następnych ośmiu porucznikiem i w ten sposób stało się zadość zarówno sprawiedliwości, jak i łasce monarszej.

Biedna Wisnowska! Takie miała bujne i jasne włosy, taki przecudny błękit oczu i śmiech srebrzy-

sty. Widzę ją przed sobą, jak oto siedzi obok Marcello w pierwszym rzędzie krzeseł na mych prelekcyach o polskiej literaturze w wielkiej sali ratuszowej w Warszawie i z całych sił klaszcze swemi zgrabnemi, drobnemi rączkami, obciągniętemi w eleganckie jasnopopielate rękawiczki. Nie była ona wprawdzie tak piękną, jak Marcello, ale nie ustępowała jej pod względem talentu. Ubyła nam ona, ale nie utonęła w fali zapomnienia.

Nie potrzebujemy zresztą jeździć do Warszawy, gdy pożądamy towarzystwa. Mamy naokoło sąsiadów z dziwacznemi nazwiskami na wicz i ski. Prawie wszyscy obywatele okoliczni mają się bardzo dobrze. Posiadają rozległe dobra, któremi przy pomocy swych synów administrują; w dobrach tych po większej części znajdują się cukrownie, nierzadko też i gorzelnie. To też obok łanów zboża, wszędzie widać niezmierzone pola, pokryte cukrowymi burakami i kartoflami.

Starsze pokolenie silnie jest jeszcze przesiąknięte ideami demokratycznemi i antyklerykalnemi. Ludzie ci mocno nienawidzą księży, szczególniej zaś czują wstręt i obawę przed jezuitami. Mam zwyczaj mówić o jezuitach zawsze z pewnem ciepłem i względnym podziwem i ten mój do nich stosunek wywołuje tu zawsze zdumienie. Wszyscy ci bowiem okoliczni obywatele są niby z jednej odlani sztuki i nie rozumieją się na podobnych subtelnościach. Czytają oni wiele, ale lubują się po większej części w owej popularnej literaturze, która występuje przeciw religijnym i politycznym przesądom. Wszystko to gorący patryoci, gorliwie wypatrujący na horyzoncie oznak lepszych dla Polski czasów.

Młodsza generacya oddana jest przeważnie celom

praktycznym i mało zajmuje się polityką. W pokoleniu starszem mężczyźni są bardziej interesujący, niż kobiety; w młodszem ma się rzecz odwrotnie. Aczkolwiek wszystko, co w innych krajach Europy nazywa się emancypacyą, jest tu dla kobiety po większej części niedostępne, to jednak pod względem samodzielności myśli stoi ona wysoko, przeciętnie nie niżej od niewiasty skandynawskiej, a poziom jej kultury jest nawet wyższy, bo posiada ona bogatszy zasób wiadomości, nie mówiąc już o wychowaniu światowem. Młode kobiety znają oprócz języka ojczystego jeszcze francuski, angielski, a mówią tymi językami, jak rodowitym. Znają one i literaturę zachodnio-europejską bardzo dobrze, bo wszystek swój wolny czas poświęcają lekturze, a ciągłe podróże, na których schodzi im co najmniej trzecia część życia, dają im gruntowną znajomość Europy zachodniej.

Są tu, naturalnie, niewiasty wszelkiego rodzaju, nie wyłączając gęsiego. Trafia się nawet i owa wielce pretensyonalna gęś, która wie, że jest piękną i pochodzi od wysoce szlachetnego gąsiora, alem tylko jeden podobny okaz widział. Spotkałem natomiast parę egzemplarzy sokolich, jednego łabędzia i jednego sfinksa...

Niedaleko od nas mieszka młoda panna, niełądna, ale pełna takiego wdzięku, który jej za największą urodę starczy. Nie śmieje się ona nigdy, na jej twarzy nie znajdziesz nawet zwykłego uśmiechu zdawkowej uprzejmości. Gdy w altanie ogrodowej albo przy obiedzie toczy się ogólna rozmowa, nasza panienka milczy; lubi ona tylko gawędkę w bardzo małem kółku. Ale wówczas okazuje się, że zna ona bardzo dokładnie wszystkie koła inteligencyi warszawskiej oraz wszystkich ludzi tamtejszych i umie

ich ocenić. Choć liczy tylko 24 lat, jest ona w swych zapatrywaniach tak samodzielną i wolną od przesądów, jak nie każdy czterdziestoletni mężczyzna, a w badawczej i śmiałej literaturze ostatniego dwudziestolecia niemasz dla niej tajemnic.

O kilka mil dalej, w starodawnej pańskiej rezydencyi, z szanownem staroświeckiem urządzeniem i siedmioma równemi aleami, które kończą się na trawniku przed dworem, przebywa młoda trzydziestoletnia kobieta tak nawskroś oryginalna, że zwróciłaby na się uwagę w każdem wielkiem mieście. Smagła, jak Włoszka, ma ona też i postawę Florentynki, ale z całej jej istoty bije urok i wdzięk czysto słowiański. Oblicze jej wprost przykuwa do siebie, bo nigdy nie zdarzyło ci się widzieć nic podobnego. Zwłaszcza usta są pełne wyrazu, jak u wielkich aktorek. Przypomina ona płonącą purpurę, kwiat maku o upajającej woni, a głos ma nad wyraz melodyjny. To arystokratka, zawsze spokojna i panująca nad sobą. W jej obecności inne kobiety tracą cały swój urok, ale ona zdaje się nie być wcale świadomą tych swoich wyjątkowych zalet. Promienieje z niej owa tylko w zaborze rosyjskim spotykana południowa ognistość w połączeniu ze słowiańskim wdziękiem i tajemniczo-cudowną pełnią życia duchowego.

Bo to rzecz niewątpliwa, że wprawdzie zabór rosyjski żyje w tak srogim ucisku i udręczeniu, jakiego nie znają Polacy ani pod Prusakiem, ani w Galicyi. rzeczywiste serce Polski tylko tutaj bije, tylko tutaj da się polska natura w najlepszych i najoryginalniejszych przejawach studyować.

W Poznańskiem i Prusach wschodnich obywatelstwo jest zubożałe, a w licznych wypadkach zmuszone do sprzedaży swej ojcowizny. Korzystając na

szeroką skalę z rządowej pomocy materyalnej, z wszelkiego rodzaju przebiegłych rozporządzeń i stumilionowego funduszu kolonizacyjnego, Niemcy prowadzą tu namiętną antipolską propagandę i wykupują majątki jeden po drugim. Włościanin musi tu obowiązkowo posyłać swe dzieci do szkoły, przyucza się zatem do większego ochędóstwa i gospodarności, niż gdzieindziej. Ale za to narodowe cechy polskie już tu utraciły swą czystość pierwotną. Szlachta kształci się w szkołach i uniwersytetach niemieckich. — Galicya to uboga górska kraina; ludność jej korzysta ze swobód narodowych i obywatelskich. Śpiewa się tu pieśni polskie i miewa nieskończoną ilość polskich mów. Ale stronnictwa zwalczają się w Galicyi wzajemnie z wściekłą zajadłością. Kraków jest stolicą klerykalnej większości, Lwów natomiast to siedziba wolnomyślnej mniejszości. Dziennikarstwo galicyjskie, acz nieskrępowane cenzurą, stoi jednak znacznie niżej od prasy w zaborze rosyjskim, a dzienniki zbyt często zapełniane bywają osobistemi inwektywami i obelgami, towarzyszącemi walkom partyjnym.

W zaborze rosyjskim prasa jest tak skrępowaną, że np. w żaden sposób nie mogła przestrzedz młodzieży przed bezmyślnemi a w skutkach swych tak tragicznemi demonstracyami politycznemi, których młodzież owa, podżegana głównie przez kobiety, i teraz jeszcze porzucić nie myśli. O manifestacyach tych w pismach nie wolno było odezwać się ani słówkiem. A jednak prasa Królestwa stoi znacznie wyżej od swej siostrzycy w zaborze austryackim.

Królestwo polskie jest prawdziwą ojczyzną owych lotnych polskich umysłów i tylko tutaj przechowuje się ten wdzięk duchowy, który charakteryzuje Pola-

ków. Może dzieje się tak dlatego, że tylko w tym zaborze wyższe klasy posiadają materyalne warunki, pozwalające im dotrzymywać kroku spółczesnemu życiu duchowemu zachodniej Europy, które jest dalszym ciągiem ich żywota w epoce Odrodzenia. Niemasz bowiem w całej bodaj Europie krainy obfitszej w zboże od Królestwa polskiego. Każdy szmat ziemi jest tu urodzajny. Szlachta jest jeszcze bardzo bogatą a wielcy bankierzy o wiele od niej bogatsi. Poznałem tu dwóch finansistów, którzy mają rocznego dochodu więcej niż milion rubli. Umieją tu przytem ludzie grosza używać, otaczać się zbytkiem i cenić go. W każdem zamożnym domu roi się, jak wiadomo, od służby, zarówno męskiej, jak żeńskiej, a wśród licznych jego i obszernych pokoi zawsze znajdzie się kilka gościnnych na wypadek, gdyby kto z sąsiedztwa pragnął przenocować. I w ubiorze dbają tu o piękno i odmianę. Nie widziałem jeszcze żadnej pani, nawet w domu, w którym bawię, dwa razy w tej samej sukni, z wyjątkiem chyba strojów porannych.

Zmieniają one toaletę dwa lub trzy razy na dzień, a gdy się wybierają z dłuższą wizytą w sąsiedztwo, to wiozą z sobą garderoby tyle, co Sarah Bernhardt. Nasze panie, które codziennie nie mają się dla kogo stroić, pokazały jednak w ciągu mego tu pobytu już około 50 toalet, a żadna nie mogła mi powiedzieć, ile ma sukien. Co dziwniejsza, i mężczyźni prawie również często się przebierają. Żaden z nich nie ma z pewnością w swej garderobie na wsi mniej, niż tuzin kompletnych i nowych garniturów. A do tego dodać należy jeszcze tuzin zarzutek i płaszczów, dalej kostyumy myśliwskie i do jazdy konnej i t. p.

Pod tym względem żyjemy jeszcze w soplicowskich czasach.

Nikomu z nich nie zaimponowałby Bourget szafą pełną obuwia, czem w powieściach tego pisarza Casal wzbudza u snobów taki szacunek. Z pewnością mają oni akurat tyleż obuwia, co on.

Pomiędzy trzema częściami, na które podzielono dawną Polskę, tak silnie połączonemi wspólnością języka i tradycyi, niemasz zgoła politycznego spółdziałania. Nie mogą one nigdy, absolutnie nigdy, nic wspólnego przedsięwziąć. Nie mają one wspólnych pieniędzy ani miar i wag, wspólnych marek pocztowych, sądownictwa, słowem, nic wspólnego. Niemasz nawet męża stanu, któryby w trzech zaborach jednaką cieszył się popularnością. A w literaturze tylko jeden pisarz na całym obszarze Polski powszechne zdobył sobie uznanie. To Sienkiewicz, który stał się prawdziwą perłą korony polskiej. A przecież nie jest to wcale umysł pierwszorzędny.

Na gruncie realnym nie czyni się nic dla utrzymania jedności trzech zaborów. Tylko na polu ideowem robi się, co można. Zwłaszcza wśród starszego pokolenia istnieje grupa patryotycznych idealistów, zacnych i czynnych marzycieli, ludzi naiwnych i pełnych nadziei, którzy wciąż podróżują po trzech zaborach i za pomocą rozmów, konferencyi i porozumienia w rozmaitych niewinnej natury sprawach podtrzymują święty znicz narodowy. Wielka wystawa polska we Lwowie to owoc ich usiłowań. Ale nie da się zaprzeczyć, że wielu najlepszych przedstawicieli młodszego pokolenia, zarówno wśród kobiet, jak i mężczyzn, nie żywi żadnej nadziei i zupełnie nie umie już, jak starsi, chwytać owych błysków lepszej

przyszłości. Już z góry nazywają je oni błędnymi ognikami i z nietajonym sceptycyzmem, a nawet ze źle ukrywanem lekceważeniem zajmują wobec owych agitacyi »starych« stanowisko zwyczajnych, acz melancholijnie usposobionych widzów.

IV.

»Więc się pan zgadza, że polska kuchnia jest wyśmienita?« rzekła pani Halina.

»Zgadzam się; sądzę, że jest najlepsza na całym świecie«.

»Że wszystkie nasze potrawy są oryginalne?«

»Zgadzam się; są one smaczne, i z reguły człek nie wie, co je«.

»Zgodzi się pan, że gleba jest u nas urodzajniejsza, niż gdziekolwiek, że nasze krajobrazy mają styl i wdzięk i są bardzo rozległe?«

»Zgadzam się; nawet płaskość jest tu wspaniałą«.

»Zgodzi się pan, że nasz język jest giętki i piękny, podatny i miękki, że jest dźwięczny i bogaty, chociażby mu nawet zbywało na śpiewności języka rosyjskiego?«

»Zgoda i na to; dźwięk tej mowy chwyta za serce«.

»Zgadza się pan dalej, że nikt tak, jak my, nie tańczy. Czyż istnieje taniec, równy naszemu mazurowi?«

»Nie jestem wprawdzie zupełnie kompetentny, ale mam jak najlepsze wyobrażenie o polskiej sztuce choreograficznej. Niełatwo znaleźć taki balet, jaki ma Warszawa«.

»Wszak się pan zgodzi, naturalnie, że nasze kobiety są piękne!«

»Piękne i gustownie ubrane. Któżby o tem wątpił?«

»Zgodzi się pan jeszcze, że nasi mężczyźni są inteligentni i gościnni?«

»Niewątpliwie, ale do czego prowadzą te pani zapytania?«

»Zgodzi się pan także i na to, że natura wyposażyła naród nasz we wszystkie warunki do szczęścia potrzebne. Jesteśmy też żądni życia, życia szerokiego i mamy wszyscy pewien pociąg do marzycielstwa — a dlaczegóż jesteśmy najnieszczęśliwszym narodem na ziemi? Czy w dziejach ludzkości znajdzie się inny naród równie nieszczęśliwy, jak nasz?«

»Wątpię; chyba Żydzi, ale ci nie są już narodem«.

»A przecież to nie do wiary, to rzecz nieludzka, żeby cała Europa przestała się nami interesować, żeby nikt, literalnie nikt, dla nas palcem nie kiwnął. O państwach zaborczych niema, rozumie się, co mówić. Ale czyż to nie hańba, że u stóp naszego tyrana czołga się Francya, ta Francya, którą czciliśmy, za którą walczyliśmy, nie szczędząc krwi naszej serdecznej?«

U każdego Polaka i u każdej polskiej niewiasty spotkasz się z tą boleścią z powodu służalczo-entuzyastycznego stosunku Francyi do Rosyi. Nikt nie zna Francyi lepiej od Polaków, wychowywanych na modłę francuską; mówią oni po francusku znakomicie, studyują literaturę francuską i cenią piśmiennictwo tego narodu wyżej niż wszystkie inne. I dlatego upokorzenie się Francyi przed Rosyą uraziło ich tak boleśnie.

Żaden naród na świecie nie wierzył tak we Francyę i żaden nie poświęcił dla niej tyle, co Polacy.

Proszę przeczytać Henryka Houssaye »1814«. Ilekroć przychodzi do ostateczności, ilekroć trzeba ważyć się na jakiś czyn rozpaczliwy lub osłonić osobę cesarza, zawsze występują na widownię ułani polscy. W nich i w starej gwardyi ostatnia nadzieja; oni nie zawodzą nigdy.

Jedyna osoba, która odwiedziła Napoleona na Elbie po jego upadku, była Polką. I to w dodatku kobietą, którą cesarz, nie mogąc zyskać jej wzajemności, zdobył podstępem, kobietą, której podziw dla Napoleona nigdy się w miłość nie zamienił.

A obecnie naród francuski do tego stopnia zapomniał o Polsce, że nawet z nazwiska jej nie wspomina. Nic się we Francyi o Polakach nie wie, a żadna francuska *Revue* nie chce nawet umieścić artykułu o cierpieniach tego narodu. »*Soûl comme un Polonais*« [1]) — to jedyne wspomnienie o Polakach, które przechowało się w języku francuskim tak, jak w niemieckim »*polnische Wirtschaft*«.

Dożyliśmy tego, że z powodu częstych zmian ministeryalnych czytamy w dziennikach francuskich co następuje: »Co sobie pomyślą nasi przyjaciele Rosyanie o tych naszych ministerstwach zmieniających się co roku, a nawet po kilka razy na rok! Wszak tam ministrowie nie opuszczają swego stanowiska po lat 20 i 30«. Gdyby się tak Francuzi dostać mogli, choćby tylko na pół roku, pod te rządy, które zna zabór rosyjski, toby ich niewątpliwie w znacznym stopniu wyleczyło z ich rosyjskich marzeń.

Coby też np. rzekli Francuzi, gdyby we wszystkich szkołach Francyi bezwarunkowo zakazano uczyć po francusku! Albo gdyby wszystkim uczniom jak

[1]) Pijany jak Pola

najsurowiej zabroniono nawet podczas przerw w nauce szkolnej i na ulicach rozmawiać w języku ojczystym! A wszak tego właśnie nie wolno dzieciom polskim.

Albo gdyby przy nauce historyi nie wspomniano nigdy o ich kraju ojczystym, jego dzieje uważano za nieistniejące i usiłowano wszelkimi sposobami wrazić w pamięć dziatwy szkolnej wyidealizowaną historyę narodu zupełnie obcego, słowem, gdyby cała Francya znalazła się w położeniu sto razy gorszem od tego, które Alzacyi i Lotaryngii w udziale przypadło!

Tego lata odmówiono paszportów wszystkiej młodzieży, która pragnęła wyjechać za granicę. Cóżby na to rzekła francuska dama, gdyby nie mogła ze swym synkiem przedostać się za granicę? Gdyby była Polką, musiałaby, jak pewna moja znajoma u, to mężatka, siedzieć cicho w domu. Rząd obawiałskiej że młodzież pojedzie na wystawę do Lwowa, ż we dzie tam świadkiem politycznych demonstracyi, Gdy szy polskie mowy i śpiewy narodowe i przeszkicie, temu, po prostu nie wydając paszportów. — A cco-znowuż powiedział Francuz, gdyby mu zamknięto dostęp do wszystkich urzędów i intratnych posad w wojsku, marynarce i wyższej administracyi; gdyby nigdy nie mógł tu osiągnąć pensyi wyższej nad 1000 rubli. A przecież tak właśnie rzeczy się mają w Polsce. Żaden Polak nie może uzyskać lepszej posady.

Gdy rząd przed niedawnym czasem upaństwowił tutaj prywatne koleje, uwolniono bardzo znaczną część kolejowego personalu i setki rodzin zostały bez chleba. Również i na poczcie Polacy mogą awansować tylko do tysiąca rubli pensyi.

Jakby się też to podobało Francuzom, gdyby

u nich każdy wiersz napisany dla dziennika musiał wpierw przejść kontrolę rządowej cenzury, gdyby literaci ulegali karze za to, co napisali, ale co nigdy wydrukowane nie zostało! A przecież tak dzieje się tutaj.

Jakby się to im podobało, gdyby w swych teatrach raz na zawsze musieli zrezygnować z widowisk dających przegląd wydarzeń ubiegłego półrocza, letniego lub zimowego! A tu o żadnych takich »*revues*« ani marzyć nie wolno. Przegląd wydarzeń za rok ubiegły! A jakieżby to być miały wydarzenia? Wszak niema tu żadnych osobistości na stanowiskach publicznych, z wyjątkiem chyba urzędników, a ich nazwisk nie wolno wymieniać, o ich czynnościach nie wolno wspominać nawet w artykule dziennikarskim, a tem mniej na scenie. Sejm, zgromadzenia, *Polon* i t. p. obrady, któreby mogły dawać materyał któreartów, wszakże nie istnieją. Chyba tylko czysto w natne skandale mogłyby dostarczyć pożądanego ıtu, gdyby publiczność tutejsza miała tak ordynarne upodobania. Ale w Polsce, nie wyłączając i Galicyi, gdzie przecież osobista polemika kwitnie, nawet pisma humorystyczne nie weszły jeszcze na tę drogę, powstrzymując się od naśladowania takiej np. humorystyki duńskiej.

Cóżby powiedzieli francuzcy robotnicy, gdyby im bezwarunkowo zakazano tworzyć związki i stowarzyszenia? Gdyby nie mogli wspólnie obradować, nie już nad strejkami, ale nad najprostszemi swemi codziennemi potrzebami. A właśnie to byłoby im zabronione pod rządami rosyjskimi. A protest w imię swobody zgromadzeń na nicby się nie przydał, bo przecież wolność zgromadzeń jest tutaj rzeczą nieznaną.

Cóżbyśmy wreszcie usłyszeli od wierzących katolików francuskich, gdyby się ci dostali pod władzę rosyjskiego cara-papieża? Gdy to w tej, to w owej miejscowości (jak np. tej wiosny w Krożach) kościół, który rząd pragnie zmoskwicić, zostaje otoczony wojskiem, a do włościan, niechcących go oddać i opuścić, wojsko strzela, gdy, dalej, po zdobyciu kościoła, nad bezbronnym ludem świszczą nahajki kozackie i krew płynie strumieniem, — wówczas wieść o tych okrucieństwach przez kilka dni tuła się po prasie europejskiej, aż wkońcu opinia uspokaja się tem, że są to wypadki wyjątkowe.

Ale o męczarniach codziennych, o prześladowaniu nieustannem nie pisze się nic. Krasiński nazwał kiedyś Polskę ziemią mogił i krzyżów. I rzeczywiście owe wysokie krzyże, zawsze ogrodzone dokoła, to charakterystyczna bardzo właściwość tej polskiej krainy. Niemasz na nich Ukrzyżowanego, jak we Włoszech lub Tyrolu, to tylko proste krzyże. Gdy krzyż taki rozpadnie się lub zbutwieje, czy sądzicie, że wolno go postawić na nowo? Tak, ale za zezwoleniem władzy, a na to można długo czekać. Przed dwoma laty w tutejszej okolicy piorun uderzył w taki krzyż przydrożny. I oto leży on strzaskany dotychczas, a nie wolno go naprawić, bo nie nadeszło jeszcze pozwolenie z Petersburga. Ba, gdyby to był krzyż trójramienny! Ale prosty krzyż uważa się tu za symbol kościoła rzymsko-katolickiego. Nawet krzyża lęka się ten rząd, jako oznaki buntu.

Ziemia mogił i krzyżów! Wprawdzie rząd ogranicza, ile się da, liczbę krzyżów, ale za to mogiłom pozwala swobodnie się mnożyć. W r. 1831 biuletyny rosyjskie głosiły światu: *L'ordre règne à Varsovie.* Dziś nie porządek, ale cholera panuje w Warszawie,—

naturalnie, nie w biuletynach rządowych. Rząd postępuje pedagogicznie, tak regulując liczbę chorych i zmarłych, aby za granicą i w całej Europie w ogólności nie wzbudzić niepokoju.

Dwa miasteczka w okolicy otoczono kordonem wojskowym; nie wypuszcza się z nich nikogo, a zamknięci mrą jak muchy. Rozmiary klęski powiększa nie tylko nędza ludności, winna tu również niemało i ciemnota. Gdzie sroży się cholera, tam ludności uboższej niepodobna przemówić do rozsądku, ani nakłonić jej do korzystania z pomocy lekarskiej. Włościan i służby niczem nie zmusisz do powstrzymania się od owoców. Komu to przeznaczone, powiadają, ten się od cholery nie wywinie. I obecnie żaden chory, choćby wcale nie choleryczny, nie weźmie za nic lekarstwa. Bo takie jest powszechne przekonanie, że, aby się prędzej pozbyć chorych, daje się im truciznę i żadne perswazye nic tu nie pomogą.

A któż jest winien tej ciemnoty?.....

W zeszłem jeszcze pokoleniu wszystkie nadzieje Polski spoczywały na Francyi. Czasy te bezpowrotnie minęły. W owej epoce polityka Polaków w Austryi i Prusiech polegała na bezpłodnej opozycyi. Wszelkim wnioskom rządowym polscy deputowani byli zawsze z góry już przeciwni. Ten stan rzeczy zmienił się najprzód w Austryi. Korzystając ze swobód konstytucyjnych i autonomii, Polacy mogą się tutaj rozwijać w duchu narodowym, stali się czynnikiem politycznym i są w pewnej mierze zadowoleni. W Prusiech, przeciwnie, uporczywie trzymano się dawnego systemu. Za Wilhelma I. Polacy napewno liczyć mogli ze strony rządu tylko na niechęć i ucisk. Czyż więc to rzecz dziwna, iż w reichstagu niemieckim głosowali zawsze przeciw rządowi? Deputowani polscy

przemawiali bardzo rzadko, bo czuli całą bezowocność tych występów parlamentarnych, a przytem nie mieli, co prawda, dobrych mowców. Dopiero Józef Kościelski, gdy został członkiem reichstagu i izby panów, zmienił taktykę. Utrzymywał on w Berlinie przyjazne stosunki z rodziną Bismarka, choć Polacy nie ukrywali swego z tej zażyłości niezadowolenia. W reichstagu dał się poznać jako mówca, i dzięki swej swadzie oratorskiej chętnie bywał przez izbę słuchany. Po upadku Bismarka, Kościelski potrafił zjednać sobie u młodego cesarza względy jeszcze większe od tych, którymi cieszył się u żelaznego kanclerza. Wilhelm II. zapraszał Kościelskiego i jego małżonkę na swe prywatne, familijne obiady, a stosunki te nie zerwały się i teraz nawet, po usunięciu się posła polskiego z widowni politycznej.

Kościelski, ile mógł, starał się dogodzić życzeniom cesarza i nakłaniał Koło polskie do głosowania w myśl polityki rządowej. Udało mu się pozyskać głosy Koła w sprawie kredytów na flotę, a tem do tego stopnia zobowiązał cesarza, iż ostatni z wdzięczności nadał mu wysoki order. Polskie zaś społeczeństwo otrzymało, jak wiadomo, niejakie ulgi tak pod względem językowym, jak i kościelnym. Po raz pierwszy po dłuższym przeciągu czasu mianowany został arcybiskup w myśl życzeń samych Polaków i to mają oni do zawdzięczenia Kościelskiemu. Nie ulega też najmniejszej wątpliwości, iż Kościelski swem ujmującem postępowaniem i taktem politycznym potrafiłby zdobyć dla Polaków koncesye większe nawet od tych, które oni uzyskali za czasów Fryderyka Wilhelma IV, gdy tymczasem przyzwolenie na budowę kilku nowych pancerników nic ich nie kosztowało.

Ale taktu politycznego nie mieli Polacy nigdy, to też Kościelski polityką swą zamiast popularności, zdobył sobie tylko lekceważenie. Nazwano go Admirałskim. Ile razy później głosował za jakiem przedłożeniem rządowem, zawsze miano go w podejrzeniu. Ma on niewątpliwie, jak wszyscy Polacy, pewne zamiłowanie blasku i świetności i nie był może nieczuły na ową uprzejmość, z jaką przyjmowano go u dworu. Powszechnie atoli zarzucano Kościelskiemu, że berlińska jego polityka miała swe źródło tylko w osobistej jego próżności i że dla niej poświęcał narodowe interesa Polaków. To też z wiosną złożył on mandat poselski.

A przecież w zasadzie miał Kościelski rację, twierdząc, że Polacy, odkąd z Francyi niczego spodziewać się nie mogą, powinni na drodze ugodowej starać się o koncesye ze strony Niemców.

V.

Dziś mamy w okolicy odpust. Od wczesnego ranka biją dzwony, a lud z kilku mil wokoło napływa do kościoła w Królewicach. Przed kościołem przekupnie w na prędce skleconych budach i barakach sprzedają wszelkie możliwe nabożne artykuły i obrazki święte, różańce, medaliki i krzyżyki. nie brak też zabawek dla dzieci, które matki ze sobą na odpust zabrały. A wszelkie towary tak mizerne i niewymownie nędzne, że we wszystkich kramach razem trudno bodaj było o przedmiot wartający więcej niż kilkanaście groszy. Szczególnie przykre wrażenie czyniły obrazy świętych, rozwieszone na sprzedaż w jakiejś starej obszernej szopie. Były to oleodruki według najlichszych i wysoce niesmacznych bohomazów, wyobrażające Matkę Boską i Zbawiciela w iście bluźnierczy sposób. A przyglądając się bliżej tym fabrycznym wyrobom, ze zdumieniem znalazłem na większej części napis *New-York*. czasami tylko trafiał się *Paryż*.

Przemyślni więc yankesi, choć sami żarliwi protestanci, zarabiają sobie po tamtej stronie Atlantyku pieniądze na fabrykacyi obrazków świętych dla katolików starej Europy. Czyż można się dziwić, że fabrykują oni prawdziwe bohomazy, przy których

nawet oleodruk z obrzydliwego Carlo Dolci mógłby się podobać?

Kościół jest przepełniony; przed otwartemi na oścież drzwiami stoją długą, zwartą kolumną mężczyźni i kobiety, którzy się cisną, aby także coś niecoś zachwycić z kazania. A na placu przed kościołem stoi, siedzi i klęczy wielki jeszcze tłum pobożny z odkrytą głową. Dokoła rozłożyli się żebracy. Ośmnastu z nich przybyło na wozie budą przykrytym: to wstrętne kaleki z obnażonem ramieniem lub zawiniętą w szmaty nogą, cała czereda paralityków, takich samych, jak ci, nad którymi Syn człowieczy dokonywał cudów. Naprzeciw muru kościelnego majster murarski, który teraz właśnie ma restaurować kościół, wystawił na dowód swej pobożności kaplicę z wielkim drewnianym krucyfiksem, coś potwornie niesmacznego.

W ludzie prostym zmysł estetyczny zupełnie zda się zaginął. A lud ten musiał mieć niegdyś żywe poczucie piękna, skoro ubiory jego były tak ładne i strojne. Teraz wyszły już one z użycia. A jak ślicznie dziś jeszcze wyglądają włościanie w Galicyi, zwłaszcza w krakowskich sukmanach, białych z czerwonem, i wysokich filcowych kapeluszach. Tu chłop ma na głowie obrzydliwą czapkę i zwykły surdut bez żadnego kroju i stylu, podczas gdy kobiety i dziewczęta stroją się z upodobaniem w krzyczące żółto-zielone kolory.

Chodzą oni dokoła, oglądają towary po kramach, targują się; tu i ówdzie kupują coś z pieczywa albo z owoców, które pomimo zakazu przywieziono. Boć i tu, jak wszędzie, owoc zakazany jest przecież najponętniejszy. Dwór urządził na placu budę, w której za darmo dawano przegotowaną wodę zaprawioną

dla smaku syropem miętowym albo wódką. Chciano tym sposobem powstrzymać ludność od picia surowej wody i powiodło się to nadspodziewanie dobrze.

Nasze damy, pomimo gorąca i okropnego powietrza, już parę godzin siedzą w ławce kolatorskiej. My, mężczyźni, przyszliśmy pod sam koniec nabożeństwa, na sumę. Kościół, od ołtarza patrząc, przedstawiał widok bardzo pstry. Niedaleko księdza, odprawiającego mszę, siedziały obywatelki z okolicy, niektóre z mężami. Były one postrojone świątecznie, ale ich pobożność pozostawiała nieco do życzenia. Dalej stali chłopi: mężczyźni, kobiety i dzieci, głowa obok głowy, ile tylko kościół mógł pomieścić. W sztucznem świetle lamp i świec, które miesza się z światłem dziennem, mienią się białe, żółte i jasnoczerwone chusty, a z pośród nich przezierają ogorzałe twarze męskie z sumiastym długim wąsem. Wszyscy, to klęczą, to podnoszą się, a potem znowu spuszczają głowy, aby upaść na kolana, chyląc się, jak kłosy na polu pod wiatrem. Ponad ich głowami rozlegają się suplikacye, jeden z najdawniejszych polskich śpiewów kościelnych: Święty Boże! Święty mocny! Święty a nieśmiertelny! zmiłuj się nad nami! Od powietrza, głodu, ognia i wojny — wybaw nas Panie!...

Pieśń ta pochodzić ma jeszcze z czasów, gdy Polskę po raz pierwszy nawiedziło morowe powietrze, a teraz stała się na nowo aktualną.

Kazanie było niezłe, pouczało bowiem, że prawdziwa religijność polega nie na nabożnych praktykach jedynie i uczęszczaniu do kościoła, a na moralnym trybie życia i dobrych uczynkach. Ale za to ksiądz, który odprawiał mszę, swym tępym wyrazem twarzy, rumianymi policzkami i swą tuszą sprawiał dziwaczne wrażenie, a jego łacina miała mocny

chłopski akcent. Wszystkie ozdoby kościelne, malowidła na ścianach, obrazy na licznych chorągwiach, które powiewały nad głowami pobożnych, — wszystko to było bez żadnego artystycznego smaku; tylko żywe dekoracye z kwiatów i zieleni dokoła filarów i z wielkich kwitnących oleandrów przed ołtarzem pięknie zdobiły kościół.

Nasz księżulek nie potrzebował ani kazać, ani mszy odprawiać. Był on tu gospodarzem, zajętym głównie wystawnym obiadem na czterdzieści osób, który miał się odbyć po skończonem nabożeństwie. Klęczał on wraz z innymi przed ołtarzem, ale wiem dobrze, o czem myślał. Nie mówiłem z nim nigdy o kwestyach wiary, atoli z innych rozmów widzę, że ma on w tej mierze takie same, jak i my, zapatrywania. Tacy zresztą są wszyscy księża, którzy byli na studyach w Rzymie. Pobyt w wiecznem mieście kształci w nich bardziej umysł, aniżeli wiarę. Najgorętszą też bywa ona u tych godnych pożałowania kapłanów, którzy otrzymują święcenia zaraz po ukończeniu seminaryów polskich. Dziś zresztą mieli księża ciężki dzień. Najmniej ze 400 ludzi stanęło do spowiedzi, a tylko 13 było spowiedników. To też upadali oni ze znużenia, a tymczasem karmili się nadzieją obfitego pokrzepienia.

Uderzająco jaskrawą jest różnica w stosunku polskich i rosyjskich włościan do religii i jej kapłanów. Pomimo całej prawowierności rosyjskiego chłopa, pop jest dla niego, jak zresztą w ogólności dla każdego Rosyanina, istotą bardzo podrzędną, nawpół komiczną, nawpół pogardy godną. Spotkać popa to zły omen. Pod względem wykształcenia niewiele się on różni od włościanina, ale ponieważ ma więcej pieniędzy, więc może częściej się upijać i w sa-

mej rzeczy jest też prawie zawsze podchmielony. Chłop polski, przeciwnie, jest dla księdza pełen szacunku. A nawet można powiedzieć, że tylko autorytet katolickiego duchowieństwa przetrwał w Polsce wszelkie zmiany i zachował się nienaruszony po dzień dzisiejszy. Ksiądz ma tu rzeczywistą władzę nad duszami swych owieczek. Widać to za każdym razem po spowiedzi. Nierzadko zdarza się, że po jakiejś kradzieży ksiądz zwraca poszkodowanemu ukradzioną rzecz, którą otrzymał po spowiedzi od skruszonego grzesznika.

Religijność rosyjskiego chłopa nie jest wolną od pewnej sofisteryi, a w jego stosunku do świętych tkwi wiele przebiegłości. — Zdarzyło się pewnego razu, że pod chłopem rosyjskim, gdy przejeżdżał rzekę, lód zaczął pękać. W ciężkiej potrzebie chłop nasz ślubuje św. Mikołajowi ofiarę takiej wartości, jak koń, którym jechał, byleby mu tylko święty z pomocą pospieszył. Ale gdy się wydostał już szczęśliwie na brzeg, zaraz zaczął przemyśliwać nad tem, jakby się tu wykręcić od tej ofiary, a zarazem nie złamać ślubu złożonego cudotwórcy. Koń był wart więcej niż sto rubli; takiej straty nie chciał chłop ponieść i, nakoniec, wpadł na pomysł następujący. Oto udaje się z koniem na jarmark i znajduje kupca. Wiele żądasz za konia? pyta tenże. — Pięć rubli, powiada chłop. — 5 rubli, to chyba żarty. Naturalnie, chętnie ci tyle dam. — Dobrze, powiada chłop, ale postanowiłem sobie, że sprzedam konia tylko razem z tą kurą, którą mam w koszyku. — A ileż chcesz za kurę? — 95 rubli. — Targ w targ, chłop sprzedał konia i kurę i św. Mikołaj otrzymał swoje pięć rubli. — Stosunek chłopa polskiego do świętych jest o wiele naiwniejszy. Bez ognia właściwego

chłopu włoskiemu, bez jego fanatycznych zaklęć, leży chłop polski przed wizerunkami świętych w głębokiej zatopiony modlitwie. Takim widziałem go wczoraj.

Po nabożeństwie odbył się u naszego młodego księdza wielki obiad, na który zaproszono wszystkich przyjezdnych księży, obywatelstwo i znakomitości okoliczne. Było, jak już rzekłem wyżej, czterdzieści osób. Ponieważ nasz ksiądz ma tylko 150 rubli pensyi, a razem z rozmaitymi dochodami co najwyżej do 700 rubli, rzecz jasna, że nie jest w stanie swoim kosztem urządzać takich przyjęć. To też jest tu w zwyczaju, że w podobnych okazyach dwór przychodzi mu z pomocą, przysyłając wszystko, czego potrzeba, poczynając od jadła i napojów, a kończąc na talerzach, nożach i widelcach oraz kieliszkach. Wczorajszy występ był tem kosztowniejszy, że odpust przypadał w piątek, więc w dzień postny. Nasza gospodyni kazała tedy kupić w Warszawie kilka gatunków ryb i już w wigilię odpustu cała kuchnia była u nas w ruchu. Kucharz, wydoskonalony w swym kunszcie w Paryżu, zarazem piekarz i cukiernik, przewyższył sam siebie. Na ogromnych półmiskach układano potężne łososie i jesiotry, z piwnic dobywano beczki z winem, a od wczesnego ranka ciągła procesya służących szła ze dworu na poblizką plebanię, niosąc półmiski i kosze napełnione rozmaitymi specyałami.

Nakoniec, w dwu obszernych pokojach księża w liczbie trzynastu, a wraz z nimi i reszta dostojnego towarzystwa zasiedli do tej postnej biesiady. W kazaniu swem podnosił jeden z obecnych księży, że prawdziwa religia nie ma charakteru ponurego i surowego, a, przeciwnie, powinna nas usposabiać wesoło i radośnie i na ten temat toczyła się za sto-

łem rozmowa. Przyznać jednak trzeba, że zacni księża nasi więcej jedli, aniżeli rozprawiali, a więcej pili, niż jedli. Bordeaux, burgund i białe węgierskie lały się strumieniem i znikały tak szybko w przepaścistych gardzielach księżych, iż co chwila trzeba było posyłać do piwnicy dworskiej po nowe zapasy to tego, to owego likworu. Pili tęgo, jak dobrzy Polacy, a przecież nikt się ani razu nie wyrwał z czemś niestosownem; młodsi księża bali się w obecności przełożonych okazać swe słabe strony, a ci znowuż umieli zachować należytą powagę. A wyobraźcie sobie, że przy jednym ze stołów siedział mój przyjaciel Franciszek, przewodnicząc niejako temu duchownemu obiadowi. Sławiono go jako amfitryona tej uczty, jako kolatora i dobrodzieja kościołów w okolicy. Czegoż to dokazać nie potrafi człowiek światowy, gdy jest bogaty, utalentowany i rozrzutny!

Z obecnych na obiedzie księży niejeden zresztą z pewnością nie był bardziej prawowierny od Franciszka. Najzdolniejsi z nich wszyscy odbyli studya w Rzymie. Ale lud prosty zawsze niezachwianie wierzy w Opatrzność boską, a tę wiarę nawet okrucieństwo i bezmyślność niektórych wydarzeń w jego twardem życiu jeszcze potęguje. Świadczy o tem np. owo podanie ludowe, które w jednej z mistrzowskich nowelek Sienkiewicza Sabała w następujący opowiada sposób:

»Prosem piknie wasych miłości, raz seł chłop ze świdrem i rąbanicą, do Nowego Targu na siacie. Jakoś za Poroninem stowarzyszyła się z nim stara baba. Chłop, że był mądry gazda, poznał Śmierć i zara myśli, jako się jej pozbyć. Wzion wreście wiercić dziurę do wirby, wiercił póki nie wywiercił, a potem w nią zagląda.

— Cego patrzys? — pyta Śmierć.

— Chces uznać, to sama zażrzyj.

Zażrzała Śmierć do dziury, nie widzi nic — a bez ten czas ociosał se chłop rąbanicą bukowy kołek.

— Nie widzę nic — powieda Śmierć.

— Wleź całkiem, to obacys.

Ledwie Śmierć wlazła całkiem, zatkał ci ją chłop — prosem piknie — bukowym kołkiem, przybił kołek obuchem i poseł.

Aż tu rok po roku idzie, chłop zyje i zyje; ludziska przestali umierać; zajaziło się od nich w Zakopanem, w Białym Dunajcu, w Chochołowie, wsędy, ze człek koło człeka stał, jako smereki stojom w borze. Chłopisko się zestarzało, bieda pocena go gnieść, robić juz nie mogło. Naprzykrzyło mu się w ostatku zyć, poseł i odetkał Śmierć z wirby.

Jak Śmierć — prosem piknie — skocy, jak weźmie kosić — w Zakopanem, w Białym Dunajcu, w Kościeliskach, w Chochołowie, to tyla się luda wykopyrtło, ze i chować gdzie nie było. Przychodzi wreście Śmierć do jednej gaździny wdowy — siedmioro sierot u niej — i biere ją. A tu dzieci, kiej nie zacnom lamentować:

— Nie bier matki, nie bier matki!

Zlutowała się Śmierć nad dziećmi, idzie do Pana Boga i powieda:

— Panie Boze, jakoze mnie matkę brać, kiej dzieci tak prosom, tak lamentujom, aze mi się luto stało.

A Pan Bóg powiada tak:

— Ja w tych rzeczach nie gazda, jeno Pan Jezus gazda. Idźze do Pana Jezusa, niech ci ta powie, jako ma być.

— Panie Jezu, jakoze mnie gaździnę brać? —

siedmioro sierot w chałupie — tak prosom, tak lamentujom, aze mi się luto stało.

A Pan Jezus prask Śmierć w pysk[1]):

— Chybaj do morza, przynieś skałkę!

Skocyła Smierć do morza, na samiusieńkie dno, przyniosła skałkę kwardom, okrągluchnom, jako bochenek chleba, a Pan Jezus do niej:

— Gryź!

Gryzie Śmierć, gryzie — zębiska ją bolom; zgryzła wreście całusieńkom skałkę — i patrzy: az w środku chrobocek maluśki siedzi.

A Pan Jezus prask Śmierć w pysk:

— Widzis, powieda; to ja i o tym maluśkim chrobocku, na dnie morza, wiem i pamiętam; a ty myślis, ze ja o sierotach nie będę pamiętał? — Chybaj, bier matkę!...

. . . . . .

W kraju, będącym pod rządem rosyjskim, gdzie palec Boży nie zawsze wyraźnie się ukazuje, lud potrzebuje takiej wiary, aby wciąż mieć pewność co do planów i zamiarów Opatrzności.

---

[1]) Widac tu zbiorowe doświadczenie ludu.
(Przyp. autora).

VI.

Lato już minęło; literaci, dziennikarze i poeci powracają do Warszawy. Nie można się pokazać w żadnej restauracyi, aby się nie dostać w czyjekolwiek objęcia. Następuje całowanie z dubeltówki, w oba policzki i wiecznie te same słowa: co za zdrada przyjeżdżać tutaj, gdy nikogo niema! I zaczyna się gawęda na dobre. Spragniony nowinek przybysz zostaje za jednym zamachem wtajemniczony we wszystkie literackie stosunki, w setki historyi familijnych, w tuziny politycznych wypadków i intryg i we wszystkie międzynarodowe plotki o honoraryach, nakładcach i literackich rywalizacyach. I oto przypomina sobie znowu mnóstwo nawpół zapomnianych, nawpół zatartych postaci, przypomina dziesiątki kiedyś zasłyszanych nazwisk i zdaje mu się, że był tu bardzo niedawno, a przecież to już lat siedem.

Wypadkiem dnia jest w Warszawie uwięzienie pewnego bardzo młodego lekarza. O czwartej z rana zjawili się u niego dwaj komisarze policyi z policyantami i przystąpili do rewizyi domowej. Przeszukano wszystko, zabrano wszystkie papiery, rozcięto nawet zielone sukno na biurku, szukając pod niem jakichś dokumentów, i nakoniec zasadzono lekarza do cytadeli. Dwaj komisarze pozostali jednak w jego

mieszkaniu, urządzili tu pułapkę i w ciągu kilku pierwszych dni aresztowali każdego, kto przychodził: pacyentów uwięzionego, jego przyjaciół i znajomych, a wszystkich indagowano.

O przyczynie aresztowania nikt nic nie wie. Przypuszczają tylko, że ów lekarz zbierał pieniądze dla młodzieży wysłanej za udział w manifestacyi w stuletnią rocznicę wybuchu powstania w Warszawie w r. 1794. Rewizye zawsze odbywają się w nocy i nie brak im czasami epizodów komicznych, zwłaszcza gdy policya wpadła na fałszywy trop, jak to np. miało miejsce z jednym z mych przyjaciół, literatem G. Szukano u niego rękopisów, pragnąc się przekonać, czy nie on był autorem pewnego wrogiego Rosyi artykułu w jednym z dzienników krakowskich, którego manuskrypt w tajemniczy jakiś sposób dostał się do rąk policyi rosyjskiej. Podczas całej rewizyi G. pozostawał w łóżku, a tymczasem w kuchni wywiadywano się od służącego, kto u jego pana bywa. Raz po raz zjawiał się w sypialni komisarz policyi, prosząc o papierosa. Również często zaglądał tu jeden z niższych urzędników, zapewniając, iż rewizya nic dotychczas nie wykryła, a otrzymawszy trzy ruble wyniósł się wraz z komisarzem, na własne żądanie obdarowanym kartką z jakiegoś rękopisu G. »na pamiątkę«. — A czyżby tu mógł się znaleźć ktoś tak naiwny, coby posyłał do krakowskich gazet artykuły własną ręką pisane!

U lekarza rewizya nie miała tak łagodnego przebiegu. Nie oszczędzono nawet pewnego studenta Stefana B., mieszkającego w tej samej sieni naprzeciw aresztowanego doktora. Przetrząsano mu mieszkanie do godziny 8-mej z rana, a gdy się nic nie udało znaleźć, urzędnik policyjny zapytał studenta: »Jak

panu właściwie na imię?« Ten wymienił swe imię. »Stefan, powiadasz pan? Nie Stanisław?« — »Na imię mi Stefan«. — »A, w takim razie przepraszamy pana. Rewizyę kazano zrobić u Stanisława«. — Był to, rozumie się, tylko wykręt. W ten sposób chciano ukryć niezadowolenie, że rewizya spełzła na niczem. A właściwą przyczyną tych wszystkich rewizyi i aresztów była żałobna manifestacya, o której wspomniałem wyżej. Przypisywano ją, między innemi, agitacyi pewnej damy, niemłodej już i niełądnej, która w pogoni za popularnością za wszelką cenę, rzuciła się na pole patryotycznych demonstracyi. Jej to podobno myślą było owo żałobne nabożeństwo i procesya. Syn owej pani był studentem i wiele młodzieży bywało u niej w domu. Nabożeństwo zamówiono za duszę jakiejś dzieweczki, a ksiądz, do którego się w tym celu udano, nie był wcale wtajemniczony. Skazano go na deportacyę, choć był zupełnie niewinny. Dopiero podczas nabożeństwa, gdy odwrócił się od ołtarza, spostrzegł, że kościół jest przepełniony, że jest w nim paręset studentów w uniformach i zaniepokoił się, czując, iż święci się coś niedobrego.

Z kościoła procesya udała się do historycznego domu szewca Kilińskiego, niedaleko od kościoła. Tu wszyscy z czcią odkryli głowy. A potem nastąpiła znana razzia policyi i aresztowanie wszystkich prawie uczestników.

Ale Rosyanie czują tutaj pod sobą grunt tak niepewny, że nawet ta nierozsądna i boleśnie śmieszna demonstracya zaniepokoiła ich. Gdy Gurko usłyszał o niej za granicą, wpadł po prostu w desperacyę. »To dowodzi«, zawołał, »że cała moja dziesięcioletnia praca poszła na marne«. A potem dodał: »Trzeba

będzie wystąpić z całą surowością«. »Tem bardziej«, rzekł jeden z jego synów, »że Polacy stanowią nasze przedmurze wobec Europy«. — »Powinnibyście to wasze przedmurze o spory kawał cofnąć wstecz«, zauważył na to pewien obecny tam cudzoziemiec, ale nie dostał na swe słowa żadnej odpowiedzi.

Jakże w tej nieszczęśliwej Polsce dziwnie łączy się śmieszność z bohaterstwem. Mimowoli przypomina mi się wydobycie z Elstery zwłok ks. Józefa Poniatowskiego. Rzecz to możliwa, iż książę wyglądał tak, jak go w swym pomniku przedstawił Thorwaldsen, chociaż w każdym razie rzeźbiarz ujął mu lat. Ale gdy wydobyto zwłoki z wody, nikt nie mógł go poznać. Wszystko bowiem było w Poniatowskim fałszywe. Na głowie nosił perukę, wąsy i brwi miał przyprawione, a pragnąc zachować młodzieńczą postawę nie pokazywał się bez sznurówki. Poznano go tylko po kosztownym zegarku, z którym się nie rozstawał nigdy. Przed kilkoma dniami oglądałem dworek w pobliżu Belwederu, który książę Józef zamieszkiwał. Pełno w nim ukrytych drzwi i tajnych przejść. Był to prawdziwy basza turecki, ale dobry żołnierz: postać zarazem śmieszna i bohaterska.

Niemały mamy kłopot z dziennikarzami, gdy, powróciwszy z wojażu, odwiedzają nas tutaj. Dłużej bowiem niż dzień nie są oni w stanie na wsi wytrzymać. Zbyt im tęskno za Warszawą i znajomemi aktoreczkami *minorum gentium*. Zresztą od soboty wieczora do poniedziałku z rana ma się takiego jegomościa dość; przez ten czas opowie on wszystko, co mu jest na razie wiadome.

Malarzom bardziej się pobyt na wsi podoba. Mamy tu całą kolonię z czterech artystów pędzla, a wśród nich jedną damę. Bawią oni u nas czas dłuższy.

Za stołem rozmowa zwykle się nie klei, gdyż służący rozumieją po francusku. Ale wynagradzamy to sobie przy czarnej kawie w bibliotece lub na werandzie, albo w dni słotne w oranżeryi, nie mniej pachnącej od cieplarni Zoli i także przystrojonej skórami białych niedźwiedzi. Wówczas to nasi goście opowiadają swe letnie przygody.

Malarz Witold powiada: Słyszeliście już zapewne, ilem w ostatnich latach dostał zamówień ze sfer oficyalnych. Dochody miałem znaczne, to prawda, ale drogo je okupiłem. Bawiłem w Paryżu i po raz pierwszy w życiu posłałem na petersburską wystawę wielki obraz historyczny z życia żołnierskiego z początku bieżącego stulecia: jak wiecie przecież, nie maluję nic innego. Wtem otrzymuję telegram, wzywający mnie natychmiast do Petersburga, gdyż wiadoma wam dostojna osobistość pragnie mnie widzieć. Przybywam tedy. Kupują odemnie mój obraz za 12 tysięcy rubli i otrzymuję zamówienie na nowe płótno, mające przedstawiać jedną z bitew z wojny rosyjsko-tureckiej. Ponieważ plac boju znajdował się w Rumunii, udaję się na miejsce, choć, jak się przekonałem, bez wielkiego dla rzeczy pożytku. Okazało się bowiem, że bitwa odbyła się na najzwyklejszej w świecie łące, z kilkoma wzgórzami na tylnym planie w oddali. Wykonałem obraz, jak umiałem najlepiej i odesłałem dokąd należy. Nowy telegram: dostojna osoba raczyła wyrazić swe zadowolenie, ale życzy sobie, aby na obrazie było więcej żołnierzy. Życzenie nie podlegające dyskusyi. Musiałem więc przemalować cały obraz, wpakować więcej żołnierzy, no! i pod względem artystycznym obraz utracił bardzo wiele. Następuje nowe zamówienie: przejście Suworowa przez Alpy. Epokę tę znam doskonale; ubó-

stwiam ją. Znam w niej każdy najdrobniejszy wypadek, każdy guzik w owoczesnych uniformach. Wystudyowałem tedy pejzaż, namalowałem obraz i odesłałem do Petersburga. Suworowa przedstawiłem zgodnie z prawdą historyczną, na zwykłym kozackim koniu; nie jeździł on na innych, choć zmieniał konia co dzień. Koń był gniady, bo taka maść najlepiej nadawała się do jasnego tła obrazu. Telegram wzywa mnie znowu, pożądane są bowiem w obrazie pewne zmiany. — Najprzód zjawia się u mnie jakiś jenerał, zapytując, dlaczego Suworow siedzi na gniadoszu, nie zaś zgodnie z tradycyą na siwku? — Odpowiadam, że tradycyi tej przeczy historya; wódz nie miał wcale siwka i jeździł na koniu kozackim. Koń jest gniady, bo ta maść najlepiej się nadaje do kolorytu całego obrazu. — Następuje audyencya u dostojnej osoby: to samo zapytanie, taka sama odpowiedź. Rozkaz: Suworow ma być na siwku. Spełniam rozkaz, choć obraz dyabelnie wygląda. — Nowe zamówienie: szturm szańców tureckich w r. 1878. Daję szańce na pierwszy plan z prawej strony, scena wygląda bardzo malowniczo: turbany, fezy, armaty, jedwabne sztandary, zamieszanie. Rosyanie, idący do ataku, na planie tylnym. Posyłam obraz — Telegram: mam się stawić osobiście. — Przybywam, wyrazy zadowolenia i mała tylko zmiana: Rosyanie mają być na pierwszym planie, a nędzni Turcy w tyle, słowem, całkiem inny obraz. Zrobiłem to, czego odemnie żądano, otrzymałem 15 tysięcy rubli, ale obraz jest dyabła wart.

Olgierd, literat, uczynił tu zjadliwą uwagę. Nie sądźcie znowu, że Witold bardzo się tem martwi. Postępuje on tak samo, jak i reszta naszych malarzy w Monachium. Sztuka swoją drogą, a zarabianie

pieniędzy swoją. Malują oni np. polowanie na Litwie podczas śnieżnej zimy. Handlarz obrazów, zauważywszy, że płótno się podoba, zamawia zaraz czternaście egzemplarzy dla Ameryki. Malarz otrzymuje za każdy 5.000 marek i smaruje przez cały rok wciąż to samo polowanie z śnieżnym krajobrazem.

A jakże, wtrąciła pani Józefa. Tak to nasi artyści służą sztuce, wiem o tem z własnych spostrzeżeń podczas mego dłuższego pobytu w Monachium i z opowiadań samych malarzy, zarówno monachijskich, jak i innych.

Proszę pani — rzecze malarz Witold — my przynajmniej malujemy, a co robicie panie? Chyba tylko zamawiacie wciąż nowe suknie u modniarek.

Zapewne, i nie mamy powodu tego się wstydzić. Bo proszę zauważyć, nigdy dwa razy tej samej sukni. Wy artyści tworzycie obrazy, piszecie książki. My, kobiety, tego nie umiemy, ale jednak także służymy sztuce wedle naszych słabych sił. wymyślając coraz to inne stroje. Nie można tego uważać za proste zabijanie czasu: tkwi w tem pewien artyzm. Z największą bowiem starannością trzeba tu obmyśleć zarówno krój, jak dobór kolorów i harmonię całości, a przecież nie powtarzamy się nigdy, nawet po upływie wielu tygodni.

Olgierd zwrócił się do mnie: Widziałeś mię pan niedawno, gdy byłeś w Warszawie, u Lourse'a z mym redaktorem i pewnym panem z brodą, nieprawdaż? A czy wiesz pan, kto to był? To cenzor naszego pisma. Musiałem go zaprosić na śniadanie. I cóż pan na to? Oto jak nizko upadliśmy! Polski lew, niegdyś tak straszny, stał się pudlem, który aportuje.

Za ostatniego pańskiego pobytu u nas, powiada młody poeta Mikołaj, wolno było jeszcze redakcyom

otrzymywać wszystkie zagraniczne pisma. Teraz mamy spis gazet dozwolonych, spis niedługi. Bezwarunkowo nie wolno otrzymywać żadnego dziennika galicyjskiego, jeszcze zaś surowiej zabroniono przedrukowywać z nich cokolwiek. Gdyby wypadkiem w adresowanym do redakcyi rekomendowanym liście, który na poczcie otwierają, znaleziono wycinek z galicyjskiej gazety, zaraz czeka nas kara, choćby przesyłka miała miejsce bez naszej wiedzy. Karę wymierza się adresatowi, a nie nadawcy listu. Gdy się wypadkiem trafi, że któryś z naszych galicyjskich korespondentów, komunikując wiadomości czysto faktyczne, zamiast opisać je własnemi słowy, przez lenistwo użyje tych samych wyrażeń, które napotkał w którymś galicyjskim dzienniku, znowu mamy karę za niedbalstwo i opieszałość korespondenta. Tekst listu zostaje bowiem porównany z tekstem galicyjskich gazet i w razie ich zgodności ciężka spada na nas odpowiedzialność. Ni mniej, ni więcej, tylko od 1000 do 1500 rubli kary. — A przecież może być jeszcze gorzej, przecież możemy dożyć dnia, gdy nam zupełnie zabronią pisać po polsku tak samo, jak już zabronili pisać po małorusku, jak na Litwie, Wołyniu, Ukrainie i Podolu zakazali mówić w urzędach po polsku. Już obecnie w Instytucie głuchoniemych i ociemniałych nauka odbywa się w języku rosyjskim. A jak marnieje nasza literatura! Znasz pan również dobrze, jak ja, naszego wielkiego przyjaciela Aleksandra P., o lirycznych oczach i radykalnym składzie ust. Niech pan porówna jego styl obecny z jego pracami z przed siedmiu lub ośmiu lat, a przekonasz się pan, jak się ten pisarz cofa. Cała nasza nadzieja w wielkiej wojnie, która jednak tak długo na siebie czekać każe.

Nie mówmy o wojnie, powiada Olgierd, wierzymy że do niej przyjść musi, ale rozmową jej nie przyspieszymy. Staliśmy się krajem, który żyje nie teraźniejszością, ale częścią w odległej przeszłości, częścią zaś, i nawet stale, dniem jutrzejszym. W jednej z mych powieści przedstawiłem rodzinę, która taki sam pędzi żywot: nie w teraźniejszości, ale w wiecznem oczekiwaniu jakiegoś jutra. Tą rodziną jest naród polski. Nie osłabliśmy, ani też nie marniejemy, jak twierdzi Mikołaj, tylko bardziej, niż kiedykolwiek, zmuszeni jesteśmy uciekać się do alegoryi i opisów. Widziałeś pan zapewne Gawalewicza Legendy o Matce Boskiej, tak pięknie ilustrowane przez Stachiewicza. Mają one szalone powodzenie, ale bynajmniej nie dla pobożnej swej treści, bo nie o nią tu chodzi. Jak panu wiadomo, z dawien dawna nazywamy Przenajświętszą Panienkę Królową korony polskiej. Otóż w »Legendach« Matką Boską jest sama Polska. I to zrozumieli wszyscy, z wyjątkiem, rzecz oczywista, cenzorów. W czasach teraźniejszych trzeba być ostrożniejszym, niż kiedykolwiek. W zeszłym roku po dłuższej przerwie wznowiono w Warszawie »Straszny dwór« Moniuszki. Cenzor teatralny twierdził, że w aryi z kurantami publiczność przy słowie »matka« pomyśli o »ojczyźnie« i żądał, aby je zastąpić wyrazem »ciotka«. Żądaniu temu musiano zadośćuczynić. A więc Stefan śpiewał: »O ciotko, ciotko miła! Gdyś nas osierociła...« i t. d.

Ubiegłej zaś zimy wystawiono *Heimat* (Ojczyzna) Suderman'a. Cenzura zażądała innego tytułu i zmieniono go na »Gniazdo rodzinne«.

Taka jest nasza męka i nasza powolna agonia, odzywa się z kącika pod palmami głos panny Heleny, która wyciągnięta na szeslongu wskazuje przez

szybę na gwiaździste niebo i półgłosem deklamuje po francusku:

L' immensité,
Vierge de flamme
»Berce mon âme —
Felicité!
Mon âme clame
L' immensité.

VII.

Następujące zdarzenie, którego wczoraj wieczorem byłem świadkiem, samo w sobie dość powszednie, ma jednak dla moich spostrzeżeń nad życiem kraju tutejszego znaczenie doniosłe. Rzuca ono bowiem jaskrawe światło na położenie tej klasy ludności, którą Rosyanie jak najrychlej pragnęliby złamać i zarazem ilustruje wyraziście stosunek warstw zamożniejszych do ludu w wielu okolicach.

Zaproszeni byliśmy na kolacyę do P. Zasiadło nas do stołu osób czternaście: starzy państwo W. z synem i jego młodą, podobną do Angielki, żoną, jej bracia i siostry, córki gospodarstwa i jeszcze kilku zaproszonych gości. Siedząc za stołem zauważyliśmy, iż jeden ze służących zmienia talerze w sposób tak hałaśliwy, iż niepodobna wcale prowadzić rozmowy. Jednym się zdawało, że służący jest nieco podchmielony, inni goście sądzili, że może zbyt gorliwie stara się on stawiać przed każdym talerz w ten sposób, aby złocony monogram gospodarstwa był jak najbardziej widoczny — po chwili też zajęliśmy się czem innem. Ale jak tylko wstaliśmy od stołu i przeszliśmy do sąsiedniego pokoju, dał się słyszeć straszny hałas. Służący, widocznie w napadzie szaleństwa, pochwycił długi nóż kuchenny i rzucił się z nim na

odźwiernego. Odebrano mu wprawdzie nóż, ale to go nie uspokoiło, krzyczał i hałasował dalej, biegał po obszernym otwartym przedsionku, zatrzymując się tylko na chwilę, aby zapalić papierosa, odgrażał się wszystkim a w końcu zaczął obecnym wymyślać po rosyjsku (służył bowiem przedtem w pewnym domu rosyjskim). Rzecz naturalna, że wobec takiego, co najmniej dziwacznego, postępowania owego służącego bano się pozostawić go w nocy w domu i posłano po policyę. Ponieważ zaś na wsi posterunki policyjne są dość rzadkie, konny posłaniec dotarł do najbliższego dopiero w pół godziny, a strażnik policyjny zjawił się zaledwie po upływie dwóch godzin.

Trzeba było uważać na przedsionek, gdzie się znajdował szaleniec, który wogóle sprawiał nam wiele kłopotu, gdyż co chwila wybiegał to do jednego, to do drugiego pokoju. Zwróciłem uwagę gospodarza, że waryat zbliża się do jednej z szaf; powiedziano mi, że to jego własna szafa i nie zwracano na nią dostatecznej uwagi. — Ach, patrz pan, powiada wtem gospodarz, on wyjmuje z szafy rewolwer; to rewolwer mego brata; ukradł mu go zapewne z zarzutki. Ale — na Boga — nie mów pan o tem nic paniom!

Ale one same prędko spostrzegły, że lokaj spaceruje po pokojach z rewolwerem w ręku i zaniepokoiły się tem bardzo. Wtem padł strzał i do pokoju wbiegły dwie trupio blade pokojówki z krzykiem: strzela! Pospieszyliśmy wszyscy; jedni, aby powstrzymać waryata, drudzy, szukając bezpiecznego schronienia.

Z rozmowy dowiedziałem się, że ów lokaj, który służy wszystkiego dopiero miesiąc i sześć dni (od 1-go sierpnia) nie od dziś już znany był jako czło-

wiek nie tylko niespokojny, ale wprost już niebezpieczny. Pokojówki opowiadały, że poprzedniej niedzieli, gdy nikogo nie było w domu, namawiał on całą służbę, aby podpaliła dwór, nie oszczędzając wcale swych państwa. I takie propozycye powtarzały się kilkakrotnie.

Pan domu posłał na wieś po pięciu włościan, aby ubezwładnić szaleńca. Ale żaden z nich nie chciał nawet palcem kiwnąć. Przeciwnie, spoglądali oni na nas nieprzyjaźnie i z pewną nienawiścią. W ostatnich czasach prowadzi się tu wśród ludu żywa agitacya, podburzająca go przeciw właścicielom ziemskim i zbałamuceni włościanie w skrytości ducha radzi są, gdy jakieś nieszczęście dotknie obywatela. Rząd korzysta z tego usposobienia i stara się je podsycać. Dość jest przejść się po wsi, aby zauważyć ten nastrój u ludu. Podczas gdy starsi chłopi witają uprzejmie staropolskiem: Niech będzie pochwalony, młodsza generacya przy spotkaniu wcale nie pozdrawia. Już przed wielu laty, gdy w pewnem gronie młodych Duńczyków debatowano nad możliwością rewolucyi w Rosyi, powiedziałem: »Piękna to będzie rewolucya, polegająca na tem, że włościanie pozapalają dachy nad głowami postępowego obywatelstwa«. — Tu znalazłem potwierdzenie mego poglądu.

Propozycyę moją, abyśmy sami sobie z szalonym lokajem dali radę, przyjęto ze zdziwieniem, które zrazu dla mnie niepojęte, później dopiero stało mi się jasnem. Wszak wówczas policya stanie po stronie pokrzywdzonego lokaja i zaaresztuje nas, a nie jego.

Ponieważ jednak zamyślał on drugi raz wypalić z rewolweru, stangret, widocznie energiczniejszy od swych panów, rzucił się na szaleńca i jakoś przy pomocy innych udało mu się skrępować ręce na ple-

cach. Następnie — w obawie przed policyą — przyniesiono miękką kołdrę, rozpostarto ją na podłodze i położono związanego, który nie przestawał rzucać się i kląć.

Po chwili spokoju usłyszeliśmy lekki turkot, to nadjeżdża urzędnik policyjny; indywiduum przyodziane w uniform, ale bez żadnego żołnierskiego zacięcia, w okularach, z długimi czarnymi i przygładzonymi włosami. Wyraz twarzy jakiś tępy, zdradzający skrytość, małostkowość i pedanteryę. Pan ten rozpoczyna swe czynności od indagowania świadków. Ale z obawy przed zemstą lokaja nikt nie chce świadczyć. Odźwierny nic nie wie o tem, jakoby lokaj napadł nań z nożem w ręku, pokojówki nigdy nie słyszały z jego ust żadnych gróźb. Jeszcze przed wejściem policyanta do pokoju, lokaj potrafił przez okno rzucić rewolwer do ogrodu i obecnie po ciemku niełatwo go znaleźć. Już teraz zaczyna być jasnem, że państwo, którzy lokaja kazali związać, winni są całej tej awantury.

Niema więc innego wyjścia: trzeba się uciec do przekupstwa. Ale ponieważ robi się to niezręcznie przy świadkach, urzędnik w przystępie cnotliwości nie chce przyjąć łapówki i zabiera się do zbadania rzeczy znalezionych przy skrępowanym służącym, pugilaresu pełnego biletów wizytowych jakiejś rosyjskiej baronowej, które zapewne służyły mu do brania na jej imię i rachunek towarów po sklepach i przyrządu do odlewania kul. Urzędnik policyjny każe skrępowanego uwolnić z więzów. Wówczas ten ostatni podnosi się i robi gwałtowną scenę, oświadczając, iż nie opuści tego domu, dopóki nie otrzyma trzymiesięcznej pensyi, chociaż przesłużył tylko miesiąc i sześć dni i choć chwila, w której ma zostać are-

sztowany za awantury i gwałty z bronią w ręku, zdaje się być zupełnie niestosowną do podobnych obrachunków. Ale policya popiera te żądania i pragnie lokaja zabrać ze sobą.

Ma on swe racye po temu, aby lokaj odjechał stąd z dobrze nabitą kieszenią« rzecze do mnie gospodarz. »Jak tylko konie ruszą, zaraz zacznie się między nimi targ o kwotę, jaką ma zapłacić aresztowany za skorzystanie z ciemnej nocy i ucieczkę z bryczki. W pół godziny może on już tu wrócić i podłożyć ogień na folwarku«.

Ażeby temu zapobiedz, gospodarz, nibyto w obawie o szanowne życie policyanta nie chciał pozwolić, by ten jechał sam na sam z aresztowanym szaleńcem i dał mu do pomocy, na wszelki wypadek, jednego ze swych najpewniejszych ludzi.

Mimo to, nie jesteśmy wcale przekonani, że zbrodniarz nie uciekł po drodze.

Nakoniec bryczka ruszyła i sądziłem, że wypadek który w tak nieprzyjemny sposób zakłócił nam wieczór cały, już się skończył i wkrótce będzie zapomniany. Ale gdym wrócił do salonu, ku wielkiemu memu zdziwieniu wyczytałem w oczach pań głęboki smutek. »Czegóż się panie martwicie, skoro wszystko przecież szczęśliwie się skończyło?« »Nic się nie skończyło« rzekła młoda pani W. »Pan łatwo możesz sobie nic z tego nie robić, bo za kilka dni odjeżdżasz do domu. Moi rodzice za jaki miesiąc wyjadą do Warszawy, jedna z sióstr uda się do Niemiec, druga do Paryża. My tylko z mężem zostaniemy tu we dwoje i z pewnością nie unikniemy zemsty tego człowieka. Nie jesteśmy pewni, ani życia ani mienia naszego, bo tego rodzaju indywidua mszczą się zawsze. W sąsiednim majątku, szwagier mój zajął w zeszłym roku

dwa cudze konie. Polecił je tedy zaprowadzić do dworu, umieścił w stajni, a chłopu, który się zgłosił po nie nazajutrz, kazał zapłacić 50 kopiejek kary. Chłop, jak zwykle, zaczął lamentować, tłumacząc, że jest biedny, że nie ma pieniędzy i t. d. — Zapłacisz karę, powiedział szwagier, stać cię na to, wcale nie jesteś takim biedakiem, za jakiego chcesz uchodzić, masz ośm koni a w zeszłym miesiącu cztery z nich pasły się na mojej łące. Chłop zapłacił, ale tego samego jeszcze wieczora widłami zabił szwagra, a sąd wymierzył zabójcy jakąś stosunkowo lekką tylko karę«.

»Tak, tak«, powiedział jeden z gości, »okolica nasza nie jest bezpieczna, jesteśmy ze wszystkich stron jakby osaczeni. Na wiosnę zmuszony byłem wypędzić lokaja, który mię okradał. Wkrótce dwa razy podpalono mi budynki gospodarskie. Każdy zna sprawcę tych pożarów, ale ja w sądzie nie mogę niczego dowieść«.

Dopiero o drugiej po północy wybraliśmy się z powrotem do domu, a ciężki nastrój ducha nie opuszczał nas ani na chwilę.

Gdym po drodze rozważał sobie wypadki ubiegłego wieczoru, nie mogłem opędzić się myśli, jak silnie odzwierciadlają się w tem przykrem zdarzeniu, którego byłem świadkiem, wszystkie polityczne i społeczne anomalie, wywołane przez srogi i wszechstronny ucisk rosyjski. Naturalną rzeczy koleją przyszedł mi na myśl rok 1846-ty, gdy chłopi, których szlachta chciała zjednać dla narodowego powstania, podjudzani przez agitatorów rządu austryackiego, rzucili się na tę szlachtę. Była to zemsta za opór, który panowie mieli nibyto stawiać wprowadzeniu w życie jakichś dobroczynnych rozporządzeń cesarskich. Musiała jednak ta szlachta w czasach dawniejszych

srodze wobec chłopa zawinić, inaczej byłaby taka rzeź wprost niemożliwą a i nienawiść względem panów nie byłaby przetrwała do naszych czasów. Ale w stosunku dzisiejszego obywatelstwa do ludu jest tyle dobrej woli i przychylności, że tylko nizki poziom kultury i ciemnota, w której rząd rosyjski z rozmysłem lud utrzymuje, przyczyniają się do zachowania podobnych anormalnych objawów i tej nienawiści względem szlachty.

Pod jarzmem rosyjskiem wszystko, nawet walka klasowa, staje się karykaturą odnośnych stosunków w innych krajach europejskich.

A jednak podnieść tu muszę, iż, pomimo swej niechęci względem klas wyższych, lud w Polsce (czego może niema w żadnym innym kraju) przejęty jest głębiej kwestyą narodową, aniżeli społeczną. Nie chcę przez to powiedzieć, aby Polska miała być wolną od tej walki klasowej, która w obecnej epoce ogarnęła całą Europę. Ale przecież w ludzie jest stokroć silniejszą niechęć względem Rosyan, niż względem panów. Lud pogardza Rosyaninem jako niekatolikiem, a jeden z najobelżywszych wyrazów w jego słowniku to — M o s k a l.

Pomiędzy klasą zamożniejszą a ludem zachodzą różnice ekonomicznej natury, natomiast Rosyan dzieli od Polaków przedewszystkiem odrębność religii, a ta ostatnia jest tu jeszcze zawsze potęgą pierwszorzędną.

VIII.

Wczoraj odwiedził mnie nasz młody ksiądz, a był tyle łaskaw, iż przyniósł mi litografowany komentarz do starego testamentu, używany do nauki w seminaryum rzymskiem. Jest on napisany po łacinie przez jakiegoś jezuitę, w sposób przystępny i sprytny, ale, rozumie się, zupełnie nienaukowy, bo autor nigdy nie schodzi z ortodoksyjnego stanowiska. Komentarza tego niema w handlu księgarskim i z wielką ciekawością dowiadywałem się z niego, na jakich zasadach oparte jest nauczanie w seminaryach katolickich. Nasz proboszcz, pomimo swego młodego wieku, pod niejednym już względem doznał rozczarowania. Swoje obecne stanowisko uważa on jako wyrządzoną sobie krzywdę, jako niesprawiedliwość; ambicya bowiem każe mu dążyć do profesury w seminaryum warszawskiem i prędzej czy później dopnie on celu, gdyż jest sprytny i inteligentny, może nawet za n a d t o inteligentny.

Rozmawialiśmy o najrozmaitszych rzeczach, między innemi o tutejszem dziennikarstwie. Czytano mi wczoraj ostatnie artykuły literackie K a z i m i e r z a Z a l e w s k i e g o i B o g u s ł a w s k i e g o. Pierwszy rozpisał się o panegiryku Henryka Becque'a dla Sardou w »Figarze«, drugi o jakimś felietonie Sarcey'a

o pożytku krytyki. Cała ta staroświecka abstrakcyjna estetyka po dziennikach to tylko skutek cenzuralnego ucisku.

Mówiliśmy też o dzikiej administracyi tu na prowincyi; że po pocztę np. trzeba codziennie posyłać umyślnego do miasteczka o cztery mile; że posłańcowi nie wydają rekomendowanych listów, ale tylko zawiadomienie, iż list taki znajduje się na poczcie i ja muszę stawić się osobiście, aby go odebrać. Gdym się na to uskarżał przed pocztmistrzem, odpowiedział mi: »Przecież dotychczas z Królewic nikt nie przyjeżdżał, a b y s i ę z e m n ą p o z n a ć«.

Albo np. opłaty za doręczanie telegramów! Za każdy telegram 2 rs. 20 kop., t. j. więcej, niż sam telegram kosztuje, a odbieramy je codziennie. W dzień imienin pani Józefy, musiał Franciszek co najmniej ze 70 rubli zapłacić za telegramy, których treść — »serdeczne życzenia« — już wiedzieliśmy z góry.

Tak gawędząc, wyszliśmy w pole i siedli pod wysoką topolą, wsłuchani w szelest wiatru w jej liściach, a rozmowa nasza wkroczyła na tory poważniejsze. Od drobnych udręczeń przeszliśmy do wielkich męczarni całego narodu, od powszednich objawów despotyzmu i bezprawia do tej wielkiej krzywdy historycznej, której zatrute owoce spożywać musimy codziennie. — Stary feldmarszałek Moltke rzekł kiedyś do Kościelskiego, iż w pewnej książce o Polsce najbardziej podobał mu się ustęp, że »Polskę miłuje się nie tak, jak Niemcy, lub Francyę, albo Anglię — lecz się ją kocha tak, jak się wolność kocha«. Godne to uwagi wyznanie z ust człowieka, którego przecież o szczególniejszą miłość wolności posądzić niepodobna. Ale ja czuję dobrze, że takie właśnie uczucie było podścieliskiem mych poglądów

na Polskę od samego początku. Kto kocha wolność bezgranicznie, jak fanatyk, musi koniecznie dać w swem sercu przytułek tej narodowości najsrożej w całej Europie uciemiężonej. Chętnie przebacza się wówczas błędy, a za cnoty płaci ukochaniem serdecznem.

Ale na co wspominać te *plusquamperfecta!* Każdy człowiek z wykształconym zmysłem psychologicznym zdaje sobie sprawę ze słabych stron charakteru narodowego polskiego, które przymusowa wstrzemięźliwość w życiu publicznem tylko potęguje. Co wrogowie nazywają u Polaków obłudą, nie jest nią, a płynie właśnie z tego życia w świecie urojonym. Polacy lubią łudzić siebie i innych stosunkami tylko nawpół rzeczywistymi. Nie mam tu na myśli owego pospolitego fantazyowania południowych Francuzów, mówię o życiu, w którem trzeba zamiast czynów zadowalać się słowami. Redaktor gazety, który nigdy nie napisał ani jednego wiersza i ledwie, że czytuje własne pismo, a już w żaden sposób nie może być uważany za jego kierownika, z głębi duszy i naiwnie cieszy się, gdy go tytułują redaktorem oraz całkiem poważnie i z wiarą we własne słowa opowiada o swych redakcyjnych mozołach i kłopotach, o walce z cenzurą i t. p. Garstka patryotów od lat dwunastu zbiera się co dwa tygodnie i co poniedziałku wyzwala ojczyznę z niewoli za pomocą dowcipnych dyskusyi i planów, nie widząc wcale, że wszystko przecież pozostaje po staremu.

»Polacy — rzekłem do księdza proboszcza — są może jedynym na świecie narodem, który nie przypisuje sobie zdrowego rozsądku, jako cechy narodowej. Wszystkie inne narody: Francuzi, Anglicy, Włosi, Niemcy, Duńczycy są najmocniej o tem przekonani,

że zdrowy rozsądek tylko u nich ma swą wyłączną siedzibę. Polacy nie mają o sobie takiego wyobrażenia. Wiedzą oni zbyt dobrze, że nigdy nie umieli z danej historycznej sytuacyi wyciągać korzyści praktycznych. Na tym punkcie nie brak im samopoznania«.

A na to on mi odpowiedział: »W narodzie naszym, rzecz dziwna — kobiety pod tym względem zasadniczo różnią się od mężczyzn; są znacznie trzeźwiejsze. Tu na wsi nie stoją one zbyt wysoko; chłopki są jeszcze bardzo blizkie stanu natury. Przed zamążpójściem korzystają ze swej dziewiczej swobody na szeroką skalę; każde bowiem powiększenie rodziny jest pożądane, gdyż dziecko już w młodym wieku przedstawia pewną siłę roboczą. Dopiero po zamęźciu młode mężatki zupełnie zmieniają swój tryb życia, aby nie ucierpiała cześć mężowska«.

»O ile mogę sądzić«, rzekłem, »kobiety stanów wyższych mają wiele panowania nad sobą i w ogólności mało temperamentu. Edmund About, napróżno starając się o względy pewnej Polki, dał w jednej ze swych poezyi charakterystykę ich powściągliwego usposobienia, charakterystykę trafną i po dzień dzisiejszy. Jakkolwiek dziwnem się to wydać może, uważam jednak, iż przeciętny typ kobiecy, najczęściej spotykany w Polsce, podobny jest do Angielki Maud w Cosmopolis Bourget'a, do owej spokojnej, serdecznej kobiety, której żadne uczuciowe burze nie są w stanie wyprowadzić z równowagi«. — (Jej mąż, któremu autor dał jakieś niemożliwie po polsku brzmiące nazwisko Gorka — powinienby się właściwie nazywać Górski — to Polak prawdziwy: niestały i namiętny).

W toku rozmowy dowiedziałem się, że tu jednak częściej niż na północy kobiety lepszego towarzystwa

dają się porwać namiętności i albo stają na pochyłości prowadzącej do półświatka, albo kończą na zbrodni. Dwa lata temu staruszka, matka znakomitego malarza W., kobieta bardzo zamożna, została zamordowana przez pewną panią, należącą do wyższych sfer towarzystwa warszawskiego. Dama ta miała kochanka, a ten potrzebował i wymagał wiele pieniędzy. Jej mąż zupełnie nie rozumiał pobudek, które zabójczynię popchnęły do zbrodni i z uporem twierdził, że to miłość do niego skłoniła ją do tego. Posyłał on żonie codzień do więzienia bukiety i wraz z dziećmi żegnał ją kwiatami w wagonie, w którym z innymi aresztantami wyruszała na Sybir.

Gdy kobieta staje się tu damą półświatka, bywa to po największej części z winy matki. W zamożniejszem mieszczaństwie trafiają się bowiem matki pięknych córek, nie mogące pogodzić się z myślą, iż ich ukochane i piękne jedynaczki mają spędzić życie na partykularzu, nie brylując swą urodą na wielkim świecie. Zamieniają tedy one cały swój majątek na brzęczącą monetę i wynoszą się na stałe do Paryża. Przybywszy tu z funduszem wynoszącym, dajmy na to, około 50 tysięcy franków, urządzają się z czysto polską lekkomyślnością tak zbytkownie, że już w pierwszym roku majątek zmniejsza się o połowę, ale zato wchodzą w te sfery paryskie, które dla cudzoziemców stoją otworem. W końcu pierwszego roku panna otoczona jest rojem wielbicieli, po upływie drugiego w kasie są pustki i wytwornie edukowane i delikatne dziewczę, nie widząc innego wyjścia przyjąć musi pomocną dłoń jednego ze swych bogatych przyjaciół. Po upływie pewnego czasu, naturalną rzeczy koleją przechodzi do rąk drugiego, a całą winę tej smutnej i fałszywej sytuacyi, w jakiej znalazła się córka,

ponosi własna jej matka. Doskonały typ takiej właśnie młodej Polki dał nam Paul Bonnetain w swym pięknym i niepośledniej wartości romansie p. t. *Passagère*.

Gawędząc tak pod drzewem, spostrzegliśmy, że zbliża się do nas Franciszek i pani Józefa z panią Haliną. Po chwili zasiedli oni na trawie obok nas, rozmowa stała się ogólną i zeszła na kwestyę następującą.

W kraju tutejszym niemasz wojskowych, polityków ani dygnitarzy Polaków i w ogólności żaden Polak nie może tu piastować takiej godności, która gdzieindziej jedna mężczyznom łaski u kobiet. To też względami swymi darzą one tutaj wyłącznie prawie literatów i artystów. W każdem niemal mieście na całym świecie są mężczyźni, na których, jak w ognisku, skupiają się miłosne spojrzenia kobiet, niemających żadnego innego ukochanego. Taki mężczyzna to dla serc niewieścich pewnego rodzaju lombard, który je przechowuje wówczas, gdy w serduszkach tych nikt nie gości, ale w Polsce podobnym lombardem jest pisarz wielkiej sławy. Choć wcale nie elegancki i liczący już około pięćdziesiątki, zdobył on sobie takie imię w literaturze, iż jest dla kobiet przedmiotem szczególnej adoracyi. Wszędzie, gdzie się ów szczęśliwy wybraniec pojawi, czy to w miejscach kąpielowych, czy w Zakopanem, albo w salonie warszawskim, wszystkie kobiety, od poważnych matron aż do pensyonarek, ślą ku niemu czułe spojrzenia. Nie można jednak powiedzieć, aby im odpłacał tą samą monetą.

Ale bardziej niż wszelka adoracya dla pojedynczych osób uderzyć tu musi każdego wzniosła i namiętna miłość ojczyzny, tak poważna u kobiet, jak

żadne inne uczucie. Niemasz ofiary, którejby nie poniosły one dla celów patryotycznych, a czyny ich świadczą o tem na każdym kroku.

Pewnego wieczora jednemu z gości, obywatelowi, wychowanemu w Anglii, wyrwała się uwaga, że w czasach obecnych w Polsce brak jest ogromny rzetelnego patryotyzmu. Mężczyźni zaprzeczyli temu, ale warto było zobaczyć, jakie uwaga owa zrobiła wrażenie na kobietach. Z płonącemi oczyma i pałającą twarzą otoczyły one pesymistę i drżącym z gniewu głosem jęły zbijać ten jego zarzut... A jedna z młodszych w najwyższej pasyi powiedziała: »Przyrzekłam panu, że pojedziesz do domu moim powozem. Możesz pan teraz iść sobie piechotą«.

Zgodziliśmy się wszyscy, że gdyby było inaczej, gdyby w sercach kobiet nie płonął ten święty ogień miłości ojczyzny, wrogowie Polski już dawno dopięliby swego celu. Żaden bowiem naród na świecie nie żyje pod takim uciskiem, żaden nie jest narażony na takie prześladowania. Niemasz takiego przedsięwzięcia, któreby nie było wykonalne, jeżeli jest skierowane przeciw Polsce, a każda osobistość knująca wrogie przeciw niej zamiary, ma przed sobą otwarte pole działania. W bardzo tylko rzadkich wypadkach zamysły podobne zostają odkryte i udaremnione. Właśnie w roku zeszłym zaszedł taki wypadek, a po nim sądzić można o tem, co się tu praktykuje i uchodzi bezkarnie.

Pewien student, od półtora roku zapisany do uniwersytetu warszawskiego, postanowił wyzyskać panujące tu stosunki i za wszelką cenę zrobić karyerę. Wkręcił się tedy do redakcyi niektórych pism tutejszych, aby następnie, zaopatrzywszy się w listy polecające, udać się do Krakowa. Był przystojny,

układny, słowem, jeden z tych sprytnych łajdaków, którym dobrze się na świecie rzeczywistym powodzi, bo ludzie naiwni są przekonani, iż tylko w kiepskich romansach spotyka się podobne indywidua. W Krakowie i Lwowie odgrywał on rolę ofiary politycznych stosunków Królestwa, zdobywając w ten sposób sympatyę i zaufanie ludzi poważnych i wpływowych. Natychmiast jednak po przybyciu do Galicyi zawiązał korespondencyę z żandarmeryą petersburską, oświadczając, iż posiada w ręku dowody, kompromitujące najwybitniejsze osobistości w Warszawie i wykazujące istnienie szeroko rozgałęzionego spisku. Dawał przytem do zrozumienia, że zdobył je nie wskutek nieostrożności tych osób, a li tylko dzięki własnej swej zręczności i zapobiegliwości. Policya petersburska chętny dała posłuch takim wiadomościom. Za fałszywym paszportem udał się tedy ów jegomość do Petersburga — choć pozornie wyjechał niby to na południe — porozumiał się tam z szefem tajnej policyi i wrócił, aby prowadzić rozpoczęte dzieło dalej.

Po powrocie do Krakowa starał się wejść w bliższe stosunki z robotnikami górniczymi, udając, że interesuje się ruchem robotniczym, w rzeczy zaś samej czynił to w tym celu, aby tą drogą dostać dynamitu. Gdy mu się to wreszcie udało, zapakował dynamit w kilkanaście paczek, umieścił na nich adresa owych wybitnych osobistości warszawskich, które wskazał policyi petersburskiej i cały ten transport wysłał przez przemytnika do Warszawy, zawiadamiając równocześnie władze rosyjskie o tem, że z Krakowa idzie do Warszawy paka materyałów wybuchowych.

Ale policya austryacka zwróciła już uwagę na szczególne zachowanie się tego pana, na jego wyjazd

dla zmylenia tropu najprzód na południe a stąd do Petersburga, poczęła baczniej śledzić jego stosunki z robotnikami, i, nareszcie, postanowiła wkroczyć. Przemytnik, transportujący dynamit, został pochwycony, zanim dosięgnął rosyjskiej granicy. Rewizya, dokonana w mieszkaniu współpracownika rosyjskich żandarmów, dała obfity połów. Znaleziono masę listów i telegramów z Petersburga, które, acz z wielką ogłędnością stylizowane, jawnie świadczyły o czułym stosunku, jaki istniał między tym politycznym męczennikiem a jego prześladowcami. A głośny proces, który odbył się w Krakowie, tak dalece sprawę wyjaśnił, że nawet rosyjska żandarmerya — jeden z wybitnych jej oficerów przysłuchiwał się rozprawom sądowym — nie mogła się całkowicie wyprzeć swego stosunku z tym panem, skazanym ostatecznie na kilka lat ciężkiego więzienia, które odsiaduje jeszcze dotychczas. Jak widzicie, pomysł był iście piekielny, ale tym razem się nie udał.

Nie ulega wątpliwości, że cesarz nie zawsze jest wtajemniczony we wszystkie szczegóły rządów rosyjskich w Polsce, a dowodem tego mordy i okrucieństwa rosyjskie w Krożach. Opowiadają, że jedna z rosyjskich księżniczek krwi, przeczytawszy o tem w pismach zagranicznych, posłała wycinki z nich w liście do cara. Ten zrazu nie wierząc, kazał jednak zbadać sprawę jednemu ze swych zaufanych, księciu Kantakuzenowi. Ale wileńskiemu jenerał-gubernatorowi Orżewskiemu łatwo udało się wysłańca carskiego dobrze dla siebie usposobić. Po kilkodniowym pobycie w Wilnie i Krożach Kantakuzen wrócił do Petersburga i w raporcie złożonym carowi przedstawił całą sprawę jako mocno przesadzoną przez prasę zagraniczną. W rzeczywistości wszystko miało

się ograniczać do tego tylko, iż kilku chłopów, stawiących opór policyi, dostało parę nahajek. Na tem sprawa się skończyła. Ale inicyatorka nie dała jej zamilknąć i dostarczyła carowi dowodów przekonywujących o prawdziwości swej relacyi. Orżewski otrzymał dymisyę, a Kantakuzen, popadłszy w niełaskę, wyjechał za granicę i wkrótce zakończył życie w Paryżu.

Był piękny wieczór. Słońce znikało za oponą z czarnych chmur i pozostawiało na ciemnych obłokach łunę złocistą. Na polach cisza. Tylko kury krzyczą, gdy dwa młode pudle pani Józefy, Caro i Finka, uganiają za niemi. Był to mój ostatni wieczór, więc błądziłem oczami po okolicy, której już tak prędko zobaczyć nie miałem.

Franciszek mówił: Wróć znowu do nas, wróć na przyszłe lato. Nie będziesz się nudził w bibliotece o 8000 tomów. Powiedz zresztą, co czytać chcesz, a sprowadzę dla ciebie.

Pani Józefa mówiła: Nie zapomnij pan o nas i wracaj prędko! Znamy się przecież od lat dziesięciu, a nasza przyjaźń z latami zyskuje ciągle na sile. Przyjedź pan do nas, nie dla książek, ale dla ludzi. Nigdzie pan lepszych nie znajdziesz przyjaciół.

Młody ksiądz mówił z uśmiechem: Wróć pan do nas, a będziemy znowu bronili jezuitów, gdy stary sąsiad po dawnemu urągać im zacznie. I znowu rozstrząsać będziemy księgę Kohelet i zgodzimy się niewątpliwie, że przecież nie wszystko na tym świecie jest znikome.

Pani Halina rzekła: Nie zapomnij pan o nas!

A wiatr szumiący w liściach wysokich topoli powtarzał: Nie zapomnij, nie zapomnij! Cała Europa

o nas zapomniała. Nie zapomnij o tym narodzie czarującym i bogato uposażonym, który tak głęboko czuje, tak szczytnie marzy i tak namiętnie kocha. Nie zapomnij o tej ziemi, która już tyle pochłonęła krwi szlachetnej, o tej krainie opuszczonej przez bogów, a wyszydzanej przez ludzi. Nie zapomnij!

ROMANTYCZNA LITERATURA POLSKI
W DZIEWIĘTNASTEM STULECIU.

Literatury: polska i duńska niewiele mają punktów stycznych [1]).

Piśmiennictwo polskie posiada mały, ale nauczający dokument, dotyczący kultury i historyi wojennej Danii w XVII-tym wieku. Mam tu na myśli pamiętniki Jana Chryzostoma Paska. Szlachcic ten należał do oddziału wojsk polskich, przysłanych nam na pomoc przeciwko Karolowi Gustawowi szwedzkiemu, zwiedził Danię w r. 1658 i 1659 i brał udział w pamiętnem zdobyciu wyspy Als przez konnicę, przepływającą Alsund z zatkniętymi za kołnierze pistoletami i zawieszonemi na szyi prochownicami. Był on również przy szturmie Koldyngu i wzięciu Fidericii. Badał też Pasek i opisał życie i obyczaje duńskich wieśniaków i zakochał się w córce pewnego tamtejszego obywatela ziemskiego, a ona gorącą mu odpłacała wzajemnością. Wyrywa się jednak nasz wojak z objęć ukochanej, wraca do ojczyzny i wprowadza do niej dwie rzeczy, których do tego czasu nikt nie znał w Polsce, a mianowicie: drewniane trzewiki i botforty duńskie.

---

[1]) Przy tłumaczeniu tej części dzieła J. Brandesa korzystałem z książeczki, wydanej w Warszawie w r. 1887 p. t. Jerzy Brandes: O poezyi polskiej w XIX. stuleciu. Trzy odczyty tłumaczone z oryginału duńskiego przez J. S. (Przyp. tłum.).

Lud duński, jest zdaniem Paska, »nadobny; białogłowy gładkie« ale »zbyt białe«. W urządzeniu mieszkań uderza go to szczególnie, że »łóżka do sypiania mają w ścianach zasuwane, jako szafa...« Co do zwyczajów, dziwi się, że »nago sypiają, jako matka urodziła i nie mają tego za żadną sromotę, rozbierając się i ubierając jedno przy drugiem, a nawet nie strzegą się i gościa, ale przy świecy zdejmą wszystek ornament... Kiedyśmy im mówili, że to tak szpetnie... powiadały, że tu u nas niemasz żadnej sromoty i nie rzecz jest wstydzić się za swoje własne członki, które pan Bóg stworzył«. Nie podobają się Paskowi kiszki, które »jedzą za wielki specyał« i któremi jego częstowano »do uprzykrzenia!« »Kobiety«, pisze pamiętnikarz, »stroją się pięknie, ale w drewnianych trzewikach chodzą wiejskie i miejskie. Gdy po bruku w mieście idą, to taki uczynią kołat, co nie słychać, kiedy człowiek do człowieka mówi... W afektach zaś nie tak są powściągliwe jako Polki, bo lubo zrazu jakąś niezwyczajną pokazują wstydliwość, ale zaś za jednem posiedzeniem i przemówieniem kilku słów zbytecznie i zapamiętale zakochają się i pokryć tego ani umieją; ojca, matki, posagu bogatego gotowiusieńka odstąpić i jechać za tym, w kim się zakocha, choćby na kraj świata«.

Jakby na poparcie tego twierdzenia, umieścił też w pamiętnikach następujący list swej ukochanej:

»Wielmożny Panie! Osoby drogie sercu wielbimy chętnie w duchu, pragniemy zapewniać o tem słowami, żądamy oglądać oczyma. Jaką życzliwość powziął mój ojciec dla znakomitego bohatera sławnego narodu i towarzysza takiego wodza, jakiem tchnie ku niemu przywiązaniem, okazuje samo częste powtarzanie imienia W. M. i to najmocniejsze posta-

nowienie kochać go nie jak przybranego, ale jakby z własnej krwi zrodzonego syna. Jeżeli zaś ojciec sprzyja, zaiste niemniej i córka, bo w jej duszy tak niezmiennie utkwiły czułych skłonności groty, iż gdyby wolno było w tem piśmie przesłać tęskne serce. każdy bez wątpienia mógłby wyczytać jawne i widoczne szczerości dowody. Wyznaję teraz, co długo taiłam, że w całym biegu życia nie czułam, aby do kogokolwiek, wśród tylu ubiegających się, serce moje tak lgnęło, jak do W. M... Ta miłość... iść zamierza dokąd ją losy wiodą i dokąd udać się serca tajemnice każą... Dom rodziców moich z łaski Boga jest świetny i najstarożytniejszym domom równy... Wychowanie moje, lubo błahe, chwaliłeś... Wiara przeszkadzać nie powinna, bo wyznaję osoby Trójcy Przenajświętszej, która natchnieniem darzy serca ludzkie.... Słowa ojca mojego: że majątku za granicę wywozić nie należy, niech cię nie frasują; ojciec mój jest stanowicielem tego prawa, ty będziesz jego tłumaczem i najwyższym wykonawcą! Do ciebie rozkazywać, do mnie być posłuszną należy« i t. d.

Przez pewien czas Pasek, podbity tą gorącą miłością młodego dziewczęcia, wahał się, czyby nie pozostać przy niej w Danii, ale powstrzymała go od tego z jednej strony obawa, że w ten sposób zerwie wszystkie węzły, łączące go z krewnymi w Polsce, z drugiej zaś bojaźń, że, przyjąwszy luterską wiarę, nie dostąpi zbawienia niebieskiego. Decyduje się więc nasz autor na powrót do ojczyzny razem z całem wojskiem polskiem. Pasek zmarł w roku 1700 w sędziwym wieku, będąc za życia ulubieńcem dwu królów, a wyborne jego pamiętniki zostały w całości dopiero w r. 1836 po raz pierwszy wydane.

Jeżeli dodamy do tego, że Lelewel pisał o »Eddzie skandynawskiej«, że w rozmaitych poezyach romantycznych, np. w »Irydyonie« Krasińskiego tu i ówdzie spotkać można fantastyczny obraz starożytnej pogańskiej Danii z czasów »króla Odyna«, to prawdopodobnie na tem się ograniczy wpływ literacki, wywarty przez Danię na życie umysłowe i cywilizacyę Polski.

Polska pozostawiła trochę głębsze ślady w literaturze duńskiej. Zwłaszcza krytyczne okresy jej historyi w naszym wieku, a mianowicie powstania w r. 1830—31 i 1863 zwróciły szczególną uwagę na ten kraj i wzbudziły dlań przemijającą wprawdzie, lecz niemniej szczerą sympatyę.

Pomiędzy rokiem 1830 a 1840 pojawia się w Danii tak samo, jak i w innych krajach, cały szereg pięknych i pełnych uczucia lirycznych poezyi, osnutych na motywach polskich, jak np. Paludan-Müllera Wezwanie do Polski (Raab til Polen), Aarestrupa Matka Polka (En polsk Moder), a Hauch wydaje nawet znany romans w dwóch częściach: »Rodzina polska« (En polsk Familie), zawierający także kilka pięknych poezyi. Wiersz, zamieszczony w tym romansie: »Dlaczegoż fale Wisły tak wezbrały« (Hvorfor svulmer Weichselfloden), do którego muzykę dorobił Niels Gade, jest dziś jeszcze jednym z najpopularniejszych śpiewów w Danii.

Romans Haucha jest zajmujący z tego głównie względu, iż w nim Duńczyk po raz pierwszy i jedyny próbował dać większy obraz umysłowego i towarzyskiego życia Polski, bo skądinąd należy on do dzieł mniej wybitnych, a charaktery odmalowane są słabo i mglisto. Wierny duchowi swego czasu, Hauch nie pomyślał nawet o tem, aby się stać naocznym

świadkiem faktów, które chciał przedstawić. Nie przedsiębrał nigdy żadnej podróży do Polski i nie zadał sobie nawet trudu poznania gruntownie kilku rodzin polskich, zanim przystąpił do tak szczegółowego ich opisu. Studyował on tylko starannie przekłady ludowych i narodowych pieśni, opracowywał je i przerabiał na język duński i dlatego też motywa smutku, rezygnacyi, miłości ojczyzny i katolickiej pobożności, które znajdujemy w jego romansie mają coś przypominającego brzmienie polskiego akordu.

Nawet wspomniana wyżej pieśń o »Wiśle«, która w pewnej mierze może być uważana za streszczenie idei przewodniej całego utworu Haucha, osnutą jest całkowicie na motywach polskich pieśni ludowych, dziś jeszcze śpiewanych przy krakowiaku.

Wypadki r. 1863 wywołały w dziennikarstwie duńskiem rozmaite, mniej lub więcej piękne i gruntowne artykuły. Ale z utworów trwalszej wartości można chyba wymienić cztery czy pięć pięknych poezyi, które umieścił w duńskich gazetach znakomity liryk szwedzki hr. Snoilsky. W czasach późniejszych mało się w Danii interesowano Polską. Ostatnie powstanie nazwano jej śmiertelną walką i od tej chwili uważano Polskę za umarłą.

Ale »jeszcze Polska nie zginęła«, chociaż tak często wydaje się delikatną i bezbronną kobietą, którą wszyscy pomiatają i kopią nogami. Już po roku 1831 przyjaciele Polski uważali jej dzieje za skończone. W r. 1831 Węgrzy w adresie do cesarza austryackiego ofiarowali się własnym sumptem wystawić stutysięczną armię na pomoc walczącej Polsce. Ofiary tej, rzecz oczywista, nie przyjęto, a w r. 1832-gim, gdy już było po wszystkiem, je-

den z członków Sejmu węgierskiego, Polocsy, wyrzekł następujące pamiętne słowa: »Jeżeli królowie i cesarze uważają się za członków jednej wielkiej rodziny i noszą żałobę, gdy jeden z nich umiera, o ileż bardziej upadek jednego narodu powinien być powodem żałoby dla innych. Tylko, że narody powinny żałobę tę nosić nie, wzorem królów, na kapeluszu lub ramieniu, ale w sercu«. Szczytne to słowa, ale jak po roku 1830-tym nie była Polska umarłą, tak samo i teraz nie można jej uważać za wykreśloną z liczby narodów żyjących.

I.

Literatura polska pierwszych trzech ćwierci naszego wieku przedstawia ten sam obraz następujących po sobie prądów zasadniczych, co i inne znane mi europejskie piśmiennictwa. Ramy są wszędzie jednakowe. Na początku wieku przestarzały i wkrótce porzucony klasycyzm, potem romantyzm, obejmujący najdłuższą przestrzeń czasu i budzący najwięcej interesu, a w siódmym i ósmym lat dziesiątku rodzący się realizm.

Te cechy są wspólne wszystkim narodom europejskim; w każdym jednak narodzie dążności te przyjmują charakter odrębny, odpowiednio do jego przeszłości i historycznych warunków jego rozwoju. Piśmiennictwo polskie naszego wieku, prócz właściwości, płynących z charakteru narodowego, posiada jeszcze zupełnie odrębne piętno już przez to samo, że powstało w kraju, który niedawno w gwałtowny sposób utracił swój byt niezależny. Wskutek tego literatura, a szczególniej poezya, muszą tu zastępować wszystkie te organa życia narodowego, które wraz z podziałem państwa istnieć przestały. Staje się ona przez to bardziej żywotną i bogatszą w treść wewnętrzną, grzeszy jednak z konieczności pewną jednostronnością.

Ażeby zrozumieć poezyę polską bieżącego wieku, trzeba choć pokrótce rzucić okiem na bieg jej rozwoju w ciągu kilku ostatnich stuleci. Polska niebardzo odczuła te wstrząśnienia, które epoka reformacyjna spowodowała w główniejszych państwach Europy zachodniej. Pokrewne Czechy strawiły się w dążeniu do wielkiej reformy społecznej i kościelnej podczas wojen husyckich, zajmujących cały dwóchsetletni okres od śmierci Hussa aż do bitwy pod Białogórą (1620). A później, po tym nadzwyczajnym wysiłku, kraj ten przez kilka stuleci był formalnie jakby usunięty z historyi. Tymczasem w Polsce kościół katolicki stosunkowo małym tylko ulegał atakom, a głębiej sięgający rozłam religijny kraj ten oszczędził.

Okres, noszący w ogólności miano odrodzenia, był dla Polski epoką wielkości i pierwszym złotym wiekiem poetyckiej literatury. Największą jego postacią jest Jan Kochanowski (1530—1584), wielbiciel Horacego i Wirgiliusza, współczesnik i znajomy Ronsard'a. Zacząwszy od poezyi w języku łacińskim, wkrótce przechodzi Kochanowski do polskiego i staje się prawdziwym mistrzem słowa, przejętym duchem starożytności i odrodzenia. Zimny wobec chrześcijaństwa, natomiast gorący wielbiciel republikańskich idei, pogański deista, próbował Kochanowski wszelkich rodzajów poezyi, a we wszystkiem, co pisał, przejawiał siłę męską, wolnomyślność i ludzkość. Najlepsze z jego Trenów, pięknych elegii, chwytających swą prostotą za serce i napisanych z powodu śmierci ukochanej Urszulki, pod względem artyzmu w niczem nie ustępują najpiękniejszym utworom tego rodzaju, np. poezyom Wiktora Hugo.

Dwa główne rodzaje poezyi kwitną w owej epoce

w Polsce: sielanka i satyra. W pierwszej poeci dają wyraz swemu współczuciu dla ludu. Uczucie łamie tu mur niebotyczny, którym się w rzeczypospolitej odgrodziła od wszystkich szlachta, ów stan w narodzie panujący, i w sielskich poezyach idealizuje lud wiejski. W satyrze bystry zmysł krytyczny poety zwraca się przeciw panującej kaście, uważając szlachectwo za czysto przypadkowy przywilej urodzenia. A właśnie w owej epoce około r. 1600 stan szlachecki zastyga w konserwatyzmie i zapamiętale broni swych przywilejów i władzy.

Z owoczesnym ruchem społecznym, który w Niemczech został złamany za pomocą ostatecznego ujarzmienia ludu i wytępienia anabaptystów, szlachta polska z wielkim trudem dała sobie radę w wojnach kozackich. W Niemczech, gdy humanizm został zastąpiony i pochłonięty przez luteranizm, duchowe odrodzenie zatrzymało się na pewnem stadyum pośredniem, przybrano połowiczną mieszczańsko-kościelną formę, która jednak tak była szeroką i wytrzymałą, iż mogła ostać się czas dłuższy. W Polsce natomiast rozwój tego odrodzenia zaraz został zatamowany, gdyż tu, odwrotnie, ruch reformacyjny całkowicie rozpłynął się w humanizmie, dostępnym tylko dla najwykształceńszych jednostek z klas wyższych. Gdy tedy przyszła religijna kontrrewolucya pod wodzą jezuitów, łatwo jej udało się pokonać ten ruch, nie sięgający w głąb narodu.

Protestantyzm przybrał w Polsce formę jakiejś heretyckiej filozofii, odrzucającej naukę kościoła rzymskiego wraz z jego moralnością, aczkolwiek sam nie był w stanie na to miejsce postawić własnej pozytywnej etyki. Przejęty na wskroś tendencyą polemiczną, poprzestawał on na dozwalaniu wszystkiego,

czego Rzym zabraniał (zarówno małżeństw między blizkimi krewnymi, jak i luźnych związków między płciami), przedewszystkiem zaś głosił potrzebę i konieczność sekularyzacyi dóbr kościelnych. A jednak protestancka szlachta potrzebowała religii dla utrzymania ludu w należytych karbach, ponieważ humanizm, którym była przejęta sama, dla mas był niezrozumiałym, a zasada wolności badania, leżąca w osnowie protestantyzmu, niebezpieczną była dla przywilejów szlacheckich. Z łatwością tedy przyszło kilku utalentowanym agitatorom, służącym zarówno katolicyzmowi, jak i kastowym interesom szlacheckim, przemówić tym protestanckim szlachcicom do przekonania i jednego po drugim nakłonić do powrotu na łono kościoła rzymsko-katolickiego. Taki wielki talent polityczny i zarazem oratorski posiadał Orzechowski (1515—1565), który szlachtę przekonał, że tylko władza duchowna może zmusić króla do dochowania przysięgi na *pacta conventa*, warujące szlachcie jej swobody i przywileje.

O wiele wyżej od poprzedniego stoi jezuita Skarga (1536—1612), wielki i sławny kaznodzieja. On to przywrócił katolicyzmowi w Polsce blask dawny, on przewidział wszystkie niebezpieczeństwa płynące z szlacheckiej anarchii, a iście proroczym natchniony duchem w jednem ze swych kazań sejmowych przepowiedział nawet podział Polski. Oto słowa Skargi:

»Nastąpi postronny nieprzyjaciel, jąwszy się za waszą niezgodę i mówić będzie: »Rozdzieliło się serce ich, teraz poginą.. « I ta niezgoda przywiedzie na was niewolę, w której wolności wasze utoną i w śmiech się obrócą.... Ziemie i księstwa wielkie, które się z koroną zjednoczyły i w jedno ciało zrosły, odpadną i rozerwać się dla waszej niezgody muszą.... Będziecie, jako wdowa osierociała, wy, coście drugie narody rządzili i będziecie ku pośmiechu i urą-

ganiu nieprzyjaciołom swoim. Język swój, w którym samym to królestwo między wielkiemi onemi słowiańskiemi wolne zostało, i naród swój pogubicie i ostatki tego narodu tak starego i po świecie szeroko rozkwitnionego potracicie, i w obcy się naród, który was nienawidzi, obrócicie, jako się inszym przydało«. (Trzecie kazanie sejmowe: O zgodzie domowej).

Na słynnym obrazie Matejki Skarga jest przedstawiony właśnie w chwili jednego z takich kazań sejmowych.

Aż do połowy XVIII-go wieku panuje w Polsce jezuityzm i on nakłada swe piętno na całe jej życie umysłowe. Wyprawa Sobieskiego na odsiecz Wiednia w r. 1683 spowodowaną jest bardziej pobudkami religijnemi, aniżeli politycznemi. Aby umocnić w narodzie wiarę katolicką, powołała władza duchowna Zakon jezuitów; zwolna całe szkolnictwo i wychowanie młodego pokolenia przeszło w ich ręce. Pod tymi duchowymi rządami jezuitów kwitnie tylko krasomówstwo, zarówno łacińskie, jak i polskie, osiągając niebywały dotąd stopień doskonałości. Ale równocześnie język polski coraz to bardziej kazi makaronizm, dowodzący znacznego upadku smaku literackiego.

Po tym kierunku jezuickim następuje prąd nowy, przeniknięty francuskiemi ideami filozoficznemi ośmnastego wieku. Ale polityczno-reformatorski wpływ owoczesnej Francyi dał się w Polsce uczuć wówczas dopiero, gdy już państwu polskiemu groziła niechybna zagłada. Długie lata umiała przesiąknięta konserwatyzmem kasta szlachecka piętnować każde usiłowanie reformy jako wsteczne, jako zamach na złotą wolność szlachecką, tę wolność, która przecież przez *Liberum veto* wiodła naród do anarchii i licytowania korony polskiej na rzecz więcej dającego. Teraz poczęli młodzi Polacy jeździć do Francyi, aby tam u najwybitniejszych myślicieli zasięgnąć rady co do nowej

konstytucyi dla zagrożonej upadkiem ojczyzny. Wielhorski zwraca się do Russa, twórcy »Umowy społecznej« (Contrat social) i otrzymuje od niego »Uwagi o rządzie Polski« (Considérations sur le gouvernement de la Pologne), zaś od opata Mably'ego rozprawę »O politycznem położeniu Polski« (De la situation politique de la Pologne), zupełnie tak samo, jak w naszych czasach zwróciła się do berlińskiego profesora Gneista ambasada japońska z prośbą o ułożenie konstytucyi dla Japonii, czemu Gneist, jak wiadomo, nie odmówił.

Russo traktował rzecz ze stanowiska czysto apriorycznego. Wróg absolutyzmu, doradzał Polsce podział władzy, ustrój rządu federacyjny, utrzymanie obieralnego tronu, nie usuwał *Liberum veto*, a tylko ograniczał jego stosowanie i w ogólności polecał taki ustrój demokratyczny, który się dla owoczesnej Polski wcale nie nadawał. Z poglądu jego korzystało później stronnictwo anarchii i popierani przez Rosyę zdrajcy konfederacyi targowickiej. Mably, posiadający oczywiście więcej zmysłu politycznego, doradzał zaprowadzenie dziedzicznej konstytucyjnej monarchii.

Po pierwszym podziale Polski w r. 1772, kończą się te narady z cudzoziemcami, od r. 1788 stronnictwo narodowo-patryotyczne bierze się energicznie do dzieła reformy ustroju państwowego a jego usiłowania uwieńczone zostają pomyślnym skutkiem w znakomitej konstytucyi 3-go maja 1791 r., którą słusznie nazwano dyplomem szlachectwa narodu polskiego wobec innych ludów Europy. Po niej nastąpił drugi, a w ślad za upadkiem Kościuszkowskiego powstania trzeci podział Polski.

Jeden z najwybitniejszych mężów owych czasów, głowa racyonalistycznego klasycyzmu, Jan Śnia-

decki, który z ciasnotą poglądów na rodzący się romantyzm łączył bystrość sądu w innych dziedzinach, trafnie scharakteryzował nastrój owej epoki. »Straciwszy ojczyznę... — pisze Śniadecki — jesteśmy pod twardym wyrokiem potępiającym nas na stłumienie i uduszenie w sobie tych poruszeń, które w nas wlało wychowanie, nałóg i żądza szczęśliwości publicznej, które ożywiały i podnosiły wszystkie nasze władze umysłu, sposobności i talenta. Trzeba dziś Polakowi przeżyć samego siebie, stworzyć sobie inną duszę i zamknąć czucia swoje w ciasnych granicach osobistego bytu«.

Nic zatem dziwnego, że po upadku państwa polskiego i bezpośrednio przed wystąpieniem na scenę kierunku romantycznego znajdujemy w życiu umysłowem Polski dłuższą przerwę.

Przypada ona na epokę wielkiej rewolucyi francuskiej i tych przeróbek, których na karcie Europy dokonał Napoleon.

Natychmiast po rzezi Pragi zwycięzcy wzięli co najwybitniejszych mężów Polski do niewoli. Wielu z nich zginęło w fortecach pruskich i austryackich, inni powędrowali na Sybir, a niektórzy jenerałowie nawet na Kamczatkę. Emigranci rozproszyli się po Francyi, Włoszech i Turcyi.

Polacy, których państwo upadło w walce z trzema dziedzicznemi monarchiami, musieli, z natury rzeczy, sympatyzować z rzeczpospolitą francuską. W nadziei, że i ona ze swej strony nie opuści sprawy polskiej, legiony polskie walczyły razem z armią francuską. Ale rzeczpospolita i Napoleon zawiedli pokładane w nich nadzieje. Gdy tego była potrzeba, Napoleon umiał rzucać obietnice, których nigdy nie zamierzał dotrzymać. I znowu Polacy tworzyli dlań pułki, ba!

nawet całe armie i nie szczędzili krwi polskiej. Nawet podczas odwrotu z pod Moskwy, gdy Napoleon prawie sam puścił się w drogę na saniach, od Smorgoni towarzyszyło mu stu polskich ułanów. Przez jedną noc z powodu nadzwyczajnych mrozów, zginęło z tej eskorty 64 ludzi!

Kościuszko nie wierzył Napoleonowi; nigdy nie chciał ziomków swoich namawiać, aby w jego szeregach walczyli. »A gdybyśmy jenerała siłą do tego zmusili?« zapytał książę Otranto, wysłany w charakterze pośrednika. »Oświadczyłbym głośno i wyraźnie, że nie jestem wolny i że w niczem udziału nie wezmę«.— »Dobrze, poradzimy sobie sami«, odpowiedział na to Fouché. I rzeczywiście, do pewnego stopnia mogli się obejść bez Kościuszki, bo Polacy liczyli wówczas na to, iż jako założyciel nowej dynastyi Napoleon zmuszony będzie wypowiedzieć wojnę starym rodom królewskim, które dokonały podziału Polski. A jednak, przed kampanią rosyjską, Napoleon nie powstydził się fałszerstwa i wystosował do narodu polskiego proklamacyę, podpisaną imieniem Kościuszki, w której o samym sobie z najgłębszem mówi uwielbieniem. Początek tej odezwy brzmi następująco: »Wśród szczęku broni, którym Polska rozbrzmiewa, Kościuszko zwraca się do was. Tak postanowiła wyższa wola Napoleona, która tworzy i znosi królów, a piorunem swym druzgocze wrogie sobie narody... Mąż przeznaczenia zwraca ku wam swe spojrzenia i swe myśli«.

Przy każdej okazyi nadużywał Napoleon zaufania Polaków, poświęcał ich i oszukiwał. A jednak naród ten, od chwili utraty swej niepodległości widocznie skazany na nadzieję »przeciw samejże nadziei«, nie opuścił nigdy Napoleona. Przeciwnie. Z chwilą jego upadku zaczyna się w Polsce, jak się o tem prze-

konamy niżej, prawdziwy kult Napoleona i to taki, któremu równego nie znajdziemy w żadnym innym kraju i w żadnej literaturze.

Aleksander I. w początkach swego panowania był dla Polaków usposobiony przychylnie. W ciągu krótkiego okresu między rokiem 1815-tym, który przyniósł Polsce znośną konstytucyę, a chwilą, gdy reakcyjne zapędy Aleksandra ujawniły się w całej pełni, życie umysłowe rozwijało się spokojnie i swobodnie, zdala od walk politycznych. W okresie tym społeczeństwo zwolna odwraca się od pseudoklasycyzmu epoki Stanisława Augusta wraz z jego czysto salonową literaturą. W Polsce powstaje, tak samo jak wszędzie, walka między klasykami a romantykami, ale na razie krótkotrwała. Potem występują na scenę pojedyncze prowincye, każda ze swym zastępem poetyckim: najprzód Ukraina, następnie Litwa i inne, a wszyscy przejęci myślą, iż należy opuścić atmosferę eleganckich salonów i wejść w styczność z szeroką masą ludową.

II.

Okres między rokiem 1820 a 1850 jest dla poezyi najobfitszym i najważniejszym. Trzy główne przyczyny wyraźnie oddziaływają w tej epoce na literaturę: charakter narodowy, romantyzm europejski i jedyne w swoim rodzaju położenie polityczne kraju.

Już historyczny rozwój charakteru narodowego uczynił go szczególnie skłonnym do przyjęcia romantyzmu. Żywy i szlachetny, marzycielski i żądny okazałości, skłonny do cnót rycerskich i uniesień religijnych, pozbawiony był tylko owego balastu, który narody germańskie posiadają we wrodzonej flegmatyczności, a ludy romańskie w logice właściwej rasie łacińskiej. Niestałością swą charakter narodowy Polaków przypomina Francuzów, chociaż rodzaj tej zmienności jest tu całkiem inny. U Francuza źródło jej spoczywa w rozumującym rozsądku, który go popycha do czynienia zmian w historycznie ukształtowanem otoczeniu; Polak jest niestateczny, bo się łatwo zapala i daje unieść swemu temperamentowi. Żywością swą i czcią dla obrazów, narodowy charakter polski przypomina charakter Włochów; brak mu jednak machiawelizmu politycznego i tego zmysłu plastycznego, który we Włoszech wszystkim formom religijnym nadawał cechę bałwochwalstwa. Przestą-

piwszy próg Polski, romantyzm europejski uległ zupełnie innemu losowi, niż to miało miejsce w Niemczech, gdzie spotkał się on z brakiem życia politycznego w małych państewkach, z niepewnym idealizmem, zanikiem uczuć obywatelskich i wstrętem do rzeczywistości, które wonczas opanowały wszystkich myślących ludzi. W Polsce romantyzm ma również zupełnie inne przeznaczenie, niż w Anglii, we Francyi i we Włoszech. W Anglii musi walczyć z dziedziczną skłonnością narodu do utylitaryzmu i praktyczności i brata się zarazem z odwieczną północną żądzą niepohamowanej swobody wolnej jednostki, stawiającej opór własnej nawet ojczyźnie. We Francyi i we Włoszech żywioł łaciński a zatem klasyczny, wprost przeciwny naturze romantyzmu, nie pozwala mu opanować duchowej istoty narodu tak, iż staje się on tylko krótkotrwałem i czysto artystycznem uniesieniem.

W Polsce, gdzie charakter narodu był skłonny do przyjęcia romantyzmu, ogólne nieszczęścia kraju nadały już wszystkim umysłom cechę romantyczną. Romantyzm nie zasklepił tu dusz w egoizmie, jak w Niemczech, ani też w dzikiej i męskiej niepodległości, jak w Anglii. Przeciwnie, on łączy je wszystkie w jednem entuzyastycznem uczuciu solidarności narodowej. Wpływa tu na niego nie wstręt do rzeczywistości, ale fakt, iż ojczyzna już nie jest rzeczywistością, lecz czemś, w co trzeba wierzyć i czego nie można widzieć oczyma ciała. Żywioł łaciński wreszcie, jakkolwiek silniejszy w Polsce, aniżeli w każdym innym, nieromańskim kraju, był jednak żywiołem obcym i nie spowodował tu poważnego oporu.

Z większą siłą, aniżeli gdziekolwiekindziej, marzenia romantyczne łamią w Polsce tamę rozmaitych

względów i przeszkód i ogarniają daleko szersze koła. Wynik to charakteru narodowego, w którym przeważa nie rozsądek ale pierwiastek fantastyczno-bohaterski. Prócz tego w Polsce ściślej, niż w innych krajach, łączą się te marzenia z duchem owych czasów i owoczesnym stanem rzeczy; sprawił to los narodu i jego przyszłość, która stała się przedmiotem wszystkich myśli i marzeń.

Właściwości te wystąpią jeszcze wyraźniej, gdy rzucimy okiem na literatury i kraje, których położenie zbliżone jest do położenia Polski. Nie mamy tu na myśli zupełnej tożsamości, a tylko mniej lub więcej wydatne rysy podobieństwa.

Weźmy np. literaturę flamandzką, która około r. 1830 powstaje w Belgii. Aby obudzić uczucia narodowe Flamandczyków, ucieka się ona do wielkiego historycznego romansu, na wzór powieści Walter-Scotta. Główne dzieło tej literatury, romans Henryka Conscience p. t. »Lew Flandryi«, przypomina mi »Pamiętniki Soplicy« Rzewuskiego. Zresztą, najsilniejszą jest ta literatura w liryce. Wydał ją jednak naród spokojny, nieskłonny do uniesień. Jest to literatura mieszczańska, przykuta do ziemi, a nie, jak w Polsce, skrzydlata i płomienna, promieniująca na świat cały i gubiąca się w chmurach.

Albo weźmy Finlandyę i jej wielkiego poetę Runeberga, mającego pewne wspólne cechy z Mickiewiczem. Jego »Opowiadania junkra Stala« (Fänrik Stals sägner), przedstawiające walkę Finlandyi w r. 1810, są w całej literaturze europejskiej co do treści utworem może najbardziej zbliżonym do »Pana Tadeusza«. Maluje on charakter narodowy Finlandczyków, jakim się okazał podczas

wojny tak samo, jak Pan Tadeusz przedstawia charakter narodowy polski w tej samej epoce. Niema w tych poezyach narodowej nienawiści. Jedyny rosyjski oficer, którego wprowadza autor w tym cyklu finlandzkich poezyi, Kulniew, jest wzorem szlachetnego nieprzyjaciela, zarazem wspaniałomyślny i łagodny: jedyny oficer rosyjski, występujący w epopei polskiej, Rykow, to człowiek honoru, niesprzedajny, pełen poczucia obowiązku i odwagi.

U Runeberga brak tylko owego podniosłego krytycyzmu wobec własnego narodu, którym odznacza się Mickiewicz i w ogólności poeci polscy owej epoki. Jego Finlandczycy są bohaterami, bohaterami w prostej zimowej odzieży, nieraz w łachmanach, niemniej jednak zawsze bohaterami. Nie mają oni prawie żadnych wad. Pomimo gorącej miłości, jaką poeci polscy ziomków swych ukochali, musieli oni jednak przedstawić wszystkie, zarówno ujemne, jak i dodatnie strony dziedzicznego charakteru swego narodu. Trzeba tu jednak dodać, że mieli oni przed sobą daleko rozleglejsze pole, bo naród ich miał za sobą tysiącletnią cywilizacyę i wyrobiony język, Runeberg zaś należał do narodu, którego język nawet nie liczył się jeszcze do kulturalnych.

Odrębne okoliczności, wśród których naród polski się znajdował i wyjątkowe jego losy sprawiły, że kontrast między klasycyzmem a romantyzmem w zupełnie innem się tu ukazał świetle, niż gdzieindziej.

W programowym wierszu swoim: »Romantyczność« Mickiewicz stawia ponad klasyczny racyonalizm ludową wiarę w cuda. Wiara w duchy i pogarda zimnego rozumu, który bada przez »szkiełko«, wspólne są romantyzmowi wszystkich krajów, jest

w nich nawet coś trywialnie romantycznego. Romantycy wszędzie z pewnem zadowoleniem widzą, że nowy kierunek poezyi wprowadza do niej wiarę w duchy i zabobony ludowe. Istnieje też wszędzie związek między czysto literackim romantyzmem i wielką religijną reakcyą naszego wieku przeciw obojętności zeszłego stulecia.

Ale dwie okoliczności wpłynęły na to, by romantyzmowi polskiemu nadać zupełnie odrębny charakter. Najprzód, tendencye katolickie, jako opozycyjne, nie mają tu owego średniowieczno-feudalnego piętna, co gdzieindziej. Powtóre, stosunek, zachodzący między klasycyzmem i romantyzmem z jednej strony, a liberalizmem i konserwatyzmem z drugiej, ma tu zgoła inny charakter. We Francyi np. romantyzm od samego początku podejrzywany był nietylko o obskurantyzm, ale nawet o legitymizm. Pierwsze »Ody« i »Ballady« Wiktora Hugo dowodzą, iż podejrzenia te były uzasadnione. Najwybitniejszym przeciwnikiem romantyzmu był tam słynny liberał Armand Carrel, uznany przywódzca francuskich republikanów. W Polsce zaś przeciwnikami romantyzmu byli przeważnie urzędnicy, z przekonań politycznych konserwatyści, tacy, jak Śniadecki, Osiński, podczas gdy romantyzm od samego początku uważano, i słusznie, za należący do opozycyi.

Mickiewicz, którego naród cały jednogłośnie uznał za największego swego poetę, ma przez to samo już pewne podobieństwo z współczesnym sobie poetą duńskim Oehlenschlägerem i szwedzkim Tegnérem. Prócz wielu innych zachodzi jednak między nim a dwoma skandynawskimi poetami ta jeszcze różnica, że ci ostatni, o ile talentu swego używali na uświetnienie własnego narodu, przedmiotu do swych utwo-

rów szukali w jego dziejach bajecznych albo też opracowywali tematy z czasów starożytnych lub średniowiecznych, nigdy zaś nie brali ich z tego życia, które mieli przed sobą i które sami obserwować mogli. Mickiewicz zaś tam, gdzie się wzniósł najwyżej (jak w »Panu Tadeuszu« i niektórych częściach »Dziadów«) dał obraz tego życia, które własnemi oglądał oczyma, albo które żyło jeszcze we wspomnieniach współczesnego mu starszego pokolenia.

I to właśnie stanowi olbrzymią wyższość jego nad innymi narodowymi poetami, to nadaje romantyzmowi Mickiewicza i wielu innych poetów polskich z owej epoki stosunkowo tak nowożytne piętno. W Europie nie rozumiano jeszcze wówczas dobrze w jakim stopniu poeta jest niewolnikiem epoki, w której żyje. Poezya szukała natchnienia prawie wyłącznie w odległych czasach i nieznanych krainach i w swych kreacyach dawała nam w rezultacie istoty, które nigdy nie egzystowały i istnieć nie mogły a powstały w ten sposób, iż autor odjął im część przymiotów właściwych ludziom współczesnym i mechanicznie dodał inne, o których z książek się dowiedział, iż cechowały ludzi w czasach minionych. Nie wskutek rozumnych teoretycznych poglądów, ale siłą zdrowego instynktu poetyckiego bierze Mickiewicz tematy z odległej przeszłości tylko wówczas, gdy ze względów politycznych wygodniej mu jest w ten sposób wypowiedzieć to, co ma na sercu, a główną myśl swą ukryć i zasłonić. Tak uczynił on, naprzykład, w Grażynie i Konradzie Wallenrodzie.

W romantyzmie polskim spotykamy w ogólności do tego stopnia realistyczne rysy, że zdają się one nie należeć do owej epoki. Niektórzy zaś poeci posuwają ów realizm tak daleko, że wprowadzają do

swoich utworów osobistości jeszcze żyjące lub niedawno zmarłe. Ale charakterystyczną cechę polską stanowi to, że wszyscy ci poeci, wespół z realistyczną dążnością do przedstawiania współczesnej epoki i przyszłości, mają nieprzeparty pociąg do abstrakcyi, do alegoryi i wiary w duchy. Są to zarazem realiści i spirytyści.

Dwie okoliczności wpłynęły na to, by poezyę ich przyoblec w szatę alegoryi i abstrakcyi: po pierwsze, tkwiący głęboko w ich duszach pociąg do mistycyzmu, który, lubo drzemał czas jakiś, obudził się nagle u wszystkich dzięki katolickiemu wychowaniu, jakie otrzymali w dzieciństwie; powtóre, ucisk polityczny i wzgląd na cenzurę, który zmuszał autorów do ukrywania swych myśli między wierszami i szkicowego tylko malowania postaci swych bohaterów.

W epoce, o której mówimy, Europa cała rozbrzmiewała sławą dwóch wielkich tylko co zmarłych ludzi: Napoleona i Byrona. Nigdzie jednak, wyjąwszy własną ich ojczyznę, nie oddziałali oni tak na wyobraźnię poetycką, nigdzie nie wzbudzili takiego zapału, jak w Polsce.

Była to właśnie chwila, w której cześć dla Napoleona opanowała całą Europę. Zapomniano już o człowieku, jakim był w rzeczywistości, nie przystąpiono jeszcze do właściwych historycznych badań. Napoleon stał się legendą, która głęboko wzruszyła serce Henryka Beyle, w którą wierzyli: Wiktor Hugo, Béranger i Henryk Heine, — każdy na swój sposób i z której Thiers wysnuł swą wielką, popularną epopeę. Jakkolwiek Polska w rzeczywistości nie miała powodów do wdzięczności względem Napoleona, położyła w nim jednak niegdyś tak wielkie nadzieje, że w chwili, w której opuszczenie ostatnich lat

i okropna śmierć opromieniły całe jego życie, cieniom jego jeszcze przyznawali Polacy rolę zbawcy i oswobodziciela.

W miarę tego, jak lata mijają po upadku Napoleona, staje się on w wyobraźni ludu nadziemską, nadludzką istotą. Dla romantyków jest on człowiekiem zagadkowym. Ośmnaste stulecie było w ogólności wiekiem, dla którego nie było zagadek, tutaj zaś miano przed sobą fenomen, nie dający się objaśnić drogą zwykłego rozumowania. Obudził on na nowo tę skłonność do uwielbienia, która w zeszłem stuleciu zdawała się utraconą. Wyobrażano sobie, iż trzeźwi Anglicy dlatego tak nienawidzili Napoleona, że go zrozumieć nie mogli. Żadna istota ludzka nie mogła go pokonać, żaden jenerał, tylko, jak mawiał lud rosyjski, *Jewo Prewoschoditielstwo jenierał Maroz i Jewo Prewoschoditielstwo jenierał Gołod.* W przedmowie do Przedświtu Krasiński wywodzi od Napoleona nową erę. »Dni Cezara — powiada — przelały się w dni Napoleona! — A chrześcijański Cezar, wyższy całą ubiegłą epoką od poprzednika, przepełniony wiedzą siebie samego i celem, któremu kwoli Duch boży, kierujący dziejami, go zesłał, rzekł, umierając na skale wygnania: *»odemnie liczyć się będzie nowej Ery początek«*. W tem słowie zawarta prawda i jego i całej przyszłości«.

Mickiewicz w mistycznej epoce swego żywota uwielbia Napoleona, jak półboga. Nie widzi on w Napoleonie gallijskiego pierwiastku, ani właściwego Gallom *esprit* i dowcipu. »Jak wszystkich największych — powiada Mickiewicz, a myśl tę spotykamy i u Disraelego — wschód tajemniczo pociągał go ku sobie«. Życie jego dowodzi Mickiewiczowi istnienia niewidzialnego i mistycznego świata. Napoleon

wierzył w wyrocznie i szedł za ich głosem: posiadał bezpośrednią intuicyę, dlatego też był człowiekiem rasy słowiańskiej, bo narody słowiańskie są intuicyjne. Cesarz staje się w ten sposób w oczach Mickiewicza źródłem wszystkiego, co naród polski uwielbia w owej epoce.

Mickiewicz ciągle utrzymuje, że Napoleon stworzył Byrona, tak jak znowu żywot i sława Byrona powołały do życia Puszkina i w ten sposób ostatni pośrednio byt swój otrzymał również od Napoleona. Ponieważ, według definicyi Mickiewicza, poezya jest czynem, a zatem życie Napoleona jest najszczytniejszą poezyą. A nawet jeszcze więcej. Przeznaczeniem Napoleona było zbawiać ludy a przez to świat cały. (Przedmowa do »*L'église officielle et le Messianisme*«). Św. Helena staje się Golgotą, a promień męki Chrystusowej spada na żywot i śmierć Napoleona.

W stosunku poetów słowiańskich do Byrona spostrzegamy tę samą skłonność do niebotycznego entuzyazmu, ten sam zapał do wszystkiego, co błyszczy i olśniewa. Tak wybitne kontrasty, jak Mickiewicz i Słowacki, zgadzają się ze sobą w bajronizmie, trwającym długi szereg lat. Jak Waszyngton nie zrobił żadnego wrażenia w Polsce, a Napoleon wszystkich porwał, tak też i Shelley przeszedł niepostrzeżenie, podczas gdy Byron był na ustach całego narodu. Wierzono zupełnie seryo, że Byron był rzeczywiście największym lirykiem angielskim.

Mickiewicz, chcąc wyjaśnić duchowe pochodzenie Byrona od Napoleona, widocznie bez najmniejszej znajomości Wordswortha, Coleridge'a, Keats'a i Shelley'a, napisał, co następuje: »Dla nas jest rzeczą oczywistą, że promień, co rozniecił ogień w Byronie,

wyszedł z ducha Napoleońskiego. I jakżeby inaczej wytłumaczyć dziwne to zjawisko wśród zgrzybiałej, naśladowniczej literatury przeszłego wieku... Jak sobie wytłumaczyć, skąd wziął się ten szczególniejszy poeta, nie mający ani wzorów, ani nawet naśladowców, bo, mimo wpływ i przykład tego geniuszu, współcześni nie wydali nic podobnego, a skoro zszedł, literatura angielska znowu opadła do poziomu, na jakim ją znalazł«.

Każde zdanie jest tu błędem. Wszyscy wymienieni wyżej spółcześnicy Byrona na polu poezyi niejednokrotnie wznieśli się na te same wyżyny, co on, a pod wielu względami nawet go przewyższyli. Nie ulega przecież wątpliwości, że nie olśniewali tłumu, jak Byron, że w młodości swej nie byli dandysami ani pozerami, a w wieku dojrzałym teatralnymi bohaterami. Nie mam zamiaru w niczem umniejszać nieśmiertelnej sławy Byrona, jako poety, ani jego olbrzymich zasług, jako pioniera wolności, ale trudno mi zaprzeczyć, że i co do Byrona Polacy unosili się zarówno jego fałszywym blaskiem, jak i rzeczywistą wielkością.

Jedną wspólną mieli zasługę Napoleon i Byron — oto wyrwali Polaków z ich narodowego odosobnienia. W wieku szesnastym literatura polska była narodową, wszelako brakło jej owego ogólnoludzkiego piętna, które piśmiennictwo danego narodu czyni dostępnem dla całej Europy; w wieku ośmnastym była ona uniwersalną, ale znowuż do tego stopnia utonęła w naśladownictwie francuskiego pseudoklasycyzmu, iż utraciła wszelkie cechy narodowe, czyniące daną literaturę interesującą dla całej Europy. Śniadecki był wielbicielem Delille'a i żył z nim w przyjaźni; Bohomolec przerabiał i lokalizował utwory Molière'a.

Literatura owa zastygła w poszanowaniu reguł klasycznych. Wtem runęły wszelkie dotychczasowe zapory. Wróciły czasy wędrówki narodów. Materyalne granice nie mogły się utrzymać, rozszerzono równocześnie i granice duchowe. Polacy walczyli pod Napoleonem w najrozmaitszych krajach, a armia jego, ta żywa, z różnych narodów złożona mozajka, przeszła przez Polskę. Tym sposobem podczas tego duchowego obcowania narodów znaleźli Polacy u Byrona rozpowszechnioną w całej Europie rozpacz i żądzę swobody, dodali do nich swe odrębne narodowe cechy i, idąc śladem angielskiego poety, wprowadzili te uczucia do swojej ojczyzny.

Z pomiędzy wielkich poetów, na których romantyczna szkoła niemiecka zwróciła uwagę romantyków wszystkich innych krajów, Dante i Szekspir największy wpływ wywarli w Polsce. Zwłaszcza Słowacki przyswoił sobie styl i rodzaj Szekspira. Z całego jednak Szekspira okrucieństwa, mordy i zabójstwa, które spotykamy w niektórych jego historycznych i legendowych tragedyach, najbardziej oddziałały na wyobraźnię polskich poetów. Zwróciła się ona głównie na tę stronę Szekspirowskiego ducha, która najjaskrawiej występuje w młodzieńczym jego dramacie *Titus Andronicus*, będącym prawdziwym zbiorem okropności. Daleko rzadziej czuć się tu daje, jak np. w Balladynie, wpływ Szekspirowskich komedyi.

Najbardziej jednak może znaczącem jest duchowe pokrewieństwo owoczesnej poezyi polskiej z wielkim wygnańcem włoskim, od którego utworów tyle ich oddzielało wieków. Jak on nieszczęśliwi i wygnani, mieli poeci polscy przed oczyma polityczny upadek państwa zgładzonego przemocą i, jak on, w proroctwach

i wyroczniach szukali ulgi na swe cierpienia. Krasiński najsilniej ulega wpływowi Dantego, a przez niego pośrednio i Słowacki. I ze wszystkiego, co włoski mistrz napisał, znowuż »Piekło« najgłębsze zostawiło ślady w literaturze polskiej. A zrzadka tylko, jak np. w niektórych poezyach Krasińskiego, ukazuje się świetlana postać Beatryczy, zwiastująca odrodzenie i szczęśliwe życie.

Wyjątkowe losy kraju uczyniły naród w pewnych chwilach mniej, w innych znów więcej skłonnym do ulegania obcym wpływom i, jak to już wyżej zaznaczyłem, zmodyfikowały tu stosunek zachodzący między klasycyzmem i romantyzmem z jednej, a reakcyą i postępem z drugiej strony. Jeżeli losy te odbiły się tak silnie na charakterze literatury, to dlatego, że przedewszystkiem oddziałały na charakter pisarzy. Ci ostatni mają wiele rysów wspólnych. Wszyscy należą do wyższych warstw społecznych, otrzymali rzymsko-katolickie wychowanie, wszyscy są gorącymi patryotami. Ale najsilniej wszakże łączy ich to, iż między dwudziestym a trzydziestym rokiem życia wszyscy kraj swój opuszczają, aby już nigdy do niego nie wrócić. Ci nawet, co nie brali udziału w rewolucyi r. 1830, chcąc pisać swobodniej, udają się za granicę. Wszyscy stają się emigrantami i pielgrzymami, pragną być przywódcami narodu, z którym jednak nie mają stałych i ścisłych stosunków i nigdy nie są pewni, czy naród ten stoi po ich stronie. Zresztą żyją oni w ciągłej i zawsze złudnej nadziei ogólnego przewrotu w polityce europejskiej.

Był to więc zupełnie odrębny rodzaj romantyzmu politycznego, bardzo różny od reakcyjnego romantyzmu niemieckiego i humanitarnego francuskiego.

Ale szczególnie zajmującą jest rzeczą obserwować

wpływ tułaczki emigracyjnej na uczuciowe życie tych pisarzy.

Marzyciele z natury, stają się pod wpływem romantyzmu marzycielami teoretykami. Oddalenie od kraju, podwajając ich egzaltacyę, nadaje ich uczuciom coś pospiesznego, chorobliwego i niespokojnego. Weźmy takie podstawowe uczucie, jak miłość, a przekonamy się o tem.

Mickiewicz długi czas kocha się w pannie Ewie Ankwiczównie, ulega wpływowi jej przekonań religijnych, nawet jej snów — widziała go kiedyś w białej szacie z barankiem na ręku — a mimo to wyjeżdża nagle z Rzymu i to właśnie w chwili, gdy ojciec Ewy miał zezwolić na jej związek z poetą. Adam stara się nawet nie spotkać z ukochaną, której wspomnienie jednak unosi się nad głównem jego dziełem — Panem Tadeuszem.

Krasiński, który w najprzesadniejszych wyrazach wielbił panią Delfinę Potocką, jako swą »siostrę jedyną«, swą muzę i t. p., posłuszny woli ojca, jak młodzieniaszek, opuszcza ukochaną i na jego życzenie żeni się z inną kobietą. Jednocześnie zaś pisze do opuszczonej, którą unieśmiertelnił w Przedświcie:

»Módl się Ty za mnie, by mnie w moim grobie
»Nie opiekielnił żal wieczny po Tobie!
»Módl Ty się za mnie, bym u Boga w niebie,
»Po wiekach wieków kiedyś spotkał Ciebie!«

Mieszkając nad jeziorem genewskiem u pani Patteg, poznaje Słowacki pannę Maryę Wodzińską i gorącą pała ku niej miłością, a czarujący poemat W Szwajcaryi jest literackim pomnikiem tych szczęśliwych chwil miłosnych na łonie cudownej natury. Ale zazdrość pożera serce dojrzałej córki

p. Patteg, Eglantyny, wynikają z tego powodu sceny, które zniewalają poetę do pewnej wstrzemięźliwości wobec ukochanej. Tymczasem rodzina Wodzińskich opuszcza Szwajcaryę, Słowacki zaś przejeżdża na drugą stronę jeziora genewskiego, pisze przeciw pannie Patteg znany wiersz p. t. Przeklęta, poczem znowu do niej powraca.

Uczucia są silne, to pewna, ale charaktery słabe. Wszyscy ci poeci opuszczają ukochane przez siebie kobiety nie dlatego, aby uchronić się od skutków namiętności, albo też, jak Goethe, z obawy przed wynikającymi z niej obowiązkami, ani też dlatego, aby przestali kochać lub porwani zostali przez jakąś inną miłość, — nie, tylko zupełnie niespodzianie i od razu, w głębi ich istoty jak gdyby pękła jakaś struna.

Emigranci i tułacze, zależni od innych, nie są panami swego losu i zbyt są egzaltowani, aby nakreślić sobie praktyczny plan życia. Nie mają domu, ani stałego miejsca zamieszkania. Oderwanie zaś od ziemi ojczystej narusza równowagę ich charakteru, wyrabia w nich jakąś niepewność i chwiejność i podwaja pociąg do mistycyzmu.

Gdy w piątym lat dziesiątku zjawia się wśród nich Towiański, mistyk-patryota, coś pośredniego między Enfantinem a Cagliostrem, prawie wszyscy ulegają jego wpływom. A nawet ci, którzy mu się nie poddają, stają się jednak mistykami, przynajmniej w pewnej epoce swego życia. Umierają młodo, zużyci przed czasem, w mniszej pokorze, jak Słowacki, niegdyś tak bezgranicznie zuchwały, lub też jak Krasiński, przepełniony smutkiem bezmiernym i bólem, że lud jego dostał się »drugiemu ludowi na krew i pokarm«.

Wszyscy przecież bez wyjątku mają usposobienie religijne i otrzymali katolickie wychowanie. Są oni też przekonani, że w każdym wielkim historycznym wypadku a zatem i w tym, który ich najbliżej obchodzi, pośrednio lub bezpośrednio urzeczywistnia się jakiś cel, że w zdarzeniach, których byli świadkami za życia, szukać należy boskiego planu. Nie rozumiejąc, żeby można było naród zgładzić i jakby wymazać z liczby żyjących, prawowierni ci katolicy, kiedy rozmyślają nad życiem ludzkiem i nad historyą, nie mogą pojąć, że się tyle rzeczy udaje ludziom złym i nieużytym, okrutnym i bezwzględnym i że Bóg się w to nie wdaje. Wyobrażają sobie zatem, że w tem wszystkiem musi być jakaś myśl ukryta i tajemnicza i że wkońcu wszystko obróci się na dobre.

Gdy im się wydaje, że tę myśl znaleźli, wówczas stają się jasnowidzącymi i prorokami, a gdy o niej wątpią, rozpacz i smutek zamyka im usta, ale zawsze wszystkie ich porywy i marzenia obracają się dokoła tajemniczego znaczenia tej wielkiej burzy, podczas której zatonęła ich nawa państwowa.

Jest w tem coś głęboko romantycznego. Duch romantyczny jest, jak to już powiedziałem na innem miejscu, rodzajem atawizmu. On zapytuje, jak zapytywał człowiek w odległych zabobonnych wiekach. Ale duch romantyczny pyta o znaczenie tego, co się stało, podczas gdy duch nowożytny pyta o przyczynę. I te umysły nie szukają prawie wcale przyczyny upadku Polski, ale z trwogą, ale z niepokojem poetyckiej wyobraźni i religijnego marzycielstwa, pragnąc rozproszyć otaczające ich ciemności, namiętnie zapytują o losy Polski, i wyobraźnia, marzenie oraz namiętność dają im odpowiedź.

Wszyscy oni prawie w swych poglądach historycznych wychodzą z następujących założeń, uznawanych za artykuły wiary: Przeszłość narodu polskiego posiada rysy tak odrębne i wybitnie charakterystyczne, jakich żadne inne nie posiadają dzieje. Źródła tych właściwości szukać należy w dziedzinie podań przedhistorycznych, starosłowiańskich a przyszłość narodu zależy od tego, o ile dochowa on wiary tym odwiecznym narodowym instytucyom (wiecom ludowym i słowiańskiej wspólnocie gminnej, chociaż ostatnia jest bardziej rosyjską aniżeli polską). Porzucenie tej spuścizny dawnych czasów spowodowało wszystkie nieszczęścia, które na naród polski spadły. — Mamy tu więc do czynienia z pewną nieliczną grupą, jak powiada Spasowicz, »apryorycznych zasad, niby wrodzonych Polsce od samego jej zawiązku i stanowiących jej p o w o ł a n i e«.

Wielki owoczesny uczony i historyk L e l e w e l, który nieco wyprzedził szkołę romantyczną, w znacznym stopniu wpłynął na wytworzenie się tych jej poglądów historycznych i sformułował powyższą teoryę, która przez kilka pokoleń powszechnie panowała w Polsce.

Na pozór może się zdawać, że ci poeci oddaliby większą usługę narodowi, gdyby wnikając głębiej w czynniki wydarzeń historycznych, wykazali przyczyny politycznego upadku Polski. Tym sposobem możnaby znaleźć środki ocalenia narodu od zagłady i przyspieszyć odbudowanie jego ojczyzny. W rzeczywistości jednak ich utwory, właśnie przez swój charakter niejasny i proroczy, większe miały znaczenie dla przyszłości narodu, niżby mieć mogła poezya opisowa, rozsądna i spokojna. Egzaltacya tych poetów, która nic nie tłumaczyła, ale sama tak łatwą była

do wytłumaczenia, rozbudzała w czytelnikach zapał potrzebny, a nawet niezbędny w tych warunkach politycznych, w jakich się naród znajdował. Wpajała ona w nich wytrwałość, zaufanie do samych siebie, niezłomną wiarę w przyszłość i uporczywy optymizm, tem godniejszy podziwu, że Polska jest krajem, w którym pessymizm powinien był najgłębsze zapuścić korzenie i najurodzajniejszą znaleźć glebę.

Poeci owi jakby przeczuli, że zadaniem ich było dać Polsce na drogę, którą miała ona do przebycia, taki pokarm i ożywczy duchowy napój, którym naród w razie potrzeby mógłby krzepić się nawet przez ciąg kilku wieków. W utworach swych złożyli oni przeto wszystkie uczucia, jakie żywili dla swego narodu, zebrali i skoncentrowali w nich, jak tego dotąd nikt nigdzie nie uczynił: miłość ojczyzny, nadzieję, nienawiść zdrady i krzywdy, oraz wiarę w ostateczne zwycięstwo słusznej sprawy. Dlatego też nie są to badawcze i dążące do rzeczywistości, ale — prorocze duchy.

Poezya ich otrzymuje przez to zupełnie odrębne piętno, zarówno pod względem religijnym, jak i artystycznym. Idea narodowości, która wszystkie te utwory przenika, płonie w sercu poetów ogniem świętym i pojęta jest w sposób czysto religijny, a walka dla tej idei staje się obowiązkiem również religijnym.

Temu też należy przypisać, że poezya romantyczna w Polsce, będąca pod względem zewnętrznym tak niedokładnym wizerunkiem duchowego stanu kraju i narodu, w całości swej przedstawia rodzaj nowożytnej biblii, która zawiera księgi sędziów i proroków, patryarchalne opisy (jak powieści Rzewuskiego lub P a n T a d e u s z), psalmy (u Krasińskiego), gdzieniegdzie postać Judyty, walkę Machabejczyków, albo

rażonego dżumą Hioba, a od czasu do czasu wzniosły hymn miłości, o dźwiękach słabszych, lecz bardziej eterycznych od tych pieśni, które rozbrzmiewały w starej Palestynie.

Całość może być uważaną za zbiór narodowych książek do modlitwy.

Najwyraźniej występuje ten charakter literatury polskiej od roku 1830-go, gdy naród, wiedziony nadzieją, powstaje przeciw najeźdźcom, lecz ulega przemocy: gdy jego młode pokolenie idzie na Sybir, a duchy poetyckie na emigracyę. Odtąd mamy do czynienia z trojaką literaturą polską: literaturą wygnańców, literaturą emigracyjną i literaturą trzech zaborów.

Od tej chwili zapał Polaków dla sprawy narodowej bynajmniej nie słabnie; przeciwnie, sprawa ta staje się dla nich, tak samo, jak ojczyzna — świętością, a naród opromienia aureola męczeństwa, bo cierpi on za wolność całej ludzkości. Rola zbawcy ludów, jaką poezya niegdyś wyznaczała Napoleonowi, spada teraz na samą Polskę, ale zostaje odmalowaną w poezyi w barwach o wiele ognistszych, jak np. w wierszu Stefana Garczyńskiego: »Do ludów«:

»Jak krwią twarz zbawcy na chuście świętej
»W wieczne się czasy odbiła,
»Tak i wam, ludy, cud niepojęty,
»Tajemna krwi naszej siła,
»W pamięci nasze męczeńskie życie,
»Obraz mąk naszych wytłoczy;
»Każda myśl wasza mieć będzie oczy
»I każdą na nas spojrzycie!

A tą samą przejęte są ideą słowa Ks. Piotra w trzeciej części Dziadów, w wielkiej scenie wizyjnej, w której Mickiewicz symbolicznie przedstawia stosunek Rosyi, Prus i Austryi do Polski:

»Tyran wstał .... Herod! .... Panie, cała Polska młoda
»Wydana w ręce Heroda.
»Co widzę? .... Długie, białe, dróg krzyżowych biegi ....
»Drogi długie .... nie dojrzeć .... przez puszcze, przez śniegi,
»Wszystkie na północ! ....
.... Patrz! po drogach leci
»Tłum wozów: jako chmury wiatrami pędzone,
»Wszystkie tam w jedną stronę ....
»Ach panie! to nasze dzieci ....
» .... Widzę ten motłoch: tyrany,
»Zbójce .... biegą .... porwali .... mój naród związany
»Cała Europa wlecze, nad nim się urąga:
»Na trybunał!« Tam zgraja niewinnego wciąga.
»Na trybunale gęby, bez serc, bez rąk: sędzie ....
»To jego sędzie!
»Krzyczą: »Gal, Gal sądzić będzie«.
»Gal w nim winy nie znalazł i — umywa ręce;
»A króle krzyczą: »Potęp i wydaj go męce!
»Krew jego spadnie na nas i na syny nasze.
»Krzyżuj syna Maryi, wypuść Barabasze!
»Ukrzyżuj: on cesarza koronę znieważa;
»Ukrzyżuj: bo powiemy, żeś ty wróg cesarza!«
»Gal wydał .... już porwali .... już niewinne skronie
»Zakrwawione, w szyderskiej, cierniowej koronie,
»Podnieśli przed świat cały; — i ludy się zbiegły —
»Gal krzyczy; oto naród, wolny, niepodległy!
»Ach! Panie! już widzę krzyż .... Ach, jak długo, długo
»Musi go nosić .... Panie, zlituj się nad sługą:
»Daj mu siły, bo w drodze upadnie i skona! ....
»Krzyż ma długie, na całą Europę ramiona,
»Z trzech wyschłych ludów, jak z trzech twardych drzew okuty....
»Już wleką: już mój naród na tronie pokuty
»Rzekł: »pragnę!« Rakus octem, Borus żółcią poi;
»A matka Wolność u nóg zapłakana stoi.
»Patrz! Oto żołdak Moskal z kopią przyskoczył,
»I krew niewinną mego narodu wytoczył ...

W pamięci każdego, kto zajmował się poezyą polską pierwszej połowy bieżącego wieku, najgłębiej wyryć się musiał ten blady profil ukrzyżowanego narodu, który dumny jest ze swego męczeństwa i znajduje ulgę w przekonaniu, iż cierpi za sprawę ludów

Wartość tej literatury romantycznej nie ogranicza się jednak na znaczeniu, jakie miała ona dla narodu polskiego. Pomimo, iż nieznajomość języka uniemożliwia jej rozpowszechnienie w Europie, wywarła ona jednak wpływ na pisarzy obcych krajów (Mickiewicz oddziaływa na Puszkina, a Księgi pielgrzymstwa znajdują oddźwięk w *Paroles d' un croyant* Lamennais'go). A i dziś jeszcze porywa ona i zachwyca cudzoziemca potęgą uczucia, miłością idei i doskonałą plastyką swych wspaniałych obrazów przyrody polskiej, ukraińskich stepów, starych lasów litewskich i tego bujnego życia ludzkiego, którego ta przyroda jest tłem naturalnem i niezbędnem.

Poezya romantyczna Polski dowiodła zagranicy istnienia sumy życia, o którego sile już wątpić poczęto i którego dostatecznie nie umiano ocenić. Przedewszystkiem chodzi zawsze o to, aby dowieść, że się żyje, bo, jak powiada Szyller, »żyjący ma słuszność«. Potem należy przekonać zarówno przyjaciół, jak i wrogów, że się pod żadnym względem od nich nie stoi niżej, że się jest w stanie iść z nimi w zawody i ma dlatego inne jeszcze prawa, oprócz prawa życia, a mianowicie prawo cywilizacyi i niezaprzeczonej wyższości umysłowej.

Pod tym względem poeci romantyczni Polski także spełnili swe zadanie.

III.

Nowej tej literaturze słał drogę jako przewodnik Kazimierz Brodziński, który ma dla niej to samo znaczenie, co Herder dla ruchu umysłowego niemieckiego, a Steffens dla duńskiego. Urodzony w r. 1791 w Królówce, nieopodal Bochni, z usposobienia łagodny i kochający, wcześnie utracił matkę i w dzieciństwie cierpiał dużo od złej macochy, od której uciekał do izby czeladnej i chat włościańskich. Z życiem więc ludu spokrewnił się od pierwszych dni swej młodości i za młodu już poznał jego klechdy, podania i pieśni. Zresztą kształcił się w szkołach niemieckich. Gdy w roku 1809 północną część Galicyi przyłączono do Księstwa warszawskiego, Brodziński wstąpił w szeregi wojska polskiego i w r. 1812 był z Francuzami w Moskwie, a w r. 1813 dostał się do niewoli pruskiej pod Lipskiem. W r. 1815 osiadł w Warszawie a w r. 1822 otrzymał katedrę literatury polskiej w uniwersytecie tamtejszym, gdzie w znakomitych swych wykładach zaznajamiał słuchaczów z Szekspirem, Goethem, Szyllerem i t. p. oraz zwracał ich uwagę na wartość estetyczną i zasoby rodzimej poezyi ludowej. Brodziński oddziałał na większość poetów szkoły Ukraińskiej a także i na Mickiewicza.

W uniwersytecie miał wszakże Brodziński rywala w osobie drugiego profesora literatury, Ludwika Osińskiego, ulubieńca salonów, fanatycznego obrońcy klasycyzmu oraz zaciętego przeciwnika rodzącej się poezyi romantycznej, który przyciągał do swego audytoryum tłumy wielkoświatowej publiczności, zachwycającej się jego piękną dykcyą i krasomówstwem. Brodziński mówił głosem cichym i bez ozdób retorycznych, ale jego bogate treścią wykłady wywierały wielki wpływ na młodzież.

Jako poeta napisał Brodziński, zapewne nie bez wpływu »Hermana i Doroty« Goethego, Wiesława, spokojną sielankę z życia ludu krakowskiego, która i dziś jeszcze znajduje czytelników. Z dumną pokorą pisze sam o swych utworach, »iż były skromnym dzwonkiem wiejskiego kościółka, który tę ma tylko zasługę, iż najraniej wzywał do nabożeństwa i prac rolniczych«.

Jako profesor stawiał Brodziński naturalność i prostotę nad wszystko, zarówno w treści i stylu, jak i w twórczości poetyckiej w ogólności, a młodemu pokoleniu zalecał:

»Niechaj inni śpiewają Arkadyjskie gaje
. . . . . .
»Ty, ceniąc wszędzie piękność, własną śpiewaj ziemię,
»Wspólne w czuciu, w przygodach i zwyczajach plemię,
»Zagrodę, gdzie młodości przekwitły ci lata,
»Za którą wszystkie kraje zbroczył krwią Sarmata,
»Na której złożysz niegdyś uśnieżoną głowę,
»Która grób twój umai w gałązki świerkowe«.

Nie był Brodziński estetykiem »uczonym«, zbywało mu bowiem na naukowej metodyczności. Ale pod innymi względami stał on znacznie wyżej od tego, co się na tem polu zowie »uczonością«, która

obywa się nieraz, jak wiadomo, bez oryginalności i krytycyzmu, bez zmysłu dla indywidualizmu w sztuce, a przecież właściwej produkcyi literackiej, dla jej życia ruchliwego, dla wielkiej roli, jaką w niej odgrywa indywidualizm twórcy, jego nastrój i artyzm niepodobna ująć w ramy tylko »uczonego« badania. W Brodzińskim mamy pisarza, w którym tętni życie, ale jest zarazem i uczoność książkowa. Stoi on między sztuką a nauką, ale wznosi się ponad ostatnią tam, gdzie sucha nauka przestaje być sztuką.

Rewolucya 1830 r. wyrwała Brodzińskiego z tej spokojnej działalności literackiej i nadała myślom poety obce jego naturze piętno egzaltacyi. Później poszedł on, jak wielu innych, największych nawet, drogą mesyanizmu i przejęty posłannictwem swego narodu, utonął w proroctwach o jego przyszłości. Już w »Mowie o narodowości Polaków« czytanej 3-go maja 1831 r. na posiedzeniu Towarzystwa przyjaciół nauk pisze Brodziński, że »Naród polski... jest... Kopernikiem w świecie moralnym... przeczuł istotny ruch świata moralnego; on uznał, że każdy naród być powinien cząstką całości i krążyć koło niej, jak planety koło swego ogniska... Ideą jego było... umiarkować prawa tronu i ludu na szali u nieba samego zaczepionej....«

Tak silnie oddziałały losy kraju na najtrzeźwiejsze nawet i najbystrzejsze umysły.

Nowemu pokoleniu poetów użyczyła natchnienia pieśń ludowa, zupełnie obca dotychczasowej klasycznej sztuce poetyckiej. Wszystkie ludy słowiańskie, zarówno jak i Litwini, posiadają bogatą, aczkolwiek rozmaitej wartości, skarbnicę poezyi ludowej. Najwyżej postawić należy pod tym względem Litwę, plemię wielce od Słowian różne, które w tej pieśni gminnej

złożyło cały poetycki swój dorobek. Bogatą i z przekładów znaną w naszych czasach w całej Europie jest serbska poezya ludowa, której wpływom ulegał ze skandynawskich poetów Runeberg. Mniej plastyczną, ale łagodniejszą i tkliwszą a niekiedy bardziej wesołą i lekkomyślną jest pieśń ludowa polska. A, nakoniec, dumka kozacka łączy w sobie to tęskne, to dziarskie tony pieśni ludowych, pełne czaru i poezyi bezmiernych stepów Ukrainy.

Zanim jeszcze największy geniusz poetycki Polski czerpać począł natchnienie z tej »pieśni gminnej«, grupa poetów pod bezpośrednim wpływem Brodzińskiego szukała inspiracyi w kozackiej dumce i rozległych obszarach stepów ukraińskich. Jest to t. zw. szkoła polsko-ukraińska, a w niej trzy najwybitniejsze nazwiska: Malczewski, Zaleski i Goszczyński.

Antoni Malczewski urodzony w r. 1793 (niepewne czy na Wołyniu czy w Warszawie) zmarł młodo, bo licząc zaledwie lat 33, zapoznany a nawet zupełnie prawie nieznany. Napisał »Maryę, powieść ukraińską«, poemat jeden z najpoczytniejszych, liczący największą może ilość wydań i najczęściej ilustrowany. Stylem przypomina Marya pierwsze krótsze epickie utwory Byrona. Malczewski, syn bogatych rodziców, otrzymał świetne, w duchu francuskim, arystokratyczne wychowanie i służył w wojsku napoleońskiem. Ciężko raniony w pojedynku, wziął dymisyę, jako oficer, i przez lat pięć (1816—1821) podróżował za granicą. Kochał się, używał życia, stracił cały swój majątek, słowem, wychylił do dna czarę rozkoszy. Powróciwszy do kraju z resztkami zdrowia i fortuny, dzierżawił niewielki majątek na Wołyniu. Tu zawiązał romans z kuzynką, żoną jednego z sąsiadów, kobietą chorą na nerwy, którą Malczewski

leczył magnetyzmem. Wkrótce ona opuściła męża, on gospodarstwo i oboje znaleźli się w Warszawie, gdzie Malczewski, nie mając środków do życia, zmuszony był szukać posady, ale i tę musiał niedługo porzucić, bo ciężko chora towarzyszka poety nie mogła ani chwili bez niego się obejść. W tym stanie wyczerpania i nerwowego rozdrażnienia, podsycanego chorobą ukochanej, zabrał się Malczewski do wykończenia swego poematu, który miał niezatartemi głoskami zapisać nazwisko jego w historyi literatury polskiej. W r. 1825 wyszła M a r y a, ale nie zrobiła wrażenia i spotkała się z nieprzychylnym sądem płaskiej krytyki. Pod wrażeniem tego niepowodzenia znękany poeta zmarł (w niedostatku), a Osiński, donosząc w jednem z pism o śmierci Malczewskiego powiedział o nim, iż »podobno próbował swych sił na niwie poezyi polskiej«.

W literackiem życiu Malczewskiego doniosłe miało znaczenie poznanie się jego w Wenecyi z Byronem. Byron liczył wówczas lat 30, Malczewski 25, obaj byli pięknej powierzchowności, należeli do jednej i tej samej warstwy społecznej, obaj owiani jakimś smutkiem, ale zarazem żądni życia i jego rozkoszy; pierwszy z natury więcej wojowniczy, drugi bardziej wrażliwy i subtelniejszy. Rzecz naturalna, iż przyszły autor M a r y i uległ czarowi wieszcza Albionu, ale, natomiast, opowiadanie Malczewskiego o Mazepie natchnęło podobno Byrona i poddało mu treść do poematu.

Główną męską postacią w M a r y i jest dobrze w Polsce znany Szczęsny P o t o c k i, jeden z wstrętnych przywódzców konfederacyi Targowickiej, który tu przyjął uroczą postać Wacława, rycerza *sans peur*

ni reproche. Wbrew woli ojca pojął on za żonę osobę wprawdzie szlacheckiego, ale nie równego wojewodzie kijowskiemu pochodzenia. Wówczas okrutny i podstępny ojciec, po pozornej zgodzie z synem, posyła go wraz z jego teściem na wyprawę przeciw Tatarom, a podczas ich nieobecności każe zamaskowanym zbirom utopić synowę w stawie zamkowym.

Akcyę przeniósł poeta w czasy wojen z Tatarami, bo epoka owa dawała mu sposobność do poruszenia wszystkich tych strun, na których grać zamierzył i zastosowania całego poetyckiego aparatu, którym rozporządzał. Maluje nam Malczewski swobodę i dziki spokój stepów ukraińskich, które przebiega na koniu samotny kozak, wiozący podstępny list wojewody; nie bez liryzmu kreśli charakter tego wiernego sługi, co »swobodę powziął z ojców łona«; z siłą i wyrazistością opisuje wymarsz polskiego rycerstwa, gdy

».... brzmią puzany ....
»Zrywają się rycerze, jakby ptaki z ziemi;

i zaraz dla kontrastu daje obraz samotnej Maryi, owego ideału tkliwej i oddanej polskiej niewiasty, pociechy i chluby ojca, która żyje u jego boku i dla niego, ale wiecznie i zawsze myślą przebywa z ukochanym, z małżonkiem, trawiona tęsknotą za tym »światem jej duszy«. W poemacie spędzają oni razem krótką tylko chwilę, aby się potem rozłączyć na wieki..,.

Dyalog między kochankami pełen jest uczucia i podniosłej egzaltacyi, zaś bitwa Polaków z Tatarami drga życiem i brawurą. Odrębność dwu ras ludzkich występuje wyraziście i czytelnik łacno dorozumiewa się, jakie znaczenie miało to zetknięcie się

cywilizacyi z barbarzyństwem dla owych czasów, i przekonywa się, że wyprawy polskie były konieczną obroną od tej okrutnej dziczy, obroną zarówno Polski, jak i całej Europy. Z wielkim artyzmem potrafił Malczewski dobyć efektów z kontrastu między zgiełkiem maskarady we dworze i zgiełkiem bitwy na polu, bo właśnie w chwili, gdy w Zapusty czereda masek czyni najazd na dwór miecznika i uśmierca bezbronną kobietę, Wacław i teść jego mężnie walczą z łupiezcami krymskimi w obronie tego szlacheckiego domowego ogniska.

Sceny zabójstwa Maryi autor nie kreśli; widać, że poeta wzdrygnął się przed tym okropnym obrazem. Nawet moment, gdy Wacław ujrzał trupa ukochanej, nie jest należycie wyzyskany, chociaż poeta z taką siłą maluje jego tęsknotę podczas powrotu z bitwy. Potrafił jednak autor w chwili, gdy mu nie dopisywała wyobraźnia, radzić sobie umiejętnie; rozbudza on wtenczas za pomocą napomknień i mglistych słówek fantazyę samego czytelnika.

Godną jest uwagi rzeczą, w jakim stopniu Malczewski, przy traktowaniu tego swojskiego tematu, nie mógł się opędzić wrażeniom ze swych podróży, zwłaszcza po Włoszech. Zaczynając pieśń drugą (tak samo, jak i pierwszą) od stepowego krajobrazu, przeprowadza autor paralelę między przyrodą Ukrainy a pięknością »kraju mirtów i cyprysów« ....

»Tam jeśli dawnych rzeczy myśl w tobie głęboko,
»Może w ten śliczny błękit wpatrzywszy twe oko,
»Słodycz w rozpaczy znajdziesz i lubość w żałobie
. . . . . .
»Ale na pola nie chodź, gdy serce zbolało:
»Na równinie mogiły — więcej nie zostało — ....

Chwila najścia zamaskowanej czeredyna dwór miecznika również wywołuje w poecie wspomnienia z Włoch. Stanął mu przed oczyma rozkoszny karnawał w Wenecyi jako kontrast tych maszkar obrzydliwych, a w wesołą pieśń masek umie Malczewski wpleść tony ponure, jak śmierć, również zręcznie jakby to zrobił, naprzykład, Wiktor Hugo.

Wprowadzając tajemnicze jakieś »młode pacholę«, które jest świadkiem przygotowań do zabójstwa, a następnie spotyka Wacława i razem z nim siada na koń, z żądzą krwi i pomsty, Malczewski po części ulegał wpływowi Byrona, po części dał wyraz swej rdzennie polskiej naturze i osobistym uczuciom. O sobie to pisze poeta w wierszach następujących:

»Lecz któż był ten człek mały z okiem zapłakanem?
»Czy Duchem jego losu? Aniołem? Szatanem?
»Czy szczerze drażni męki, lub smutek z nim dzieli?
»Nie wiem; objął rycerza i w czwał ulecieli«.

A w jednem miejscu pacholę owo tak o sobie mówi:

».... Ja wszystkim obcy wśród mojej ojczyzny,
»I śmierć mi zostawiła czarne w piersiach blizny,
»I świata jadłem gorzkie, zatrute kołacze:
»To mnie ciężko na sercu, a ja sobie płaczę.
. . . . . .
»A kiedy będę śpiewał — to na smutną nutę«.

W ten naiwny i niewybredny sposób pragnął poeta, rzecz oczywista, swą własną osobę wpleść do poematu, który miał go przeżyć i po śmierci tyle mu sławy przysporzyć.

Do ukraińskiej grupy należą jeszcze oprócz pieśniarzy mniejszej miary (jak np. Padura, który stał się wędrownym rapsodem, i Grabowski) dwaj

poeci, stojący na przeciwległych biegunach, choć obaj słuchali prelekcyi Brodzińskiego i jego wykładów o znaczeniu swojskiej przyrody dla poezyi.

Bohdan Zaleski, urodzony na Ukrainie w r. 1802 zmarł przed dwunastu laty we Francyi; w ostatniej dobie życia zamilkł zupełnie. Nie był on, jak Malczewski, poetą polskiej szlachty, ale wyłącznie śpiewakiem kozaczyzny. Zaleski opiewa zawsze tylko swoje ukochane stepy, swoje Naddnieprze i nigdy nic innego. W »Żywej pieśni« poeta sam mówi:

»Śpiewałoż ptactwo tam — byle dzień biały,
»I znów dziewczęta z majdanu śpiewały,
»To znowu męski głos wojennej chwały
»W cześć atamanów — mąciły się społem
»W pieśń jedną żywą — i pieśń tę połknąłem.

W tonie tęsknym i elegijnym opiewa Zaleski tęsknotę za stepami, za matką Ukrainą, pełne niebezpieczeństw i przygód życie kozaka i jego śmierć zdala od wszystkich. Jako dla człowieka o charakterze pogodnym i pojednawczym, wstrętną była dla Zaleskiego owa epoka, gdy szlachta polska ciemiężyła lud kozaczy, a ten w zamian w wojnie domowej podniósł oręż przeciw Polsce i dlatego poeta cofa się do spokojnego wieku XVI-go, chociaż i tu unika wszystkiego, co brutalne lub okropne.

W jednej z najbardziej znanych swych poezyi, w Przenajświętszej rodzinie«, dość bezkrwistej chrześcijańskiej idylli, Zaleski wprowadza nas w czasy młodości Chrystusa. W pierwszej części widzimy pielgrzymów, wracających po świętach przaśników z Jerozolimy, a między nimi rodziców Jezusa. Gdy noc zapada, zatrzymują się oni na spoczynek i z przerażeniem spostrzegają, że Jezusa niema, aż

po długich poszukiwaniach, w części drugiej, znajdują Go w świątyni wśród mędrców. W czarujących barwach maluje poeta sceny przed świątynią i w niej samej, ale główną piękność poematu stanowią opisy pielgrzymki do Jerozolimy i z powrotem, gdy w »polu było wiośniano już pięknie«, obozowiska pod gołem niebem i »niewymyślnej« wieczerzy, — obrazy, dla których poeta właściwie brał materyały ze swych spostrzeżeń na rodzimych stepach, z pielgrzymek pobożnych pątników do Poczajowa lub Ławry peczerskiej. Tylko, że w poezyi swej nie używa autor rzutów krzepkich, jak tego sam temat wymaga, a poprzestaje na tonach słodkawo-łagodnych, zadowalając się miniaturowymi obrazkami.

Po powstaniu 1830 r. Zaleski udał się na emigracyę, zamieszkał w Paryżu i wkrótce potem, wzorem innych wielkich poetów polskich, wpadł w mistycyzm. W późniejszych latach powrócił poeta na łono kościoła rzymsko-katolickiego, wyrzekając się swych wierzeń mistyczno-mesyanicznych, i napisał wielki, ale ubogi w treść, poemat w duchu ascetycznym, aby wkrótce potem umilknąć na zawsze.

Seweryn Goszczyński (urodzony w Ilińcach na Ukrainie w r. 1803, zmarł w r. 1876) kształcił się w szkołach razem z Padurą, Grabowskim, Zaleskim, w młodzieńczych już latach należał do spisków politycznych, a w r. 1830 do grona owych inicyatorów powstania, którzy nocą 29 listopada napadli na pałac belwederski i dali hasło do ruchu narodowego. Następnie wyemigrował do Paryża, skąd wrócił do zaboru austryackiego i zakończył żywot we Lwowie.

Główny jego utwór Zamek Kaniowski (1828) osnuty jest na krwawem tle buntu chłopskiego z drugiej połowy XVIII-go wieku, buntu, znanego w dzie-

jach pod nazwą »Koliszczyzny« i obfituje w romantyczne okropności, które poeta maluje ręką śmiałą i pewną. Goszczyński to natura wojownicza, ponura i przesądna, z wielkim talentem dramatycznym, lubująca się w gwałtownych namiętnościach, w scenach mordów, obłędu i pożogi. Podczas gdy na Malczewskiego oddziałał najmocniej Byronowski spleen i melancholia, które pobudziły go do kreślenia pokrewnych uczuć, do Goszczyńskiego przemówiło najsilniej upodobanie Byrona w dzikości i gwałtach. Struny jego lutni najsilniej drgały przy wspomnieniach zażartych walk szlachty z kozactwem. Z upodobaniem zatrzymuje się on na scenach namiętnej żądzy i zimnego okrucieństwa mężczyzn i niezłomnej miłości kobiety, która potrafi kochać do szaleństwa i nie cofa się przed zabójstwem męża, gdy tego uczucie wymaga. Krew nie przestrasza Goszczyńskiego, bez drżenia zagłębia się w obrazy mordów, wbijania na pal i strasznych walk, oświetlonych łuną pożaru zamczyska.

IV.

W r. 1829 w piękny dzień sierpniowy. dwaj młodzi Polacy przybyli do Wejmaru, aby poznać wielkiego Goethego. Znakomita artystka polska i nadworna pianistka Szymanowska, mieszkająca w Petersburgu, zaopatrzyła tych podróżnych w listy polecające do samego poety i jego synowej, pani Otylii.

Przyjęto ich bardzo dobrze i polubiono, zarówno w domu samego Goethego, jak i w całem towarzystwie wejmarskiem. Ale bo też obaj zasługiwali na te szczególne względy, płacąc z nawiązką za okazaną gościnność. Był to Adam Mickiewicz, który liczył wówczas około 30 lat i jego 26-cioletni przyjaciel Odyniec, Patrokles tak inteligentny i miły, że dogodziłby najwybredniejszemu Achillesowi.

Naturalne i pełne wdzięku listy Odyńca z Wejmaru pokazują nam, jak w zwierciedle, to małe, ale sławne miasteczko, w owych czasach, gdy Goethe liczył już lat ośmdziesiąt, a zarazem z subtelnym darem spostrzegawczym, acz nie zupełnie objektywnie, malują kontrast między największym poetą niemieckim a jego gościem polskim, między starcem a człowiekiem w sile wieku.

Dzięki tym listom, zda się, że słyszymy rozmowy obu mistrzów, a powtarzając nieraz całe z nich zdania, czyni to Odyniec zawsze z żywością i kolorytem chwili. Wyborny jest opis pierwszej wizyty u Goethego i to oczekiwanie z biciem serca »jakby jakiego nadprzyrodzonego zjawiska«.

I zdaje się nam, że słyszymy samego Goethego, gdy, czyniąc aluzyę do listów polecających, przywiezionych przez podróżnych, poeta mówi o p. Szymanowskiej: »*elle est charmante, comme elle est belle: et gracieuse, comme elle est charmante*«. Albo obiad w małem kółku u pani Ottylii, gdzie Odyniec, zafrapowany pięknością pani Vogel, na zapytanie Goethego: »*Nun, wie gefallen denn Ihnen unsere Damen?* [1]) odpowiada:» *Paradiesischer Vogel, Excellenz* [2]) co do tego stopnia rozśmieszyło sędziwego poetę, że »wielkim krokiem ruszył wprost ku damom, aby im te słowa powtórzyć«.

Pewnego dnia, po śniadaniu u państwa Vogel. Odyniec tak jakoś zasiedział się, że zapomniał o godzinie obiadu, a gdy wrócił do hotelu, zastał w sali jadalnej Adama i dwóch jakichś Francuzów pijących kawę przy sprzątniętym już stole. Jeden z Francuzów, »wysoki brunet w moim wieku — pisze Odyniec — z dużemi, pałającemi oczyma i z długimi włosami, spadającymi mu aż na szyję, wyglądał, jak bursz niemiecki.... Pierwsze słowa, które posłyszałem wyraźnie, były: »*Non, non! ce n' est pas le nom! Mik.... Mis.... Mik.... Eh! qui est donc votre grand poète?*« Adam spojrzał na mnie znacząco i z lekka potrząsnął głową. Zrozumiałem znak,

[1]) Jak się panu podobają nasze damy?

[2]) Zamiast, jak należało powiedzieć: »Paradiesvogel«.

żebym milczał i z odpowiedzi dopiero pojąłem, o co rzecz idzie. Francuz, chcąc się widać pochwalić przed Polakiem ze świadomością literatury polskiej, mówił o świeżem wydaniu w Paryżu »*par monsieur Szośko*« (Chodźko) dzieł wielkiego polskiego poety, którego nazwiska zapomniał; Adam zaś na fundamencie epitetu »wielkiego« wmawiał mu, że chce mówić o dziełach Krasickiego, wydanych u Barbezata i opowiadał przytem starszemu o zasługach i stanowisku tego pisarza w literaturze naszej. Młody bursz niecierpliwił się wyraźnie i nie taił bynajmniej oburzenia, że Polak nie wie nazwiska swojego »wielkiego« poety. Dusiłem się od śmiechu, połykając w milczeniu mój obiad. Adam tymczasem wypił swoją kawę i, pożegnawszy tych panów, odezwał się do mnie po polsku, że będzie mnie czekał na górze«. Wówczas obaj Francuzi, z których starszy był to słynny rzeźbiarz David d'Angers, przybyły do Wejmaru, aby wykonać biust Goethego, zwrócili się do Odyńca z tem samem zapytaniem o nazwisko największego polskiego poety. »Chcecie panowie zapewne mówić o Adamie Mickiewiczu?« zapytuje z kolei Odyniec. »Tak, właśnie jego mieliśmy na myśli« brzmiała odpowiedź, a Odyniec na to: »Tylko co stąd wyszedł«. — »*Ah! mon Dieu! c' est bien drôle!* Ależ tak, to on, mam nawet jego portret w płaszczu«.

Mowa tu o znanym portrecie roboty Wańkowicza, gdzie Mickiewicz w afektowanej pozie, w burce, stoi »wsparty na Judahu skale«.

Udali się zaraz wszyscy do pokoju Mickiewicza, który przyjął ich wesoło i serdecznie i między nim a Davidem zawiązała się wkrótce ożywiona rozmowa, w której »Adam — wedle entuzyastycznego listu

Odyńca — z nasępionego i obojętnego przed chwilą wzrósł od razu jakby w olbrzyma i sypnął iskrami jak wulkan; a tak ujął i zachwycił Davida, że ten. z nieudanem wzruszeniem, ściskał go po wielekroć za rękę i nakoniec prosił o pozwolenie, aby mógł zrobić »*son effigie*« w medalonie. Jednego z następnych dni David prosił Mickiewicza, aby mu przeczytał co swego w »pobieżnem tłumaczeniu na prozę«. Adam wybrał Farysa, który jest z pewnością najlepszym z jego krótszych poematów.

David, słuchając, aż podskakiwał na krześle, ale »drzazgą oderwaną od drewna, złożonego do palenia za piecem« nie przestawał robić sylwetki Adama. Gdy poeta skończył, David zapytał ciekawie, jakim sposobem utwór ten napisał? »Pytanie to — pisze Odyniec — podobało się bardzo Adamowi. Uznał w niem, jak sam powiada, głębokie artystyczne poczucie Davida, które z samej natury utworu odgaduje intuicyjnie warunki, w jakich mógł i powinien był powstać. Opowiedział więc, że już przedtem czytał był, a nawet tłumaczył kilka poezyi wschodnich (Szanfary) w przekładzie z prozy francuskiej. Raz zaś, wyszedłszy z proszonego obiadu w Petersburgu, na którym się wesoło zabawił, spostrzegł, że burza nadchodzi. Dopadł więc drążek i kazał pospieszać. *Zwoszczyk*« pędził co koń mógł wyskoczyć; a ten pęd, turkot, świst wiatru, huk grzmotu, chęć pośpiechu i obawa ulewy obudziły w nim samym sensacye Farysa, który nagle przyszedł mu na myśl. Przez noc wiersz był już gotów«.

W Farysie zadziwia nas i porywa nie tylko potężna fantazya poety, ale i jego wspaniała i burzliwa siła młodzieńcza. Jest tu owa zuchwałość i wiara

w swe siły, której pierwsi czytelnicy poety właśnie potrzebowali, aby nie uledz w walce z uciskiem.

Niemasz tu owego Goethowskiego samookiełznania, ani Szyllerowskiego poczucia przepaści, która dzieli ideał od rzeczywistości. Farys — to apoteoza bezgranicznej odwagi.

W zasadzie ten sam charakter posiada i słynna Mickiewiczowska Oda do młodości. Nazwał ją ktoś pierwszym politycznym utworem Adama, bo, choć sama w sobie zupełnie politycznie bezbarwna, stała się ona marsylianką młodego pokolenia, wyrazem jego gorącej wiary, że:

»Dzieckiem w kolebce kto łeb urwał hydrze,
»Ten młody — zdusi Centaury,
»Piekłu ofiarę wydrze
»Do nieba pójdzie po laury!
»Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga;
»Łam, czego rozum nie złamie.
»Młodości! orła twych lotów potęga,
»Jako piorun twe ramię!
»Hej ramię do ramienia! Spólnymi łańcuchy
»Opaszmy ziemskie kolisko!
»Zestrzelmy myśli w jedno ognisko
»I w jedno ognisko duchy!....
»Dalej z posad, bryło świata!
»Nowymi cię pchniemy tory,
»Aż, opleśniałej zbywszy się kory,
»Zielone przypomnisz lata«.

Gdy się podobne liryki czyta, wówczas rozumie się entuzyastyczną uwagę Odyńca, że myśli, które w rozmowach z Adamem wypowiadał Goethe, »to jak twarde błyszczące talary, na zimno już w mennicy wybite, które możesz nosić przy sobie; myśli Adama płyną jak roztopiony metal, który się w tobie samym rozpływa«. Pojmuje się też i zdumienie tego młodego, w szczerze narodowych tradycyach wycho-

wanego Polaka, wobec całego sposobu myślenia i wierzeń Goethego. Zwłaszcza, gdy w domu wielkiego wieszcza rozmowa schodzi na nauki przyrodnicze, obaj Polacy nie mogą się wydziwić czysto pogańskim poglądom Goethego, w ich bowiem duszach płonie czysty i jasny płomień szczerej wiary i pobożności. W rozmowie Goethe wypowiada szereg prostych, ale głębokich aforyzmów. Oto niektóre, dosłownie przez Odyńca powtórzone: *La nature a l' attrait et le charme de l' infini* [1]). — Trzeba być tylko konsekwentnym w szukaniu, a natura nie zawiedzie nikogo. — Skarby natury, są to skarby zaklęte, które nie rydel tylko, ale słowo otwiera. — Byłem często w sporze z naturą, ale w końcu zawsze musiałem ją przepraszać. — Po innych tym podobnych sentencyach oto co Odyniec pisze w dalszym ciągu listu do Korsaka: »A jeśli cię w nich uderza to ciągłe tylko wspominanie natury, to cóż powiesz, że było tego najmniej razy dwieście, a słowa B ó g ani razu. Jakby sama natura była wszystkiem dla wszystkich; alfą i omegą dla siebie; stworzycielką swoją i Bogiem. A więc to jest ów panteizm, o którym, Bogu dzięki, ze słychu tylko dotąd wiedziałem — a i słyszałem z ust takich tylko ludzi, którzy nie obudzali we mnie przekonania, iżby je sami mieli rzeczywiście albo nawet rozumieli dobrze, co mówią, kiedy ich drudzy zrozumieć nie mogli! Ale dzisiaj to co innego! Wszystko, co Goethe mówił — a nawet czego nie domówił — to jasne. I ta to właśnie jasność, jak zimowa pogoda, tchnęła na mnie tak mroźnym, przeraźliwym chłodem, że nawet promienie spojrzeń pięknej mojej sąsiadki u stołu (p. Vogel), zmykały mi

[1]) »Przyroda ma powab i wdzięk nieskończoności«.

się po sercu, jak blask słońca po śniegu, kiedy go roztopić nie może. I spoglądałem ciekawie na Adama, aby odgadnąć z twarzy, co też myśli? Ale on siedział nasępiony i milczał«. I Odyniec cieszy się, że jego wielki przyjaciel przecież wierzy, iż jest — jak mówi Gustaw w »Dziadach« — ktoś, co »zawiesił wagi« u wielkiego zegaru wszechświata, i że pod tym względem wieszcz nasz różni się od niemieckiego Tytana«. Goethe jest dla Odyńca mędrcem, co nie zna prawd żywych — nie obaczy cudu. »Ja przynajmniej — czytamy dalej w »Listach« Odyńca — stosuję jak najmocniej do siebie:

»Czucie i wiara silniej mówią do mnie,
»Niż mędrca szkiełko i oko«,

choćby nawet takiego mędrca, jak Goethe«. W dalszym ciągu »Listu«, z którego czerpiemy powyższe wyjątki, następuje krytyka Fausta, a w niej zgroza wobec owego *Credo* »że Bóg jest to tylko uczucie, które człowiek ma czerpać z natury, a wszelkie imię.... jest tylko dźwiękiem marnym....« Czemże jest ten Faust? »Czy satyra? czy ironia? czy urągowisko? I z czego? Czy tylko ze szkolnej mądrości....? czy i z odwiecznych moralnych praw i prawd całej ludzkości; z jej uczuć i wyobrażeń; z jej tradycyi i dążeń?« Zapytuje tedy Odyniec o zdanie Mickiewicza, a ten »ekskuzuje tylko Goethego«, że niema w nim nigdzie tej napastniczej, anti-religijnej dążności, która tchnie w innych pisarzach przeszłego wieku, a jest tylko zobojętnienie religijnego pierwiastku. — »Nie osiemnaście, ale dwadzieścia bez dwóch«, dodaje do tych słów Adama Odyniec.

Tak obce były Mickiewiczowi poglądy filozoficzne

Goethego, i właśnie przy tem porównaniu Adama z największym geniuszem poetyckim Niemiec uwydatnia się w całej pełni narodowa indywidualność wieszcza polskiego.

Mickiewicz urodził się w r. 1798 w Zaosiu (czy też Nowogródku), na Litwie, i pochodził z dawnej rodziny szlacheckiej. Licząc lat czternaście, na wiosnę r. 1812 widział wojska Napoleona, ciągnące na kampanię rosyjską. Z Napoleonem szły polskie legiony, orły białe obok złotych orłów pierwszego cesarstwa. W mieszkaniu jego rodziców w Nowogródku mieściła się główna kwatera króla Westfalskiego Hieronima. Nastrój owej epoki, pełnej wojennego animuszu i »brzemiennej nadzieją« wywarł niezatarte wrażenie na duszy dziecka, a w wieku późniejszym, w »Panu Tadeuszu«, oddziałał na twórczość dojrzałego już męża:

»O wiosno! Kto cię widział wtenczas w naszym kraju,
»Pamiętna wiosno wojny, wiosno urodzaju!
»O wiosno! kto cię widział, jak byłaś kwitnąca
»Zbożami i trawami a ludźmi błyszcząca,
»Obfita we zdarzenia, nadzieją brzemienna!
»Ja ciebie dotąd widzę, piękna maro senna!...
»Urodzony w niewoli, okuty w powiciu,
»Ja tylko jedną taką wiosnę miałem w życiu«.

W r. 1815 przybył Mickiewicz do Wilna, do uniwersytetu i po krótkim pobycie na wydziale fizykomatematycznym, zapisał się na wydział filozoficzny. Tu zaraz podczas egzaminu zawarł Adam serdeczną przyjaźń z Tomaszem Zanem, duszą ściślejszego i tajnego kółka filomatów, będącego jądrem dla innego. bardziej rozgałęzionego i całkiem jawnego stowarzyszenia filaretów, które wielce przypomina niemieckie *Tugendbund'y*. związki stroniące od

polityki i mające na celu umysłowy i moralny rozwój stowarzyszonych. Ale wkrótce rząd rosyjski zwrócił na nie swój wzrok podejrzliwy, aby potem zapełnić filaretami więzienia wileńskie.

Po pierwszych próbach — tak samo, jak Oehlenschlägera i Wiktora Hugo — w stylu klasycznym, przeszedł wprędce Mickiewicz do nowego w Europie kierunku romantycznego. W Polsce, podobnie jak w Anglii, Lenora Bürgera wywołała cały nowy rodzaj poetycki — ballady. Utwór ten, sam powstały pod wpływem staro-angielskich ballad, tak silne wywarł wrażenie na Walter-Scott'cie, iż ostatni na swój debiut literacki wybrał właśnie przekład Lenory na język angielski. I Mickiewicz także, poznawszy ten utwór Bürgera (w przeróbce rosyjskiego poety Żukowskiego), upodobał sobie ów nowy *genre* poetycki i tworzy cały szereg ballad, a jedna z nich: »Uciecz ka«, ma ten sam nawet temat, co Lenora. Mickiewiczowskie ballady, osnute na tle podań ludowych, z przymieszką nieodzownych zabobonów i guseł, mają charakter rozmaity. To wpadają one w rodzimie romantyczny ton pieśni ludowej, to znowuż energicznie w nich dźwięczy nuta dramatyczna, jak w »Czatach« — utworze również sprzecznym z powszednią etyką, jak jedna z poezyi prozą Merimée'go — lub też nakoniec mają zacięcie humorystyczne, jak np. Pani Twardowska.

I Mickiewicz tak samo, jak Byron, Heine i inni, nie obył się bez owej pierwszej t. zw. »nieszczęśliwej miłości«, która dla wieszczów owoczesnych zazwyczaj przez długie lata bywała podnietą poetycką. Adam zakochał się w młodej pannie z bogatego obywatelskiego domu Maryi Wereszczakównie, (opiewanej pod imieniem Maryli), czułej, lecz roz-

sądnej osobie, która oddała rękę innemu. W pierwszej dobie po tym zawodzie miłosnym, który zatruł serce poety, księgi mu obrzydły, czytał tylko Byrona, a tajemnicę swego serca wyśpiewał w »Dziadach« (część 2-ga i 4-ta). Według zwyczaju litewskiego pochodzącego jeszcze z czasów pogańskich, w »Dziadach« lud zbiera się 2-go listopada na cmentarzu, stawia na grobach jadło i napoje, ugaszczając nieboszczyków. Osobami działającemi są u Mickiewicza włościanie, pasterze i pasterki, guślarz i cały szereg dusz zmarłych, a wśród nich widmo samobójcy-kochanka. W niektórych fragmentach to widmo nosi imię Gustawa, zapożyczone z sentymentalnego romansu pani Krüdener, a duch jego skazany jest na to, by rok rocznie w dzień zaduszny odczuwał przebyte już raz cierpienia, które go do samobójstwa doprowadziły. Wszystkie te fragmenta »Dziadów«, przepełnione romantycznemi widmami i przesadnym sentymentalizmem, nie przedstawiają dla obcego czytelnika szczególnego interesu. Mamy tu znowu do czynienia z Wertherem i jego potomstwem. Ale zaraz potem nastąpiła Grażyna, niewielki bohaterski poemat, w którym Mickiewicz w pełnych świeżości rymach daje staro-litewską rapsodyę, a jej tematem: miłość ojczyzny i męstwo niewieście. Tu już niema nic niejasnego ani mdłego, forma jest przejrzysta a rozmach poetycki silny.

Po kilkoletnim pobycie w Kownie w charakterze nauczyciela wrócił Mickiewicz do Wilna, gdzie wkrótce ważne wypadki przerwały spokojny dotychczas bieg jego życia. Zamordowanie Kotzebue'go przez Sanda było bardzo na rękę reakcyi w Niemczech i odbiło się równocześnie echem w sąsiedniem wielkiem państwie carów.

W roku 1823 Aleksander I. ostatecznie zerwał z liberalnemi tendencyami swych dawniejszych rządów. Z szczególną zawziętością śledzono wszelkie knowania wśród młodzieży. Nowosilcow, który popadł był w niełaskę, gdy przehulał cały majątek, zebrany na służbie carskiej, uwziął się teraz, aby odkryć w Polsce spisek i w tym celu zjechał na Litwę z całym sztabem swych szpiegów. W Wilnie obrócono na więzienia ośm klasztorów a oprócz tego jeszcze kilka innych publicznych budynków. W końcu r. 1823 zaaresztowano Mickiewicza, Zana i całe grono ich przyjaciół. Rozmieszczono ich po osobnych celach, ale klauzura nie była zbyt surową, bo więźniowie mogli wzajemnie się odwiedzać i dzielić myślami, skracając sobie ciężką nudę oczekiwania. Najwięcej ucierpiał Zan, który całą winę za te związki Filomatów i Filaretów przyjął na siebie. Przeszedł »kuracyę głodną«, a potem wysłano go do Orenburga i dopiero w r. 1837 został ułaskawiony. Długoletnie wygnanie silnie oddziałało na zmianę jego przekonań. Wstąpił on na służbę rządową, z postępowca i opozycyonisty stał się ascetą i mistykiem. Mickiewicza, po półrocznym pobycie w więzieniu, wywieziono do Petersburga, a tam pozwolono wybrać służbę w wewnętrznych guberniach caratu. Mickiewicz wybrał Odesę, prosząc o posadę w tamecznem liceum Richelieu'go. Przybywszy do Odesy nie otrzymał na razie żadnego zajęcia urzędowego. Skorzystał jednak Mickiewicz z pobytu w tem mieście i, w towarzystwie Henryka Rzewuskiego, który później z jego namowy zaczął próbować swych sił na polu literackiem, puścił się w podróż po Krymie. Pobyt w górach i wśród bujnej przyrody południa oddziałał na Mickiewicza tak samo, jak na innych wybitnych

słowiańskich poetów, rozwijając i kształcąc w nim wrażliwość na piękno natury. Czem był Kaukaz dla Puszkina, Lermontowa i Tołstoja, tem dla Mickiewicza stała się wspaniała przyroda Krymu, i Sonety krymskie zupełnie słusznie zajmują wśród innych jego utworów miejsce tak poczesne.

Ale wkrótce kazano Mickiewiczowi opuścić Odesę. Tym razem wybrał poeta na miejsce pobytu Moskwę, gdzie mu dano posadę w kancelaryi jenerał-gubernatora. Tu napisał Wallenroda, powieść historyczną z czasów, gdy pogańska Litwa toczyła zapasy z Zakonem krzyżackim. Z bohatera, który według historyi sam zginął i na Zakon klęskę sprowadził, robi Mickiewicz Litwina. Ten, chcąc skuteczniej zgnębić wrogów swego narodu, przystaje do Krzyżaków, zdobywa ich uznanie, staje się wielkim mistrzem Zakonu, aby potem za jednym zamachem pomścić swych ziomków. Jest to apoteoza kłamstwa i zdrady na korzyść ojczyzny; idea Macchiavelli'ego wcielona w bajronowskiego bohatera. W poemat wpleciona jest i sentymentalna historya miłosna na wzór średniowiecznej romanzy.

Cenzura, przez którą utwór ten przejść musiał, nie zrozumiawszy jego myśli ukrytej, pozwoliła na druk i Wallenrod razem z Sonetami krymskimi od razu uczynił nazwisko Mickiewicza głośnem. Zarówno w Moskwie, jak i w Petersburgu, dokąd mu wkrótce pojechać pozwolono, otwarły się dlań podwoje salonów, szczególnie dzięki ks. Zeneidzie Wołkońskiej; arystokracya rosyjska oceniła poetę, pokochała go i szczery miała dlań podziw. Wiele dam wyższego świata uczyło się u niego po polsku, a księżna Wołkońska tłumaczyła jego utwory na język rosyjski. Sonety i Wallenrod znalazły

w Rosyi również licznych czytelników, jak w Polsce, ale poecie, który stał się teraz ulubieńcem kobiet, groziło wśród epikureizmu wielkoświatowego niebezpieczeństwo zleniwienia się i wyczerpania. Twórczość jego rozpraszała się na znikome drobiazgi. Adam pragnął wyjechać za granicę. Dzięki wpływom ks. Wołkońskiej udało mu się otrzymać paszport zagraniczny na czas nieograniczony i nasz poeta w maju opuścił Petersburg, aby przez Wejmar udać się w świat daleki.

Widzieliśmy go w osobistem zetknięciu z największym geniuszem poetyckim Niemiec. Rok przedtem zaprzyjaźnił się Mickiewicz z najwybitniejszym owoczesnym wieszczem rosyjskim. Obaj poeci byli w równym wieku, obaj zajmowali jednakie stanowisko na czele dwu wielkich literatur słowiańskich. Obaj zaczynają jako bajroniści, aby z biegiem lat stawać się poetami coraz to bardziej narodowymi. Ale zasadnicza różnica między nimi polega na tem, że Puszkin, zająwszy w młodości wobec rosyjskiego absolutyzmu stanowisko polemiczne i wojownicze, później dał się ująć osobistej uprzejmości i względom cesarza Mikołaja, zrywając z ideałami swej młodości, podczas gdy Mickiewicz aż do śmierci pozostał wiernym swym pierwotnym politycznym ideałom i nadziejom.

Wspomnienie tej znajomości znajdujemy w wierszu Puszkina p. t. *Miednyj wsadnik* (Jeździec bronzowy), a u Mickiewicza we fragmentach III-ciej części Dziadów, a mianowicie w ustępie »Pomnik Piotra Wielkiego«.

Mickiewicz przechował tu wrażenie rozmowy, którą w r. 1829, a zatem niedługo przed powstaniem dwaj poeci, owinięci obaj w płaszcz Mickiewicza,

wiedli w dzień dżdżysty u podnóża słynnego pomnika cara, roboty Falconneta.

Z wieczora, na dżdżu stali dwaj młodzieńce
Pod jednym płaszczem, wziąwszy się za ręce:
Jeden, ów pielgrzym, przybylec z zachodu,
Nieznana carskiej ofiara przemocy;
Drugi był wieszczem ruskiego narodu,
Sławny pieśniami na całej północy.
Znali się z sobą niedługo lecz wiele:
I od dni kilku już są przyjaciele.
Ich dusze wyższe nad ziemne przeszkody.
Jako dwie Alpów spokrewnione skały,
Choć je na wieki rozerwał nurt wody;
Ledwo szum słyszą swej nieprzyjaciołki,
Chyląc ku sobie podniebne wierzchołki.
Pielgrzym coś dumał nad Piotra kolosem,
A wieszcz rosyjski tak rzekł cichym głosem:

Pierwszemu z carów, co te zrobił cuda,
Druga carowa pamiętnik stawiała [1]).
Już car odlany w kształcie wielkoluda
Siadł na bronzowym grzbiecie bucefała
I miejsca czekał, gdzieby wjechał konno;
Lecz Piotr na własnej ziemi stać nie może,
W ojczyźnie jemu nie dosyć przestronno;
Po grunt dla niego posłano za morze.
Posłano wyrwać z finlandzkich nadbrzeży
Wzgórek granitu; ten, na Pani słowo
Płynie po morzu i po lądzie bieży,
I w mieście pada na wznak przed carową.
Już wzgórek gotów: leci car miedziany,
Car knutowładny w todze Rzymianina;
Wskakuje rumak na granitu ściany,
Staje na brzegu i w górę się wspina.

Nie w tej postawie świeci w starym Rzymie
Kochanek ludów, ów Marek Aureli,
Który tem najprzód rozsławił swe imię,
Że wygnał szpiegów i donosicieli;

[1]) Napis brzmi: Petro primo Catharina secunda.

A kiedy zdzierców domowych poskromił,
Gdy nad brzegami Renu i Paktolu
Hordy najeźdźców barbarzyńskich zgromił,
Do spokojnego wraca Kapitolu.
Piękne, szlachetne, łagodne ma czoło,
Na czole błyszczy myśl o szczęściu państwa;
Rękę poważnie wzniósł, jak gdyby wkoło
Miał błogosławić tłum swego poddaństwa.
A drugą rękę opuścił na wodze,
Rumaka swego zapędy ukraca.
Zgadniesz, że mnogi lud tam stał na drodze,
I krzyczał: »Cesarz, ojciec nasz powraca!«
Cesarz chciał zwolna jechać między tłokiem,
Wszystkich ojcowskiem udarować okiem:
Koń wzdyma grzywę, żarem z oczu świeci,
Lecz zna, że wiezie najmilszego z gości,
Że wiezie ojca milionom dzieci,
I sam hamuje ogień swej żywości;
Dzieci przyjść blizko, ojca widzieć mogą,
Koń równym krokiem, równą stąpa drogą —
Zgadniesz, że dojdzie do nieśmiertelności!

Car Piotr wypuścił rumakowi wodze,
Widać, że leciał tratując po drodze,
Od razu wskoczył aż na sam brzeg skały.
Już koń szalony wzniósł w górę kopyta,
Car go nie trzyma, koń wędzidłem zgrzyta —
Zgadniesz, że spadnie i pryśnie w kawały!
Od wieku stoi, skacze — lecz nie spada:
Jako lecąca z granitów kaskada,
Gdy ścięta mrozem nad przepaścią zwiśnie.
Lecz skoro słońce swobody zabłyśnie,
I wiatr zachodni ogrzeje te państwa —
I cóż się stanie z kaskadą tyraństwa?....

Sądząc po różnych zewnętrznych oznakach, Mickiewicz kładzie tu w usta Puszkina swoje własne słowa. Ze swej strony Puszkin w r. 1834 napisał z powodu swej znajomości z Mickiewiczem wiersz, ogłoszony dopiero w r. 1841, w cztery lata po śmierci autora, z napisem tylko: *Do M.,* gdyż w owych czasach

w Rosyi nie wolno było wspominać nazwiska Mickiewicza. Oto, co pisze Puszkin:

. . . . . On mieszkał w pośród nas,
Wśród ludzi obcych mu, — lecz w duszy swojej on
Zawiści nie miał k'nam. Kochany przez nas był.
Cichy i słodki gość, zebrania dzielił nasze,
My wzajem dzieląc z nim marzenia albo pieśń.
Bo natchnień czystych zdrój z wyżyny czerpał on
I z jasnych wyżyn tych na życie rzucał wzrok.
Jak często mówił nam o przyszłych czasach tych.
Gdy ludy rzucą raz dzielącą wszystkich waśń
I w jeden złączą się braterski wielki lud!
Z zapałem każdy z nas słuchał tych wieszcza słów,
I błogosławił mu, gdy w świat zachodni szedł.
Lecz dziś, nasz cichy gość wrogiem się dla nas stał,
I w górnych pieśniach swych, pochlebstwem łudząc tłum,
Nienawiść śpiewa nam! Z daleka jego głos,
Tak wszystkim dobrze znan, w goryczy bije ton
I płynie do nas tu. O! Boże! spokój Twój
W zgorzkniałą wieszcza pieśń i duszę wrócić racz![1])

W tym wierszu, zawierającym ocenę późniejszej działalności Mickiewicza, z rosyjskiego stanowiska zupełnie zrozumiałą, niema więc ani cienia osobistego nieporuzumienia między poetami. Z jeszcze większą sympatyą i ciepłem napisany jest artykuł Mickiewicza w dzienniku francuskim *Le Globe,* na wieść o śmierci Puszkina. Pomimo wzajemnego przyciągania, któremu obaj ci wieszczowie ulegali w pewnej epoce swego życia, pomimo, iż obaj byli pod wpływem Byrona, stoją oni pod pewnym względem na dwóch biegunach. Puszkin był z natury nawskróś arystokratą, poetą wybranych, gardził tłumem, Mickiewicz zaś cały rozpłynął się w swym narodzie. Dla Puszkina przejęcie się ideałami narodowymi było

[1]) Przekład Wł. Bełzy.

równoznaczne z pogodzeniem się z autokratyzmem, z porzuceniem wiary w wolność i przyszłość Europy. Mickiewicz natomiast stawał się coraz to bardziej narodowym, właśnie zrywając wszelkie stosunki z oficyalną Rosyą i przejmując się optymistyczną egzaltacyą, będącą w jaskrawym kontraście z rosnącem zblazowaniem Puszkina. W późniejszych swych utworach Puszkin ustawicznie skarży się, że opuściły go złote sny młodości, marzenia o miłości, wolności, o sławie. I dlatego woła: nie widzę celu przed sobą.

Siła zaś Mickiewicza, jako umysłu twórczego, spoczywała właśnie w tem, że ani na chwilę nie wątpił on o celu, do którego dążył.

Puszkin był Rosyaninem, jak Mickiewicz Polakiem. Lecz Rosya, jak powiedział, jeśli się nie mylę, Michelet, nie była jeszcze wówczas narodem, tylko urzędem i knutem; w urzędzie siedział Niemiec, knut dzierżył Kozak. Ale podczas gdy Rosya była wtedy rządem bez narodu, Polsce przypadł w udziale los stosunkowo lepszy: los narodu bez rządu.

V.

Skorośmy zauważyli, jak te trzy pierwiastki: narodowy charakter, romantyzm i położenie polityczne rozwijają, egzaltują, podnoszą lub przytłumiają naturę poetów, jako ludzi, łatwo nam będzie odkryć wpływ pierwiastków na ich utwory. Ponieważ zaś romantyzm jest zupełnie ten sam we wszystkich krajach, a charakter narodowy odmiennie się objawia w literaturze w różnych epokach (np. inaczej teraz, niż przed pięćdziesięciu laty), okazuje się zatem, że położenie polityczne jest tu rozstrzygającym pierwiastkiem.

Ono określa stanowisko, z którego należy zapatrywać się na życie ludzkie, ono rozstrzyga o wszystkich zagadnieniach duchowych, oddziaływa na naturę bohaterów i bohaterek i całej poezyi nadaje symboliczny charakter i alegoryczną formę.

Studyowanie literatury polskiej nie pozostawia żadnej wątpliwości, że właśnie tu, w Polsce, życie w sferze marzeń poetycko-politycznych modyfikuje naturę tych stosunków i rozmaitych zagadnień umysłowych, które jednocześnie zaprzątają umysły wszystkich poetów europejskich, bo Polak patrzy na nie zawsze pod kątem idei narodowej, wyłączając nie-

które z nich i tworząc nowe, zupełnie w innych krajach nieznane.

Weźmy, naprzykład, tematy, które Goethe i Heine, Byron i Shelley, Hugo i Musset opracowują w swych utworach i zobaczmy, jaką one tu przybierają postać.

Poeci owi roztoczyli przed nami cały obszar miłości i nienawiści, dali nam obraz wszystkich namiętności w walce ze sobą i społeczeństwem, zastanawiali się, dalej, nad zdolnością umysłu ludzkiego do przeniknięcia i zrozumienia wszechświata, nad zasadnością i przyszłością wiary religijnej, nad wzajemnemi prawami różnych warstw społecznych w walce klas, nad prawami geniuszu i jego znaczeniem dla swego narodu i ludzkości, wreszcie, nad sprzecznością w zapatrywaniach dwóch następujących po sobie pokoleń i t. d.

Weźmy n. p. takie uczucie, jak miłość między mężczyzną a kobietą i zobaczmy, jak ona występuje w ówczesnej poezyi polskiej.

W utworach opisowych i dramatycznych bywa miłość często dziką i zbrodniczą, ale nigdy zmysłową. Czy poeta mówi w swojem imieniu, czy też przez usta swych bohaterów, za maską których nie trudno jest rozpoznać własne jego rysy, prawdziwie zadziwiającym jest abstrakcyjny, niemal bezcielesny charakter, jaki ta miłość przybiera. Jest ona zawsze tylko uczuciem, nigdy żądzą, rzadko też czuć w niej wrzenie krwi. Smutki miłosne — a w poezyi polskiej więcej jest takich smutków, niż szczęścia — przytłumia i zwycięża inne, mniej osobiste uczucie: zapał polityczny i miłość ojczyzny. W »Dziadach« bohater, pod wrażeniem takiej zmiany, przybiera nawet inne imię. Oznacza on dzień, kiedy został uwięziony, jako dzień śmierci swego *ja* dawnego i zarazem dzień na-

rodzin nowego, porzuca swe poprzednie pokojowe imię Gustawa, aby przybrać inne, bardziej wojownicze imię Konrada. *Gustavus obiit MDCCCXXIII Calendis Novembris. Hic natus est Conradus* i t. d. To znaczy: bohater z Byronowskiego Korsarza zastępuje bohatera z sentymentalnego romansu pani Krüdener i taką przemianę należy uważać za typową. Dlatego też i kobiece postacie, występujące, w tej poezyi, są prawie nieziemskie. Niepodobna ich sobie wyobrazić w powszedniem życiu. Są to bohaterki, rzucające się konno w sam zgiełk bitwy lub też świetlane zjawiska, promienne objawienia z lepszego świata, uosobione anioły, których istota jest czystym duchem.

Wordsworth tak opisał młodą kobietę, w której się kochał: »Istota, która nie jest zbyt doskonałą dla powszedniego chleba ludzkiego życia, dla przemijających trosk, niewinnego podstępu, pochwał, nagany, miłości, pocałunków, łez i uśmiechów... istota, która przechodzi przez życie, uzbrojona zdrowym rozsądkiem, spokojną wolą, wytrwałością, przezornością, siłą i zręcznością« .... Tak prostym i ziemskim nie jest nigdy ideał kobiety w Polsce, bo górująca nad wszystkiem idea narodowa i ukryta myśl polityczna poetów chciałyby zawsze widzieć w niej patryotkę-amazonkę albo geniusz narodowy.

Czczą tu więc i wielbią kobietę, ale mało ją obserwują i studyują. Czy występuje jako córka, siostra, kochanka lub matka, nigdy nie jest ona zupełnym, skończonym człowiekiem, obdarzonym wybitną i potężną indywidualnością. Obraz staje się zaraz idealnym i nigdy nie oddala się od ogólnego typu. Miłość zazwyczaj nie ma żadnych indywidualnych odcieni; przywiązanie dziecięce, np. u Lilli

Wenedy Słowackiego jest egzaltowane, podniecone przez wszystkie owe okropne cierpienia, na które jest skazany jej ojciec; uczucie macierzyńskie wcześnie bywa zahartowane, bo zadaniem matki jest za młodu uzbroić syna w męstwo na straszną dolę, czekającą go w przyszłości. Oto, co mówi Mickiewicz w swym słynnym wierszu Do Matki Polki:

Każże mu wcześnie w jaskinię samotną
Iść na dumanie.... zalegać rohoże,
Oddychać parą zgniłą i wilgotną,
I z jadowitym gadem dzielić łoże!

Tam się nauczy pod ziemią kryć z gniewem
I być jak otchłań w myśli niedościgły;
Mową truć z cicha, jak zgniłym wyziewem,
Postać mieć skromną, jako wąż wystygły....

Nasz Odkupiciel, dzieckiem w Nazarecie,
Piastował krzyżyk, na którym świat zbawił:
O matko Polko! jabym twoje dziecię
Przyszłemi jego zabawkami bawił.

Wcześnie mu ręce okręcaj łańcuchem,
Do taczkowego każ zaprzęgać woza:
By przed katowskim nie zbladnął obuchem,
Ani się spłonił na widok powroza;

Bo on nie pójdzie, jak dawni rycerze,
Utkwić zwycięski krzyż w Jeruzalemie,
Albo jak świata nowego żołnierze
Na wolność orać... krwią polewać ziemię.

Wyzwanie przyszle mu szpieg nieznajomy,
Walkę z nim stoczy sąd krzywoprzysiężny;
A placem boju będzie dół kryjomy,
A wyrok o nim wyda wróg potężny.

Zwyciężonemu za pomnik grobowy
Zostaną suche drewna szubienicy,
Za całą sławę krótki płacz kobiecy
I długie nocne rodaków rozmowy....

Główne męskie postacie w tej poezyi mają wespół z bohaterami romantycznymi innych krajów charakter narodowy, są to przytem natury wojownicze i namiętne. Niektóre rysy pozwalają nam jednak rozpoznać je z pośród wszystkich innych.

Północ w owej epoce szuka sobie bohaterów w odległych wiekach. Najsławniejszy z nich, Helge Oehlenschlägera, jest typem ówczesnej bujnej i wrzącej młodzieży skandynawskiej. Wesoły, wojowniczy, żądny wrażeń i podróży, w gruncie dobroduszny, nie gardzi on łatwemi miłostkami z syrenami i ziemskiemi kobietami. Frithiof Tegnéra przedstawia taki sam typ w Szwecyi. Jest to rycerz, stojący w luźnym, prawie nieuchwytnym stosunku z politycznymi wypadkami tej epoki.

Pod żadnym względem nie można tych Skandynawczyków porównać z współczesnymi bohaterami literatury polskiej, którzy mają daleko posępniejszy, bardziej ponury charakter i wszyscy zajmują się polityką.

Jeżeli zestawimy dwa takie poematy, jak Axel Tegnéra i Grażyna Mickiewicza, to jest dwa utwory, których forma całkowicie zapożyczoną jest z powieści poetyckich Byrona i które tę jeszcze wspólną mają cechę, że w obydwóch występuje na polu bitwy kobieta, przebrana za mężczyznę, to niebawem spostrzeżemy zachodzącą między nimi różnicę. W poemacie Tegnéra niema nawet cienia tego, coby można było nazwać radą, napomnieniem albo ostrzeżeniem dla współczesnych. U Mickiewicza rzecz dzieje się również w czasach odległych wśród pogańskiej Litwy, w zamku Nowogrodzkim i jego okolicach. Książę Litawor, zagniewany na Witołda, wezwał przeciw niemu rycerzów Zakonu. Żona księcia Gra-

żyna, nie mogąc go namówić, by odstąpił od zdrady własnego plemienia, sama postanowiła dać Krzyżakom odprawę i rozkazuje nie przyjąć ich wcale w Nowogródku. Gdy obrażeni sprzymierzeńcy, zamiast iść przeciw Witołdowi, postanowili napaść na Litawora, Grażyna przywdziewa zbroję męża i niepoznana, w jego imieniu stacza bitwę z Niemcami. Zwyciężają, dzięki przybyłemu w czas Litaworowi, Litwini, ale księżna pada, raniona śmiertelnie postrzałem z niemieckiej rusznicy. Ciało bohaterki palą Litwini na stosie, na którym wraz z jej zwłokami płonie wzięty do niewoli jej zabójca, komtur Zakonu, a wkońcu na stos pogrzebowy rzuca się jeszcze sam Litawor. A przecież poeta polski zdaje się taką swym ziomkom dawać naukę. Żona ma prawo, wbrew woli swego męża i księcia, nie przyjąć sojuszników, oszukać wojsko, wystawić kraj na wielkie niebezpieczeństwo, rozpocząć wojnę, przegrać bitwę, — jeżeli tylko broni honoru narodowego. Na wszystko ważyć się wolno, gdy o ten cel najwyższy chodzi.

Weźmy teraz inną grupę potomków bajronowskich bohaterów: młodych ludzi Musseta. Wewnętrzną kolizyę wywołuje w nich ta okoliczność, iż po upadku Napoleona wszelka możliwość wsławienia się głośnymi czynami wydaje się utraconą. Rzucają się więc oni w wir rozpusty, w życie, które podnieca i wyczerpuje zmysły, ale osłabia zarazem siłę działania. Wszyscy też w mniejszym lub większym stopniu tracą moc twórczą na polu wojennem, politycznem i artystycznem.

U poetów polskich nie spotykamy nigdy tego wewnętrznego starcia między pragnieniem czynu a pociągiem do przyjemności i rozrywek. Tu mamy zawsze walkę między żądzą działalności w wielkim stylu a tą

lub ową, niezależną od jednostki, przeszkodą, której przezwyciężyć niepodobna.

Nie są oni również podobni do bohaterów Wiktora Hugo, tych młodych przedstawicieli nowych warstw społecznych, których wspomnienie rewolucyi francuskiej pobudza do wypowiedzenia zaciętej walki klasom wyższym. Tutaj bohater nigdy nie jest demokratą, tem mniej republikaninem — z zasady. Pod względem społecznym ma cała ta poezya polska charakter zachowawczy. Nawet Słowacki, uchodzący za poetę przyszłości, nie stanowi tu poważnego wyjątku. Tylko w Nieboskiej komedyi Krasińskiego walka klas gra główną rolę, ale reprezentant demokracyi nie występuje w niej jako bohater, ale przeciwnie jest to brutalna postać Kalibana, który sam nie jest zupełnie pewny swoich praw i przekonań.

Jeśli wreszcie porównamy tych romantycznych bohaterów polskich z bohaterami młodzieńczych poematów Byrona, które tak niesłychany wpływ wywarły w Polsce, to znajdziemy zapewne między nimi niejakie podobieństwo pod względem gwałtowności uczuć oraz szalonej i beznadziejnej rozpaczy. Życie ich jest pasmem cierpień, zawodów i namiętności, zbrodni oraz przekleństw, nie mają oni jednak nigdy tego rysu charakteru, który z własnej istoty Byrona przeszedł na Childe Harolda i Larę, — nigdy nie podają ani własnych ziomków, ani ojczystego kraju w pogardę. Jeżeli nawet zostają zdrajcami i walczą przeciw niemu, jak Litawor i Wallenrod, czynią to pod wpływem chwilowego uniesienia, którego wkrótce żałują, lub też zdrada jest tylko pozorną i krótkotrwałą, aby tym sposobem lepiej i skuteczniej służyć krajowi. Nawet wtedy, gdy, jak fantastyczny Król

Duch Słowackiego, skazują naród swój na niezliczone męki i cierpienia, czynami ich kieruje pewien rodzaj wyższej miłości, tylko pod maską pozornego okrucieństwa. Chcą oni naród swój zahartować, jak kowal hartuje stal, bijąc w nią młotem po kowadle, chcą go w ten sposób prowadzić na coraz to wyższe szczeble rozwoju. Poeta nie ma tu nigdy zamiaru, jak Byron, zawstydzić i rozgniewać swoich czytelników, pragnie on, przeciwnie, aby się naród jego ocknął, pragnie pouczyć go, że byt niepodległy warto okupić nawet męczeństwem całego jednego pokolenia. Aby naród swój rozbudzić, chce on »uderzyć w niebo tak jak w tarczę z miedzi!« Tu nie istnieje wcale ów rozłam między wielką jednostką a narodem, rozłam, który grał tak wybitną rolę w życiu Byrona i Shelley'a. Dzieje się zaś w Polsce tak po części dlatego, że poeci jej nigdy się tak niesłychanie nie wznieśli ponad ogólny poziom umysłowy i religijny swego narodu oraz jego polityczne zapatrywania, jak np. Shelley w Anglii, głównie jednak z powodu solidarności, łączącej wieszczów z narodem, który potrzebował ich, jako jedynych swoich organów.

Ale stopiwszy się tak w jedno ze swym narodem, mieli oni też zawsze tylko jego całość na oku. Temu więc należy przypisać, że nigdy nie występuje u nich jako temat sprzeczność między dwoma następującemi po sobie pokoleniami pomimo, iż poezya innych narodów tak często maluje podobną kolizyę, którą w literaturze polskiej dopiero później podjął Kraszewski. Mickiewicz z lekka tylko dotknął tego motywu w swym po francusku napisanym fragmencie dramatycznym p. t. *Jacques Jasiński ou les deux Polognes* — i to jako tematu przeszłości. W Panu Tadeuszu wyśmiewa on łagodnie naśladownictwo cudzoziemskich

zwyczajów i uwielbienie krajów obcych, którym przeciwstawia miłość pięknej przyrody swojskiej i starych ojczystych obyczajów, ale nie myślał wcale przedstawiać tu sprzeczności w sposobie myślenia dwóch pokoleń.

Z owej nierozerwalnej solidarności poety z narodem wypływa też i to pojęcie, jakie sobie wytworzono w Polsce o znaczeniu geniuszu poetyckiego. W epoce romantycznej poeta nie jest tu artystą, ale jasnowidzącym. W Polsce rzadko tylko rozumieją, że poezya jest przedewszystkiem sztuką, zdaniem niektórych najwyższą ze wszystkich sztuk, że jej zadaniem jest obserwować i przedstawiać naturę i życie ludzkie w formie skończonej, doskonałej, a zatem nieśmiertelnej. Jeżeli nawet poeta jaki wyjątkowo, jak Mickiewicz w Panu Tadeuszu, rzuci podobny wszechstronny i spokojny obraz życia, to sam osobiście ceni on taki swój utwór bardzo nizko i nie pojmuje jego niezrównanej wartości. W Polsce uważano poezyę przedewszystkiem za natchnienie, za boski szał, objawiający się w halucynacyach i improwizacyi. I w istocie prawie wszyscy ci poeci podlegają halucynacyom i posiadają w wysokim stopniu dar improwizowania. I dlatego pod pewnym względem można powiedzieć, że improwizacya Konrada w Dziadach, dająca spotęgowane pojęcie o improwizacyach samego Mickiewicza, jest najwyższym szczytem poezyi romantycznej w Polsce.

Jeden tylko Krasiński pojmuje doniosłość niebezpieczeństwa, na które to rozbujałe życie wyobraźni naraża poetów i z surowością wykazuje w Nieboskiej komedyi słabość charakteru, jako nieuniknioną jego skutek. Ale dla innych pisarzy poeta jest wybrańcem i przywódzcą narodu, nie *million-*

minded (obdarzony milionem dusz w znaczeniu ogólnoludzkiem, jakie Szekspir nadał tym wyrazom), lecz wyłącznie jako przedstawiciel tych milionów, które jego naród tworzą. Tak właśnie należy pojmować słowa Konrada o sobie samym:

»Nazywam się Milion, bo za miliony
»Kocham i cierpię katusze«.

Piękność i wielkość tego pojęcia geniuszu wypływa z samej jego ciasnoty. Tu geniuszem jest miłość ojczyzny, podniesiona do najwyższej potęgi, miłość, która czyni człowieka natchnionym i wnikającym w istotę rzeczy, a darząc go porywającą wymową, zapewnia mu władzę nad duszami. Tak Konrad mówi w Improwizacyi:

.... Ale ta miłość moja na świecie,
Ta miłość nie na jednym spoczęła człowieku,
Jak owad na róży kwiecie,
Nie na jednej rodzinie, nie na jednym wieku:
Ja kocham cały naród! Objąłem w ramiona
Wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia,
Przycisnąłem tu do łona,
Jak przyjaciel, kochanek, małżonek, jak ojciec;
Chcę go dźwignąć, uszczęśliwić,
Chcę nim cały świat zadziwić....
Nie mam sposobu — i tu przyszedłem go dociec.
Przyszedłem zbrojny całą myśli władzą....

. . . . . .

Mam więcej: tę moc, której ludzie nie nadadzą.
Mam to uczucie, co się samo w sobie chowa,
Jak wulkan, tylko dymi niekiedy przez słowa....

. . . . . .

Jam się twórcą urodził!
Stamtąd przyszły siły moje,
Skąd do Ciebie przyszły Twoje

. . . . . .

Czyś Ty mi dał, czy wziąłem skąd i Ty masz, oko
Bystre, potężne. W chwilach mej siły wysoko

Kiedy na chmur spojrzę szlaki
I wędrowne słyszę ptaki,
Żeglujące na ledwie dostrzeżonem skrzydle:
Zechcę i wnet je okiem zatrzymam jak w sidle....
. . . . . .
Tylko ludzie skazitelni,
Marni, ale nieśmiertelni,
Nie służą mi, nie znają

. . . . . .
Ja na nich szukam sposobu
Jak ptaki i jak gwiazdy rządzę mem skinieniem
Tak bliźnich rozrządzać muszę
Nie bronią — broń broń odbije
. . . . . .
Chcę czuciem rządzić, które jest we mnie!
. . . . . .
Niech ludzie będą dla mnie jak myśli i słowa,
Z których, gdy zechcę, pieśni wiąże się budowa!
Mówią, że Ty tak władasz!....
. . . . . .
Ja chcę władzy, daj mi ją lub wskaż do niej drogę;
. . . . . .
Teraz duszą jam w moją ojczyznę wcielony,
Ciałem połknąłem jej duszę:
Ja i ojczyzna to jedno
. . . . . .
Patrzę na ojczyznę biedną,
Jak syn na ojca wplecionego w koło;
Czuję całego cierpienia narodu,
Jak matka czuje w łonie bole swego płodu.

To nie jest owo niefrasobliwe, północne pojęcie geniuszu jako wybrańca fortuny, który z łatwością i jakby cudem znajduje to, czego badacze bezowocnie szukają. Lecz Konrad jest także niepodobnym do tych szperających bohaterów, jak Manfred i Faust, z którymi go niegdyś porównała George Sand. Zagadnienia bowiem umysłowego życia, jego radości i bole, wcale nie zajmują w poezyi polskiej tak

wybitnego miejsca, jak w poezyi Niemiec lub Anglii. Długa i mozolna walka, jaką myśl ludzka staczać musi, aby się uwolnić z więzów przesądu, wysiłki, które czyni, aby rozwiązać zagadki bytu, wszystko, co w poezyi innych narodów przedstawione jest z niezachwianą wiarą w potęgę myśli i ostateczne jej zwycięstwo, wszystko to w poezyi polskiej występuje tylko jako zuchwała próba albo wybuch tragicznego zwątpienia.

W oczach bowiem wszystkich tych poetów religia daje ostateczną na te zagadki odpowiedź. Wątpią oni czasami, ale nigdy nie przeczą całkowicie i ostatecznie. Nawet wtedy, gdy są w niezgodzie z niektórymi dogmatami katolicyzmu, gdy napaści swe kierują przeciw kościołowi i księżom i rzucają komiczne światło na świętości, nie oddalają się jednak nigdy od tych podstawowych pojęć o świecie, jakie przyjęła religia chrześcijańska.

Łatwo się o tem przekonać, czytając w »Listach« Odyńca śliczny opis jego pobytu w Wejmarze wśród tego towarzystwa złożonego z geniuszów, talentów i pięknych kobiet. Odyniec żywi najgłębsze uwielbienie dla Goethego jako dla artysty i uczonego, ale widać jasno, że pojęć wieszcza niemieckiego o świecie nie rozumiał on wcale i że nawet Mickiewicz, pomimo, iż je lepiej rozumie, nie czuje do nich szczególnego pociągu. Refleksye Odyńca nad »Faustem« mają również kobiecy charakter, jak to, co pisze w tej materyi p. de Staël w swej książce »O Niemczech«, a i Mickiewicz nie potrafił w nabożeństwie i uwielbieniu, jakiem przyroda przejmuje Goethego, dostrzedz nic innego, jeno zobojętnienie wobec religii objawionej, mniej więcej, jak Krasiński, kiedy w przedmowie do P r z e d ś w i t u tak się wy-

raża o spółczesnej sobie niemieckiej filozofii: »Wściekło flegmatyczne, że tak powiem, zaprzeczenie filozofii niemieckiej, do najwyższego bezkształtu doszłe«. W śmiałych więc wysiłkach filozofii, pragnącej dać pozytywny system podstawowych poglądów na wszechświat i rządzące nim prawa, widzi on tylko negacyę objawienia.

Poeci polscy nie dzielą tej religii rozumu wielkich Niemców już przedewszystkiem dlatego, bo czują, że ta wiara, głosząca, iż dla umysłu ludzkiego niema stałych i nieprzezwyciężonych granic, pociąga za sobą jako nieunikniony dodatek inną wiarę, przyznającą, że właśnie dla czynów ludzkich takie nieprzeparte i niezwalczone zapory istnieją. Oni potrzebują wiary w potęgę tego młodzieńczego zapału, który wybucha w O d z i e d o m ł o d o ś c i, w te cuda odwagi i waleczności, bo wierzą, że cuda mają swoje miejsce w rządach wszechświata, a rozum musi z konieczności mieć w ich oczach władzę bardzo ograniczoną. Chcąc mieć prawo żądania od młodzieży rzeczy nieprawdopodobnych i niemożliwych, muszą też oni zapewnić sobie zarówno w czasie, jak i przestrzeni, miejsce dla tego, co jest nadprzyrodzone.

Zresztą wobec Goethego czuli oni dobrze, iż ta religia, której potrzebowali, nie mogła być tak, jak religia jego, kontemplacyjną tylko, ale że musiała się stać religią czynu i cierpienia. Panteizm Goethego nie mógł więc zastąpić im tego odziedziczonego zasobu wyobrażeń, który pobudzał do czynu a męczeństwo opromieniał glorya chwały.

I nawet skądinąd wszechmocny wpływ poezyi Byrona nie był w stanie zachwiać tymi poglądami i ideami. Bo u Byrona nie spotkali Polacy przekonań, choćby przeciwnych, ale pozytywnie ugruntowanych,

a tylko rozpacz i wątpliwości. Gdyby Shelley już za życia zajął tak wybitne stanowisko w literaturze, jakie mu przyznano w pół wieku po jego śmierci, natenczas byliby poeci polscy znaleźli u niego taką kombinacyę, jakiej nie przedstawiał żaden inny poeta. U Shelley'a bowiem połączyło się wzniosłe i pozytywne zrozumienie przyrody, jakie miał Goethe, z praktycznym zapałem, niezachwianą nadzieją i wiarą w cuda dokonane za pomocą czynu, z tą wiarą, której poetom polskim tak było potrzeba i której ku wielkiej swej boleści u starca z Wejmaru znaleźć nie mogli. Shelley był wiecznie młody i tak jak oni wzywał młodości ducha. Gdyby on, a nie Byron, był zawładnął umysłami poetów polskich, sprawa wolności myśli miałaby tu w czasach naszych mniej ciężką walkę do stoczenia. Pisarze, nie raniąc uczuć religijnych swych czytelników, mogliby tak je przekształcić, żeby zmniejszyć nieuniknioną w przyszłości przepaść między ideami wieku a życiem uczuciowem narodu.

W wielkim monologu Konrada w Dziadach Mickiewicz próbował stworzyć pozytywny pogląd na świat. Przejęty ogromem cierpień ludzkich, Konrad zwątpił o istnieniu Boga. On sam od początku czuł się potężnym jak Bóg. Poeci tej epoki chętnie się z bogami porównywali i we wszystkich krajach można obserwować jedno i to samo zjawisko, a mianowicie: jak tylko romantyzm dosięga w swym rozwoju punktu kulminacyjnego, poecie, mającemu w swej wyobraźni władzę zatrzymywania lotu ptaków i biegu gwiazd, zdaje się, iż on moc tę posiada i w rzeczywistości, bo przecież w wyobraźni ma on i władzę boską. Według nauki zaś romantycznej wyobraźnia jest tym

najwyższym darem, wspólnym Bogu i ludziom. Siła twórcza bóstwa jest niczem innem jeno wyobraźnią. I natchniony poczuciem mniemanej swej wszechmocy Konrad rzuca w przestrzeń te wyrazy:

»Ja najwyższy z czujących na ziemnym padole
»Nie spotkałem Cię dotąd, żeś Ty jest — zgaduję,
»Niech Cię spotkam i niechaj Twą wyższość uczuję«.

Konrad nie pojmuje, że Bóg może być spokojnym, niewzruszonym świadkiem mąk ludzkości.

Cierpię, szaleję.... A Ty mądrze i wesoło,
Zawsze rządzisz,
Zawsze sądzisz,
I mówią, że Ty nie błądzisz!
Słuchaj! Jeśli to prawda, com z wiarą synowską
Słyszał, na ten świat przychodząc:
Że ty kochasz; jeżeliś Ty kochał świat rodząc
. . . . . .
Jeśli.... serce nie jest potwór, co się rodzi
Przypadkiem, ale nigdy lat swych nie dochodzi;
Jeśli pod rządem Twoim czułość nie jest bezrząd,
Jeśli w milion ludzi krzyczących »ratunku!«
Nie patrzysz jak w zawiłe zrównanie rachunku
. . . . . .
Milczysz!... Jam Ci do głębi serce me otworzył...
. . . . . .
Odezwij się....
. . . . . .
Bo wystrzelę głos w całe obręby stworzenia,
Ten głos, który z pokoleń pójdzie w pokolenia:
Krzyknę, żeś Ty nie ojcem świata, ale....
Głos dyabła:
Carem!

Poeta widocznie nie chciał, aby czytelnik mógł uczucia i myśli bohatera wziąć za jego własne, dlatego też wyrazy te podpowiada szatan, a wzburzenie

umysłu, pod wpływem którego Konrad mówi, wywołują w nim złe duchy, napełniające powietrze wokoło.

Krasiński w Nieboskiej komedyi wyraźniej jeszcze wypowiada przez usta umysłowo chorych mężczyzn i kobiet to zwątpienie, które może sam odczuwał w pewnej epoce swego życia. Najpotężniejszy wybuch uczucia rozpacznego, jaki spotykamy w dziełach tego poety, słyszymy z ust hrabiny w domu obłąkanych: »Chrystus nas już nie zbawi — krzyż swój wziął w ręce obie i rzucił w otchłań. Czy słyszysz, jak ten krzyż, nadzieja milionów, rozbija się o gwiazdy, łamie się, pęka, rozlatuje w kawałki, a coraz niżej i niżej, — aż tuman wielki powstał z jego odłamków«.

Widzimy również, że Stefan Garczyński, śmiały liryk i piewca rewolucyi 1831 roku, jedyny z poetów, który właściwie wierzył w filozofię, ten, który był zarazem uczniem Hegla i przyjacielem Mickiewicza i osobiście najbardziej oddalił się od dogmatów kościoła, pozwala wprawdzie swemu Wacławowi gwałtownemi i surowemi słowy napadać na księży, religię jednak pozostawia nietkniętą. Zarzuca on mnichom, że nauką swą zabijają zdolność myśli i siłę czynu, ale sam wierzy i modli się i oświadcza, że w imię uczucia, nie zaś rozumu, wzniósł się ponad czcze formy kościoła.

Nadzieją i pragnieniem Garczyńskiego jako poety i człowieka jest przywrócić zgodę między światem uczucia i rozumu, pojednać serce i umysł. Jedna z pieśni jego Wacława dziejów p. t. Nauki dowodzi, że Garczyński nie upatrywał tak jak filozof niemiecki, którego był uczniem, szczęścia i zbawienia w myśli i jej najwyższym wytworze — wie-

dzy. Dla niego tylko entuzyazm, powrót od teoryi do praktyki, przejście od myśli do czynu zawiera całą prawdę życia ludzkiego. Jedynie w tej walce dla praktycznego ideału — uczucie i rozum przestają być ze sobą w sprzeczności. Poemat Garczyńskiego dowodzi nam, i to zresztą było do przewidzenia, że sam poeta jest po stronie entuzyazmu, nie zaś rozumu i rozsądku.

Te same charakterystyczne cechy spotykamy u Słowackiego, nawet tam, gdzie czyni wielką i gwałtowną wycieczkę przeciw Jezuitom, jak w Beniowskim. Posuwa się on tak daleko, że woli, aby ojczyzna jego pozostała raczej »ludzi wielkich prochem«, niż żeby nią rządzili Jezuici. Pogardą swą obrzuca Rzym a nawet papieża, lecz nie myśli wcale zaprzeczać duchowej potęgi religii chrześcijańskiej i, zwracając się do Polski, woła: Krzyż twym Papieżem jest!

Występ Słowackiego jest dla owej epoki bardzo charakterystyczny. W czasie powstania r. 1831-go polski ksiądz szedł niejednokrotnie z krzyżem w ręku na czele oddziału wojska i stanowił w rzeczywistości tę potęgę, która jednała szerokie warstwy dla sprawy niepodległości ojczyzny. Ale to nie był katolicyzm ze stemplem Rzymu. Bo gdy wyczerpana Polska w tym samym roku wyciągnęła rękę do papieża, żebrząc o pomoc, ten odesłał ją do cara, żądał od Polaków posłuszeństwa i uległości, a ich powstanie nazwał buntem. To też i przymusowe nawrócenie unitów w r. 1833 odbyło się bez protestu ze strony Rzymu. Rząd rosyjski użył w tym celu kozaków, którzy otoczyli wioski i bili nahajkami księży. Następnie pop prawosławny z knutem w ręku czynił przegląd swych nowych owieczek, a opornych uśmiercano w karnych batalionach, jak zbuntowanych żoł-

nierzy. W urzędowej proklamacyi rosyjskiej nazwano to przymusowe wcielenie unitów do kościoła prawosławnego »szczęśliwem zjednoczeniem, które nie kosztowało ani jednej łzy, a dokonane zostało tylko na drodze łagodnej perswazyi«. A papież, ów jedyny władzca, którego obowiązkiem było uczynić dla Polski wszystko, co leżało w jego mocy, przyglądał się temu, nie protestując nawet. Łatwo tedy zrozumieć, że Słowacki w r. 1841 mógł czuć wstręt do papieża i wołać do Polski: »twa zguba w Rzymie«, ale zarazem ufać w potęgę krzyża i chrześcijaństwa.

Jest jednak wiele wskazówek, że poeta ten, przynajmniej aż do nawrócenia się na towianizm, w wierzeniach swych religijnych bywał sceptyczny i chwiejny. Za dowód może służyć przedmowa do Lambra, pełna zarzutów przeciw poetom szkoły religijnej a bystrych i trafnych poglądów na fałszywą i sztuczną stronę teoryi Fryderyka Schlegla. Nie jest również bez znaczenia, że w młodzieńczej swej tragedyi Mindowe i w poemacie Mnich, Słowacki przedstawił przejście z pogaństwa oraz islamu na wiarę chrześcijańską (bez względu na to, czy je wywołał interes lub przekonanie) jako źródło nieszczęść i powód do nienawiści i przekleństw ze strony najbliższych. W każdym razie jest to dla romantyzmu polskiego rzecz znamienna, iż uważa on to polityczne zaparcie się starych obyczajów i zerwanie z solidarnością narodową, które jest skutkiem nawrócenia się na religię chrześcijańską, za tak niewybaczoną zbrodnię, iż nawet wzniesienie się do wyższych religijnych pojęć okupić jej nie może.

VI.

W romantycznej poezyi polskiej trzej poeci niezatartemi zapisali swe nazwiska zgłoskami: Adam Mickiewicz, Juliusz Słowacki, Zygmunt Krasiński.

Gdy rzucimy okiem na całokształt utworów poetyckich tej trójcy wielkich romantyków, to uderzą nas dwa główne jej motywa: obrazy okrucieństw i pieśń nadziei.

Innemi słowy, dwa główne prądy przenikają poezyę polską w ciągu okresu od 1820 do 1850: obrazy cierpień, znajdujących swój wyraz w zemście i obrazy cierpień, które prowadzą do pragnienia duchowego rozwoju i odrodzenia. Zwykle Mickiewicza stawiają po jednej, a Krasińskiego i Słowackiego, jako przyjaciół i sprzymierzeńców, po drugiej stronie, w tym jednak wypadku Mickiewicz i Słowacki najwięcej są do siebie zbliżeni, jako duchy, co chętnie i często myślą o zemście, podczas gdy Krasiński wobec nich sam jeden głosi ewangelię powszechnej miłości.

Wszyscy oni jednak mają pociąg do tragiczności, objawiający się w krwawych katastrofach, jak np. w Grażynie Mickiewicza i w poemacie Słowackiego Hugo, lub też w całym szeregu okropnych i wzruszających scen, składających poemat.

Juliusz Słowacki urodził się w Krzemieńcu w 1809 r. i był synem Euzebiusza, profesora historyi literatury. Straciwszy w piątym roku życia ojca, pozostał Juliusz przez całe swe życie w stosunku najtkliwszej i wylanej przyjaźni z matką, która po kilkoletniem wdowieństwie wyszła powtórnie za mąż za profesora Becu, tak niepochlebnie odmalowanego przez Mickiewicza w III-ciej części Dziadów. Chłopca, kochanego niezmiernie przez matkę, pieściły też starsze od Juliusza córki profesora Becu z pierwszego małżeństwa. Od chłopięcych już lat u Słowackiego ponad wszystkiemi władzami duszy górowała fantazya, a popierał ją rzadki talent poetycki. Od najpierwszych też lat uwydatnił się w nim także jeden rys charakteru — niezmierna, chorobliwa ambicya artystyczna, będąca motorem, ale i zarazem źródłem cierpień całego jego życia. Był to romantyk typowy, uważający, iż twórczość poetycka wymaga romantycznego trybu życia i dlatego Słowacki nigdy nie tracił myśli ani czasu na to, aby zdobyć sobie materyalne warunki bytu, aby, mówiąc po prostu, zarabiać na chleb codzienny. Idea użyteczności i praktyczności obcą mu była zupełnie.

Silna wyobraźnia Słowackiego nie tyle jest uzdolnioną do tworzenia wyrazistych postaci, ile muzykalną i malowniczą. Istotę jego talentu stanowił właściwie nadzwyczajny dar słowa, które działa na czytelnika harmonią swego wiersza i niezmiernem bogactwem obrazów.

Poeta kształcił się w uniwersytecie wileńskim, mocno już w owych czasach podupadłym i spustoszonym przez reakcyjną działalność Nowosilcowa. Ale chłonął za to Juliusz pełną piersią egzaltowaną miłość ojczyzny okresu przedpowstańczego i całą ekstazę

romantyzmu, który już jaśniał w pełnym rozkwicie. Uległ też Słowacki w silnym stopniu wpływowi Byrona, jak wielu innych, ale u nikogo nie znalazł wieszcz Albionu duszy również pokrewnej i podatnej, jak u Juliusza, który zaraz też przyswoił sobie jego poglądy i jego zrozpaczonych bohaterów. I Słowacki w wieku młodzieńczym doznał zawodu na drodze pierwszej w życiu miłości. Dziewczę bardzo wykształcone i starsze od niego wiekiem (była to córka Jędrzeja Śniadeckiego) uważało miłość młodego studenta za dziecińśtwo i Juliusz przejść musiał przez piekielne męki głęboko po raz pierwszy obrażonej dumy. W kilka lat po śmierci ojczyma Słowacki (w r. 1829) został urzędnikiem w polskiem ministeryum skarbu w Warszawie, a wybuch powstania w r. 1830 tak rozentuzyazmował poetę, iż napisał kilka lirycznych utworów w duchu rewolucyjnym. Lecz zapał ten wkrótce ostygł i wśród najgorętszego żaru powstania Słowacki nagle w r. 1831 wyjechał za granicę i to w takich warunkach, że uniemożliwił sobie powrót do kraju. Wziąwszy paszport od rządu rewolucyjnego, otrzymał Słowacki w Dreźnie depesze, które mu polecono odwieźć do Londynu. Stąd pojechał do Paryża, gdzie wkrótce wydrukował pierwsze dwa tomiki swych poezyi, dramatów i powieści poetyckich, pisanych w stylu i duchu Byrona.

Wkrótce przybył też do Paryża Mickiewicz. Poprzedziła go już sława wielkiego poety, podczas gdy Słowacki był w początkach swej karyery poetyckiej, przytem trawiony nienasyconą ambicyą. Nic tedy dziwnego, iż Juliusz, przy swej wielkiej miłości własnej i żądzy uznania, z bardzo skomplikowanemi uczuciami patrzył na swego spółzawodnika. Pierwsze poezye Słowackiego nie zrobiły szczególnego wraże-

nia, choć znaleźli się miłośnicy literatury, którzy po przeczytaniu Maryi Stuart przyznali Słowackiemu niektóre takie zalety, jakich niedostawało Mickiewiczowi.

Dręczony niepewnością, a z drugiej znowu strony skłonny do przecenienia swych własnych utworów, pragnął niecierpliwie Słowacki usłyszeć zdanie Mickiewicza. W przedmowie do trzeciego tomu swych poezyi pisze nasz poeta: »Niezachęcony pochwałami, niezabity dotąd krytyką, rzucam tom trzeci w tę otchłań milczącą, która dwa pierwsze pochłonęła«. Lecz miłość własna nie pozwalała Słowackiemu pierwszego uczynić kroku. Według z góry ułożonego przez przyjaciół planu, poeci spotkali się ze sobą u jednego ze znajomych. Nastąpiła wymiana wzajemnych grzeczności i pochwał. Wkrótce potem Słowacki został członkiem komitetu polskiego towarzystwa literackiego w Paryżu, którego prezesem był Adam. Ale gdy przyjaciele zakomunikowali Juliuszowi zdanie Mickiewicza o jego utworach, że »jest to gmach piękną architekturą stawiany, jak wzniosły kościół, ale w kościele Boga niema!« — od tego czasu wszystko się już Słowackiemu w Mickiewiczu niepodobało — zarówno jego pomięty kołnierz od koszuli, jak papizm. Nawet w poezyi był to w jego oczach człowiek »bardzo już ostygły«. Wtem pojawia się III-cia część Dziadów, w której poeta wzniósł się na wyżyny dotąd nieznane, ale na nieszczęście przedstawił ojczyma Słowackiego, osobę drogą dla serca Juliusza a świętą dla ubóstwianej jego matki, jako jednego z najpodlejszych zauszników Nowosilcowa, rażonego za swe grzechy piorunem. Teraz już wprost znienawidził Słowacki Mickiewicza i w pierwszym przystępie gniewu chciał się nawet z nim pojedyn-

kować. »Nic mi nie pozostaje — pisze w jednym z listów — jak okryć ciebie, matko moja, promieniami takiej sławy, aby cię inne ludzkie pociski dojść nie mogły. Bóg sam mię natchnął.... Będzie to równiejsza walka z Adamem....«

Zarówno w pierwszych, jak i w późniejszych utworach Słowackiego poezya jest wyrazem jakiejś męki i takiego nastroju, jaki wywołuje widok zniszczenia.

Zasadniczej przyczyny owego znamiennego rysu twórczości poetyckiej tak u Słowackiego, jak i u innych poetów szukać należy w tej harmonii, która zwykle panuje między artystą a publicznością. Gdzie duchy przejęte są tak głęboką powagą, jaka zapanowała w Polsce po rewolucyjnych niepowodzeniach, tam poeta, jeżeli chce, aby go słuchano i nie odrzucono na bok, jak kuglarza, nie pojmującego ogólnego nastroju dusz, musi w swych dziełach odtworzyć cierpienia, niezadowolenie i gniew na widok niesprawiedliwości ziemskiej i niebieskiej, musi przedstawić wszystkie te nieudane próby usunięcia krzywd lub przynajmniej ich pomszczenia. A postępuje on tak i dlatego jeszcze, bo podlega tym samym wpływom, co i naród cały, bo odbiera te same wrażenia, tylko jeszcze potężniej i zapomocą subtelniejszych organów.

Skłonność powyższa występuje w sposób najbardziej abstrakcyjny w takich utworach jak Słowackiego O j c i e c z a d ż u m i o n y c h, słusznie mający wielką sławę, jako tragiczny obraz niedoli, przypominającej grozą swą okropny los Nioby. Po paroletnim pobycie w Szwajcaryi wybrał się Słowacki w podróż najprzód na Marsylię do Włoch a stąd przez Neapol do Grecyi, Egiptu, zwiedził wodospady Nilu,

był w Nubii, Syryi i Ziemi Świętej, a wkońcu przez Cypr do Włoch powrócił. W podróży z Egiptu do Ziemi Świętej musiał odbyć kwarantannę w Syryi, blizko miasteczka El Arish. Z tego przymusowego pobytu na pustyni wyrósł poemat Ojciec zadżumionych w El Arish, w którym Arab w prostych lecz wspaniałych słowach opowiada, jak na tem samem miejscu dżuma wydarła mu czterech synów, trzy córki i żonę. W Ojcu zadżumionych niema, jak w innych utworach Słowackiego, ani jednego zbytecznego wiersza, poeta wyrył na nim piętno starożytnej powagi i biblijnej niemal prostoty. Sławy swej nie zawdzięcza jednak utwór ten samym tylko artystycznym zaletom, ale głównie harmonii między smutną treścią a melancholijnem usposobieniem czytelników. Niejeden z nich znalazł tu odbicie własnych strat i cierpień. Komentatorzy, czując sami niejasno, że pomiędzy treścią utworu a jego czytelnikami jest jakiś związek i łącznik, starali się poematowi temu nadać symboliczne znaczenie i szukali w nim aluzyi do utraty i cierpień kraju. Tylko naciągane i niczem nieuzasadnione tłumaczenia mogły prowadzić do takiego wniosku. Odrzuciwszy na bok wszelki symbol, czytelnik jeszcze jednak mógł znaleźć w tej dżumą dotkniętej rodzinie grupę ludzi, których los do jego własnego losu był podobny.

Arab Słowackiego jest utworem w tym samym rodzaju. Autor przedstawia w nim abstrakcyjną manię niszczenia, szatańską żądzę szerzenia wokoło siebie śmierci i spustoszenia oraz zabijania nadziei i szczęścia, gdziekolwiek się je spotyka. Tak, jak ów Arab, mógł przemawiać bóg dżumy, gdy wymierzał swe strzały przeciw nieszczęśliwemu »Ojcu zadżumionych« i jego dzieciom.

Ale jest w tych utworach i coś więcej, niż czysta tylko poezya cierpienia. Łączy się z nią bowiem poezya okucieństwa, a motyw ten powtarza się niejednokrotnie w utworach poetów polskich, z których zwłaszcza Słowacki lubuje się w malowaniu podobnych czynów. Przyczyny tego zjawiska są jasne. Poeci polscy sami byli świadkami wielkich okrucieństw a wyobraźnia jest władzą duszy *par excellence* na doświadczeniu opartą; odbija ona te obrazy, które na nią rzucono. Okrucieństwa, któremi roją się wszystkie dramaty Słowackiego i większa część jego powieści poetyckich, dowodzą, jak silne wrażenie wywarły na umyśle poety te cierpienia i męki, których on sam był świadkiem lub o których słyszał i czytał. Niektóre z najdzikszych okrucieństw w jego utworach mają nawet podkład historyczny. Tak samo, jak bohater Króla Ducha, przygwoździł pewnego razu Iwan Groźny nogę posła oszczepem do podłogi. Ale wysłaniec Kurbskiego pomimo to, podobnie jak rapsod w poemacie Słowackiego, spełnił swe poselstwo do końca. I rzecz oczywista, iż u Słowackiego dla wielu takich obrazów szukać należy motywu we współczesnych zdarzeniach, które burzyły w poecie krew i podniecały wyobraźnię.

Z pewnem zamiłowaniem kreślą wszyscy ci poeci sceny z więzień, z wygnania i opisują okrutne kary. Obrazy mąk, długie opowiadania o czynach straszliwych napełniają prawie całą III-cią część »Dziadów«, w której autor głęboko sięgnął do skarbnicy własnych wspomnień i nie krępując się wcale wyprowadził na scenę swych współczesników pod prawdziwemi ich nazwiskami. Ale też nigdzie nie osiągnął on również realistycznego i, że tak powiem, palącego skutku. I dziwnem zrządzeniem losu Mickiewicz

uważał taką poezyę właśnie za prawdziwie, rdzennie romantyczną. W Romantyczności zaczął Mickiewicz od tego, iż odrzucał »martwe prawdy«, mówiąc do mędrca:

Nie znasz prawd żywych, nie obaczysz cudu!
Miej serce i patrzaj w serce!

Wkrótce potem poeta tak zdefiniował istotę romantyczności: »romantycy, pisząc, mają przed oczyma nagą prawdę, podczas gdy klasycy zadowalają się maryonetkami«. Tu wyraźnie już zaznacza Mickiewicz, iż poeta ma prawo szukać nagiej prawdy w najbliższem otoczeniu, nie krępując się wcale tem, iż jest ono nizkie lub prostacze. Tego samego poglądu broni on, nakoniec, w »Dziadach«, na sposób Danta i bez żadnego względu na osoby sądząc swych współczesnych.

W salonie warszawskim jeden z gości opowiada o tem, co wycierpiał w więzieniu Cichocki, człowiek »młody, żywy, dowcipny, wesół i sławny z urody«. Wkrótce po ślubie zniknął pewnego dnia z domu. Były domysły, że się zabił, choć przyczyny dociec było niepodobna. »Policya dowodem stwierdziła domysły: znaleziono płaszcz jego nad brzegami Wisły... I minęło dwa lata... Jednego wieczora więźniów do Belwederu wiedziono z klasztora.... Jeden z odważnych warszawskich młodzieńców, którzy śledzą pobytu i nazwiska jeńców.... z za muru krzyknął: więźnie, kto jesteście?

Sto ozwało się imion: śród nich dosłyszano
Jego imię, i żonie nazajutrz znać dano.
Pisała i latała, prosiła, błagała,
Lecz prócz tego imienia, nic nie posłyszała.
I znowu lat trzy przeszło bez śladu, bez wieści;
Lecz nie wiedzieć kto szerzył w Warszawie powieści.

Że on żyje, że męczą, że przyznać się wzbrania,
I że dotąd nie złożył żadnego wyznania;
Że mu przez wiele nocy spać nie dozwalano,
Że karmiono śledziami i pić nie dawano;
Że pojono opium, nasyłano strachy,
Larwy: że łaskotano w podeszwy, pod pachy...
Lecz wkrótce innych wzięto, o innych zaczęli
Mówić: żona płakała, wszyscy zapomnieli.

Aż niedawno, przed domem żony, w nocy dzwonią.
Otworzono: Oficer i żandarm pod bronią,
I więzień... On! Każą dać pióra i papieru;
Podpisać, że wrócony żywy z Belwederu.
Wzięli podpis, i palcem pogroziwszy: »jeśli
Wydasz..!« i nie skończyli; jak weszli, odeszli.
To on był...
Powiedziano, że to on: bo go nie poznałem.
Utył, ale to była okropna otyłość:
Wydęła go zła strawa i powietrza zgniłość;
Policzki mu nabrzmiały, pożółkły i zbladły,
W czole zmarszczki pół wieku, włosy wszystkie spadły.
Witam: on mnie nie poznał, nie chciał mówić do mnie:
Mówię kto jestem: patrzy na mnie bezprzytomnie,
Gdym dawnej znajomości szczegóły powiadał,
Wtenczas on oczy we mnie utopił i badał...
Ach! Wszystko, co przecierpiał w swych męczarniach dziennych.
I wszystko, co przemyślił w swych nocach bezsennych:
Wszystko poznałem w jednej chwili z jego oka!
Bo na tem oku była straszliwa powłoka;
Źrenice miał podobne do kawałków szklannych,
Które zostają w oknach więzień kratowanych.
Których barwa jest szara jak tkanka pajęcza,
A które patrząc z boku, świecą się jak tęcza:
I widać w nich rdzę krwawą, iskry, ciemne plamy.
Ale ich okiem nawskróś przebić nie zdołamy:
Straciły przeźroczystość, lecz widać po wierzchu,
Że leżały w wilgoci, w pustkach, w ziemi, w zmierzchu...
. . . . . .
Pytany, myśląc zawsze, że jest w swem więzieniu,
Ucieka w głąb pokoju i tam pada w cieniu,
Krzycząc zawsze dwa słowa: »nic nie wiem, nie powiem«.
. . . . . .

DAMA MŁODA.

Czemu to o tem pisać nie chcecie panowie?

HRABIA.

Niech to stary Niemcewicz w Pamiętniku wsadzi:
On tam, słyszałem, różne szpargały gromadzi

LITERAT PIERWSZY.

To historya.

LITERAT DRUGI

Straszna.

KAMERJUNKIER.

Dalibóg wyśmienita.

LITERAT TRZECI.

Takich dziejów słuchają, lecz kto je przeczyta?
I proszę, jak opiewać spółczesne wypadki?
Zamiast mytologii, są naoczne świadki...
Potem, jest to wyraźny, święty przepis sztuki:
Że należy poetom czekać... aż... aż...

JEDEN Z MŁODZIEŻY.

Póki?...
Wieleż lat czekać trzeba, nim się przedmiot świeży,
Jak figa ucukruje, jak tytoń uleży?

LITERAT PIERWSZY.

Niema wyraźnych reguł.

LITERAT TRZECI.

Tysiąc, parę tysięcy...

LITERAT PIERWSZY.

Spodziewam się, że panu przez myśl nie przejedzie,
Aby napisać wierszem, że ktoś jadał śledzie...

Już powyższy ustęp daje dobre pojęcie o sile i wyrazistości, z jaką autor cierpienia odmalować umie.

Proszę jeszcze przeczytać w »Dziadach« opowiadanie Sobolewskiego, jak na Sybir wywieźli kibitek dwadzieścia studentów ze Żmudzi. Tu każdy wyraz drga życiem.

Lud otoczył więzienie nieruchomym wałem;
Od bram więzienia na plac, jak w wielkie obrzędy
Wojsko z bronią, z bębnami, stało we dwa rzędy...
. . . . . .
Wkrótce znak dano bębnem, i ratusz otwarty.
Widziałem ich, za każdym z bagnetem szły warty:
Małe chłopcy, znędzniałe, wszyscy jak rekruci
Z golonemi głowami, na nogach okuci.
Biedne chłopcy! Najmłodszy, dziesięć lat nieboże,
Skarżył się, że łańcucha podźwignąć nie może
I pokazywał nogę skrwawioną i nagą;
Policmejster przejeżdża, pyta czego żądał:
Policmejster człek ludzki, sam łańcuch oglądał:
»Dziesięć funtów, zgadza się z przepisaną wagą«.
Wywiedli Jańczewskiego... poznałem: oszpetniał.
Zczerniał, zchudł, ale jakoś dziwnie wyszlachetniał,
Ten przed rokiem swawolny, ładny chłopczyk mały,
Dziś poglądał z kibitki, jak z odludnej skały
Ów cesarz — okiem dumnem, suchem i pogodnem.
To zdawał się pocieszać spólników niewoli,
To lud żegnał uśmiechem gorzkim, lecz łagodnym,
Jak gdyby im chciał mówić: niebardzo mię boli...
. . . . . .
On postrzegł, że lud płacze, patrząc na łańcuchy,
Wstrząsnął nogą łańcuch, na znak, że mu niezbyt ciężył,
A wtem zacięto konia: kibitka runęła;
On zdjął z głowy kapelusz, wstał i głos natężył,
I trzykroć krzyknął: »Jeszcze Polska nie zginęła!...«
Wpadli w tłum... ale długo ta ręka ku niebu,
Kapelusz czarny jako chorągiew pogrzebu,
Głowa, z której włos przemoc obdarła bezwstydna,
Głowa niezawstydzona, dumna, zdała widna,
Co wszystkim swą niewinność i hańbę obwieszcza...
. . . . . .
Ta ręka i ta głowa zostały mi w oku...

Jak pewna barwa wywołuje zawsze barwę dopełniającą, a akord septymowy — rozwiązanie, tak też u Mickiewicza i Słowackiego motyw cierpienia wywołuje zawsze motyw inny, — zemstę.

Da się to zupełnie przekonywająco stwierdzić znowuż w III-ciej części Dziadów, a mianowicie w piosnkach więźniów. A więc najprzód piosnka Jankowskiego:

Mówcie, jeśli wola czyja,
Jezus Maryą;
Nim uwierzę, że nam sprzyja,
Jezus Marya.
Niech wprzód łotrów powybija,
Jezus, Marya!
Tam Car jak dzika bestya,
Jezus Marya!
Tu Nowosilców jak żmija,
Jezus Marya!
Póki cała carska szyja,
Jezus Marya!
Póki Nowosilcow pija,
Jezus Marya!
Nie uwierzę, że nam sprzyja
Jezus Marya...

Po Jankowskim tak z ironią nuci Kołakowski:

Nie dbam jaka spadnie kara:
Mina, Sybir, czy kajdany;
Zawsze ja wierny poddany,
Pracować będę dla Cara.

W minach, kruszec kując młotem,
Pomyślę: ta mina szara,
To żelazo, z niego potem
Zrobi ktoś topór na Cara.

Gdy będę na zaludnieniu,
Pojmę córeczkę Tatara:
Może w mojem pokoleniu
Zrodzi się Palen [1]) dla Cara.

[1]) Palen, morderca cara Pawła I.

Gdy w koloniach osiędę,
Ogród zorzę, grzędy skopię,
A na nich co rok siać będę
Same lny, same konopie

Z konopi ktoś zrobi nici:
Srebrem obwita nić szara
Może się kiedyś poszczyci,
Że będzie szarfą [1]) dla Cara.

Nakoniec spiewa Konrad:

Pieśń ma była już w grobie, już chłodna:
Krew poczuła: z pod ziemi wygląda,
I jak upior powstaje krwi głodna,
I krwi żąda, krwi żąda, krwi żąda.
Tak! zemsta, zemsta, zemsta na wroga,
Z Bogiem — i choćby mimo Boga!

Tu już mamy wyraźną poezyę zemsty. Jeżeli Bóg Polaków nie pomści, muszą oni poradzić sobie sami.

Zemsta prawie wszędzie nosi maskę, ukrywa się podstępnie, plan swój z góry układa, poczem niespodzianie uderza w swoją ofiarę.

Myśl przewodnia tej poezyi zawsze polega na tem, że temu, kogo Bóg opuścił a ludzie prześladują, wolno używać wszelkich środków, a zbawienie ojczyzny to jego *suprema lex*. Grażyna ma prawo, sprzeciwiając się woli swego męża i księcia, iść za głosem wyższego powołania i przeszkadzać zawarciu nieszczerego przymierza z Niemcem, tym dziedzicznym wrogiem ojczyzny. Ta sama myśl w inną formę przybrana występuje w Wallenrodzie: żadnych sojuszów nieszczerych, chyba że z myślą podstępną! Z wrogiem zewnętrznym wolno walczyć obłudą i zdradą.

[1]) Szarfą udusił Orlow cara Piotra III.

Jako wielki mistrz Krzyżaków ciągnie Wallenrod wojnę z Litwą dopóty, póki nie wyginą tysiączne zastępy niemieckie. A gdy Litwa jest uratowana, a Zakon stanął na brzegu przepaści, Wallenrod odważnie przyjmuje wyrok śmierci, ferowany przez trybunał tajemny, z dumą i pogardą zrzuca z siebie maskę obłudy, depce nogami znak wielkiego mistrza i z tryumfem spowiada się z grzechów swego żywota.

Mickiewicz sam nie zdawał sobie sprawy z tego, że nauka wysnuta z Wallenroda usprawiedliwia wszelką zdradę, ale nie uszło to krytycznej uwagi jego poetyckiego rywala. Muszę tu jednak podnieść, iż w każdym razie Mickiewicz widocznie nie obawiał się nieporozumienia i nadużyć, do jakich utwór jego mógł dać powód. Bardzo dosadnym wyrazem powyżej wyłuszczonego poglądu Mickiewicza jest Alpuhara, owa ballada, którą Wallenrod śpiewa za biesiadnym stołem. Wódz Maurów Almanzor broni się jeszcze w Grenadzie, ale wkrótce poddać się będzie zmuszony, bo w mieście sroży się zaraza. Gdy po szczęśliwym szturmie Hiszpanie ucztują, straż odźwierna donosi, że jakiś rycerz z obcej krainy prosi o posłuchanie. Był to Maur. Wpuszczony do obozu, oddaje się w ręce Hiszpanów i błaga o życie, mówiąc: Przychodzę służyć waszemu Bogu, waszym prorokom uwierzyć, chcę być wasalem obcej korony. Gdy Hiszpanie poznali Almanzora, wódz go uścisnął, inni koleją jak towarzysza ucałowali. Lecz wtem Almanzor osłabnął, padł na kolana, a wiążąc swój zawój do nóg wodza Hiszpanów, zawołał z tryumfem: Jam was oszukał mą pokorą, wracam z Grenady, ja wam zarazę przyniosłem, a w braterskim pocałunku wszczepiłem wam w duszę jad, co was będzie pożerać.

I u Słowackiego zawsze widzimy z jednej strony

przekleństwo, ścigające zdrajców ojczyzny (Jan Bielecki, Wacław — ten sam stary Potocki, z którym się spotykamy później w Horsztyńskim i w Malczewskiego Maryi), z drugiej uwielbienie zdrady i podstępu, użytych przeciw nieprzyjacielowi (Lambro, Kordyan). Lambro to historya Greka, który zostaje bandytą i renegatem, aby tem pewniej zgubić Turków. W postaci tej niema prawie nic ludzkiego; modelu do niej zaczerpnął Słowacki ze wschodnich poematów Byrona, nie zaś z rzeczywistości. Kordyan — to nerwowy, egzaltowany Polak, nazbyt wrażliwy i delikatny dla tego krwawego zadania, którego się podjął — dla zamordowania cara Mikołaja. Pomimo, iż czuć tu wpływ Mickiewicza, postać tę wziął Słowacki z życia, jest w niej dużo spostrzeżeń autora nad własną duszą. Przewodnią myślą obu utworów jest — zemsta.

Przeciw tej to właśnie myśli zasadniczej skierował główne swoje dzieła Zygmunt Krasiński. Własny jego los i stosunki rodzinne wpłynęły na to, iż wysnuwał on mniej jednostronne konkluzye i nauki z cierpień ludzkich.

Zygmunt Krasiński, urodzony w r. 1812 w Paryżu, pochodził z rodziny liczącej się do najwyższej arystokracyi. Ojciec jego, wyprzedzając nawet księcia Józefa Poniatowskiego wcześnie stanął pod sztandarem napoleońskim, odznaczył się, zdobył stopień adjutanta cesarskiego a po abdykacyi Napoleona w Fontainebleau polecono mu, już jako jenerałowi, odprowadzić do kraju pułki polskie. W salonach Wincentego Krasińskiego, który osiągnął w kraju wysokie dostojeństwo senatora-wojewody, zbierali się uczeni, literaci i artyści. Tu była główna twierdza klasycyzmu, gospodarz zaś domu był zarazem jednym

z najwierniejszych sług tronu rosyjskiego oraz carów: Aleksandra i Mikołaja, a szczególnie smutną zdobył sławę od chwili sądu sejmowego 1828 r. nad spiskowcami politycznymi, w którym on sam tylko obstawał za surowem ukaraniem podsądnych. Waleczny i nieustraszony na polu bitwy, z największą łatwością dawał się Wincenty Krasiński w czasie pokoju usidlić pięknym i pochlebnym słówkom rządu rosyjskiego.

Syn jego, Zygmunt, nigdy się nie sprzeniewierzył obowiązkom synowskim i pomimo całej niezgodności przekonań, żywił dla ojca uczucie pełne pietyzmu nawet. Ale wysokie stanowisko urzędowe rodzica — w r. 1856, po śmierci Paszkiewicza Wincenty Krasiński pełnił nawet czasowo obowiązki namiestnika — fatalnie zaciężyło na życiu syna, zarówno osobistem, jak literackiem. Gdy był dorastającym zaledwo młodzieńcem, w 17-ym roku życia doznał z powodu ojca zniewagi, której nigdy nie mógł zapomnieć. W r. 1829 na pogrzebie prezesa sądu sejmowego, bardzo popularnego wojewody Bielińskiego, studenci uniwersytetu warszawskiego, zmówiwszy się uprzednio, wystąpili gromadnie, opróżniając audytorya. Za przykładem kolegów nie poszedł tylko Zygmunt Krasiński, który słuchając rozkazu ojca, udał się na lekcye do uniwersytetu, za co też nazajutrz koledzy pobili go i wypchnęli z sali. W Niedokończonym poemacie zachował Krasiński wspomnienie tej chwili. »Ot! widzę ten stary budynek, w którego salach tysiąc rówieników moich siedzi, a nauczyciele z katedr mówią do nas. Widzę te w węże załamane wschody — zakręt ten — i wschód ten sam kamienny, na którym mi się sam objawiłeś — nieprawdaż, harde było ze mnie chłopię, choć niedorosłe i wątłe na siłach. Szedłem właśnie z domu, przechodziłem wśród

nich wszystkich z dumą na czole, świadom, że mnie nienawidzą — lecz czemu, nieświadom! Ścisnęli się kołem i coraz mi ciaśniej! krzyczą »panicz, panicz« jakby hańbą być miało, że wskazać mogę, gdzie za ojczyznę gardło dał niejeden z ojców moich i w jakim leży pochowan kościele. Boże! w piersiach dziecinnych pierwszy raz wtedy piekło się urodziło — poręczy żelaznych się uchwyciłem — oni ciągną mnie na dół za ręce, za nogi, za płaszcza zwoje«.... Wówczas ukazał się geniusz Krasińskiego pod postacią Aligiera i rzekł: »Oni niesprawiedliwi. Ty bądź więcej niż sprawiedliwy — przebacz im w duchu i kochaj ich w czynach«.

W młodym już zatem wieku nie oszczędził los Krasińskiemu goryczy, ale krzywda wycierpiana wcale nie upoważniała Zygmunta w jego własnych oczach do podjęcia tej roli, do której nęciły go pokusy mocarzy tego świata i niesprawiedliwość ziomków. Myśl jawnego zerwania z ojcem dla zyskania szumnej popularności, również przeciwną była jego szlachetnej i miękkiej naturze. W wieku młodzieńczym i później także, okazywał on zawsze przesadne nawet przywiązanie synowskie temu ojcu, którego jako zdrajcę sprawy polskiej rząd rosyjski zdobił orderami, a naród obsypywał przekleństwy. Przez wzgląd na niego pisał bezimiennie, a już sama myśl, że znajdzie go w przeciwnym obozie, nie pozwalała mu głosić w swych dziełach ewangelii zemsty. Krasiński miał odwagę nie dzielić tej wiary, którą naród jego wyznawał i sprzeciwić się głównemu prądowi literatury owej epoki; głosił on niemoc nienawiści śród narodu o temperamencie namiętnym i usposobieniu wojowniczem, a przytem narodu tak umęczonego i zrozpaczonego, iż wszystkie twory jego wyobraźni były ponure, jak

czarnemi chmurami zasłane niebo, które tylko od czasu do czasu błysk zemsty rozjaśnia. O tych utworach poetyckich czytamy przecież już w Wallenrodzie:

Mordy, pożogi wy śpiewać lubicie,
Nam zostawiacie — chwałę i zgryzoty...
Jeszcze w kolebce wasza pieśń zdradziecka
Nakształt gadziny obwija pierś dziecka.
I wlewa w dusze najsroższe trucizny!...
Głupią chęć sławy i miłość ojczyzny!...

Ale żaden z poetów nie posiadał w tak wysokim stopniu poczucia ciążącej na nim odpowiedzialności, jak Krasiński. Gdy się naprzykład dowiadywał o surowych karach, które spadały na studentów za szerzenie jego poezyi, cierpiał strasznie.

I Krasiński opisuje wyłącznie prawie cierpienia. W Irydyonie dał nam historyczny obraz męczarni, wywołanych obcem panowaniem Romy nad Grecyą, w kilka wieków po jej upadku. Maluje on miłość najprzedniejszych przedstawicieli narodu greckiego dla Hellady, której Europa zawdzięcza swoje wykształcenie artystyczne, dla tej ziemi, która była pierwszym jej mistrzem w używaniu swobód politycznych, a zarazem kreśli nienawiść ich do Romy, tego okrutnego i dumnego tyrana, co nawet swą nawpół barbarzyńską cywilizacyę zapożyczył u obcych. W dramacie tym odzwierciedla się duch narodowy Grecyi, przygotowujący po kilku wiekach hańby i ucisku wielkie dzieło zemsty, w epoce, w której Heliogabal i Karakalla niegodnem swem nadużyciem władzy oburzyli całą zdrową część społeczeństwa przeciw sobie.

Irydyon to »syn zemsty«, dziecię mściciela. Ojcem jego jest wielki Grek, Amfiloch, należący sam do

tego pokolenia, któremu zemsta wydaje się jeszcze niedojrzałą. Wpaja on więc nienawiść do Romy w Irydyona i siostrę jego Elsinoe, dwoje dzieci, z północnej zrodzonych niewiasty. Co wieczór Amfiloch błogosławił te dziecięce głowy, do snu pochylone i »pamiętajcie, powtarzał, nienawidzić Romy. — Dorósłszy, niech każden z was ściga ją przekleństwem swojem. Ty żelazem i ogniem — ty natchnieniem i niewiasty zdradą«.

Irydyon żyje w pałacu swoim w Rzymie jedynie dla tej zemsty. Chcąc łatwiej dopiąć celu, rzuca czarującą swą siostrę w objęcia słabego i nędznego chłopca, który stoi na czele państwa. W ręku Elsinoe Heliogabal gnie się, jak trzcina, a Irydyon wmawia mu, że wrogiem cezara nie jest jego współzawodnik, Aleksander Sewer, ale samo miasto Rzym. Przeciw miastu tedy niech dalej prowadzi wojnę, rozpoczętą pożarem przez Nerona i zburzywszy Romę, niech koronę cezarów uratuje dla Byzancyum. Heliogabal oczarowany jest tą wspaniałą poezyą zniszczenia, porywa go ona; i nic w tem dziwnego, wszak dali się jej porwać ludzie od niego lepsi, naprzykład — poeci polscy.

Krasiński doskonale odczuł i zrozumiał, że w owej epoce dla większości jego ziomków Polska zwolna stawała się już tylko imieniem, wołającem o pomstę. Widział on dobrze, jakie dla narodu, dla jego poczucia sprawiedliwości płynie niebezpieczeństwo z owego przekonania, że przeciw wrogowi wolno używać wszelkich środków, Już przecie w wierszu »Do matki Polki« chwali się jako cnoty: kłamstwo, obłudę i podstęp. Nikt też bohaterowi z pod Ostrołęki, jenerałowi Bemowi, nie wziął za złe jego przejścia na islam, bo wiedziano, iż uczynił to dlatego tylko, aby w słu-

żbie tureckiej tem lepiej dać się we znaki Rosyi. I Wielopolskiemu nikt nie zganił, gdy w swym liście otwartym do Metternicha, po rzezi galicyjskiej, mówił o złaniu się narodu polskiego z Rosyą w tym tylko celu, aby przez to zjednoczenie się z najpotężniejszym wrogiem Polska mogła wywrzeć swą zemstę nad Austryą i Prusami i przy pomocy drugiego Atylli zniweczyć te państwa.

Krasiński trwożył się na widok tych uczuć swego narodu, który żył samą tylko nienawiścią, na widok owego patryotyzmu, który był wprawdzie potężniejszy od śmierci, ale zawsze śmierć miał tylko na uściech. Napisał więc Irydyona jako przestrogę.

Projekta Irydyona upadają w ostatniej chwili wskutek nieufności, jaką dlań żywią biskupi chrześcijańscy. Elsinoe żąda śmierci Heliogabala jako zapłaty za swe cierpienia, a następnie sama przebija się sztyletem. Aleksander Severus zwycięża i zostaje cezarem. Wówczas Irydyon także pragnie umrzeć, ale porywa go w objęcia i zapada wraz z nim w przestworza jego opiekuńczy zły duch, ów Masynissa, pokrewny Wajdelocie z W a l l e n r o d a, tylko w wyższym stylu i będący prócz tego wcieleniem wstrętu, jaki żywił świat starożytny dla chrześcijaństwa. Teraz scena dzieje się na szczycie góry. W mglistej oddali widzi Irydyon Rzym, jak »stoi niewzruszony i marmury wyszczerza przed słońcem, jak białe kły tygrysa«. I ból trawi Irydyona na myśl, że przecież ten Rzym nie upadł, jak to przepowiadała jego matka. Wówczas Masynissa oznajmia mu, że Goci wprawdzie zburzą Romę, ale chrześcijanie odbudują Rzym nowy, który wojowników z północy na swym pasku wieść będzie i po raz drugi stanie na czele wszystkich narodów świata.

Krasiński chciał tym wielkim przykładem dowieść swojemu narodowi, że zemsta sama nie tworzy nic trwałego i że nienawiść sama jest bezpłodną. Pragnął on dalej, jak trafnie zauważył Klaczko, zaznaczyć może i to, że wróg czasem znajduje nową siłę do życia tam, gdzie się tego najmniej spodziewamy. — Takiem źródłem życiodajnem stało się dla Rzymu chrześcijaństwo, a dla następców Krzyżaków reformacya, taką oporę dać może i Rosyi ta cywilizacya naszego stulecia, która miała być dla kolosu północy tak groźną.

»Dokończenie« poematu przenosi nas do Rzymu papieskiego w końcu pierwszej połowy XIX. wieku. Irydyon wędruje z Masynissą wśród ruin starożytnego Rzymu i między zwaliskami późniejszej jego wielkości. Władzę i potęgę Rzymu przedstawiają dwaj starcy »w purpurowych płaszczach. Żegnają ich zakonnicy imieniem książąt Kościoła i ojców — na ich twarzach wyryte ubóstwo myśli — wsiedli do powozu — czarne schorzałe konie ich ciągną — i z tyłu sługa z latarnią, jaką trzyma wdowa nad dzieckiem konającem z głodu — i na ramach u okien i na listwach u dołu ostatek pozłoty! Minęły zwolna jęczące koła, siwe głowy wychylone zniknęły«. »To następcy Cezarów!« rzecze Masynissa. Irydyon już przestał nienawidzić chrześcijaństwa, bo losy tegoż wydają mu się również opłakane, »jak losy Hellady niegdyś«.

Wkońcu słyszy Irydyon głos, który doń woła: »Idź na północ w imieniu Chrystusa — idź i nie zatrzymuj się, aż staniesz na ziemi mogił i krzyżów — poznasz ją po milczeniu mężów i po smutku drobnych dzieci — po zgorzałych chatach ubogiego i po zniszczonych pałacach wygnańców — poznasz ją po jękach aniołów moich przelatujących w nocy. Idź

i zamieszkuj wśród braci, których ci daję — tam powtórna próba twoja — po drugi raz miłość twoją ujrzysz przebitą, konającą, a sam nie będziesz mógł skonać — i męki tysiąców wcielą się w jedno serce twoje«.

A nauka stąd taka: W krainie »mogił i krzyżów«, zarówno jak w krainie »cyprysów i pałaców«, nie chodzi o to, aby nieprzyjaciela zwalczać wszelkimi możliwymi środkami, ale o to, aby go zwyciężyć wyższością moralną i umysłową.

Krasiński zawsze głosi tę naukę, że lepszej przyszłości nie należy się spodziewać z krzywdy, którą wrogom naszym wyrządzić możemy, ale z tego dobra, które rozwijamy we własnej naszej istocie. Przedewszystkiem zaś lęka się on jadu, który w serca ludzkie sączy niewola. Sybir, knuty, tortury to dla Krasińskiego nieszczęście daleko mniejsze od ducha narodu, zatrutego żądzą zemsty.

Mamy zatem dwa sprzeczne poglądy zasadnicze. Z jednej strony bezwzględną etykę rozpaczy, która wszystko uprawnia, co tylko godzi w tyrana: postępowanie Grażyny, podstęp i zdrada Wallenroda, jadowity pocałunek Almanzora i morderstwo Kordyana.

Z drugiej strony, w chwili, gdy w Warszawie rządy sprawuje Paszkiewicz, słyszymy głos, ostrzegający przed skutkami bezowocnej nienawiści, głos, który choć spotyka się z szyderstwem i zarzutem tchórzostwa, nie przestaje wskazywać na wyższość cywilizacyjną, jako na cel, do którego dążyć należy, aby na drodze duchowego rozwoju i doskonalenia się przewyższyć wroga i w ten sposób go pokonać.

W walce życiowej istnieją dwie wielkie naczelne zasady. Jedna z nich jest ziemską, druga duchową.

Pierwsza kieruje czyny ku skutkom natychmiastowym, druga ku dalszym ich następstwom. Jedna powiada: ponieważ życie jest pełne okropności, uczyń swego nieprzyjaciela nieszkodliwym, zgładzając go ze świata. Dla tego celu wszystkie środki są dobre. — Druga mówi: ponieważ życie jest pełne okropności, zmniejszaj ich liczbę, płacąc miłością za nienawiść! Kochaj swoich wrogów, rozbrój ich poczuciem własnej godności, które tylko w miłości rozkwita, a silniejsze od samej śmierci, wszędzie budzi życie! — Pierwszą z tych zasad głosił Konrad i Kordyan, drugą — wielki Bezimienny. Obie zasady, jeżeli się je bezwzględnie stosuje do narodu w każdem położeniu, są może jednako niepraktyczne. Pierwsza — bo zemsta zawsze rodzi znowu zemstę, druga — bo sama miłość nie może wystarczyć w świecie, w którym łagodność baranka nie rozbraja krwiożerczego wilka.

Dwie te zasady, obie jednakowo romantyczne, przenikają całą romantyczną literaturę polską.

Ale jest jeszcze trzecia zasada — ani sentymentalna, ani romantyczna. Ona nie uczy nas zgładzać naszych nieprzyjaciół, ani też kochać ich, ale każe więcej i lepiej od nich pracować. Przyszłość nie należy ani do mściciela, ani do apostoła, lecz do genialnego pracownika.

VII.

Istnieje jeszcze jedna odmiana typu mściciela, mająca w sobie wiele pierwiastków apostolskich, odmiana, którą rozpatrzeć musimy zosobna. Mam tu na myśli tę grupę postaci w romantycznej literaturze polskiej, którąby ogólnem mianem »Hamletów« ochrzcić można. Cała nowoczesna poezya pochodzi od tego Szekspirowskiego Hamleta, którego nam przyniosła literatura Odrodzenia, od tej wielkiej postaci powstałej ze skojarzenia angielskiego realizmu z francuskim sceptycyzmem Montaigne'a. W »Hamlecie«, który jest najpierwszym dramatem filozoficznym nowszych czasów, występuje też po raz pierwszy typ nowoczesnego człowieka i bolesna walka ideału z otaczającym go światem, głęboka przepaść, dzieląca siły od zamiarów. Widzimy tu całą rozmaitość i wszystkie sprzeczności jego istoty: delikatność uczuć w połączeniu z okrucieństwem, dowcip bez wesołości, wieczne ociąganie się obok szalonej niecierpliwości.

Bardzo wiele najnowszych rysów w poezyi naszego wieku pochodzi od Hamleta. W Niemczech Goethe wprowadza go do swego Wilhelma Meistera, a zarodek Fausta tkwi w tym przerobionym Hamlecie. Faust przesadzony na grunt angielski tworzy bajronowskiego Manfreda, który też jest nowym,

choć oddalonym, potomkiem Hamleta. Ale w Niemczech natura Byrona przybiera znów inną, i to zupełnie hamletowską postać w gorzkim i fantastycznym dowcipie Heinego, w jego nienawiści, kaprysach i wyższości umysłowej. We Francyi, pokolenie, do którego należał Musset, przedstawione przezeń w *Confessions d'un enfant du siècle*, to pokolenie nerwowe, zapalne jak proch, z podciętemi zawczasu skrzydłami, pozbawione pola do czynu i sił do działania na arenie historycznej, równie żywo przypomina Hamleta. Hamletem francuskim staje się owa najpiękniejsza bodaj z męskich postaci Musseta — Lorenzaccio, wytrawny w sztuce udawania, powolny, inteligentny, łagodny względem kobiet, a jednak raniący je nieraz surowemi słowy, chorobliwie pragnący w swem życiu czczem i bezmyślnem dokonać jakiegoś czynu wielkiego, wreszcie działający zapóźno, rozpaczliwie i bez najmniejszej korzyści.

Hamlet, który przed wiekami był młodą Anglią, a dla Musseta przez pewien czas — młodą Francyą, stał się później tem samem dla Niemiec. »Hamlet to Niemcy« — śpiewał Freiligrath.

W rozwoju romantyzmu jest chwila, w której poeci polscy gotowi byli powiedzieć: »Hamlet to Polska«.

Dzięki pokrewnym stosunkom politycznym postać Hamleta pojawiła się równocześnie i w innej słowiańskiej literaturze, choć opanowała ją dopiero w dwadzieścia lat później. Mówię tu o literaturze rosyjskiej, gdzie można się z tym typem spotkać już w utworach Puszkina i Gogola, następnie u Gonczarowa i Tołstoja, a we wszystkich dziełach Turgeniewa zajmuje on pierwszorzędne miejsce. Ale przekonamy się, że brak tu właściwego rdzenia tego

hamletowskiego typu, brak pragnienia zemsty, a cały nacisk kładzie się zazwyczaj na rozłam między siłą czynu a refleksyą w ogólności.

Wszyscy natomiast poeci polscy mają istotnie rysy zapożyczone z natury królewicza duńskiego. Od najmłodszych lat znajdują się w położeniu takiem samem, jak on. Świat zachwiał się w swoich podstawach, a ich słabe ramię ma przywrócić mu równowagę. Czują oni wszyscy, jak Hamlet, wewnętrzny żar młodości i całą swą niemoc. Wspaniałomyślni, szlachetnego rodu, widząc i pojmując okropność wszystkiego, co ich otacza, skłonni są zarazem do marzycielstwa i do czynu, do badawczego szperania i bezwzględności.

Jak Hamlet, widzieli oni swą matkę — ojczyznę, której zawdzięczają życie, upokorzoną przez ukoronowanego zbója i mordercę. Dwór, stojący dla tych poetów niekiedy otworem, wzbudza w nich takie same przerażenie, jak dwór Klaudyusza w królewiczu duńskim. Ci następcy Hamleta bywają, jak on, okrutni względem swej Ofelii, opuszczają ją w chwili, gdy najsilniej są kochani i jak on, wędrują po odległych krajach; jak on, ukrywają swe myśli pod szatą alegoryi i porównań. Można do nich wreszcie zastosować te wyrazy, z którymi Hamlet, mówiąc sam o sobie, zwraca się do Laertesa: strzeż się, jest we mnie coś niebezpiecznego. Charakterystyczną zaś cechą polską jest w nich to, że nie myśl, ale poezya ich osłabia i stawia im przeszkody na drodze. Niemców tego typu gubi refleksya, Francuzów rozpusta, Rosyan lenistwo i wyszydzanie swej własnej istoty, — Polaków prowadzi na manowce siła wyobraźni, każąc im żyć w świecie urojonym, zdala od życia rzeczywistego.

W charakterze Hamleta znajdujemy bardzo wiele stron rozmaitych. Hamlet sceptyk i Hamlet tak liczący się z różnymi względami, że aż niezdolny do czynu; to znowu Hamlet nerwowiec, któremu nerwy działać każą lub go od czynów powstrzymują; wreszcie Hamlet mściciel, który się przebiera, aby tem lepiej zemsty swej dokonać. Poeci polscy rozwijają wszystkie te rysy charakteru Hamleta.

W osobistym charakterze Mickiewicza było mało podobieństwa do Hamleta. Możnaby chyba tylko upatrywać coś hamletowskiego w tem graniczącem z chorobliwością przejęciu się jedną jakąś ideą, który to rys z szczególną wystąpił siłą u Mickiewicza wówczas, gdy poeta wszedł w bliższy stosunek z Towiańskim. Od tego czasu wyzwolenie Polski stało się dla niego religią, pewnikiem. Mickiewicz chciał pisać do Mikołaja, nawracać Rotschylda, aby go dla sprawy polskiej pozyskać. W r. 1844 odebrano mu katedrę historyi literatur słowiańskich, którą monarchia lipcowa utworzyła dlań w *College de France*, gdyż w prelekcyach swych poeta coraz to więcej udzielał miejsca wykładowi swych fantastyczno-patryotycznych teoryi. Ale siły czynu Mickiewiczowi nie brakło aż do końca. W roku 1848 starał się on we Włoszech utworzyć legion polski.

Pod rządami Napoleona III., który według Mickiewicza miał ziścić nadzieje pokładane w wielkim jego przodku, poeta kilka lat piastował skromny urząd bibliotekarza przy arsenale. Ale skoro tylko wybuchła wojna krymska, Adam porzucił tę posadę i udał się do Carogrodu, aby tu organizować przeciw Rosyi legion polski. Wśród tych zajęć zmarł w listopadzie 1855 roku.

Jest jednak pewien odcień hamletyzmu w różnych

postaciach, stworzonych przez Mickiewicza: w Wallenrodzie, Gustawie, w Konradzie i Robaku. Gustaw mówi językiem głęboko myślącego szaleńca, Konrad lubi się zapuszczać w filozoficzne subtelności, Wallenrod i Robak używają podstępu i zdrady, chcąc doprowadzić do skutku wielkie dzieło zemsty, a Jacek Soplica, podobnie jak Hamlet, zabija ojca ukochanej.

U Słowackiego typ szekspirowskiego bohatera gra rolę jeszcze wybitniejszą. Juliusz był zarazem dziki i łagodny. Nieokiełznany ten charakter miał jednak równocześnie w sobie coś z natury bluszczu lub powoju i, jak one, lubiał się obwijać dokoła mocnych łodyg: trzymał się w życiu swych przyjaciół, w sztuce przyswajał sobie często pomysły poprzedników, a przytem żył nie całą swą istotą, ale przeważnie głową, t. j. ideami i wyobraźnią. W jego fantazyi jest bogactwo barw i melodyi, jest zdolność ornamentacyjna i przepyszna instrumentacya, ale brak zupełnie plastyki. I dlatego tak trafnie radził mu Krasiński: »granit rzuć pod twoje tęcze«.

Położenie jego historyczne i cała działalność poetycka noszą na sobie ślady tego, że się Słowacki uważał za przeciwnika i rywala Mickiewicza. Historya średnich wieków wspomina o antypapieżach. I Słowacki należy do tej wcale licznej rasy antypapieży. Oryginalność jego polega na świetnej formie. Główne jego motywa i postacie zapożycza on często u wzorów, które naśladuje, u współzawodników, z którymi walczy i których pragnie prześcignąć. Na wrażliwej naturze Słowackiego jeszcze wyraźniej odbiła się powszechna tendencya literatury owoczesnej.

Jego K o r d y a n, napisany w Szwajcaryi, gdzie poeta miał przed oczyma Montblanc, ów »niby wy-

ciosany posąg Sybiru«, ma za temat spisek koronacyjny na życie cara Mikołaja. Czyż może być coś bardziej przypominającego Hamleta, niż odpowiedź Kordyana na słowa prezesa: »Ty masz gorączkę, w oczach dziwne obłąkanie...«

KORDYAN.

To nic starcze... To włos mi siwieje i boli,
Włos każdy cierpi, czuję zgon każdego włosa;
To nic... Na grobie wsadzisz dwie różdżki topoli,
I różę... Potem spadnie łez rzęsistych rosa,
To mi włosy ożyją... Masz pióro przy sobie?
Chciałbym spisać imiona płaczących nademną. —
Ojciec w grobie — i matka w grobie — krewni w grobie,
Ona — jak w grobie... Więc nikt po mnie! wszyscy ze mną!
A szubienica będzie pomnikiem grobowym...

PREZES.

Kordyanie! oto pismo, któreś dał spiskowym.
Schowaj je, spal, bądź wolnym od przyrzeczeń słowa.

KORDYAN.

Raz, dwa, trzy, broń na ramię warta pałacowa...
Czujność... Głupie wyrazy stąpać jak nakażą?
Starcze, nudzisz mię! nudzisz nieruchomą twarzą,
Nie będę mógł zapomnieć, że starym nie będę.
Jeśli cię kiedy z kołem mych dzieci obsiędę,
Pluń mi na siwe włosy.
(Zegar na wieży bije jedenastą).
To z nieba wołanie. *(Wybiega).*

W wielkiej fantastycznej scenie, która teraz następuje, Kordyan jest na warcie w zamku i z karabinem w ręku idzie do sypialni cara wśród nieustannych głosów »imaginacyi« i »strachu«. Imaginacya mówi: Słuchaj! ja mówię oczyma. Strach mówi: Słuchaj! mówię biciem serca. Wpatrzaj się w ściany, ściana gadem się rusza, kolumny potrząsają wężów

zbitych grzywę; sfinksy straszliwe spełzły z marmuru, drzewa patrzą kwiatem — liściem słyszą, z kościoła aż do zamku orszak zmarłych długi, berła, korony, wiele trupów, a trumien ile trupów... dzwonów jęk żałobny«. Kordyan pada bez czucia krzyżem na bagnecie u drzwi sypialni carskiej. Nie dorósł on do swego zadania. Między nim a czynem, którego miał dokonać, stanęła polska skłonność do fantazyowania.

Nie mniej hamletyzmu znajdziemy w jednej z poprzednich, wybornie wykończonej scenie Kordyana, gdzie bohater, będąc na emigracyi, ma audyencyę u papieża, u tego samego Grzegorza XVI-go, który w lipcu 1832 r. w encyklice do biskupów polskich nazwał powstanie buntem przeciw legalnemu władzcy, a chwaląc jego wspaniałomyślność, dziękował Bogu, iż cesarz przywrócił w Polsce ład i spokój.

Sala adamaszkami wybita w Watykanie, Papież siedzi na krześle w złocistych pantoflach; koło niego na złotym trójnogu tyara, a na tyarze papuga z czerwoną szyją. Szwajcar, odmykając drzwi dla wchodzącego Kordyana, krzyczy głośno.

SZWAJCAR.

Graf Kordyan, Polak.

PAPIEŻ.

Witam potomka Sobieskich.
(Wyciąga nogę. — Kordyan przyklęka i całuje).
Polska musi doznawać zawsze łask niebieskich
Dziękczynień modły niosę za ów kraj szczęśliwy, —
Bo cesarz, jako anioł z gałązką oliwy,
Dla katolickiej wiary chęci chowa szczere.
Powinniśmy hosanna śpiewać! —

PAPUGA *(cienko i chraplivie).*

Miserere!!!

KORDYAN.

W darze niosę ci Ojcze relikwię świętą,
Garść ziemi, kędy dziesięć tysięcy wyrżnięto
Dziatek, starców i niewiast. — Ani te ofiary
Opatrzono przed śmiercią chlebem eucharystyi;
Złóż ją tam, kędy chowasz drogie Carów dary,
W zamian daj mi łzę, jedną łzę —

PAPUGA.

Lacrima Christi...

PAPIEŻ.

. . . Jutro z majestatu
Dam wielkie przeżegnanie Rzymowi i światu,
Ujrzysz jak całe ludy korne krzyżem leżą!
Niech się Polaki modlą, czczą Cara i wierzą...

KORDYAN.

Lecz garści krwawej ziemi nikt nie błogosławi.
Cóż powiem? —

PAPUGA.

De profundis clamavi! clamavi!

PAPIEŻ.

. . . No mój synu, idź z Bogiem, a niechaj wasz naród,
Wygubi w sobie ogniów jakobińskich zaród,
Niech się weźmie psałterza i radeł i sochy.

KORDYAN, *rzucając na powietrze garść ziemi.*

Rzucam na cztery wiatry męczennika prochy!
Ze skalanemi usty do kraju powrócę. —

PAPIEŻ.

Na pobitych Polaków pierwszy klątwę rzucę!
Niechaj wiara jak drzewo oliwkowe buja.
A lud pod jego cieniem żyje.

PAPUGA.

Alleluja! —

Słowacki przedstawia typ radykalnego polskiego Hamleta, zaś u Krasińskiego, który przez lat tyle był przyjacielem i podporą Juliusza, spotykamy typ konserwatywny. Krasiński nie mógł się rozwinąć zupełnie swobodnie i niezależnie. Stanowisko ojca oraz tradycye arystokratyczne zmuszały go do zachowania pewnych względów. Wrodzona jego oryginalność nieraz skazana była na wewnętrzną, zawsze jednak przytłumianą walkę z nauką, którą głosił i z poglądami na życie, których bronił. Miały one wszystkie cechy umysłu wzniosłego i gardzącego tłumem, ale nawet za najmłodszych lat poety nie było w nich nic młodego.

Bohater »Nieboskiej« niejednym rysem przypomina najsławniejszego z Duńczyków. Ma on uczuciowość i siłę wyobraźni Hamleta. Hrabia dąży do ideału i żyje zatopiony w marzeniach, w zupełnem oderwaniu od rzeczywistości. Lubi monologi, zajmuje się teatrem; obdarzony wyjątkowo delikatnem sumieniem, zdolen jest jednak popełnić okrucieństwo. Zostaje ukarany obłąkaniem żony za egzaltacyę, której żąda od swego otoczenia, mniej więcej jak Hamlet został ukarany za swoje udawanie rzeczywistym obłędem Ofelii. Ale walka wewnętrzna Hamleta polskiego jest jednak potężniejszą, a trawiące go zwątpienie głębszem od tego, na które był wystawiony Hamlet epoki Odrodzenia. Ostatni wątpi tylko o tem, czy duch, którego sprawy broni, jest czemś więcej, niż marą. A gdy hrabia Henryk zamyka się w Zamku św. Trójcy, nie jest on pewny, czy Trójca święta poza tym zamkiem istnieje. On nie ma wiary, on ma tylko jej pragnienie. Jest on konserwatywny i klerykalny nie z przekonania, ale z obawy, że potęgi, które ten zamek oblegają, mają tylko moc zniszczenia.

Ze względów czysto politycznych broni pewnego systemu religijnego, za który musi z ust swego nieociosanego przeciwnika, przywódcy demokracyi Pankracego (coś, jak Caliban Renana), wysłuchać niejedną gorzką prawdę, na którą nie ma odpowiedzi. Cóż z tego, że gdy Pankracy rozsnuwa przed hrabią swe utopie, ten odpowiada mu: »słowa twoje kłamią«, skoro zato przywódca demokracyi na twierdzenie hrabiego, iż Chrystus już przed wiekami zbawił ludzkość, odrzeka: »niechże się cieszy takiem zbawieniem — nędzą dwóch tysięcy lat upływających od Jego śmierci na krzyżu«, skoro Pankracy zapytuje hr. Henryka, ażali jest »człowiekiem na wzór ludzkości«, czy też »na podobieństwo mamczynych piosneczek?« Ta duchowa męka, jakiej doświadcza bohater »Nieboskiej«, jest odrębnym rysem polskiego Hamleta.

Krasiński nie żywił żadnych złudzeń co do rychłego odbudowania państwa polskiego. W głębi swej duszy był on najmocniej przekonany, że cała zachodnio-europejska cywilizacya, nie wyłączając polskiej, skazana jest na zagładę. Nawet w chrześcijaństwie nie widział pierwiastków życia, choć pisał zawsze w duchu chrześcijańskim. Występując w swych utworach jako konserwatywny arystokrata, czynił to Krasiński w tem bolesnem przeświadczeniu, iż broni złego z obawy przed gorszem. Cierpienia osobiste w połączeniu z okropnem nieszczęściem, pod brzemieniem którego uginał się naród, wcześnie złamały poetę. W 34-tym roku życia był to zgrzybiały starzec, nawpół ślepy i strawiony chorobą nerwową. Te lat trzynaście, które poecie jeszcze pozostały do życia, były już tylko powolną agonią.

Wzmiankowałem wyżej, że Krasiński niejako wprowadza Hamleta na dwór Klaudyusza. Dzieje się to

w pięknym jego poemacie p. t. Pokusa, będącym typowym przykładem owego symbolicznego stylu, który narzucały polskim poetom owoczesne stosunki polityczne. Utwór ten dość wyraźnie osnuty jest na osobistych wspomnieniach autora z pobytu w latach młodzieńczych w Petersburgu i zawiera, prócz tego, fantastyczny obraz życia, jakie czekało poetę, gdyby poszedł za przykładem ojca.

Poemat zaczyna się tajemniczą inwokacyą: »Matko po sześćkroć zabita, matko nieszczęśliwa« — a w jednym z dalszych ustępów czytamy, jak »na wzgórzu łagodnie pochyłem leży trumna pod wysmukłą sosną... a w trumnie postać z krzyżem na piersiach, z zasłoną na twarzy, z okowami na ręku, z koroną na czole. I wzgórz takich sześć po sobie, przedzielonych zielonemi smugi, kędy krew płynie na wzór szemrzących ruczajów, kędy oręż połamany zielskiem zarasta«.

Następnie opisuje poeta przybycie pewnego młodzieńca szlachetnego rodu do wielkiego miasta, »do zamku, brzmiącego wrzawą muzyki i tańców. — Po wschodach miedzianych wiodących w górne komnaty wspinają się młodzi i starzy, męże i niewiasty; wszyscy spiesznie, chciwie, jakby szli do nieba«. — Młodzian, gdy wszedł, spojrzał na »tysiące pląsające w tych miejscach — tysiąc skrzypców, piszczałek i rogów pijanem powietrzem oblały mu głowę, woń kadzideł wkradła mu się do mózgu... ujrzał przez rzęd rozwartych podwoi w dalekiej świetlicy tron słonecznej jasności, górujący ponad morzem ruchomem tancerzy, a na nim siedział Jedynowładca życia i śmierci, pod wiązaniem z chorągwi. Z jednej, rozdartej na szmaty, czasem kropla krwi padała, lecz nikt na nią nie zważał prócz młodzieńca!... Wtem

tłumy rozginać się zaczęły... i z tronu zstąpił Pan zamku; szedł zwolna jakby Bóg jaki śród padających na ziemię; — prosto szedł ku siedzeniu młodzieńca, na krok nie zboczył... Tamten wstał i śmiało spojrzał mu w oczy — pan życia i śmierci nie zmarszczył brwi, owszem rzekł łudzącym głosem; »chodź! przejdziem się razem — i dziwy ci zamku mojego pokażę« — a kiedy młodzieniec stał jak przykuty, on sam przystąpił, złożył pocałunek na jego czole i pociągnął za sobą. Z trumną matki wijącą się przed oczyma szedł młodzieniec a ramię jego drgało krwi kipiącej biciem na twardem ramieniu mocarza, który, srogim głosem grzmiąc ku rozstępującym się, dziwnie miłym i szlachetnym wciąż przemawiał do towarzysza. — Wspominał o przeszłości, wymówił nawet imię matki zabitej bez wzdrygnienia, jakby jej śmierć nie ciężyła na jego sumieniu...

»Tak przeszli razem długi szereg komnat śród ludzi czołem bijących o malachity posadzek. Na drugim końcu zamku nagle na rozkaz pana spiżowe bramy się rozwarły... »Oto skarbiec mój, rzekł mocarz, patrz i uwierz we mnie«. A młodzieńcowi się wydało, że stoi na brzegu kopalni ciągnących się bez końca... toczyły się tam potoki płynnego złota i srebra, tęczą przeskakiwały nad nimi łuki z ametystu. — Słychać było gwizdy podziemnych płomieni, trzęsły się wzgórza, rwały się jaskinie, a świeże dyamentowe bryły lepiły się z ich gruzów. — Czasem też odzywał się jakoby krzyk konających, jakoby szczęk kajdan z głębi — i przesuwały się postacie ludzkie po tych smugach jasności jak czarne plamy księżyca. — Wtedy oko pana w górze rudym płonęło gniewem, postacie wznosiły ręce i tłukąc łańcuchami,

przeciągle wołały o jedną kroplę wody, o jedną chwilkę odetchnienia...

»Teraz gdziekolwiek udał się młodzieniec, witały go tłumy okrzykiem. — Byli i tacy, którzy mu rękę całowali za to, że dotknęła się dłoni ich pana... przynosili mu słodkie w czarach przejrzystych napoje... W prześliczej ustroni, śród pachnących krzewów, na aksamitnych kobiercach spotkał pań zamężnych i hożych dziewic grono. — Ledwo wszedł, one go otoczą; każda go wita różanym uśmiechem, każda mu szepce do ucha... »O raz, raz tylko powiedz, że jedną z nas kochasz!« Wreszcie krzyknął w obłąkaniu: »kocham!« — Porwał w objęcia cudzego rodu dziewicę: wrzące usta złożył na jej ustach, a ona go powlokła do sali tronowej.

»Tam pan życia i śmierci zasiadł był na nowo pod zdobytymi sztandary. — Weszły posłanniki królów wschodu i zachodu. — Długo w uroczystym stąpali przewodzie, a każdy składał u stóp tronu urnę szczerozłotą, napełnioną popiołami tych, którzy, walcząc w świętej sprawie po różnych stronach świata, polegli: a kiedy przeszli wszyscy, wstąpił wódz zbrojny w książęcych gronostajach i ostatnią urnę postawił na ziemi. — Młodzieniec ujrzał imię matki zabitej na jej wypukłości... słyszał... zapytanie pana: »Czy zaprawdę umarli i nie powstaną?« — i odpowiedź posłów wszystkich: »Zaprawdę nie powstaną nigdy« a wtedy przystąpili dworzanie i po obu stronach sali na słupach z czarnego granitu rozstawiwszy urny, płomień do ich wierzchów przytknęli. — Zapaliły się prochy sinym ogniem, blade dymy powiły się w powietrze i poniosły panu woń śmierci! — Przez wszystkie zamku komnaty jeden stół się podniósł i stanął wśród urn płoną-

cych... Pan, schodząc z tronu sam skinął na młodzieńca i miejsce mu wskazał...

»Prosto młodzieńcowi w oczy stał słup dźwigający matki popioły. — Ile razy nań spojrzał, puhar upuszczał na ziemię; lecz mu go nazad podawała narzeczona... Jednak wszystko, co go otaczało, grubą zasłoną ćmiło mu poznanie... Pan życia i śmierci, nachylając się ku niemu, uśmiechnął się łaskawie: »Gościu biesiady mojej«, rzekł, »czas, byś mi przysiągł na służbę i wyrzekł się starożytnego imienia« i rzucił mu przez stół garść dyamentowych krzyżów, dodając: »noś to na pamiątkę moją«. — Herold stanął przy młodzieńcu i rotę wyrzeknięcia się czytał z księgi czarnej, ... ten powtarzał słowo po słowie... głowa jego opadała... bielmem zachodziły oczy... Lecz zaledwo skończył, wstał Pan życia i śmierci: »Sługo sług moich, zawołał, śmierć od powrozu kata cię czeka, jeśli kiedy złamiesz przysięgę...« potem rozśmiał się gardłem całem. Podniósł się nieszczęśliwy, a za pierwszem spojrzeniem, spotkał urnę matki — lecz miasto jej nagrobku inne tam już słowo stało: »Hańba« wyczytał młodzieniec. — »Hańba«, krzyknął... »Hańba«, odrzekły mu tysiące z tyłu, z przodu, z boków. — »Hańba«, powtórzyły zamku sklepienia od sali tronowej po skarbca kopalnie...«

To wszystko było tylko widzeniem i utwór kończy się znowu natchnioną inwokacyą do matki »po sześćkroć zabitej.«

Poemat cały jest, jak się już rzekło, wyrazem zgrozy, jaka przejmuje polskiego Hamleta na widok dworu Klaudyusza.

Ale dalibyśmy tylko jednostronne wyobrażenie o odrębnych właściwościach i różnostronności pol-

skich wieszczów, gdybyśmy poprzestali na wskazaniu w ich dziełach żywiołu tylko hamletyckiego. W tragedyi Szekspira przeciwieństwem Hamleta jest Fortinbras, przedstawiający pierwiastek młodzieńczy, świeżą siłę i chęć życia; on dziedziczy tron i życie, gdy wszystko dokoła jest wyczerpane i zatrute. Coś z tej postaci Fortinbrasa znajdujemy u wielu poetów polskich owej epoki, ale najistotniejsze rysy tego typu posiada jeden tylko Mickiewicz.

On tylko ma w sobie zuchwałą i wrzącą siłę młodzieńczą. On jeden ma ów świeży, niezwalczony zapał, który z taką mocą tryska z nieśmiertelnego Farysa i Ody do młodości. Tak, to młodość, która wierzy, iż można »ruszyć z posad bryłę świata« i próbuje tego dokonać. To młodość, bo, jak Farys i biblijny Jehu, »konie swoje prowadzi, jak szalony«, a do lasów i gór, sępów i huraganów woła: »Z drogi, z drogi!« To młodość, bo oddycha tak szeroko, tak pełno, tak swobodnie, że »całe powietrze w Arabistanie ledwie jej na oddech stanie«. Takiej pierwotnej, burzliwej siły, takiej zuchwałej wiary nie ma ani Krasiński, ani Słowacki. Z tej to potęgi płynie wzniosłe i natężone uczucie w III-ciej części Dziadów i ta męska równowaga ducha, którą znajdujemy w arcydziele polskiej literatury, w Panu Tadeuszu.

Takiego zdrowia duchowego niepodobna znaleźć u żadnego innego poety polskiego. Jeden tylko Mickiewicz potrafił zbliżyć się do owych wielkich duchów, które historya sławi ponad inne, przedewszystkiem jako duchy zdrowe, o wiele zdrowsze od Byrona, zdrowsze nawet od Szekspira, a mianowicie do Homera i Goethego.

Nie zdrowiem ducha, ale wzniosłą dumą oraz szlachetnością umysłu i poglądów wznosi się Krasiński ponad swój wiek i sięga w przyszłość. Dzieła jego nie mają rumieńca zdrowia, ale czystość rzeczy bez ciała i barwy. Jest jakaś uparta niepodległość w jego samotnem położeniu, jest wzrok proroczy w przeczuciu niebezpieczeństwa, grożącego narodowi polskiemu, jeśli się lud podburzy przeciw szlachcie. Z proroctw tych szydził wyniośle i urągliwie Słowacki, a przecież pozornie usprawiedliwił je w zupełności rok 1846-ty, kiedy to komisarz rządu metternichowskiego Breindl płacił chłopom galicyjskim za żywego szlachcica pięć, a za zabitego dziesięć złotych. Jest wreszcie w »Nieboskiej komedyi« głębia geniuszu, która zadziwia, gdy się pomyśli, że to pisał młodzieniec 21-letni.

Ani zdrowiem, ani samodzielnością nie potrafi oprzeć się prądowi czasu produkcya literacka Słowackiego. Pod względem religijnym był on liberalniejszy, a pod względem politycznym śmielszy, niż jego wielcy współzawodnicy, ale duch przeczenia grał w tem równie wielką rolę, jak przekonanie. Żaden z poetów nie jest świetniejszy od Słowackiego. Posiadał on prawdziwie polskie zamiłowanie jaskrawego przepychu, on, dla którego Bóg jest »piórem z ognia dumnych szyszaków«. Obok tego zamiłowania okazałości, miał Słowacki jeszcze ogólno-słowiański dar naśladownictwa. Przy czytaniu jego dzieł prawie zawsze zadowolenie estetyczne mąci wspomnienie tego zupełnie określonego wzoru, który poeta w danym utworze naśladował.

Jego sposób przyswajania Szekspira nie był niezależny. Balladyna — to mieszanina »Snu nocy letniej«, »Króla Leara« i »Makbeta«. Są tu czaru-

jące ustępy, głęboko pomyślane sceny, ale pojedyncze pierwiastki nie są sharmonizowane, a całość, pomimo śmiałości niektórych rzutów, czyni przykre wrażenie. Dramat »Beatryx Cenci« Słowacki zupełnie zepsuł, zastępując psychologię duszy człowieczej nieskończonym romantycznym tańcem czarownic, który jest tylko rozwałkowaniem motywu, użytego ręką mistrza przez autora Makbeta. Dramat ten stoi nierównie niżej od cudownego utworu, w którym Shelley opracował ten sam temat i którego Słowacki widocznie nie znał, bo inaczej — byłby go naśladował. Jego Marya Stuart jest samodzielniejsza i bardziej oryginalna. Przedstawia ona prawie akt za aktem, tę samą dobę życia królowej szkockiej, którą znacznie później opracował Björnstjerne-Björnson, ale postać, stworzona przez Słowackiego, jest jako charakter bardziej interesująca i wybitniejsza od bohaterki poety norweskiego, a sposób jej traktowania w ogólności ma więcej lirvzmu.

Słowacki był może zbyt przejęty myślą o samym sobie, aby się zagłębiać należycie w charaktery ludzkie, przed ich odmalowaniem. Bardziej, niż życie ludzkie, studyował on Byrona i Szekspira, Mickiewicza i Krasińskiego, a na ostatku Calderona. I dlatego charaktery są u niego nawpół prawdziwe, nawpół wymarzone. Postacie fragmentarycznie prawdziwe są też tylko fragmentarycznie szkicowane, a na wadliwy rysunek zwykł był poeta rzucać później tęczową świetność swego języka. Styl jego zawsze jest śmiały i wymowny, ale nigdy prawie dostatecznie zwarty. Siłę i słabość tego stylu stanowi jego nadmierna barwność, zbyt wielkie i nużące nawet bogactwo kolorów.

Rozmachem skrzydeł i siłą lotu orzeł góruje nad

wszystkimi ptakami. Niedarmo jest on ich królem. Pod względem nieskalanej białości i szlachetnej godności ruchów żaden ptak nie może iść w zawody z łabędziem. Nienapróżno jest on symbolem szlachetnej czystości. Paw nie może ani bujać, jak orzeł, ani jak łabędź pływać, lecz bogactwem i świetnością piór wyróżnia się wśród wszystkich innych ptaków.

Pomiędzy skrzydlatymi duchami Polski Mickiewicz jest orłem, Krasiński łabędziem a Słowacki pawiem.

VIII.

Wśród wszystkich utworów tych poetów jeden poemat od razu jednomyślnie uznany został przez znawców za największe arcydzieło poezyi polskiej. Jest to jedyne dzieło, w którem jeden z trzech wielkich wieszczów usiłował dać różnostronny obraz narodowy ruchliwej epoki, której sam był świadkiem; — jedyne, w którem znajdujemy szeroki i bogaty opis przyrody polskiej; — jedyne, w którem poeta opisu zwyczajnych ludzi w ich życiu codziennem nie uważał za rzecz dla siebie zbyt błahą; — jedyne wreszcie w swym zasadniczym tonie, nastrojone nie na nutę lirycznej albo tragicznej egzaltacyi, ale tego spokojnego humoru, z którego tak łatwo przejść do satyry, czułości, smutku i natchnienia.

Liczba poematów epickich trwałej wartości jest, jak wiadomo, bardzo szczupła. Ale niektóre z utworów tego rodzaju zdobyły sobie w literaturze powszechnej stanowisko tak wysokie, że stały się jakby drogowskazami, bibliami, stały się tworami literatury prawdziwie ludowej, w których pewien naród albo cały szczep znajduje swój obraz, całe swoje życie, przedstawione wiernie i w formie nieśmiertelnej. Do utworów tego rodzaju zaliczamy: patryarchalne księgi Starego Testamentu, epopeje Homera,

Firdusiego, Romayanę, pieśń Nibelungów. Wszystkie one pochodzą z czasów bardzo odległych. A dzieje się tak dlatego, że w właściwym eposie zazwyczaj dany lud po raz pierwszy daje naiwny wyraz swej narodowej świadomości. Epos powstaje wtedy, gdy naród ma już tyle samopoznania, iż doznaje estetycznego zadowolenia na widok barwnego odbicia swej własnej istoty w dziełach sztuki, ale nie osiągnął jeszcze tego stadyum cywilizacyjnego rozwoju, w którem jego religijne wierzenia zastygły w dogmat, a formy społeczne skrystalizowały się w państwie policyjno-prawnem. O stanie bowiem epicznym, t. j. bohaterskim w szerszem znaczeniu tego terminu, mówić można tylko wówczas, gdy władza w społeczeństwie jeszcze się nie stała czemś od członków tego społeczeństwa odrębnem i nie pozbawiła ich zdolności do samodzielnego czynu, jak to sprawia np. na wojnie dyscyplina lub komenda, albo w czasie pokoju władza królów, urzędników i inne jeszcze cięższe formy społeczne.

U Homera wszyscy pojedynczy wodze to samodzielni Hellenowie; choć Agamemnon jest królem królów, inni królowie przecież berłu jego nie podlegają. Podobne stosunki spotykamy i w epopejach znacznie późniejszych, w hiszpańskim »Cydzie« i u Włochów: Ariosta i Tassa, choć tu już mniej jest naiwności, a zwłaszcza u Tassa reminiscencye z Wirgiliusza często przytłumiają oryginalność autora. Na nazwę poematu narodowego, prawdziwie popularnego, zasługuje Jerozolima Tassa o tyle tylko, o ile naród podobał sobie w dźwięcznych wierszach i oryginalnych przygodach jej bohaterów. Ale swego własnego życia nie znajdował on tu bynajmniej.

Najgorzej wypadały próby stworzenia epopei narodowej w epoce, gdy Wolter w XVIII-tem stuleciu napisał swą Henryadę. Od tej chwili stało się dla ludzi myślących rzeczą jasną, iż dla stworzenia epopei narodowej potrzebne są zupełnie osobliwe warunki i to takie, o jakich w tym wieku rozumu marzyć było prawie nie podobna. Wszakżeż przedewszystkiem trudno przypuścić, abyśmy znaleźli wówczas u poety niezbędną naiwność w opisie epoki, którą on znał i przedstawić był w stanie. Brakło również owym stosunkom tej koniecznej dla eposu pierwotnej anarchii, to znaczy obu warunków, które dotychczas wielkie epopeje czyniły popularnemi wśród szerokich mas ludowych.

Gdy w wieku naszym naiwność powróciła znowu do swych praw i godności, gdy, dalej, poeci po części istotnie odzyskali utraconą wiarę dziecięcą, po części zaś rozmyślnie przybierali ton naiwny, starano się zadośćuczynić i drugiemu potrzebnemu dla eposu warunkowi w ten sposób, iż temata dla prób epicznych brano z odległej starożytności.

Leży to w naturze epopei, iż daje ona szeroki obraz kultury pewnego narodu, malując dokładnie cały tryb jego życia, jego potrawy i napoje, ubiory i mieszkania, zwyczaje i obyczaje. Wszystko to jeszcze żyje u Homera. U niego mężczyzna i kobieta odnajdują cząstkę własnej istoty w swem otoczeniu. Odyseusz ma łóżko własnej roboty, kobiety same tkają materye na swe suknie, córa królewska własnoręcznie pierze, mężczyźni sami rozbijają namioty i budują domy. Nic z tego, co ludzie ci posiadają, nie jest dziełem rąk obcych, nic nie jest, jak w naszych czasach sprzęty domowe lub tkaniny, wyrobem fabrycznym i maszynowym. I broń swą,

a każda posiada jakąś osobliwą własność, bohaterowie Homera zdobyli i wywalczyli sami.

Poeci północy, przejęci zgrozą wobec tego wieku wtłoczonego w karby organizacyi i dyscypliny, wieku fabryk i maszyn, rzucili się do tematów z zamierzchłej przeszłości i stworzyli powieści poetyckie w rodzaju »Hrolfa Krake« albo »Frithiofa«, dzieła posiadające pewną względną wartość, ale niebudzące żadnego głębszego kulturalnego interesu, gdyż w ich obrazach epoki odległej niemasz wierności ani nawet podobieństwa. Dwom tylko nowoczesnym poetom udało się stworzyć dzieła o zakroju epopei. Jeden z nich to Byron, którego Don Juan ma charakter wszechświatowy, chociaż z istoty swej jest ciętą, pełną gorącej zmysłowości i palącej goryczy satyrą. Jeszcze przed Byronem Goethe w swym Hermanie i Dorocie, w odwiecznej formie powieści poetyckiej odtworzył najprostsze i najlepsze rysy istotne narodu niemieckiego. Typy są tu przejrzyste, po mieszczańsku wspaniałe. Herman i Dorothea stają przed oczyma czytelnika jak niemiecki Adam i Ewa. Ale epicki podkład poematu jest ubogi: stanowi go życie rodzinne w małej mieścinie niemieckiej. Więc występują na scenę: pastor i aptekarz; właściciel zajazdu i jego żona; stosunek rodziców do dorosłego już syna. A poza sceną zdarzeń głównych: rewolucya francuska; emigranci z lewego brzegu Renu, a wraz z nimi dziewczę bez rodziców i ojczyzny, które Herman do domu swego ojca prowadzi. Jest tu zatem zaznaczony kontrast między życiem tułaczem a małomiasteczkową gospodarnością, między dziejowymi przewrotami a spokojnem bytowaniem filistrów. Całość jest nietyle epopeją, ile sielanką z życia familijnego na tle epickiem.

Jedyną udatną epopeję naszego wieku ma Polska w Panu Tadeuszu. Szczęśliwa gwiazda powstrzymała tym razem Mickiewicza od szukania tematu dla tego epickiego utworu w zamierzchłej przeszłości. Autor »Pana Tadeusza« potrafił odnaleźć pierwiastek heroiczny w epoce, w której sam żył.

W pięknym swym i wymownym utworze p. t. Aurora Leigh Elżbieta Browning w dosadny i obrazowy sposób scharakteryzowała tę umiejętność dostrzegania rysów heroicznych w otaczającem nas życiu: Każda epoka wydaje się ludziom, którzy w niej żyją, pozbawioną pierwiastku bohaterskiego, zbyt bowiem blizko mają oni ją przed oczyma. Gdyby z góry Athos wykuto, stosownie do życzenia Aleksandra, jeden olbrzymi posąg mężczyzny, chłop zbierający zioła w jego uszach tak samo nie domyślałby się pięknych ludzkich kształtów tej góry, jak koza, przeżuwająca swój pokarm u stóp posągu. Musiałby on oddalić się na kilka mil, a dopiero wtenczas oko jego poznałoby w olbrzymich kształtach postać ludzką. Tak samo człowiek zwyczajny i zwyczajny poeta nie widzi konturów tej epoki, w której żyje.

To też Mickiewicz jest wielkim epikiem już dlatego, że tak doskonale potrafił oddać w swym poemacie całą oryginalność zwyczajów swojego kraju rodzinnego i całą wielkość i poezyę epoki roku 1812-go. Poeta odważył się tu oprzeć całe epos na własnych spostrzeżeniach.

Godną uwagi jest zewnętrzna geneza Pana Tadeusza. Powstał on w chwili dla narodu bardzo nieszczęśliwej, gdy rewolucya r. 1831-go, w której Mickiewicz nie brał udziału, ostatecznie stłu-

mioną została. Po śmierci Garczyńskiego w r. 1833 Mickiewicz pisał do Domeyki: »Jestem podobny teraz do Francuza, wracającego z wyprawy 1812-go roku — zdemoralizowany, słaby, obdartus zupełny, bez butów prawie«. Skwaszony, ponury, przybity i niedbający o swą powierzchowność poeta unikał ludzi i w tym rozpaczliwym nastroju szukał ucieczki i pocieszenia, przebywając myślą w krainie lat dziecinnych, na Litwie, gdzie ujrzał światło dzienne, którą w młodzieńczym wieku opuścił, aby jej, jako wygnaniec, nie ujrzeć już nigdy. I pod wpływem tych wspomnień cud jakiś dokonał się w duszy Adama: on, który jako poeta dotychczas zawsze wygłaszał własne swe przekonania, wprost albo w osobach swych bohaterów, który zuchwale się rzucał i podbudzał, który protestował i buntował, raptem stał się epikiem pełnym skończonego spokoju i potężnego rozmachu.

Dwojakie było źródło tej rzadkiej i drogocennej epickiej naiwności, której, prócz Adama, nie posiadał żaden z poetów ani w Polsce ani gdzie indziej. Płynęła ona, po pierwsze, z osobliwego stosunku poety do obranego przezeń tematu i, powtóre, z szczególnych własności tego ostatniego.

Innym poetom zbywało na naiwności. Ale Mickiewicz patrzył na swój kraj rodzinny tylko oczyma dziecka i nigdy już nie miał go ujrzeć jako mąż dojrzały i dlatego nic w pamięci jego nie mogło zatrzeć ani wyrugować owych obrazów z lat dzieciństwa. I w nagrodę za wygnanie z ziemi ojców otrzymał Mickiewicz, ten, jak się zdawało, prawie utracony przez poetów dar twórczości epickiej, owo naiwne uczucie łączności z krajem, z obyczajami

i stosunkami, w tej ich postaci, jaką one miały w epoce jego młodości.

Ale okazało się jeszcze, że i sam przedmiot, obrany przez poetę, miał właśnie wszystkie właściwości starodawnych epickich tematów. Stosunki i życie na Litwie około r. 1812-go mają charakter cywilizowany, choć jest to cywilizacya *sui generis* i całkiem odmienna od jednostajnej cywilizacyi reszty świata europejskiego.

W tej epopei szlacheckiej wszystko pozostało tak nietknięte przez zachodnio-europejską kulturę, jak te odwieczne bory litewskie, wśród których odbywa się akcya, niezakłócone w swym spokoju przez uczonego leśnika. Wszystko jest w Panu Tadeuszu oryginalne, poczynając od osobliwych potraw miejscowych z szczególnemi nazwami aż do jaskrawego stroju: żupana, kontusza i konfederatki. Jest tu prawdziwe bogactwo osobliwych obyczajów; nawet na grzybobranie przywdziewa się specyalny ubiór. A każda broń, każda maczuga, każda szabla i strzelba ma swą historyę, której musimy wysłuchać. Roi się w tej powieści od oryginałów; co druga niemal osoba to dziwak z litewskiej puszczy. Niemasz tu ani komendy ani dyscypliny. Stosunek państwa do służby jest jeszcze, jak w wiekach średnich, czysto patryarchalny, u sługi nierzadko spotkasz prawdziwe dla swych państwa poświęcenie.

Nakoniec, stosunki między szlachcicami w tej szlacheckiej epopei przypominają wzajemne stosunki książąt u Homera. Pomimo pozornej władzy monarchy, panuje tu zupełnie pierwotna niezależność, jakiej już nie spotykamy nigdzie w Europie. Każdy dochodzi swego prawa sam, zbrojną ręką; nikt nie uznaje nad sobą żadnej władzy, każdy prowadzi na

własną rękę i na małą skalę wojny i stacza bitwy, a w tych utarczkach niszczy się kraj cały, aż nareszcie przybycie Rosyan godzi nieprzyjaciół, a wkroczenie Napoleona do Polski rozpłomienia w sercach zapał dla sprawy ojczystej. Ale ta właśnie anarchia szlachecka, która w rzeczywistości okazała się tak zgubną dla Polski, dała, jakby w nagrodę, tak wspaniały temat dla epopei, że Polska nieporównane swe epos zawdzięcza tym samym stosunkom, które ją, jako państwo, zgubiły. A malując z miłością i humorem całą tę rzeszę Don-Kiszotów, równocześnie rzucał Mickiewicz spojrzenia w tył i naprzód, opromieniając blaskiem pełną chwały przeszłość swego narodu i późniejsze jego lata rozstroju.

Akcya odbywa się w ciągu lata 1811 r. aż do wiosny r. 1812-go. Obierając tę epokę, Mickiewicz, zawsze wiarą i nadzieją przejęty, trafił bardzo szczęśliwie, gdyż mógł zakończyć swój poemat, to epos złamanego narodu, chwilą pełną uniesienia i szczytnych nadziei. Z takiem właśnie uczuciem, dzieląc nastrój całego narodu, patrzył Mickiewicz w latach chłopięcych, jak bataliony francuskie wchodziły do Nowogródka.

W podróży po Krymie towarzyszył Mickiewiczowi nieco od niego starszy Henryk Rzewuski, potomek jednej z magnackich rodzin polskich, człowiek utalentowany, doskonały narrator, choć wychowany w kołach arystokratycznych i reakcyjnych, na teoryach Bonalda i de Maistre'a. W r. 1812 Rzewuski osobiście poznał się w Petersburgu z de Maistre'm i, z początku w stosunkach prywatnych, a następnie i w literackich swych utworach stał się żarliwym obrońcą poglądów tego najwybitniejszego w owej epoce szermierza autorytetu.

Rzewuski pełen był wspomnień z życia szlachty polskiej w wieku ośmnastym. Posiadał on talent literacki, którego sam nie był świadom i dopiero w Rzymie, gdzie przepędził dwie zimy razem z Mickiewiczem, znakomity gawędziarz wziął się do pióra, naglony przez poetę, który w nim odgadł talent literacki. Rzewuski napisał kilka poezyi, które Adam uznał za liche, ale nie zmienił swego sądu o talencie Rzewuskiego, radząc mu tylko gorąco, aby pisał prozą. Rzewuski rady usłuchał i nie pożałował tego, a jego proza szczególnym zbiegiem okoliczności nie pozostała później bez wpływu na samego Mickiewicza.

Pierwszą pracą Rzewuskiego był tom pamiętników z zeszłego stulecia, napisanych owoczesnym stylem. Opowiadający był osobą zmyśloną — nosił imię Seweryna Soplicy, sługi i zwolennika ks. Karola Radziwiłła. W pamiętnikach tych znajdujemy luźne opowiadania, bez organicznego zaokrąglenia i związku, ale dają one znakomity w kolorycie obraz owych czasów, w rysach silnych i pełnych wybornej charakterystyki postaci, wśród których główne zajmuje miejsce tyle w swoim czasie popularny na Litwie Radziwiłł Panie kochanku. Akcya toczy się około r. 1770. Książkę, wydaną w r. 1839, przyjęto z nieopisanym zachwytem; czytano ją niby prawdziwe pamiętniki z XVIII. stulecia.

Pamiątki p. Seweryna Soplicy były jednak wykończone już w r. 1832 i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Rzewuski to pobudził Mickiewicza do obrania sobie tematu ze stosunków polskich na przełomie dwu stuleci. Już to samo, że bohater Mickiewicza nosi nazwisko Soplicy, wskazuje na możliwość takiego wpływu. W końcu r. 1832

zaczął Mickiewicz pracę nad »Panem Tadeuszem«, o którym w liście z grudnia tegoż roku pisze, że jest to »poema szlacheckie w rodzaju Hermana i Doroty (Goethego); już ukropiłem — dodaje — tysiąc wierszy... pisząc, zda się, że w Litwie siedzę...« W lutym 1834 r. poemat był skończony. Sam autor nie cenił go zbyt wysoko, nazywając »fraszką«, w przeciwieństwie do »Dziadów«, których dalsze części zamierzał pisać, pragnąc z nich uczynić jedyne swoje dzieło »warte czytania, jeśli Bóg dozwoli skończyć«. Rzecz godna uwagi, iż głos ogólny prędko rzecz tę ocenił sprawiedliwiej, aniżeli sam poeta. Mickiewicz bowiem wcale nie zdawał sobie sprawy z tego, jaki to traf szczęśliwy sprzyjał mu przy tworzeniu Pana Tadeusza, podsuwając temat dotychczas nietknięty, naturę pierwotną, której całą poezyę żywa imaginacya wieszcza umiała tak wiernie odtworzyć i, nakoniec, osobliwą, uorganizowaną tylko prawem zwyczajowem, anarchię i nieokiełznaną swobodę jednostki, stanowiącą tak wybitny kontrast z uregulowaną przez policyę jednostajnością państw europejskich.

Mickiewicz nie był, jak Rzewuski, tylko utalentowanym gawędziarzem, opowiadającym prozą stare dzieje w bezpretensyonalny, fragmentaryczny sposób; on swoje obserwacye i wspomnienia, swoje marzenia i nadzieje ubrał w formy porywająco melodyjne, a tak doskonałe, że poematowi jego nie podobna ująć jednej sylaby, nie wyrządzając mu tem dotkliwej i widocznej szkody całości. Mickiewicz na długie wieki uzbroił główne dzieło swoje w taką siłę odporną, że przejdzie ono do późnych pokoleń jako najcenniejszy klejnot narodowej spuścizny, jako wielki brylant, obdarzony przez oszlifowanie warto-

ścią niepomierną, której ząb czasu uszkodzić nie potrafi.

Charakterystycznym wielce jest fakt, że spółcześni głównie cenili w Panu Tadeuszu obrazy z przeszłości. Stawiano go na równi z Pamiątkami Soplicy Rzewuskiego i tym sposobem staroszlachecki żywioł, który dotąd pozostawał na drugim planie, stał się teraz wszechwładnym w romantyzmie polskim. Pan Tadeusz wywołał cały szereg powieści i eposów, osnutych na tle szlacheckiego życia, tak, że nawet Słowacki — w Grobie Agamemnona — ostrzegał swych ziomków przed tą »Dejaniry palącą koszulą«, przed złotym pasem i szlacheckim czerwonym kontuszem.

Dziś pojąć prawie niepodobna, jak można było w r. 1840 przypisywać wrażenie wywołane tym nieporównanym poematem, owym starym cechom zaczerpniętym z przeszłości i przypominającym Walter Scotta. Teraz trzebaby być ślepym, aby nie widzieć, iż z trójcy wielkich poetów jeden tylko Mickiewicz stworzył dzieło popularne i nieśmiertelne przedewszystkiem dlatego, że w tym jedynym wypadku spróbował dać obraz rzeczywistości, zupełnie wolny od spirytyzmu i fantastyczności, historyczny obraz świata, nie przesłoniętego do połowy mgłą przeszłości a takiego, na który, zanim zniknął, wieszcz sam spoglądał jasnemi i rozumnemi oczyma dziecka.

Poemat Pan Tadeusz ma jeszcze drugi tytuł, mianowicie: Ostatni Zajazd na Litwie. Zajazdem nazywano zwyczajną w dawnej Rzeczypospolitej samowolną, pomimo sądu, przez prywatne osoby spełnianą egzekucyę wyroku. Kto miał wyrok w kieszeni, ten sam na czele gromady swych adherentów i zbrojno prawo swe wykonywał i obejmo-

wał w posiadanie swą własność. Tak dzieje się i w poemacie. Między dwiema rodzinami szlacheckiemi: Sopliców i Horeszków zdawna toczył się spór o stary zamek. W Soplicowie gości właśnie podkomorzy, który ma sprawę graniczną rozstrzygnąć. Na zebraniach i ucztach poznajemy tu działające osoby: bohatera Tadeusza, tegoż stryja sędziego; jego przeciwnika w procesie, trochę dziwaka, z włoska romantycznego hrabiego; piękną i miłą, acz nie pierwszej młodości, kokietkę stołeczną Telimenę; wychowaną w domu sędziego, ale z rodziny Horeszków, młodą naiwną Zosię, w której jest nieco rysów Maryli, i, nakoniec, całą gromadę doskonale narysowanych innych gości. Towarzystwo męskie udaje się na polowanie na niedźwiedzia, co z matecznika przemyka się do zaniemeńskiej puszczy, opisanej z kunsztem nieporównanym. Na polowaniu, w chwili dla myśliwych niebezpiecznej, kładzie niedźwiedzia trupem Robak, ów Bernardyn-mistyk, który we wszystkich ważniejszych wypadkach przychodzi z pomocą i ratunkiem. Przy podziale łupów myśliwskich, gdy podkomorzy Hrabiemu skórę niedźwiedzią przysądził, w ostatnim budzi się dawna uraza jego rodu do Sopliców i za namową Gerwazego postanawia procesów zaniechać, a na zamek zrobić »zajazd«. Plan ten zostaje wykonany i uwieńczony powodzeniem, a głodna i spragniona szlachta kończy dzień za stołem biesiadnym, przyczem uczestnicy biesiady tak się upili, iż niewiadomo przez kogo sprowadzeni żołnierze rosyjscy z największą łatwością śpiących, jak baranów powiązali. Ale wobec Rosyan cała szlachta zapomina dawnych uraz i łączy się w jeden obóz. Na czele Polaków staje Robak, za jego namową stronnicy Sopliców uwalniają z więzów re-

sztę szlachty i napadają razem na Rosyan. Przychodzi do bitwy, w której Robak jest śmiertelnie raniony, ale Polacy zwyciężają. Przywódzcy ich muszą jednak przed rządem rosyjskim ratować się ucieczką. Udają się więc za Niemen, do wojsk napoleońskich, aby niedługo potem powrócić wraz z legionami polskimi pod wodzą Dąbrowskiego. Pod sztandarem polskim służą teraz razem dawniejsi przeciwnicy. Małżeństwo Tadeusza Soplicy z Zosią Horeszkówną jest symbolem zgody między poważnionemi rodzinami. Podczas uczty zaręczynowej Jankiel wygrywa na cymbałach porozbiorowe dzieje Polski do r. 1812-go, a nad zakończeniem poematu wschodzi jutrzenka świetlanych nadziei.

Bohater utworu, Tadeusz, to miły i dzielny chłopiec, nie bardziej wszakże interesujący od młodych bohaterów Walter Scotta. Odgrywa on rolę tylko zewnętrznego węzła, łączącego cały utwór w jedną całość. Autor zupełnie wiernie maluje tę naturę młodzieńczą, bez obłudy i upiększenia. Niemasz jednak w Tadeuszu nic takiego, coby ku niemu pociągało czytelnika. Prawdziwym bohaterem poematu nie jest on, lecz ojciec jego Jacek, ukrywający się teraz pod habitem i kapturem mnicha, księdza Robaka.

Jacek zabił niegdyś dziadka Zosi, stolnika Horeszkę, w chwili, gdy ten bronił się w zamku od Rosyan. Dumny bowiem pan swego czasu odmówił ręki córki Jackowi, tak samo, jak hr. Ankwicz, którego tu autor miał na myśli, niegdyś postąpił względem Mickiewicza. Jacek nigdy już nie ujrzał ukochanej Ewy (nawet imię hr. Ankwiczówny zachował tu poeta); ojciec wydaje ją za jakiegoś wojewodę, a z małżeństwa tego rodzi się Zosia. Jacek też

żeni się później z inną, bez miłości, ma syna Tadeusza, następnie jako Bernardyn pokutuje za zabójstwo Horeszki, chowa jego wnuczkę i czuwa nad nią w nadziei wydania jej potem za swego syna. Po zabójstwie Horeszki Jacek uchodzi w oczach rodaków za moskiewskiego stronnika i sługę; teraz zaś, jako Bernardyn jest jednym z tych emisaryuszów rządu francuskiego, którym poruczono wywołać w Polsce powstanie. Już po śmierci Jacka następuje jego rehabilitacya, przyczem podkomorzy wiesza na grobie Robaka nadane mu przez Napoleona znaki kawalerskie legii honorowej. W tej głównej osobie poematu, w Jacku, można zauważyć, jak Pan Tadeusz wyrasta z dawniejszych utworów poety. Ten zabójca powodowany obrażoną dumą, ten później pokutujący mnich, który ofiarą całego życia okupuje chwilowy wybryk swej dzikiej i nieokiełznanej natury, przypomina dawniejszych bajronowskich bohaterów i co do swej istoty jest blizko spokrewniony ze wszystkimi romantycznymi i namiętnymi bohaterami Mickiewicza. Odbija się w nim w pewnej mierze, jak w Gustawie i Konradzie, cząstka duszy samego poety i jego przejścia życiowe. Ale z tego liryczno-romantycznego zarodka wystrzeliło tu całe bogate epos, jak wyrasta z małego żołędzia dąb potężny. Losy pojedynczego człowieka zupełnie rozpłynęły się w losach całego narodu, którego wszystkie cnoty i wady mamy tu jak na dłoni. Poznajemy więc jego żyłkę pieniaczą, rozterki partyjne, skłonność do walk domowych, ale widzimy też i jego temperament zapalny, który, gdy tylko wiatr przyjazny z Europy powieje, łączy wszystkich w jeden obóz i prowadzi w bój za ideały narodowe. Zniknęła tu owa ślepa nienawiść dawniej-

szych utworów. Płut, Polak rodem, jest jako renegat napiętnowany należycie i zostaje bez pardonu uprzątnięty z drogi. Natomiast Rykow, rodowity Rosyanin, to człek mężny i szlachetny, dobry do wypitki — jak i sami Polacy — niesprzedajny i dobroduszny.

Lecz charakterystyka pojedynczych postaci nie jest tu wcale celem głównym. Istotę utworu stanowią szerokie obrazy natury, a w ich ramach i wizerunki życia ludzi.

Jest w Panu Tadeuszu opis tryumfalnego hallali, które zagrał Wojski w chwili, kiedy ugodzony przez Robaka niedźwiedź runął głową na dół... chciał jeszcze powstać, gdy nań wsiadły rozjuszona Strapczyna i Sprawnik zajadły.

Natenczas Wojski chwycił na taśmie przypięty
Swój róg bawoli, długi, centkowany, kręty,
Jak wąż boa; oburącz do ust go przycisnął,
Wzdął policzki jak banię; w oczach krwią zabłysnął,
Zasunął wpół powieki, wciągnął w głąb pół brzucha,
I do płuc wysłał z niego cały zapas ducha,
I zagrał. Róg jak wicher niewstrzymanym dechem
Niesie w puszczę muzykę i podwaja echem.
Umilkli strzelcy, stali szczwacze, zadziwieni
Mocą, czystością, dziwną harmonią pieni.
Starzec cały kunszt, którym niegdyś w lasach słynął,
Jeszcze raz przed uszami myśliwców rozwinął;
Napełnił wnet, ożywił knieje i dąbrowy,
Jakby psiarnię w nią wpuścił i rozpoczął łowy.
Bo w graniu była łowów historya krótka:
Zrazu odzew dźwięczący, rzeźki: to pobudka:
Potem jęki po jękach skomlą: to psów granie:
A gdzieniegdzie ton twardszy jak grzmot: to strzelanie.

Tu przerwał, lecz róg trzymał: wszystkim się zdawało,
Że Wojski wciąż gra jeszcze: a to echo grało.

Zadął znowu. Myślałbyś, że róg kształty zmieniał,
I że w ustach Wojskiego to grubiał, to cieniał,
Udając głosy zwierząt: to raz w wilczą szyję
Przeciągając się, długo, przeraźliwie wyje:

Znowu, jakby w niedźwiedzie rozwarłszy się gardło,
Ryknął, potem beczenie żubra wiatr rozdarło.

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało,
Że Wojski wciąż gra jeszcze: a to echo grało.
Wysłuchawszy rogowej arcydzieło sztuki,
Powtarzały je dęby dębom, bukom buki.

Dmie znowu: jakby w rogu były setne rogi,
Słychać zmieszane wrzaski szczwania, gniewu, trwogi,
Strzelców, psiarni i zwierząt; aż Wojski do góry
Podniósł róg i tryumfu hymn uderzył w chmury.

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało,
Że Wojski wciąż gra jeszcze; a to echo grało.
Ile drzew, tyle rogów znalazło się w boru,
Jedne drugim pieśń niosą jak z chóru do chóru.
I szła muzyka coraz szersza, coraz dalsza,
Coraz cichsza i coraz czystsza, doskonalsza,
Aż znikła gdzieś daleko, gdzieś na niebios progu!...

Opis gry Wojskiego daje nam dobre pojęcie o artyzmie samego Mickiewicza. Oto dość było poecie tułaczowi przenieść się myślą w lata dzieciństwa, spojrzeć znowu okiem dziecka na owoczesne zdarzenia narodowe i życie najbliższego otoczenia, na tę krainę drogą, z jej spokojną i naiwną, ale zarazem jaskrawą kulturą, bez przemysłu, a z pełnem oryginalności rzemiosłem, bez państwa policyjnego, a z uświęconą tradycyą anarchią, i już w pieśni jego przemówiły puszcze litewskie, już ukazał nam wesołe i dzikie w jej kniejach łowy, już ucho nasze słyszy głosy zwierząt, świergot ptactwa, ryk niedźwiedzia, beczenie żubra i cały chór głosów ludzkich. Zrazu cicha, jak szelest liści, idzie ta pieśń jego pomiędzy buki i dęby, coraz potężniejsza, aż wkońcu zda się, że w rogu jego grają setne rogi, że brzmią w nim głosy wszystkich dawno już zmarłych pokoleń narodu.

I rozlewają się one w poemacie falą coraz to szerszą, coraz to dźwięczniej płyną, jak najgłębsza tęsknica kraju. Słyszymy ją w obrazach miłości i cierpień, nadziei i gniewu, dzikości i szaleństwa, żartu i natchnienia i, nareszcie, zda się, że tą pieśnią i muzyką tą brzmi całe niebo polskie. A gdy się zważy, jak silnie dziś jeszcze działa ten poemat na umysły polskie, to mimowoli przychodzą na myśl słowa wieszcza o słuchaczach, którym się zdawało, że »Wojski gra jeszcze, a to echo grało«. I Mickiewiczowi również dało echo jego pieśni życie nieśmiertelne w sercach rodaków.

IX.[1])

Cała ta trójca wielkich romantycznych poetów zamilkła wcześnie. Od r. 1840 Mickiewicz nic już w poezyi nie stworzył, chociaż żył jeszcze lat piętnaście. Po roku 1846-tym dał Krasiński tylko ostatnie swe dwa psalmy, a żył jeszcze trzynaście lat. I Słowacki, zmarły w r. 1849, a 40-mym życia, nic prawie nie pisał w ciągu ostatniej doby swego żywota.

Rywalizacya i różnice poglądów poważniły poetów w ostatnich latach.

Najgłębszym był rozłam między Mickiewiczem a Słowackim. Niepowodzenia Juliusza, jego drażliwość nadmierna i pewna, może nieuzasadniona, oziębłość Mickiewicza, zawsze trzymały Słowackiego, ku zdumieniu jego ziomków, w pewnem oddaleniu od jego szczęśliwszego rywala. Była wszelako chwila, gdy dwaj poeci podali sobie ręce. W kilka dni po rozpoczęciu przez Mickiewicza wykładów w *College de France* w r. 1840, przyjaciele wydali dla wieszcza obiad w dzień Bożego Narodzenia. Na uczcie tej był

---

[1]) Rozdział niniejszy, jak wogóle całą część dzieła, poświęconą romantycznej literaturze, napisał autor w r. 1886.

(Przyp. tłum.).

obecny i Słowacki. Pan Tadeusz kazał mu zapomnieć uraz i zawiści dawniejszych. W improwizacyi swej Słowacki w kilku strofach uczcił Mickiewicza jako niezaprzeczenie pierwszego piewcę polskiego. W słowa swoje włożył Słowacki najlepszą cząstkę swej duszy. Nie ubliżył Juliusz w niczem swej godności, lecz była kropla goryczy w tem, co mówił o swem własnem stanowisku w literaturze i pewna dumna boleść, gdy wyraził nadzieję, że i on przecież ma w krainie twórczości zasługi niejakie, które ojczyzna oceni. Ale o Mickiewiczu mówił serdecznie i złożył mu hołd szczery. Improwizacya, wypowiedziana z ciepłem i zapałem zjednała mu uznanie wszystkich, z wyjątkiem kilku fanatyków z obozu Mickiewicza, których i to już raziło, że Słowacki poważył się porównywać swoje losy i talent i w ogólności siebie z osobą wielkiego męża. Mickiewicz odpowiedział Juliuszowi stosunkowo życzliwie, również wierszem, a były to u niego prawdopodobnie ostatnie nawiedziny muzy poezyi. Z pewną surowością ocenił on utwory i charakter Słowackiego, radził mu, aby ukrócił w sobie ducha zarozumiałości, wyrażał się jednak o Juliuszu pochlebnie, a wkońcu przypomniał, jak wróżył niegdyś matce jego w Wilnie wielką i świetną przyszłość dla syna. Obaj poeci uściskali się, wszyscy ludzie różnych partyi ze łzami w oczach patrzyli na tę zgodę i zdawało się, że dawna nieprzyjaźń zniknęła na zawsze.

Wkrótce jednak dobre stosunki znowu się zerwały i to dla błahej przyczyny. Na pamiątkę uczty w dzień Bożego Narodzenia obecni postanowili ofiarować Mickiewiczowi puhar srebrny i prosili Słowackiego o wręczenie solenizantowi tego upominku. Słowacki prośbę spełnił, ale propozycya ta obraziła

jego dumę, zdawało mu się bowiem, że go traktują jako wasala Mickiewicza. Wówczas pisma emigracyjne napadły na Juliusza i rzuciły się z bezwzględną krytyką na jego utwory. Słowacki odpowiedział, uderzając na ślepych wielbicieli Mickiewicza i przedstawił w należytem świetle ich postępowanie. W polemice tej wrogowie Słowackiego w ubliżający dla niego sposób przekręcili także i ustępy improwizacyi Mickiewicza, odnoszące się do jego rywala. Słowacki oczekiwał, że Mickiewicz prawdziwy stan rzeczy wyjaśni, ale ten znowu zamknął się w swem dumnem milczeniu. Gorycz wezbrała w Słowackim i natchnęła go do wycieczek przeciw Mickiewiczowi w poemacie, nad którym właśnie wówczas pracował. Mamy tu na myśli »Beniowskiego«, poemat w rodzaju bajronowskiego Don Juana i Mussetowskiej Namouny, w którym wątek jest rzeczą podrzędną i tylko daje wciąż pretekst do lirycznych i wzruszających albo znowu szyderskich i uszczypliwych zboczeń od głównego poematu. Tu rzucił się poeta na satelitów Mickiewicza, na tych »jezuitów emigracyi«, jak ich nazywał, smagając ich z namiętnością i humorem, tu również — i to szczególnie zainteresowało świat czytający — określił swój stosunek do Mickiewicza, napisał o owej uczcie i improwizacyach a zakończył pieśń piątą wspaniałem rzuceniem rękawicy swemu rywalowi:

Bądź zdrów! — A tak się żegnają nie wrogi,
Lecz dwa na słońcach swych przeciwnych bogi!
. . . . . .
Nie pójdę z wami waszą drogą kłamną —
Pójdę gdzieindziej — i lud pójdzie za mną...

W tej epoce zatargów między dwoma poetami wystąpił w obronie Słowackiego Krasiński. W dłuż-

szym artykule, wydrukowanym bezimiennie — choć nazwisko autora nie było dla nikogo tajemnicą — oddaje on należny hołd obu poetom, przyznając każdemu z nich talent wielki i osobną sferę działania. Mickiewiczowi przypisuje siłę dośrodkową, Słowackiemu odśrodkową, pierwszy ma niezrównaną plastykę, drugi — muzykę wiersza, szczególnie zaś podnosi bezimienny autor Słowackiego, jako wielkiego czarodzieja słowa. W niezbyt szczęśliwych i nadto rozwlekłych porównaniach określa on wkońcu Mickiewicza jako Michała Anioła formy, podczas gdy u Słowackiego »płyną farby Coreggia, farby Rafaela, niesione nutami Beethovena«. Intencye Krasińskiego były w każdym razie jak najlepsze i odtąd wzrosło wśród publiczności uznanie dla Słowackiego. A więc spełniła się ta »słodka nadzieja«, o której pisze Słowacki w przedmowie do Lilli Wenedy, symbolizując swój stosunek do Krasińskiego w owych skutych jednym łańcuchem żelaznym dwóch wodzach-bliźniętach, Lelum i Polelum, z których jeden miecz a drugi tarczę w ręku trzyma.

Ale wkrótce miał i ten pozornie tak silny łańcuch pęknąć. Po roku 1840-tym wśród emigracyi polskiej ruch polityczny doszedł do punktu kulminacyjnego. Przeczuwając, iż wkrótce nastąpi w Europie powszechny wybuch namiętności rewolucyjnych, postanowiono go wyprzedzić w przekonaniu, że tylko drogą powstania można odbudować Polskę. Towianizm w wysokim stopniu podniecająco działał na umysły, a wśród innych stronnictw i koteryi stanowczą przewagę otrzymało Towarzystwo demokratyczne, z ogniskiem najprzód w Poitiers a następnie w Wersalu. Towarzystwo przedsięwzięło organizacyę powstania we wszystkich trzech zaborach, zaczynając

od austryackiego i pruskiego, a sądząc słusznie, że rewolucya nie może się udać bez udziału ludu, postanowiło poruszyć go przez emisaryuszów i pisma ulotne. Była w nich mowa o nadaniu chłopom własności ziemskiej i o rewolucyi socyalnej a lud chętnem słuchał uchem tych gróźb przeciw szlachcie. Pisemka ludowe, a najważniejsze z nich wydawane były pod pseudonimem Prawdowskiego, w swej propagandzie rewolucyjnej ze szczególną gwałtownością napadały na kler i arystokracyę polską i potępiały rolę, którą one w dziejach narodu odegrały.

Bojąc się następstw takiej propagandy i czując zdawna wstręt do demagogów i socyalistów, ogłosił Krasiński w roku 1845-tym pod pseudonimem Spirydyona Prawdzickiego przeciw Prawdowskiemu trzy psalmy (Wiary, Nadziei i Miłości), porywające cudownym stylem, ale mistyczne w swem zwiastowaniu modlitwy i moralnego doskonalenia się, jako jedynie dozwolonych środków walki z ciemięzcą, i niesprawiedliwie upatrujące w demokracyi tylko »czerwony mord«. Wierząc osobiście w wysokie cnoty szlachty, jej bohaterską odwagę, rycerskość i t. p., nie zaprzeczał Krasiński ciążących na niej grzechów dziejowych, ale do tych, którzy z dziecinnem okrucieństwem krwi szlacheckiej łaknęli, wołał »hajdamackie rzućcie noże«.

Psalmy te podrażniły Słowackiego tak silnie, że w uniesieniu w tymże r. 1845 napisał poetycką odpowiedź Do autora trzech psalmów, w której z zapałem i z mocą, ale zarazem z szyderstwem występuje przeciw nauce, zachwalającej tylko bierny opór, jako moralny i pożyteczny, ironizując nad Krasińskim, »jasnym panem« i »synem szlacheckim«, co

w obawie o los warstw uprzywilejowanych, wszędzie wietrzy niebezpieczeństwa dla ginącej szlachty.

Któż i gdzie zagroził nożem?
. . . . . .
Tylko jakieś sny czerwone
Zaludnione czartów gminem,
Twych firanek karmazynem
Owinięte, osłonione,
Przestraszyły cię, żeś krzyknął:
. . . . . .
Ty, kto jesteś! nie rżnij szlachty!
. . . . . .
Zawsze miałem tę pokorę,
Żem żadnego nie klął ruchu...
. . . . . .
Bo ty nie myśl, że z anioły
Tylko Boża myśl nadchodzi:
Czasem Bóg ją we krwi rodzi,
Czasem zsyła przez mongoły!

Wiersz ten wydrukowano później wbrew woli i zamiarom autora.

W r. 1846 przyszła rzeź galicyjska, jakby po to, aby nadziejom Słowackiego zadać kłam. Pod wodzą agentów rządu austryackiego i wypuszczonych z więzień zbrodniarzy (jak np. Szela, który wymordował całą rodzinę Bohuszów, sześć osób), rzucili się chłopi i urlopnicy na szlachtę, wierząc rozsiewanym pogłoskom, iż cesarz uwłaszczył lud wiejski, ale szlachta staje wpoprzek szlachetnym zamiarom monarchy. Nastały dni okropne, o których zresztą już mówiliśmy poprzednio.

Wprawdzie reżyserami tej rzezi byli nie demokraci polscy, ale dystyngowani biurokraci austryaccy, ale bądź co bądź pokazało się, jak łatwo da się lud na bezdroża zaprowadzić. Spełniły się prorocze słowa

Krasińskiego, który w r. 1848 odpowiedział Słowackiemu Psalmem żalu.

Chociaż później między obu poetami nastała pozorna zgoda, ale nigdy już nie powróciły dawniejsze przyjazne stosunki, a w ostatnich latach brzmi w nich nuta rażącej dysharmonii. W Niepoprawnych, pośmiertnym dramacie Słowackiego, Krasiński jest skarykaturowany w postaci hrabi Fantazego Dafnickiego, który w domach obywatelskich szuka dla siebie bogatej partyi. Za nim snuje się jak cień, sentymentalna rozwódka hrabina Idalia — karykatura Delfiny Potockiej. Ze swej strony Krasiński, pisząc swój Niedokończony poemat, ogłoszony po śmierci autora, przedstawił Słowackiego pod nazwiskiem Julinicza, jako wieszcza ludowego, który »wychodząc z grona chórowego woła: Ja wielki Duch! proroczy Duch! znajcie mnie!« W tyradzie swej, wygłoszonej z chorobliwym zapałem, Julinicz z lekceważeniem traktuje chrześcijaństwo i mówi o mordach tysięcy ludzi z tą samą obojętnością, którą spotykamy w Królu Duchu Słowackiego.

W r. 1848 Słowacki przedłożył swym ziomkom w Paryżu plan spisku rewolucyjnego w Polsce. Plan ten chciał on urzeczywistnić na ziemi polskiej i w tym celu udał się do Poznania, aby tu dla swych zamysłów zjednać komitet narodowy. Ale ruch rewolucyjny w zaborze pruskim po klęskach 29 kwietnia i 2 maja miał się już ku końcowi. Słowacki, zobaczywszy się z matką we Wrocławiu, powrócił do Paryża i tu zmarł w r. 1849-tym.

Z rokiem 1848-mym, tym rokiem wielkich rewolucyi, skończyła się polityczna rola emigracyi polskiej. Wielkie narodowe ruchy i dążenia tego roku, jak wiadomo, nie powołały do życia ani jednego nowego

państwa, opartego na narodowościowej zasadzie, a nawet te organizmy państwowe, które urzeczywistnienie zasady narodowości powinno było rozbić, wyszły z owego kryzysu silniejsze, niż przedtem. Ale na Polakach zdarzenia te nie wywarły głębszego wrażenia. Ideały romantyczne, których osią było oczekiwane lada chwila odbudowanie ojczyzny, wciąż jeszcze panowały nad umysłami, chociaż romantyka, gdy umilkli wielcy pieśniarze, nie szybowała już tak górnie, jak dawniej. Dopiero okropna katastrofa 1863-go roku otrzeźwiła naród, wyrywając go z koła marzeń i ukazując mu rzeczywistość w barwach prawdziwych.

Odtąd historya i krytyka historyczna usunęły w literaturze polskiej poezyę na plan dalszy. Na miejsce dawnych ideałów i haseł przyszły nowe: dążenie do prawdy historycznej jako ideał i jako hasło — praca. Najwybitniejszy z pisarzy i poetów następnego pokolenia z wielkim naciskiem i energią podnosił to znaczenie pracy dla społeczeństwa polskiego i sam pod tym względem świecił przykładem, pojmując swe zadanie w literaturze *par excellence* jako zadanie pracownika w wielkim stylu. Józef Ignacy Kraszewski (1812—1887), któremu w roku 1879 na 50-letni jubileusz działalności pisarskiej cała Polska składała dary i adresy, czcząc go jako największego z żyjących pisarzy narodowych, już wtedy wydał był 440 tomów swych dzieł, a gdyby się policzyło i rozsiane po najrozmaitszych czasopismach artykuły, ilość tomów wzrosłaby z pewnością do 660-ciu. Jako powieściopisarz, Kraszewski ma tę wielką zasługę, iż nie pozwolił klasom wyższym przez wyłączną lekturę książek obcych zatracić poczucia narodowego, że w miarę swych sił budził w narodzie samopoznanie,

chłoszcząc w artykułach dziennikarskich i utworach belletrystycznych błędy i wady Polaków i, jak energiczny pedagog, ciągle wskazując na te zadania i obowiązki, które wskutek klęsk politycznych naród polski spełniać musiał w mierze wyższej, niż narody inne.

Kraszewski pisał romanse historyczne i współczesne, bajki, wspomnienia, poezye, komedye i podróże, wydawał dziełka dla ludu i młodzieży, ogłaszał pisma treści etnograficznej, archeologicznej, historycznej i filozoficznej, był czynny jako dyrektor teatru, redaktor i pisarz polityczny i nawet jako illustrator, rysownik i rytownik, — słowem, mąż ten rozpowszechniał książki, jak, nie przymierzając, Towarzystwo biblijne, a w pismach swych pragnął stworzyć dla narodu szkołę polskości. Rozumie się samo przez się, iż taka płodność nie zawsze dała się pogodzić z ową artystyczną doskonałością, którą stawiali tak wysoko poeci romantyczni. Pomimo to niektóre jego utwory, jak np. powieści Morituri i Resurrecturi, nowelle, jak Ulana, a szczególnie wysoce zajmujący Jermoła, są to dzieła rzetelnego artyzmu.

W chwili teraźniejszej nie posiada piśmiennictwo polskie ani jednego pierwszorzędnego pisarza, chociaż nie brak mu wybitnych talentów w rozmaitych kierunkach. W Adamie Asnyku ma Polska powabnego liryka, w Bolesławie Prusie (pseudonim Aleksandra Głowackiego) pełnego humoru i subtelnego uczucia nowelistę.

Ostatni ten pisarz, będący zarazem nieustraszonym i miłującym prawdę dziennikarzem, wywiera głęboki wpływ na czytającą publiczność i śmiało toruje drogę nowym prądom i kierunkom.

Na czele literatury pięknej stoją obecnie dwaj pisarze, obaj bardzo utalentowani i obaj liczący około czterdziestki.

Pierwszy z nich to Aleksander Świętochowski, pochodzenia szlacheckiego, ale bynajmniej nie arystokrata z przekonań, umysł spółczesny, zasadniczy szermierz wolności myśli i postępu, człowiek tęgiego charakteru i silnej woli, wielki stylista i polemista wybitny, jako nowelista i dramaturg wysoce tendencyjny. Dramata Świętochowskiego nie mają wartości artystycznej. Nowele, jak Chawa Rubin, Damian Capenko, Karl Krug krzewią wśród społeczeństwa polskiego humanitarne uczucia względem innych narodowości, żyjących na ziemi polskiej, ale pomimo tej swojej tendencyi mają formę skończoną, prawdziwie męską i wysokiej artystycznej wartości. W noweli p. t. Klemens Boruta z wielką potęgą maluje autor tragedyę głodu.

Silny kontrast z Świętochowskim, tym niezmordowanym agitatorem, tworzy ulubieniec polskiej publiczności, Henryk Sienkiewicz, prawdziwie patrycyuszowska natura, talent bogaty i gibki, pełen uczuć subtelnych i ciętej satyry. Najwyżej stanął Sienkiewicz w tych utworach, gdzie z przenikliwym realizmem porusza tematy psychologiczne, jak np. w Szkicach węglem, w tej chwytającej za serce i mistrzowskiej historyi Rzepowej, która oddaje się nikczemnikowi, byleby tylko męża swego uratować od służby w wojsku. Doskonałe są również i jego króciutkie nowele (Latarnik, Jamioł), nadzwyczaj malownicze i pełne serdecznego uczucia. Niestety, w ostatnich latach Sienkiewicz, na wzór Dumasa ojca, rozpłynął się w produkcyi nieskończonych history-

cznych romansów, które imię jego uczyniły popularnem w najszerszych kołach.

A przecież już Pan Tadeusz wytknął literaturze późniejszej drogę właściwą, wskazał na rzeczywiste życie, na życie własnego stulecia jako źródło natchnienia i rozpoczął w Polsce epokę realizmu. Wkrótce musi też zwyciężyć przekonanie, że jeżeli w naszych czasach poeci polscy chcą na seryo współzawodniczyć z najznakomitszymi pisarzami Europy, z największymi prozaikami Francyi i Rosyi — jest rzeczą konieczną, żeby odwrócili się od dalszej przeszłości i trzymali jedynego pola, na którem poeta może uniknąć wszystkiego, co konwencyonalne i być nie tylko natchnionym, ale i prawdziwym.

Rzecz to zupełnie naturalna, że w Polsce dłużej, niż gdzieindziej, fantazya pisarzy obracała się dokoła tematów z przeszłości czerpanych. Po utracie bytu niepodległego Polacy, jako naród, skazani zostali w życiu praktycznem na zupełną bezczynność. Nic tedy dziwnego, że w oczach poetów przeszłość stała się spuścizną najcenniejszą i najsławniejszą i że nawet po upadku właściwego romantyzmu wciąż jeszcze nie mogą się oni rozstać ze wspomnieniami z owych czasów minionych, których opis znajdują w książkach, zamiast odtwarzać to równie interesujące życie, które mija przed nimi niepostrzeżenie. Ten silny artystyczny pociąg do przeszłości opiera się jednak ostatecznie na przesądzie, że tylko przeszłość albo, jak ją zwykle nazywają, historya, — historyczne poezye i obrazy pozwalają nam przedstawić ideał. Ale może przyszłość przekona nas, że żywioł historyczny jest równie zbyteczny w poezyi, jak żywioł spirytystyczny. W epoce rozkwitu romantyzmu polskiego duchy występowały we wszystkich

utworach zarówno poetyckich, jak i specyalnie dramatycznych, często nawet odgrywały w nich rolę pierwszorzędną. Zdawało się wówczas, że duchy są więcej idealne i poetyczne, niż ludzie z krwi i ciała. Zajęły one miejsce bogów poezyi starożytnej, a nawet w takich utworach, jak Dziady albo historyczny dramat Słowackiego Beatrix Cenci, usunęły wszystkie inne czynniki na plan dalszy. To wywoływanie postaci z odległej przeszłości jest w literaturze polskiej swego rodzaju nowym, tylko mniej abstrakcyjnym, spirytyzmem. Bo i te postacie dadzą się często, jak duchy, podzielić na: złe i dobre.

Jest tylko jedna przyszłość dla literatury nadobnej w Polsce, skoro już minęły dni romantyzmu. Oto musi ona stać się nowoczesną *(moderne)*, musi być żywym wyrazem życia naszej własnej epoki.

Całe duchowe życie Polski i jej piśmiennictwo obracało się przez długi okres czasu około kwestyi jej bytu. Widzieliśmy później, jak z niej wyłoniła się następnie kwestya urzeczywistnienia najwznioślejszych idei ludzkości. Łatwo jednak pojąć, że cała literatura danego narodu nie może wiecznie zajmować się tak abstrakcyjnym przedmiotem. Zasadnicze uczucie, którego wyrazem była w Polsce literatura romantyczna, nie zaginie, ale pod grozą zupełnego zubożenia piśmiennictwa, nie powinno ono panować nadal tak wszechwładnie.

Nazbyt wyłączne uczucie solidarności z innymi, powszechne cierpienia i dążności, wieczne poruszanie jednej tylko struny nie pozwalają jednostkom rozwinąć się z zupełną swobodą i wycisnąć na literaturze piętna oryginalności. Jednostki te uważają się za członków jednej całości, dzielą radości i zawody innych ludzi i nie są nigdy dość odosobnione, aby

zgłębić aż do dna całą mękę żywota ludzkiego. Źle jest, gdy nam drzewa zakrywają las, ale również źle jest, gdy las zasłania nam drzewa. Zapewne, jest w młodzieńczych utworach poetów polskich dość owego wyszukanego i nawpół przesadnego uczucia odosobnienia, jakie mają głośni bohaterowie Byrona. Ale nigdy nie odbija się w nich to uczucie osamotnienia, którego doznaje powszedni, cichy człowiek. Dlatego też, pomimo wyjątkowych prześladowań i nieszczęść, które na nich z zewnątrz spadają, nie są oni w oczach naszych dość nieszczęśliwi. Znaleźć tu można wiele nieszczęścia, którego sceną jest świat zewnętrzny, ale nigdy oczom naszym nie ukazuje się owa tragedya odgrywająca się w głębi duszy ludzkiej i powstająca nieraz bez szczególnej interwencyi złowrogiego losu. Poeci polscy z natury rzeczy tak pragnęli karmić swych czytelników słowami pociechy i nadziei, że wyobraźnia ich nie zgłębiała nieszczęścia aż do dna i nie zaglądała do najskrytszych jego tajników. Z drugiej znowu strony romantyczna literatura polska udzieliła skąpego tylko miejsca żywiołowi komicznemu. Aczkolwiek bardzo bogata, nie odbija ona przez to w sobie całego obszaru oraz całego natężenia życia ludzkiego. Zmysł komizmu nie zdaje się być ani bardzo rozwinięty, ani rozpowszechniony w narodzie polskim. Poeci, którzy, jak Fredro, talent tego rodzaju w wysokim posiadali stopniu, nie zużytkowali nigdy tych swoich zdolności na korzyść wyższych idei, a inni pisarze, działający w imię idei, jak np. romantycy, nie posiadali szczególnego uzdolnienia, aby ze śmiechu uczynić broń albo wyraz wesołości.

W Panu Tadeuszu jest pewien odcień humoru i to wyjątkowo pięknego i subtelnego, brak

mu jednak siły, a przytem Mickiewiczowi nie zawsze udaje się wywołać wrażenie komiczne tam, gdzie chciałby tego celu dopiąć. Tak np. hrabia chwilami staje się nudny, wtedy, gdy ma być komiczny. Gdyby Mickiewicz posiadał zmysł komizmu w stopniu wyższym, nie byłby mógł stworzyć takiej postaci, jak Gustaw, który jest mimowoli komiczny w tych miejscach, gdzie powinien najgłębiej wzruszać. I kreacye Słowackiego również nigdy nie wywołują potężnego wrażenia komicznego. Jego drugorzędne postacie z zacięciem komicznem nie są wzięte z życia, a przypominają zawsze albo clownów Szekspira, albo znowu graciosów Calderona i co najwyżej wzbudzają uśmiech, ale śmiechu — nigdy. Prawdziwie komiczny efekt osiągnął Słowacki tylko tam, gdzie tego wcale nie miał na celu, a mianowicie, gdy opisuje czyny swego zrozpaczonego bohatera i opoja Lambra. Pomimo, że rodzaj talentu Krasińskiego tak był daleki od komizmu, portret włoskiego barona finansisty w Niedokończonym poemacie dowodzi, że poeta miał w tym kierunku uzdolnienie, którego jednakże nie rozwinął. Żałować przecież należy, że Krasiński nie chciał zdolności tych zużytkować, gdyż do Nieboskiej można było wprowadzić efekta komiczne, które zrobiłyby Pankracego i jego otoczenie niewątpliwie bardziej interesującem.

W ogólności można powiedzieć, że bardziej rozwinięty i subtelniejszy zmysł komizmu u najprzedniejszych przedstawicieli narodu byłby uchronił od wybryków wielu bohaterów romantycznych, usunąłby romantyczne widma i czarownice na plan dalszy, a rysy wielu postaci drugorzędnych zaznaczył wyraziściej.

Trzy przyczyny tłumaczą brak żywiołu komicznego

w literaturze polskiej. Najprzód poważne a nawet smutne usposobienie publiczności, dla której przeznaczone były utwory literackie. powtóre surowe pojęcie, jakie poeci mieli o swojem powołaniu, uważając siebie za nauczycieli i przewodników narodu, nie zaś za jego *maîtres de plaisir*, wreszcie ów wybujały idealizm, który w bieżącem stuleciu tak wszechwładnie panował w życiu umysłowem narodu polskiego.

Idealizm ten niezaprzeczenie budzi wielką odwagę w niektórych wypadkach, tam np., gdzie chodzi o wypowiedzenie niemiłego komuś przekonania albo gorącego protestu, ale zupełnie wyłącza rzetelne i wielostronne ujęcie i przedstawienie natury ludzkiej. Romantykom polskim brak tych silnych kontrastów, które wywołują wrażenie komiczne, bo zbyt wyłącznie przedstawiają oni człowieka ze strony duchowej. Że człowiek jest przedewszystkiem istotą, posiadającą pewne potrzeby, nie zaś tylko idee, o tem się tutaj milczy i na to rzuca zasłonę. Że, dalej, silne namiętności polityczne i miłosne są rzadkim tylko wyjątkiem w życiu ludzkiem, tego również nie czujemy wcale w literaturze romantycznej ani Polski, ani innych narodów. Ale niema drugiej literatury, któraby tak zupełnie wyłączyła życie zmysłów i instynktów, to życie, będące przecież podstawą wszelkiej namiętności. Tam zaś, gdzie ono nie dało się pominąć całkowicie, poeci przedstawili je nam w perspektywie jak najdalszej. Nigdzie miłość nie jest tak bezcielesną, jak w romantyzmie polskim, jak u Słowackiego »W Szwajcaryi« albo w »Przedświcie« Krasińskiego i t. p. Bilecik i klucz, który Telimena wsuwa do ręki Tadeuszowi, doprawdy wywołuje zdziwienie, a przecież to jest wszystko, co o stosunku tych dwojga osób wiemy. Tam jednak, gdzie zmysłowa strona istoty

ludzkiej, a z nią i jeden z najsilniejszych kontrastów między dążnościami ducha a pociągami ciała, wyłączone są z obrazu, musi w poezyi półkula tragiczna czuć brak półkuli komicznej, stanowiącej jej dopełnienie.

Najbardziej jednak brak w owej epoce literaturze polskiej — jak łatwo się czytelnik domyśli — wyrazu dla spokojnej radości życia. Zawiera ona wiele miłości, ale niemasz w niej zadowolenia. Rzadko tylko spotka się tu istotę, która od czasu do czasu odetchnie głęboko i swobodnie.

Ale co epoka ta posiada, jest obfite i bogate: ma ona tak wielką i wzruszającą powagę, jakiej nie znajdziemy w żadnej innej grupie literackiej w Europie; swym głębokim patosem równać się może z wielkimi tragikami Grecyi i Anglii, a wreszcie entuzyazm jej, tak czysty i wzniosły, w małej tylko mierze w innych da się odnaleźć krajach. Nigdzie też nie widziano, ażeby poezya, jak tu, całe pokolenia za sobą porwała.

Jako forma sztuki jest romantyzm w naszych czasach już martwy i należy do przeszłości. Jego bohaterowie i bohaterki, duchy i czarownice, często nawet język i styl są przestarzałe. Ale istnieje romantyzm nieśmiertelny, który przeżyje wszystkie formy i szkoły w sztuce i zachowa swoją siłę życiową i swoją wartość. Romantyzm ten — to żywioł zdrowej egzaltacyi, którą się odznacza każde uczucie ludzkie, o ile subtelnością lub natężeniem wybiega ponad zwykły, ogólny poziom. Uczucia, jakiemi przejmują nas obrazy natury, lasy i pola, niebo i morze, a po wszystkie czasy i w wyższym jeszcze stopniu: miłość, przyjaźń, uczucia rodzinne i patryotyczne, ukochanie języka macierzystego i wspólnych tra-

dycyi, — wszystkie te poruszenia serca mogą właśnie przybierać formę podobnego romantycznego zachwytu bez wszelkiej domieszki przesądów i odarte ze wszystkiego, co jest nadprzyrodzone.

W niewielu piśmiennictwach ten nieśmiertelny romantyzm objawił się w formie tak pięknej, jak w literaturze polskiej.

X.

Przechodząc w wielkim pałacu carów moskiewskiego Kremlu przez to boczne skrzydło, w którem znajduje się zbrojownia *(Oružejnaja pałata)*, spotyka się na parterze 22 marmurowych biustów królów i sławnych mężów polskich, na piętrze wyższem w wielkiej okrągłej sali stoi polski tron, a przy nim korona, którą nosił ostatni król polski, Stanisław August; w sali sąsiedniej, wprost naprzeciw lektyki Karola XII. z bitwy pod Połtawą, 60 sztandarów zdobytych na Polakach w r. 1831 i 1863, poszarpanych od kul i z polskimi napisami, zaś obok nich, na prawo misternej roboty zamknięta szafka. W tej szafce spoczywa Konstytucya 3-go maja, ów »dyplom szlachectwa Polski wobec innych ludów Europy« — przechowana jako okaz muzealny. Rosyanin, który mnie oprowadzał po Kremlu, zrobił tu uwagę, że widok tych sztandarów i owej szafki bolesne przecież sprawia wrażenie. A cóż dopiero uczuwać musi Polak, gdy tu, w pałacu carskim i w obcej stolicy ujrzy te *curiosa* na pokaz wystawione, a wśród nich: sławnych mężów Polski, insygnia królewskie, te widome oznaki niepodległości ojczyzny, sztandary z białym orłem i nawet tę W i e l k ą k a r t ę, którą naród wydał na świat

w najpodnioślejszej chwili swego żywota i która legalnie nie utraciła swej mocy obowiązującej po dzień dzisiejszy. Polak, patrząc na to wszystko, doznaje niewątpliwie uczucia, jak gdyby czytał swe nazwisko na kamieniu grobowym.

Bezustanne klęski i ciągłe prześladowania, ucisk srogi i miano zbrodniarza, gdy się ma słuszność po swojej stronie — to można znieść; lecz być traktowanym, jak umarły, widzieć, jak wróg na urągowiwisko publiczne wystawia naszą dumę i przeszłość, nasze sztandary i wolności narodowe, jako okazy gabinetu starożytności lub drobnostki w pierwszym lepszym grobowcu jakimś odkopane: to patrzeć własnemi oczyma na upadek wszystkiego, za co się żyć chce, to dotykać własnemi rękoma dokonanego dzieła zniszczenia, a jednak czuć potrzebę życia z wiarą w to wszystko.

Zawsze myślą powraca się do tej refleksyi: jakże ta Polska przecież jest symboliczną! Któż bowiem w tym wieku innego dożył losu, jak losu Polaka, ktokolwiek kochał wolność i chciał dobra dla ludzi? Czegoż innego doczekał się, jak nie klęski? Kiedyż widział promyk słoneczny? Kiedyż słyszał sygnał pobudki postępu? Wszędzie, wszędzie fanfary potężnych gwałtowników, lub chóry bezczelnych hipokrytów. I wszędzie głupota jako gwardya przyboczna kłamstwa, wszędzie cześć i bojaźń przed wszystkiem co podłe, wszędzie to samo gminne urąganie temu, co jedynie święte i szlachetne.

O, Polsko! Ty jesteś wielkim symbolem. Symbolem spętanej i zdeptanej wolności, symbolem bez widoku zwycięstw, a jednak z nadzieją zwycięstwa wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu — pomimo wszystko.

Gdy cudzoziemiec ujrzy cię pokrytą całunem śniegu czasu zimy, to zda mu się, że mróz i śnieg i wiecznie pochmurne niebo tak się do twej istoty dostrajają, iż twego nieba nigdy czystem i ciepłem, tego kraju nigdy bez zimy pomyśleć nie można.

Lecz jeśli przybędzie pewnego dnia letniego do Warszawy, gdy słońce przeziera przez gęstą zieleń Saskiego ogrodu, gdy Łazienki wesołe i eleganckie przeglądają się w swych wodach, a Wilanów z drzewami, ręką Sobieskiego sądzonemi, nęci swą zielonością, wtedy czuje on, że słońce i ciepło i tutaj są u siebie w domu.

Nigdy i nigdzie nie widział tak wysokich i wspaniałych topoli, smukłych, jak cyprysy w Villi Hadriana pod Tivoli, dumnych jak one, smutnych i uroczystych również jak one.

I kiedy letnim wieczorem wiatr lekko muska topole wilanowskie, a cudzoziemiec spokojnie i wolno przechadza się po szerokich alejach, kiedy naokoło słyszy polską mowę, a obok widzi kochanych przyjaciół, całkiem i niepodzielnie oddanych sprawie Polski, jako sprawie, która jedynie ich życiu udziela znaczenia i namaszczenia, gdy patrzy na tych ludzi, co żyją wyłącznie wiarą w przyszłość swej ojczyzny i z niej czerpią siłę i męstwo — kiedy słońce pięknie zachodzi, a w powietrzu pachną kwiaty, wdzięcząc się w cieple i słodyczy — wtedy i obcy wędrowiec nastraja się mniej beznadziejnie — i mówi sobie w duchu: Kto wie! Może — mimo wszystko!

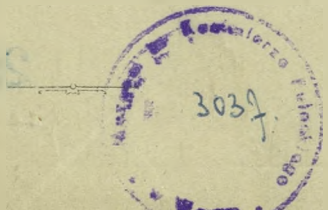

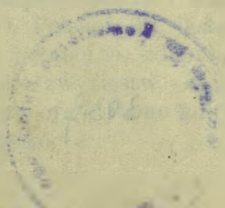

2877